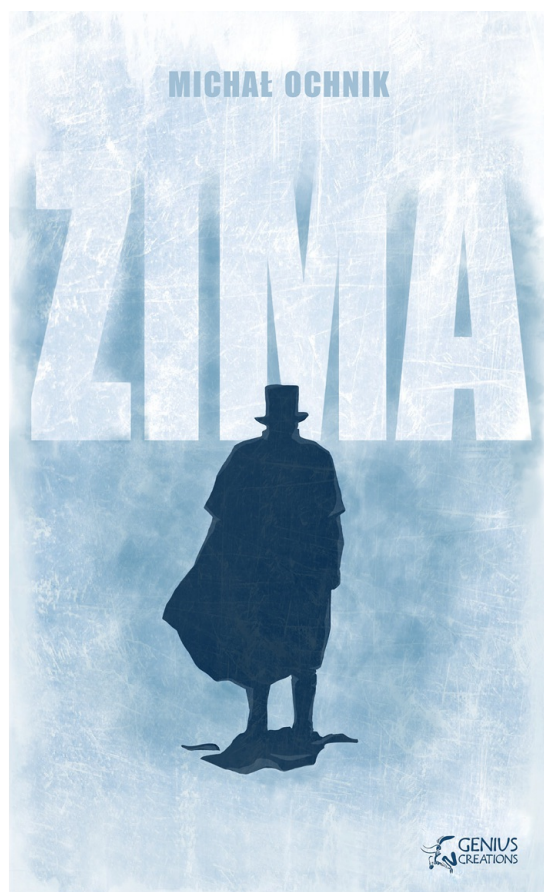


MICHAŁ OCHNIK

ŻYWA





[Prolog 3](#)

## SPIS TREŚCI

<a href="#">Rozdział I</a>	7
<a href="#">Rozdział II</a>	28
<a href="#">Rozdział III</a>	75
<a href="#">Rozdział IV</a>	100
<a href="#">Rozdział V</a>	122
<a href="#">Rozdział VI</a>	162
<a href="#">Rozdział VII</a>	189
<a href="#">Rozdział VIII</a>	216
<a href="#">Rozdział IX</a>	247
<a href="#">Rozdział X</a>	268
<a href="#">Rozdział XI</a>	295
<a href="#">Rozdział XII</a>	316
<a href="#">Rozdział XIII</a>	338
<a href="#">Epilog</a>	370

## PROLOG

### Rok później

Pani Johansen miała nadzwyczaj lekki sen. Potrafił ją zbudzić najlżejszy bodaj szmer, najdrobniejsza zmiana w ustalonym rytmie dźwięków otoczenia. Podejrzewała, że to kwestia podeszłego wieku – przez te wszystkie lata wsłuchiwała się w najdrobniejsze odgłosy, jakie wydawało jej niewielkie mieszkanie, i doskonale rozróżniała każdy z nich. Umiała poznać skrzypnięcie obłuzowanej deski w podłodze, zgrzytnięcie klucza w zamku, srebrzysty odgłos zastawy stołowej układanej na stole. Czasami wydawało się jej, że to miejsce do niej przemawia – językiem szumu czajnika, dźwięku krzesła odsuwanego od stołu, tajemniczego chrobotu w północnej ścianie salonu, którego źródła nigdy nie zdołała dociec, tykania zegara czy nawet szelestu kartek starych książek i albumów. Dopatrywała się w tych dźwiękach tajemnej mowy miejsca, z którym przez długie lata zdążyła się już zaprzyjaźnić i poznać jego humory.

Wiedziała, że niektórzy starzy ludzie miewają nawyk mówienia do siebie. Pani Johansen nigdy tego nie rozumiała, ponieważ sama już wiele lat temu uznała, że powiedziała niemal wszystko, co miała do powiedzenia, i od tamtej pory postanowiła przede wszystkim słuchać. Słuchała więc swojego mieszkania, które okazywało się bardzo wdzięcznym, choć może niezbyt porywającym mówcą. Z biegiem lat jego szmerliwe mamrotanie stało się wręcz przezroczyste dla uszu pani Johansen. Podobnie jak jego właścicielka, nie miało już wiele więcej do zakomunikowania, choć w przeciwieństwie do niej nie zamilkło, tylko każdego dnia sennie wybrzmiewało tymi samymi odgłosami.

Tym razem jednak było inaczej – mieszkanie miało jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Na tyle ważnego, że zdecydowało się zbudzić ją ze snu.

Do środka dostał się ktoś obcy.

Pani Johansen od wielu lat mieszkała sama. Tylko ona posiadała klucze do drzwi wejściowych, choć rzadko kiedy zamykała się na cztery spusty. Okolica była spokojna, a sąsiedzi uprzejmi i porządni, nie było więc sensu ryglować się za każdym razem i częstokroć zapominała zamknąć drzwi na noc. Podniosła się z łóżka i rzuciła okiem na zegar. Była wczesna pora, tuż przed świtem, kiedy niebo przybiera barwę przybrudzonego granatu. Kobieta wstała, nasunęła na nogi kapcie i ruszyła w stronę salonu. Nie bała się, ale wychodząc, sięgnęła po pogrzebacz, który trzymała w sypialni, od kiedy okno naprzeciw jej łóżka przestało się domykać i potrzebowało podpórki. Już dawno miała wezwać kogoś do naprawy, ale z różnych względów cały czas to odkładała. Zaciskając dłoń na pogrzebaczu, zaczęła ostrożnie iść do salonu – mieszkanie cichym skrzypieniem desek w podłodze podpowiedziało jej, gdzie przebywa intruz.

Ostrożnie zajrzała do środka. Znajdował się tam młody mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Wspierał się na lasce, na jego głowie zaś tkwił cylinder. Nie wyglądał on na włamywacza – chyba że na bardzo eleganckiego. Zdawał się nie zwracać uwagi na nieliczne cenne przedmioty w swoim zasięgu. Nieznajomy przyglądał się natomiast powieszonemu na ścianie malowidłu. Wydawał się poznawać obraz, na jego twarzy błąkał się uśmiech. Tak jakby malunek przypominał mu o czymś przyjemnym. O czymś, co porzucił dawno temu, a do czego skrycie tęsknił.

Pani Johansen opuściła pogrzebacz. Rozpoznała obcego.

– Wystraszył mnie panicz – powiedziała głośno.

Intruz drgnął i odwrócił się.

– Przepraszam – odparł, uśmiechając się.

Pani Johansen odwzajemniła uśmiech. Bardzo dobrze знаła jego właściciela.

– Wolałbym, żeby moja obecność tutaj nie została odkryta przez nikogo, stąd tak wczesna pora i tak niespodziewane wtargnięcie.

– Rozumiem. – Pokiwała głową. Oczywiście, teraz wszystko stało się już dla niej jasne. – Domyślam się też, co tu panicza sprowadza. Szczerze powiedziawszy, po ostatnich wydarzeniach spodziewałam się, że już panicza nie zobaczę.

– Wiele się wydarzyło – zgodził się przybysz. – Ale staram się zawsze dotrzymywać słowa. A równo rok temu coś pani obiecałem. Dopiero teraz różne sprawy uspokoiły się na tyle, bym mógł bez wielkiego ryzyka przybyć do miasteczka i wywiązać się z danego przyrzeczenia. Nie byłbym sobą, gdybym tego nie zrobił.

– To prawda. – Pani Johansen podeszła do młodzieńca. – Nie byłbyś, młody człowieku. Usiądź. Zrobię nam herbaty, a ty pochwalisz mi się swoim odkryciem. Bo nie wątpię, że to właśnie ono sprowadza cię do mnie.

Mężczyzna skinął głową i usiadł w fotelu. Dopiero teraz zdjął z głowy cylinder, ostrożnie kładąc go na kolanach. Kiedy pani Johansen wróciła z dwiema filiżankami i usiadła naprzeciwko niego, zaczął opowiadać.

## Rozdział I

### Przybysz

*Zima – Doktor? – Z wizytą u mera – Zajazd pani Cirque – Prawdziwa sztuka zawsze się obroni – Teatr –  
Dyrektor Victor Caillou*

Kiedy minął ósmy miesiąc, krótkie, ciepłe lato musiało w końcu ustąpić białemu puchowi, który niemal z dnia na dzień zawładnął miasteczkiem Vadeline. Mieszkańcy byli przygotowani na taki stan rzeczy, Biała Królowa nigdy nie pozwalała na zbyt długie panoszenie się lata na ziemiach, którymi władała. Tak było od zawsze. A przynajmniej od tak wielu lat, że nikt żyjący nie przypominał sobie, by działo się inaczej.

Czasem jednak lodowaty północny wiatr przynosi ze sobą coś więcej niż tylko ciężkie, wypełnione śniegiem chmury. Czasem wraz z pierwszymi płatkami śniegu nadchodzą zmiany, ale o tym nikt już nie pamiętał. Może tylko najstarsi mieszkańcy, tęsknymi oczami wpatrujący się w osnuty bielą horyzont.

Młody mężczyzna, który przybył do miasta wraz z ostatnim patrolem Białej Armii, uśmiechnął się spod runda cylindra. Zamienił kilka słów z kapitanem, który wskazał mu drogę. Jeden z żołnierzy pomógł mu wypakować bagaże z olbrzymich sań oznaczonych godłem Białej Królowej.

– Proszę na siebie uważać – ostrzegł go wojskowy. – Nie jesteśmy w stolicy ani na cywilizowanych terenach Północnej Marchii. Na traktach bywa hazardownie nawet w środku dnia. Samo miasteczko jest jednak dość bezpieczne.

– Potrafię o siebie zadbać – odparł młody elegant. Skinął głową kapitanowi, ujął walizkę i ruszył w stronę śródmieścia.

– Na Zimę... – westchnął pod nosem żołnierz, po czym machnął ręką i zostawił przybysza samego.

„Na Zimę” – nieznajomy uśmiechnął się lekko. Dawno nie słyszał tego powiedzenia. W stolicy mało kto klął się na Zimę, wzywał Zimę nadaremno albo przed Zimą przysięgał. Tego typu powiedzenia uznawane były za przejaw prowincjonalizmu.

Vadeline było typowym miasteczkiem zagubionym gdzieś w śniegach świata Zimy, gdzie wieści dochodziły z wielotygodniowym opóźnieniem, a życie toczyło się spokojnym, leniwym tempem. Mieszkańcy nie interesowali się polityką, zamieszki czy niepokoje były rzadkością. Ważniejsze było utrzymywanie lodowych wilków z dala od granic miasta, gromadzenie zapasów podczas intensywnego lata i plotki – sól nadająca choć trochę smaku monotonnemu życiu.

Młody mężczyzna przyjaźnie skinął głową pierwszemu napotkanemu tubylcowi, który uzbrojony w szeroką blaszaną szufłę pracowicie odśnieżał podwórko przed wysokim budynkiem. Mieszkaniec miasta odwzajemnił gest, wesoło machając młodemu mężczyźnie.

– Mrozy jak zwykle nas zaskoczyły! – zawołał na powitanie, odstawiając łopatę i wyciągając dłoń do przybysza. – Niby przychodzą rok w rok, a człowiek zapomina o nich, jak tylko śnieg schodzi z ulic na wiosnę. A potem się dziwi, jak z dnia na dzień wszystko leży pod białą pierzyną.

Krępy mężczyzna w średnim wieku z imponującym wąsem miał bardzo przyjemny, niski ton głosu.

– To z powodu orbity, po której krąży planeta – powiedział przybysz. – Niegdyś ten świat obracał się wokół innego Słońca, jednak za którymś razem zbyt blisko się do niego zbliżył i został przez nie przejęty. To dlatego mamy takie długie zimy.

– O, panicz, widzę, uczoney. Doktor może?

Z jakiegoś powodu to pytanie zdawało się niesłychanie rozbawić nieznanego.

– Nie, żaden doktor. Jestem ze stolicy.

– Poza patrolami z hrabstwa rzadko miewamy gości. Ma się pan gdzie zatrzymać?

– Jestem tu w sprawie urzędowej. Myślałem, że mer udzieli mi gościny.

– Stary Enderby? – Starszy mężczyzna prychnął pogardliwie. – Proszę na to nie liczyć. Ten drań prędzej zje własne buty, niż przyjmie kogoś pod swój dach. Sknera, jakich mało. Rozmawiał pan już z nim?

– Właśnie do niego idę.

– Gdy już pana wyrzuci, proszę przyjść do zajazdu mojej żony. Nazywam się Bowen Cirque. Co prawda nasz interes nie został oficjalnie otwarty, ale Sally na pewno coś dla pana przygotuje. Niedługo zaroi się tu od przybyszów.

– Prawda, kopalnia. – Przybysz skinął głową. – Dwa dni drogi stąd natrafiono na bogate złoża złota. Królewscy badacze już zajmują się szacowaniem potencjalnych zysków. Najdalej za trzy miesiące Vadeline zmieni się nie do poznania.

– Zakładam, że przyjechał pan tutaj właśnie w tej sprawie?

– Poniekąd. Dziękuję za rozmowę, panie Cirque.

– Nie ma za co, szanowny panie, nie ma za co.

Nieznanomy z uśmiechem pożegnał się z Bowenem i ruszył dalej główną ulicą miasta. Mijani ludzie pozdrawiali go i odpowiadali na jego przyjazne gesty, uprzejmie tłumaczyli, jak dojść do ratusza. Zrozumiał, że trafił idealnie – małe Vadeline było nieskażone odczłowieczeniem położonej głęboko pod lodem stolicy. Tego mu było trzeba, ostatni pobyt na Północy trwał zdecydowanie zbyt długo, a awanturnicza natura nie pozwalała usiedzieć w jednym miejscu. Wciągnął w nozdrza lodowate, orzeźwiający powiew, zdjął z głowy cylinder, po czym przekroczył próg okazałego budynku ratusza.

Siedzący przy biurku starzec wyglądał niczym drapieżny ptak – haczykowaty nos, na którym widniały binokle, i koścista budowa ciała jedynie potęgowały to wrażenie. Stary człowiek był niepodzielnym panem tego pomieszczenia, królestwa papierów, szaf, biur i dogorywających na porożystawianych tu i ówdzie kagankach świeczek. Gdy przybysz wkroczył do środka, usłyszał tylko gardłowe, karcące: „Drzwi!”, które wydobyło się z gardła starca. Posłusznie zamknął je za sobą, po czym rażnym krokiem podszedł do biurka, przy którym gniazdował starzec.

– Pan Enderby, jak mniemam?

– Na górce – skrzeknął zapytany, końcem pióra wskazując schody. Odrobina atramentu kapnęła na podłogę. – Nie przeszkadzać!

Nieznanomy uśmiechnął się ciepło do starca, który w odpowiedzi tylko prychnął, kaszlnął i poprawił okulary, które zjechały mu na sam czubek nosa. Przybysz ruszył schodami na górę.

Vladimir Enderby nienawidził nieprzewidzianych sytuacji, a przyjazd tego młokosa ze stolicy zwiastował całą ich lawinę. Dwudziestokilkuletni mężczyzna, który właśnie przekroczył próg jego biura, nosił się na modłę północnych dzentelmenów. Cylinder, długi czarny płaszcz, szaro-czarny szalik i nieodłączna laska eleganta, w której niechybnie kryła się pretensjonalna szpada. Wbrew

modzie miał gładko wygoloną twarz, prosty, pozbawiony ozdób płaszcz i niesforne kędzierzawe włosy.

Cóż jednak wygląd, skoro słowa przybysza znamionowały pierwszej wody szaleńca?

– Teatr? – powtórzył mer powoli. – Wybaczy pan, panie...?

– Victor Caillou, do usług – przedstawił się młodzieniec.

– Wybaczy pan, panie Caillou, ale nie rozumiem.

– Sprawa jest jasna niczym pierwszy śnieg – oświadczył Victor Caillou. – Jak zapewne pan wie, już niedługo Vadeline zarozi się od poszukiwaczy złota, potentatów i magnatów handlowych. Wielu z nich zatrzyma się w tym mieście, by doglądać swoich interesów, a nie będą to zwykli prostaczekowie, może mi pan wierzyć. O nie – większość z tych ludzi to poważni mecenas sztuki, koneserzy, ludzie o wysmakowanym guście. Co Vadeline może im zapewnić? Karczmę? Dom schadzek? Proszę mnie nie rozśmieszać. I tu, drogi panie, do akcji wkraczam ja.

Entuzjazm Victora jakoś nie chciał się udzielić merowi. Enderby przeszył młodzieńca podejrziwym spojrzeniem.

– Mam uwierzyć, że przebył pan tak długą drogę jedynie po to, by założyć teatr w Vadeline?

– To oczywiście byłoby niemądre, czyż nie? – Victor uśmiechnął się lekko. – Chylę czoła przed pańską przenikliwością, nie dziwota, że jest pan merem tego wspaniałego miasteczka. Owszem, mam pewne osobiste motywy.

– Jakie, jeśli wolno wiedzieć?

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Victor podsunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciwko Enderby'ego.

– Jestem świeżo upieczonym absolwentem Akademii Pięciu Sztuk, gdzie przez długie lata zgłębiałem arkanę teatrolologii. Nie wchodząc w szczegóły – niemożliwie zaintrygowały mnie kunsztowne sztuki napisane przez niedocenionego geniusza, Samuela Zimmermana. Ta wyobraźnia! Te emocje! Ten polot! Ta werwa! *Kto zabił Amandę P.?*, *Mur*, *Alicja*, *Piaskowy Człowiek* bez reszty ovladnęły moją wyobraźnię. Z zapalem przystąpiłem do badań nad tą niezwyklej osobą, o której milczy większość roczników i monografii. W przepastnych archiwach Akademii z trudem odnalazłem kilka listów autora sugerujących, jakoby urodził się i wychował właśnie w Vadeline, niejednokrotnie zresztą powracając do swojego rodzinnego miasteczka. Dlatego właśnie przyjechałem tutaj – by odnaleźć zaginione sztuki Zimmermana, o których mistrz wzmiankował w swoich epistołach. – Victor sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył z niej zapieczętowaną kopertę. – To listy uwierzytelniające od murgrabiego z Południowej Marchii, który także interesuje się twórczością Zimmermana. Gdy usłyszał o moich planach, bez wahania udzielił mi poparcia.

Enderby rozerwał kopertę i znużonym wzrokiem prześledził treść listu.

– Rozumie pan zapewne, że ze swojej strony nie mogę udzielić panu żadnego wsparcia finansowego?

– Proszę tylko o stary budynek teatru, który ponoć popadł w ruinę jakiś czas temu – powiedział Victor. – Dysponuję funduszami na jego remont i wyposażenie.

– Teraz znajdują się tam magazyny.

– Och, z pewnością wspólnie uda nam się rozwiązać ten problem.

Mer westchnął ciężko. Zrozumiał, że nie odeśle tego dziwaka z kwitkiem. Pełen zapału i entuzjazmu młodzieniec nie przypominał rzeczowych, ponurych urzędników z Północy, z którymi Enderby miewał już do czynienia i z którymi potrafił rozmawiać.



– Mam wiele pracy – oznajmił. – Poproszę Jakuba, mojego sekretarza, o spisanie wszelkich niezbędnych dokumentów. Dostarczę je panu jak najszybciej. Gdzie się pan zatrzymał?

– Liczyłem na pańską gościnność...

– Nie mam wolnych pokoi – wtrącił szybko Enderby.

– ...jednak pan Cirque zaproponował mi, bym zatrzymał się w zajeździe jego żony. Byłby pan tak uprzejmy i wskazał mi drogę?

– Tak, oczywiście – powiedział mer w wyraźną ulgą w głosie. – Po wyjściu z ratusza proszę skrócić w prawo, następnie iść cały czas prosto, aż dojdzie pan do zegarmistrza. Za jego sklepem znajduje się promenada, skąd bez trudu dostrzeże pan duży budynek z zielonym dachem. To właśnie zajazd Sally Cirque. Zapamięta pan?

– Oczywiście. – Victor wstał. – Cieszę się, że tu przyjechałem. Mam nadzieję, że mój pobyt w Vadeline nie sprawi panu żadnych problemów.

– Także mam taką nadzieję. Jeszcze jedno pytanie, jeśli wolno.

Victor, który już miał wychodzić, zamarł z dłonią na klamce i odwrócił się.

– Tak?

Enderby pochylił się nad biurkiem.

– Mówi pan, że przyjechał ze stolicy.

– Zgadza się.

– Skąd zatem ma pan listy uwierzytelniające opatrzone pieczęcią murgrabiego Południowej Marchii?

– Och, tę zagadkę akurat bardzo łatwo wyjaśnić. Murgrabia gościł na dworze Białej Królowej, gdzie zresztą się poznaliśmy. Korzystając z okazji, że podziela moje zainteresowania, poprosiłem go o protekcję i mecenat. Czy takie wyjaśnienie pana satysfakcjonuje?

– Jak najbardziej – oświadczył mer, choć w myślach dodał: „Kłamiesz. Na tak szczerą twarz łągarstwo widać wyraźnie jak mroźne malunki na szkle. I dlatego ci nie ufam, panie Victorze Caillou. Nie ufam ci ani trochę. I będę cię miał na oku”.

– Zatem żegnam. Życzę miłego dnia.

Gdy Victor wyszedł z jego biura, Enderby wyciągnął się na krześle, które zatrzeszczało ostrzegawczo. Przypomniał sobie plotki o ludziach z Południa, tych śniadych, ciemnokkich buntownikach, którzy cieszą się latem przez niemal pół roku. Tych, którzy nigdy do końca nie ugięli się pod rządami Białej Królowej, traktując ją jedynie jak tymczasowego władcę. A przecież to Jej Wysokość wydobyla ludzi z mroków barbarzyństwa, dając im wieczną opiekę. Owszem, słyszało się czasem o niepokornych miastach, które z dnia na dzień znikaly pod śniegiem, by na wiosenne roztopy obrodzić zamrożonymi zwłokami – Królowa nie tolerowała buntowników. Mimo wszystko jej władza gwarantowała pewną stabilność, przynajmniej na Północy.

Ten cały Victor Caillou był jakiś dziwny. Miał niewłaściwy akcent – jakby często podróżował, przez co jego mowa nabrała rozmaitych, nakładających się na siebie, naleciałości. Był obcy, jak ci dziwni Południowcy, z których najczęściej rekrutowali się bandyci i rebelianci.

Enderby westchnął. Kiedyś wszystko było łatwiejsze. Na razie zachowa swoje podejrzania dla siebie, nie zapomni o nich, o nie. Może ten cały Caillou jest tylko zapalonym miłośnikiem sztuki... Może. Ale rozsądniej będzie zlecić Jakubowi sporządzenie listu do murgrabiego Południowej Marchii z zapytaniem, czy aby na pewno ów młodzieniec jest tym, za kogo się podaje. Pieczęć, jaka widniała na listach, wydawała się autentyczna, podpis zresztą też, ale mimo to...

Mer ponownie westchnął. To przez tę zimę, pomyślał. Człowiek głupiej od mrozu i braku

słońca. I od wódki. Żona od dawna mówiła mu, że nie powinien tyle pić.

\*\*\*

Sally Cirque okazała się szczupłą, wysoką kobietą o wystających kościach policzkowych i jasnych włosach upiętych w wysoki kok, której cała postać zdawała się emanować despotyzmem. Było to jednak tylko złudzenie – pani Cirque, jak kazała się nazywać, mogła wydawać się twarda, zdecydowana, lecz kiedy dowiedziała się o celu wizyty Victora, na jej ustach zatańczył dziewczęcy niemal uśmiech.

– Teatr! Cóż za znakomity pomysł! – oświadczyła. – Wie pan, jak byłam młodsza, uwielbiałam chodzić na spektakle. Wielka szkoda, że teatr zamknięto, nim jeszcze wyszłam za mąż.

– Dlaczego tak się stało?

– Oczywiście chodziło o pieniądze. Pracowała tam jedynie garstka zapaleńców, którzy imali się dorywczym zajęć, byle tylko utrzymać siebie i budynek. Kiedy dyrektor teatru wyjechał do stolicy, grupa się rozpadła, a miasto przejęło nieruchomości. Jakby to powiedział mój mąż, ten interes nigdy nie generował zysków. Musi pan być na to przygotowany, skoro zamierza pan odbudować teatr.

– Proszę się nie obawiać. – Victor uśmiechnął się. – Prawdziwa sztuka zawsze się obroni. Liczę na przyjezdnych, pani chyba zresztą też?

– Owszem. – Pani Cirque skinęła głową. – Na razie pokoje świecą pustkami, a wszystko jest jeszcze powijkach. Dobrze, że Bowen w porę powiedział mi o pańskim przyjeździe, zdążyłam przygotować jeden pokój. Obawiam się, że nie będzie pan tu miał luksusów, do których nawykł w stolicy.

– Kilka ostatnich dni spędziłem wciśnięty pomiędzy pakunki z żywnością, które patrol wioził do garnizonu. W porównaniu z tym nawet najskromniejsze lokum będzie dla mnie niczym królewski apartament.

Pokój okazał się przytulnym pomieszczeniem wyposażonym w łóżko, stół, dwa krzesła, szafę i kufer. Okno było dobrze uszczelnione, mróz nie miał więc dostępu do środka.

– Do kolacji zostało jeszcze kilka godzin – powiedziała pani Cirque, podczas gdy jej syn, pucułowaty blondyn imieniem Ray, zajmował się przenoszeniem bagaży gościa. – Jeśli jest pan głodny, mogę coś ugotować...

– Poczekam – uspokoił ją Victor. – Chciałbym jak najprędzej obejrzeć teatr, w którym debiutował mistrz Zimmerman.

– Samuel Zimmerman? – zapytała pani Cirque. – Znał pan Samuela Zimmermana?

– Niestety nie osobiście. Przyjechałem tu, by odnaleźć jego zaginione sztuki.

– Pamiętam go. – Przymknęła oczy. – Zawsze wcielał się w postaci naiwnych młodzieńców, jak Tristan z *Kto zabił Amandę P.?* czy Derek z *Błękitnych oczu*. Gdy pojawiał się na scenie, każda dziewczyna oddałaby duszę, by być Amandą albo Mauren...

– Czy Zimmerman ma tu jakąś rodzinę? – zapytał Victor. – To by bardzo ułatwiło moje zadanie.

– Nie sądzę. Miał ojca i siostrę. Matka zmarła wiele lat temu, pamiętam ją, dziwna kobieta z niej była... ale jakiś czas po tym, jak wyjechał... Cóż, zabrała ich Zima.

– Rozumiem. – Przybysz kiwnął głową. Ludzie czasem znikali. Czasem ginęli ci, którzy zbyt głośno gardłowali przeciwko władzy, czasem niewinne dzieci rodziców, których wierność wobec Królowej nie była całkowita. Zdarzało się, że ludzie ginęli tylko dlatego, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze. Zabierała ich Zima. Ale o tym się nie mówiło.

– To się zwykle tutaj nie dzieje – dodała szybko pani Cirque. – Jesteśmy za daleko od stolicy, poza lodowymi wilkami nie ma w okolicach Vadeline żadnych dzieci Białej Królowej.

– Wiem – powiedział Victor. – Między innymi dlatego tu jestem. Stolica to zimna, nieczuła aglomeracja. Ale tutaj na peryferiach wciąż tętni życie! To coś wspaniałego.

– Przesadza pan...

– Bynajmniej. Teraz dostrzegam, że geniusz Zimmermana mógł się rozwinąć tylko tutaj, z dala od skostniałej rzeczywistości północy. Dołożę wszelkich starań, by przywrócić teatrowi Samuela Zimmermana dawny blask.

– Cóż za entuzjazm. – Pani Cirque uśmiechnęła się szeroko. – Nie pozostaje mi nic innego, jak przyklasnąć temu pomysłowi i wspomóc pana w miarę możliwości. Ray zaprowadzi pana do budynku teatru, prawda, Ray?

Chłopiec, który skończył już przenosić pakunki, z zapalem pokiwał głową. Mógł mieć nie więcej niż czternaście lat, okrągłą twarz odziedziczył po ojcu.

– Oczywiście.

– Chodźmy zatem. – Victor zatarł dłonie.

Kiedy kilka minut później podążali odśnieżoną alejką, Ray raz po raz zerkał z ciekawością na przybysza. Victor uśmiechnął się pod nosem.

– Ciekawi cię moja osoba, ale wstydzisz się spytać? Nie obawiaj się, młody człowieku, nie gryzę. Przynajmniej nie tych, którzy mi nie zagrażają.

Zawstydzony chłopiec opuścił głowę.

– To znaczy... – wyjąkał – ...pan pochodzi ze stolicy, prawda?

– Stamtąd przyjechałem, owszem.

– Jak tam jest?

Victor zamyslił się.

– Wyobraź sobie olbrzymią płataninę wydrążonych w lodzie i skale tuneli, z wielkimi komnatami zamiast promenad i jamami w miejsce domów. W samym środku stolicy znajduje się kuty w lodzie zamek Białej Królowej, skąd rządzi ona całym światem. Taka jest właśnie stolica Zimy.

– Musi tam być wspaniale – wyszeptał oczarowany Ray.

Caillou pokręcił głową.

– Nie oceniaj pochopnie. Owszem, obywatele miasta opływają w dostatki, ale rzadko kiedy wychodzą na powierzchnię. Są tam dzieci starsze od ciebie, które nigdy nie widziały słońca. Moc Królowej trzyma to miejsce w całości, mimo setek pochodni i pieców. Lodu, który posłużył do budowy stolicy, nie skruszy nawet największy ogień. Pomyśl zatem, czy chciałbyś mieszkać w takim miejscu?

– Chciałbym je zobaczyć – oznajmił chłopiec po krótkiej chwili namysłu. – I nie tylko. Chciałbym zobaczyć morze na Południu, wielkie kudłate potwory, które mieszkają na wschodzie, i w ogóle cały świat.

Victor pokiwał głową z aprobatą.

– Piękne marzenia – oznajmił. – Może pewnego dnia uda ci się je zrealizować.

– Nie wiem, pewnie nie. – Ray stropił się. – Ojciec przysposabia mnie do tego, bym kiedyś zajął jego miejsce jako zwierzchnik łowców lodowych wilków. Bez przerwy o tym rozprawia.

– Twój ojciec zajmuje się polowaniem na wilki? – zainteresował się Victor.

– Kiedyś to robił. Dziś siedzi tylko w papierach i jeździ na spotkania z kupcami. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wypuścił się na polowanie. Teraz ma od tego ludzi.

– Rozumiem – powiedział przybysz. – Oto i teatr.

Stał przed dużym, zdewastowanym, lecz wciąż dobrze trzymającym się budynkiem. Nad wejściem widniały pozostałości szyldu, drzwi broniła przerdzewiała kłódka.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytał Ray, szarpiąc za klamkę.

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz – oznajmił teatrolog z rozbajającym uśmiechem.

Chłopiec odwrócił się.

– To znaczy, że nie ma pan klucza?

Victor podszedł do drzwi.

– Burmistrz wspominał, że w budynku mieszczą się teraz magazyny. Wiesz może, kto za nie odpowiada?

Chłopiec przecząco pokręcił głową.

– No cóż – westchnął mężczyzna. – A zatem zrobimy to łatwiejszym sposobem. – I z rozmachem wbił uzbrojoną w szpic końcówkę swej laski pomiędzy ogniwa łańcucha. – Ha! – krzyknął z satysfakcją, gdy kłódka uderzyła o ziemię. – Ot i problem z głową. – Obejrzał się na zaszokowanego chłopca. – Paniczu Cirque, panicz przodem – rzekł z kurtuazją, uchylając drzwi.

– Włamał się pan do magazynu – wyjąkał chłopiec.

Victor westchnął.

– Nim pobiegiesz po konstabla, muszę cię uprzedzić, że mam pozwolenie mera na korzystanie z tego budynku i od teraz ja trzymam nad nim pieczę. Jeśli nie chcesz wchodzić, możesz zaczekać na zewnątrz. To jak?

Po chwili wahania Ray wszedł do budynku. Wszystkie jego wyobrażenia o wyniosłym elegancie z bogatej Północy legły w gruzach. Panicz Caillou okazał się postacią barwną niczym wędrowny magik i nieprzewidywalną jak wiosenna pogoda.

Victor ze smutkiem omiół skryte w półmroku wnętrze teatru. Drewniane skrzynie, owinięte szarym papierem pakunki, obwiązane sznurami paczki niepodzielnie rządziły sceną i większą częścią widowni. Kalekie, powyrywane ze swoich miejsc krzesła leżały spiętrzone pod jedną ze ścian. Tłusty kurz oblepiał dosłownie wszystko, dach trzeszczał w rytm uderzeń wiatru. Caillou przecisnął się pomiędzy dwiema największymi skrzyniami i ruszył w stronę podwyższenia. Wspiął się na scenę i stanął na środku.

– *Ile dni przeżyć musi wiatr, by odnaleźć miejsce swych narodzin?* – wydeklamował. – *Ile przeżyć musi każdy z nas, by dotrzeć do ostatniej z godzin?*

Ray zaklaskał nieśmiało. Dźwięk uderzających o siebie dłoni zabrzmiał w tym opuszczonym pomieszczeniu jak pierwsze krople letniego deszczu.

– Czekaj mnie dużo pracy – oznajmił Victor. – Bardzo dużo pracy.

Zniknął za kulisami. Ray podążył za nim.

Mężczyzna odnalazł starą świecę ustawioną na mosiężnym kaganku. Błysnęła iskra z krzesiwa i wąty jęczyczek ognia zajaśniał w ciemności. Pomieszczenia za sceną były ogołoczone ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, po podłodze walały się splóviałe strzępy tkanin, elementy dekoracji, kilka wyblakłych cekinów znaczyło podłogę. Przybysz schylił się i podniósł z podłogi poszarzałą kartonową maskę.

– Twarz Jacka. – Uśmiechnął się. Przyłożył ją do swego oblicza i zniemacka odwrócił się w stronę towarzyszącego mu chłopca. – *Gotuj się na śmierć, Amando! To już koniec twojej przygody z życiem!* – zawołał z komiczną emfazą w głosie, wywijając laską niczym szpadą.

Ray roześmiał się.

– Powinniśmy już wracać – powiedział. – Ściemnia się, a mama bardzo nie lubi, gdy kolacja

stygnie.

– Jeszcze moment... – Victor odłożył maskę na jeden z wszechobecnych pakunków i podążył w głąb pomieszczenia. – Aha! – zawołał z satysfakcją. – Są i schody na piętro. Nim odejdziemy, muszę znaleźć biuro dyrektora. Za mną! – Tupiąc i skrzypiąc rozchwianymi stopniami, wbiegł na piętro. Rozejrzał się po ciasnym korytarzu. Zaczął na chybił trafił otwierać kolejne drzwi. Za każdym razem witało go zagracone pomieszczenie. W końcu jednak odnalazł to, czego szukał. Dopadł do obdrapanego sekretarzyka i zaczął gorączkowo przeszukiwać szuflady i szafki. W końcu z jednej z nich wydobyl narecze schludnych, choć nadgryzionych zębem czasu i wilgocią teczek. – A oto i skarb! – oświadczył Rayowi, który właśnie stanął w drzwiach. – Czy też raczej, by nie skłamać, mapa do skarbu. Jeśli moja wybitna intuicja mnie nie myli, a robi to niezmiernie rzadko, to wśród tych papierów odnajdziemy coś wartościowego. Chodźmy zatem. – Troskliwie umieścił teczki pod pachą. – Kiszki grają mi marsza, a nie wątpię, że twoja mama potrafi wyśmienicie gotować. Idziemy?

Chłopiec z uśmiechem skinął głową.

– Nie myślałem, że jest pan... taki – oświadczył, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Jaki? – zainteresował się Victor.

– To znaczy, tata raz czy dwa spotykał się z ludźmi z Północy. Nie są do pana podobni.

– Ach, urzędnicy i ludzie interesu. – Przybysz nie skrywał pogardliwego tonu. – Nie znają niczego prócz długich kolumn cyfr. Ale to prawda, mieszkańcy stolicy są zwykle zimni, jak lód, który otacza ich od urodzenia.

Śmiejąc się i dowcipkując, opuścili budynek. Victor prowizorycznie obwiązał pozostałościami łańcucha skrzydła drzwi wejściowych.

– Miejmy nadzieję, że do jutra to wystarczy – oznajmił. Zamyślił się. – Będę musiał znaleźć cieślę, który doprowadzi teatr do stanu używalności, krawcową do uszycia kostiumów, no i kogoś, kto pozbędzie się wszystkich tych śmieci z magazynu... – Pozornie zwracał się do Raya, widać jednak było, że jedynie rozmyśla na głos, jak niekiedy czynią to roztargnieni ludzie. – Zajrzałem do paru skrzyń, to zwykły śmietnik pełen rzeczy, których nie wypada wyrzucać, choć nie są potrzebne już do niczego... Przejrzę je, możliwe, że coś stamtąd przyda się nam... Tak, na początek to wystarczy. Ray?

– Tak, proszę pana?

Victor skrzywił się.

– Jeśli poproszę cię, byś mówił mi po imieniu, zawstydzisz się i powiesz, że tak się nie godzi, zgadza się? – zapytał, a kiedy chłopiec skinął głową, podjął: – Niech szlag trafi te przekłete konwenanse! No nic, muszę zatem wymyślić sobie alias, którym będziesz mógł się do mnie zwracać, bo ciągłego „proszę pana” nie zdzierzę za żadne skarby tego świata. Może Koziorożec, ów bohater popularnych na Północy opowieści awanturnicznych? Co ty na to? Nie, nie... – przerwał sam sobie. – To głupie i infantylne. Niegdyś, będąc na rauszu, przedstawiłem się tak pewnym dwóm uroczym damom, wstyd mnie do dziś nie opuścił... To musi być coś praktycznego i naturalnego, coś, co nie przywołuje na twarz pełnego zażenowania uśmiešku. Pomyślmy... Gdybym miał jakiś godnie brzmiący tytuł naukowy lub wojskowy, nie byłoby problemu, ale zaraz, wszak objąłem ważną funkcję! Jestem dyrektorem teatru, toteż prosiłbym cię, mój młody przyjacielu, byś od chwili obecnej tytułował mnie dyrektorem. Ha! – zakrzyknął z prawdziwą satysfakcją. Zatrzymał się i uklonił Rayowi. – Dyrektor Victor Caillou, do usług.

Chłopiec roześmiał się. Płomień sympatii, którą odczuwał do Victora już od pierwszego spotkania, rozgorzał na dobre wraz z uściśnięciem dłoni. Przybysz był dziwakiem, zabawnym

gadulą bez reszty zakochanym w teatrze. Jednak błysk w oku i wykazywana podczas rozmowy bystrość umysłu nie pozwalały uważać go za egzaltowanego marzyciela. Był człowiekiem chodzącym z głową w chmurach, przy tym jednak twardo stąpającym po ziemi.

Kiedy zmarznięci i rozbawieni wrócili do zajazdu, już czekała na nich parująca pieczeń i waza gorącego rosółu.

– Wyborne! – oświadczył Victor, kosztując dania. – Doprawdy, mistrzowie kuchni rodem ze stolicy ustępują pani kunsztem, pani Cirque.

– Przesadza pan. – Kobieta zarumieniła się lekko, ale na jej twarzy pojawił się wyraz dumy. – Proszę lepiej powiedzieć, jak wypadły pierwsze oględziny. Przyznam szczerze, że wątpię, by budynkowi teatru udało się przywrócić dawną świetność.

– Nie ukrywam – Victor przełknął kolejny kęs – jest gorzej, niż sądziłem. Bez generalnego remontu się nie obejdzie. Pozostaje też sprawa tego wysypiska śmieci wewnątrz. Czekam na mnie naprawdę dużo pracy – westchnął, ale lekko i z uśmiechem.

Słyszając to, zajęty dotąd posiłkiem Bowen Cirque odchrząknął, otarł usta serwetką i oświadczył:

– Paniczu, jestem wielce ciekaw, jak ma pan zamiar to wprowadzić w ruch i rozkręcić. W tym mieście był już teatr i skończyło się to bankructwem. Nie chcę pana zniechęcać, ale szczerze wątpię, by to się udało. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać, jeśli chce panicz znać moje zdanie.

Victor, nim odpowiedział, zmierzył rozmówcę uważnym, lecz zarazem przyjaznym spojrzeniem.

– Ma mnie pan za bogatego paniczyka z Północy, który pod protekcją murgrabiego spełnia swoje bezsensowne zachcianki, zgadza się? Nie, proszę nie zaprzeczać – dodał, widząc, że Bowen otwiera już usta. – To całkowicie zrozumiałe i zdaję sobie sprawę, że nic, co powiem, nie zmieni tego podejścia. Jeszcze się pan przekona, gdy zamiast słów przemówią czyny. – Zamilkł, by przekonać się, czy nie przeszarżował.

Na szczęście okazało się, że dobrze ocenił Bowena, który tylko na pierwszy rzut oka mógł się wydawać prostakiem z pogranicza. Pan Cirque z aprobatą pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Zuchwałe, ale szczerze słowa. Może ma panicz rację, wstrzymam się z oceną, dopóki nie obejrzę rezultatów.

– Dziękuję. – Victor skinął głową. – A teraz pozwolą państwo, że ich opuszczę. Przed snem czeka mnie jeszcze trochę pracy.

– Chyba się nie obraził? – zapytał Bowen, gdy gość opuścił jadalnię.

– On taki nie jest – uznał Ray, nakładając sobie kolejną porcję. – Myślę, że naprawdę będzie pracował. Gdy byliśmy w teatrze, zabrał stamtąd jakieś papiery.

– Wydaje się raczej miły – powiedziała pani Cirque, zbierając talerze i sztućce. – Trochę dziwak, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Myślę, że jeśli powie mu się z teatrem, może dać naszemu miastu coś naprawdę niezwykłego.

Sally Cirque nie spodziewała się nawet, jak prawdziwe mogą być te słowa.

## Rozdział II

### Sny i sprawy

**Rozmowa w ogniu – Mienie miasta – Złota rączka – Nicpoń, oren i zegarek – Wspomnienia starego bibliotekarza – Aktorka i młokos – Ostateczne doświadczenie – Szaleństwo Zimmermana**

*Płomienie. Ogarniają całe pomieszczenie, trawią podłogę, ściany i sklepienie, wspinają się na futryny drzwi, pełzną ku korytarzom, rozlewając się wokół. Wszystko murszejące, trawione, rozrywane gorącymi zębami ognia. Victor rozgląda się wokół, w trawodze szukając wyjścia z pułapki płomieni.*

– Victorze. – Słyszysz znajomy głos. – Czyżbyś znowu bawił się w kamyk umieszczony pomiędzy trybami maszyny świata?

*Odwraca się i w oddali, pośród ognia, iskier i trzeszczącego drewna, dostrzega sylwetkę starszego mężczyzny z burzą siwych włosów. Choć nigdy wcześniej go nie widział, rozpoznaje twarz Samuela Zimmermana.*

– Staram się, jak tylko mogę – odpowiada młodzieniec.

– W końcu się sparzysz. Sparzysz się bryłą lodu.

– Gra jest warta świeczki.

– Dla ludzi, których jakoby chcesz ratować, owszem. Ale czy dla ciebie? – Łagodny głos zdaje się podszyty nutą cynizmu. – Jesteś w stanie zaryzykować?

– To nie byłby pierwszy raz. Nie da się przejść przez życie bez blizn.

– Kto tak powiedział?

– Ty. W jednej ze swoich sztuk.

– Mówiłem też, że gorąca głowa może stopić krę, na której dryfuje jej właściciel. Czy tego właśnie chcesz? Głupio! Żle! Spójrz na siebie. Zobacz, w jaki sposób to się kończy.

*Victor spogląda w dół. Płomienie pełgają po jego ciele. Czuje ból – straszne, niedające się opisać cierpienie. Z wrzaskiem tarza się po podłodze, starając się ugasić ogień.*

– To jest tego warte! – krzyczy. – Blizny się goją, kości zrastają! To jest tego warte, słyszysz mnie?! To jest warte!

– Paniczu Victorze! Paniczu Victorze!

Victor z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że leży na podłodze obok łóżka w swoim pokoju. To znaczy, poprawił się błyskawicznie, w pokoju, który wynajął. Pochylała się nad nim młoda kobieta, właściwie jeszcze dziewczyna, na której twarzy malował się wyraz głębokiej troski.

– Proszę powiedzieć, że nic paniczowi nie jest! – poprosiła. – Pani Cirque wyrzuci mnie z pracy, nim jeszcze ją zacznę!

– Tak? Słucham? – Victor rozejrzał się półprzytomnie. Resztki snu krążyły jeszcze pod powiekami; odruchowo spojrział na swoje dłonie, spodziewając się ujrzeć dwa pocerniałe, pokryte ropiejącymi ranami płaty spalonego mięsa. Widząc, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, odetchnął z ulgą i skupił uwagę na dziewczynie. – Możesz to powiedzieć jeszcze raz? – zapytał, z wolna podnosząc się z podłogi. – Ale tym razem włóż w to nieco mniej ekspresji. I pamiętaj o właściwym akcentowaniu wyrazów.

Zaskoczona dziewczyna odstępowała od niego.

– Nie pojmuję. Uderzył się panicz w głowę? – zapytała.

Twarz przybysza rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Doskonale – uznał. – Ten dzień nie mógł się zacząć lepiej. Jeszcze nie zdążyłem oczu otworzyć, a już znalazłem pierwszą aktorkę do mojego teatru. Jak ci na imię, młoda damo?

– Ja... jestem Julia.

– Julia! – krzyknął Victor. – Toż to wspaniałe sceniczne imię! Będzie z ciebie gwiazda, panno Julio, albo nie nazywam się Victor Caillou.

Julia spąsowiała, ale odwzajemniła uśmiech gościa.

– Panicz się wygłupia – uznała. – Proszę nie żartować, naprawdę się przestraszyłam, gdy usłyszałam hałas. Przybiegłam od razu i zobaczyłam, jak zwija się pan z bólu na podłodze.

– To był tylko zły sen. – Victor machnął ręką, dając do zrozumienia, że sprawa nie jest warta nawet wspomnienia. – Tak się czasem zdarza przy zmianie miejsca zamieszkania. Przepraszam, że cię przestraszyłem, Julio. Naprawdę, bardzo mi przykro.

– Nic się nie stało.

– W istocie. – Victor usiadł na łóżku. – Pozwolisz, bym się ubrał? Obawiam się, że moje obecne odzienie jest nieco niekompletne.

Dziewczyna ponownie się zaczerwieniła.

– Przepraszam, nie powinnam... Nie powinnam była...

– Dość już przeprosin – przerwał jej. – Zwłaszcza że nie widzę tu twojej winy. Bardzo miło było mi cię poznać, Julio. I pamiętaj o mojej obietnicy. Jak tylko się tu urządzę, raz-dwa złożę ci propozycję występu.

Julia zatrzymała się w drzwiach.

– Proszę nie kpić. Aktorka ze mnie żadna.

– Jeszcze o tym porozmawiamy.

Kiedy Victor został w końcu sam, odetchnął i wyciągnął się na łóżku. Po raz pierwszy od bardzo dawna przyśnił mu się koszmar, nie pamiętał też, czy którykolwiek z wcześniejszych był tak wyrazisty. Mimowolnie zastanowił się, czy Vadeline nie okaże się dla niego zbyt wielkim kęsem do przełknięcia. Doświadczenie nauczyło go, że ignorowanie złych przeczuc może skończyć się tragicznie. Natomiast nie miał zamiaru poddawać się pod wpływem sennego majaka.

Umył się, ubrał i ogolił. Nim zszedł na dół, zabrał ze swojego pokoju laskę. Przez ostatnie tygodnie niemal się z nią nie rozstawał. Rana, której nabawił się w czasie przykrego epizodu przed laty, zagoiła się wprawdzie bez problemu i Victor niemal odzyskał swą dawną mobilność, ale od czasu do czasu chwytaly go ból i niemoc. W takich momentach musiał ratować się laską.

W jadalni czekało już na niego śniadanie. Pani Cirque krzątała się przy kuchni, w drugim pomieszczeniu.

– Podano śniadanie – powiedziała na widok gościa. – Nic specjalnego, mam nadzieję, że lubi pan owsiankę z owocami.

– Możemy pozwolić sobie na takie luksusy? – zdziwił się Victor. – W stolicy owoce kosztują majątek.

– Jesteśmy bliżej Południa, ceny są więc odpowiednio niższe. Proszę się nie obawiać.

– Nie obawiam się. Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony.

– Julia powiedziała mi, że źle pan spał tej nocy – rzekła pani Cirque, gdy Victor usiadł już przy stole. – Mam nadzieję, że nie próbowała się z panem zbyt spoufalać.

– Skądże znowu. To przeurocza młoda dama. I nie mam nic zdrożnego na myśli – dodał



szybko, widząc wielce wymowne spojrzenie gospodyni. Tego by jeszcze brakowało, gdyby wzięła go za beztroskiego bawidamka. Postanowił szybko zmienić temat. – Ray wspominał, że jego ojciec zarządza tutejszą gildią myśliwską.

– Nie gildią – pani Cirque pokręciła głową – to ledwie kilkunastoosobowa grupa ludzi. Ale owszem, to mój mąż ją stworzył i jest jej przewodniczącym. Wcześniej większość myśliwych działała na własną rękę, dziś bez mała wszyscy łowcy wilczych skór pracują dla niego. W końcu się przekonali, że pracując razem, zarobią więcej niż w pojedynkę. Bowen zajmuje się handlem, choć jeszcze kilka lat temu nie potrafił sobie wyobrazić, by jakiegokolwiek polowanie odbyło się bez jego udziału.

– Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, zajmował się odśnieżaniem podjazdu jakiegoś budynku...

Dopiero po chwili Victor zorientował się, że popełnił gafę, a jego słowa mogą być odebrane jako złośliwość. Spojrzał na panią Cirque przepaszającym wzrokiem i już sposobił się do prośby o wybaczenie nietaktu, ale gospodyni uśmiechnęła się tylko. Było w tym uśmiechu wiele zrozumienia i przynajmniej tyle samo małżeńskiej dezaprobaty.

– On już taki jest. Od czasu do czasu musi zażyć fizycznej pracy, inaczej nie może spokojnie spać. Nieco się obawia, że pewnego dnia zmieni się w wyniosłego urzędnika, który traktuje ludzi, jakby byli tylko pozycjami w jego księdze buchalteryjnej. A właśnie – sięgnęła do kieszeni sukni – dobrze, że mi pan przypomniał. Godzinę temu był tu jeden z ludzi mera, przyniósł dla pana list. – Pani Cirque zniknęła w kuchni, po czym wróciła, niosąc dużą szarą kopertę. Podała ją Victorowi.

– To zapewne akt upoważniający mnie od rozporządzania budynkiem teatru – stwierdził, rozrywając kopertę. Oględziny zawartości potwierdziły jego przypuszczenia. – No i proszę – wyciągnął z koperty mały świstek – wezwanie do uiszczenia piętnastu orenów tytułem rekompensaty za zniszczenie mienia publicznego. W istocie, wasz mer to kutwa, jakich mało.

– Ray opowiadał mi o kłódce. Widzę, że jest pan człowiekiem, którego trudno zatrzymać.

Czyżby w jej tonie zagrała nuta dezaprobaty? Na wszelki wypadek Victor pospieszył z wyjaśnieniami:

– Owszem, jeśli tylko nikogo to nie krzywdzi – powiedział łagodnie.

– Według pańskiej oceny.

Uśmiechnął się.

– Tylko jej mogę w pełni zaufać. Pozostaje mieć nadzieję, że jestem dobrym człowiekiem, ale ocenę pozostawiam innym.

Zdobył tym uśmiech gospodyni.

– Życzy pan sobie jeszcze czegoś? – zapytała.

– O tak, chciałbym się dowiedzieć, gdzie znajdę jakiegoś przyzwoitego cieślę. Teatr wymaga generalnego remontu. I to jak najszybciej, póki jeszcze nie nadeszły największe mrozy.

– Musi pan porozmawiać z Hubertem Mancinim. Jego warsztat znajduje się na drugim końcu miasta.

– Jest dobry?

– Nikogo lepszego pan tu nie znajdzie. To właśnie on i jego pracownicy zbudowali mój zajazd. Dużo sobie liczy za swoje usługi, ale jeśli nie chce pan, by podczas któregoś występu teatr zawałił mu się na głowę, to Mancini stanowi najlepszy wybór.

– A zatem postanowione – przybysz podniósł się z krzesła – nie ma ani chwili do stracenia. Wyruszam natychmiast.

– Proszę poczekać. – Kobieta sięgnęła do kieszeni fartucha i wydobyła z niej pęk kluczy. Zdjęła trzy i podała je Victorowi. – Duży do bramy, średni do drzwi wejściowych, mały do pańskiego pokoju – wyjaśniła. – Dzięki temu nie będzie musiał pan wyczekiwać pod zajazdem, kiedy akurat nikogo nie będzie w środku.

Victor podziękował, ukłonił się, po czym wrócił do siebie. Z jednej z waliz wydobyl zwitek kwitów depozytowych i dobrze wypchany mieszek, który wcisnął do kieszeni spodni. Kiedy rozglądał się za cylindrem, jego spojrzenie padło na rozrzucone w nieładzie papiery zaścielające całą powierzchnię biurka. Połowę wczorajszej nocy spędził nad zabranymi z teatru dokumentami. Znalazł tam kilka listów, recenzji, jedną pasjonującą korespondencję z pewnym krytykiem z sąsiedniego miasta, wykazy przychodów i rozchodów, szkice kostiumów, plakaty, wycinki z lokalnej gazety, słowem – wszystko, z wyjątkiem tego, co budziło jego największe zainteresowanie.

Westchnął. Kilkoma szybkimi ruchami zebrał papiery i położył na rogu biurka. Zdjął z krzesła szalik, schylił się, by podnieść z dywanu cylinder, po czym zszedł na dół.

\*\*\*

Vladimir Enderby rządził miastem od dobrych dziesięciu lat. Nie dlatego, że był najlepszym kandydatem na to stanowisko – po dwóch pierwszych kadencjach widać było, że stosuje strategię jak najmniejszej ingerencji w sprawy mieszkańców Vadeline, ograniczając się do podejmowania najbardziej fundamentalnych decyzji. W rezultacie pomiędzy nim a miejscową ludnością wytworzyła się pewna niepisana umowa. W trakcie każdego wyborów wygrywał w cuglach z jednego tylko powodu – obywatele wybierali mera, który może nie dąży do tego, by ich miasto było perłą Północnej Marchii, ale za to nie miesza się w nie swoje sprawy. Enderby w pełni zaspokajał ich oczekiwania. Przynajmniej do niedawna.

Pół roku temu jeden z myśliwych, skuszony opowieściami swojego pradziadka, awanturnika i poszukiwacza przygód, zapuścił się na bezdroża zachodnich terenów. Szukał rodzinnych skarbów, przed laty zakopanych w zmarzniętej glebie. Szybko się zorientował, że trafił na coś o wiele większego, w krótkim czasie stając się najbogatszym mieszkańcem Vadeline. Myśliwy nie był człowiekiem, który potrafił utrzymać tajemnicę, nic więc dziwnego, że w zaskakująco krótkim czasie ludzie Królowej dowiedzieli się o fartownym mieszkańcu prowincji i już miesiąc później wojskowy garnizon objął straż nad nowo odkrytym złożem. Mężczyzna zaś zniknął, przepadł jak kamień w wodę i nikt go już więcej nie widział. Powiadano, że rościł sobie prawa do części udziałów kopalni, choć równie dobrze mógł wyjechać na drugi koniec państwa i rozpocząć nowe życie. Ta druga opcja zdawała się bardziej prawdopodobna, nikt bowiem, kto ma choć trochę oleju w głowie, nie wdaje się w utarczki z ludźmi działającymi z ramienia dworu królewskiego.

Dla Vadeline nastała nowa epoka – już niedługo miasto zmieni się nie do poznania. Złoto, niczym magnes, zwabi potężnych i bogatych, ponieważ ci nie znają umiaru w poszerzaniu swojego majątku. Najwięksi potentaci – lub ich pełnomocnicy – zaczęli bawić w mieście, by mieć oko na rozwijający się interes, miejscowi zaś nie mieli zamiaru przepuścić takiej okazji. Choćby Sally Cirque, która sprzedała swój dom rodzinny, by wybudować zajazd. Niemal z dnia na dzień senne miasteczko zorientowało się, że stolica jest bliżej, niż się wcześniej wydawało. Coś się zaczęło dziać – Vadeline jakby przebudziło się z letargu.

Dla Enderby'ego była to mało pomyślna sytuacja. Delikatnie mówiąc. Już teraz mer zmuszony był do przebrnięcia przez górę dokumentów przysłanych przez dworskich sekretarzy. Jakby tego było mało, musiał też mieć na oku tego całego Caillou. Może to zwykła paranoja, jednak

Vladimir odnosił nieodparte wrażenie, że młody paniczek z Północy nie do końca jest tym, za kogo się podaje.

Chodziło o to, że Victor Caillou był zbyt nierzeczywistą, przepełnioną tyłoma sprzecznościami postacią, że niepodobna mu zaufać. Bywalec królewskiego dworu, ulubieniec murgrabów, wykształcony młodzieniec z ambicjami... Tacy jak on nie opuszczają stolicy w pogoni za jakąś teatralną chimera. Raczej szukają mecenasów i dążą do wżenienia się w wyższe warstwy. Przybysz miał jasną, niemal białą skórę, lecz wysławiał się, jakby pochodził z gorącego Południa. Sposób bycia kontrastował z manierami charakterystycznymi dla mieszkańców stolicy, w której Enderby niegdyś pomieszkiwał i którą zdążył całkiem nieźle poznać.

Dlatego też nakazał Jakubowi skontaktowanie się z sekretarzem murgrabiego Południowej Marchii, aby upewnić się co do czystych intencji młodego teatrologa. Dopóki nie nadejdzie odpowiedź, mer postanowił otoczyć gościa dyskretną opieką. Dzięki temu nikt nie zarzuci mu zaniedbania. Oczywiście jego podejrzenia mogą okazać się niewarte funta kłaków, Enderby wolał jednak nie ryzykować – zwłaszcza w obecnej sytuacji, gdy tyle wysoko postawionych osób interesuje się Vadeline.

Mer spojrzął znad biurka na zaniedbanego, zarosniętego mężczyznę w średnim wieku. Stary Bauer zarobił dziś piętnaście orenów, co dawało nadzieję, że jeszcze tego wieczora uda mu się spać do nieprzytomności.

– To znaczy, że opuścił zajazd...

– Rano – padła odpowiedź. – Wcześniej rano. Od razu poszedł do teatru, gdzie siedział do samego południa. Wyszedł w parszywym humorze. Potem jakiś czas łąził po mieście, wypytując ludzi o drogę do warsztatu Manciniego. W końcu tam doszedł i siedział w środku bitą godzinę. Nie chciałem podchodzić za blisko, co by mnie psami nie poszczuli.

\*\*\*

Warsztat pana Manciniego pachniał żywicą i rozbrzmiewał odgłosami pracy – siekiery i piły cięły drewno, młotki przybijały gwoździe, heble usuwały niepotrzebne elementy. Panowała nieprzerwana krzątanina, okrzyki robotników mieszały się ze zgrzytem zębów pił i głuchym łoskotem opadających na ziemię ciętych drewnianych kłoców.

Sam główny majster okazał się szczupłym, wysokim mężczyzną z imponującym wąsem. Na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniał pośród reszty pracowników, dopiero bliższa obserwacja panującego w warsztacie rozgardiaszu pozwalała określić, kto jest tu panem na włościach i od kogo zależą wszelkie decyzje.

– Nie mógł pan trafić lepiej – oświadczył Hubert Mancini, gdy Victor wyłożył mu sprawę, z jaką przyszedł. – Mój ojciec zbudował ten budynek. Jeśli mi się poszczęści, może nawet znaleźć gdzieś pierwotne plany.

– Zależy mi na czasie – wyjaśnił Caillou, patrząc, jak jego rozmówca nabija fajkę. – Teatr nie wygląda tak źle, jak to się zdaje na pierwszy rzut oka. Niemniej jednak generalny remont jest potrzebny.

– Prawda. Teatr to piękny, okazały budynek. Tylko ktoś tak pozbawiony wyobraźni jak Enderby mógł go zmienić w magazyn.

– Raczej wysypisko śmieci. Byłem tam dziś rano i stwierdziłem, że to zwykła rupieciarnia.

– Wie pan, jak to jest... Ludzie nie lubią niczego wyrzucać. Szczególnie tutaj, na prowincji, gdzie do niedawna praktycznie nie mieliśmy żadnego kontaktu z bardziej cywilizowanymi

rejonami, zwłaszcza zimą. A przecież Vadeline nie jest znowu takim małym miastem. Mamy dwie szkoły, bibliotekę, karczmy, zajazd...

– ...i już niedługo teatr. O ile, rzecz jasna, uda mi się przywrócić go do stanu używalności. Porozmawiajmy o interesach, panie Mancini.

Rzemieślnik kiwnął głową i poprowadził klienta do swojego biura.

– Musiałbym obejrzeć budynek i ocenić szkody, jakie zrobiły czas, wilgoć i wandalizm – powiedział, siadając na krześle. – Do tego moi pracownicy mają teraz pełne ręce roboty, w zeszłym miesiącu jesienią wichura poczyniła istne spustoszenie w zachodniej części miasta. Nie wiem, czy wyrobimy się ze wszystkim na czas. Rozumie pan, mam zobowiązania.

– Rozumiem doskonale. Tym niemniej zależy mi na jak najszybszym remoncie. Lada dzień miasto zaroi się od przyjezdnych, a do tego czasu trzeba jeszcze znaleźć aktorów, uszyć kostiumy, przygotować dekoracje... A to zaledwie połowa rzeczy, jakie mam na głowie.

Mancini pokiwał głową i z szuflady wyciągnął podniszczony kajet.

– Mogę podesłać czworo moich ludzi – oznajmił, otwierając notes. – Ale nie wcześniej niż za trzy dni. I obawiam się, sporo to pana wyniesie.

– Ile?

Mancini podał cenę. Victor bez słowa wyciągnął zwitek kwitów, odliczył wymienioną sumę i położył papiery na biurku rzemieślnika.

– Słowo daję – rzekł Mancini. – Chyba pan obrabował skarbiec królewski.

Victor uśmiechnął się do własnych myśli.

– Niezupełnie. Powiedzmy, że mam bardzo szczodrych mecenasów.

– Wybitnie szczodrych. Nie strach panu przechowywać takich sum przy sobie?

– Potrafię o siebie zadbać. Ufam, że osobiście dopilnuje pan, by remont przeszedł sprawnie?

Hubert Mancini pokiwał głową i uściśnął dłoń Victora.

– Jeszcze jedna rzecz – przypomniał sobie przybysz, gdy już zbierał się do wyjścia. – Proszę poinstruować swoich pracowników, że jeżeli znajdą gdzieś na terenie teatru jakieś dokumenty, mają je zachować i przekazać mi, choćby wydawały się zwykłymi śmieciami. Czy to jasne?

– W zupełności. Do widzenia, paniczu Caillou.

– Do widzenia, panie Mancini.

Victor odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Po chwili Mancini usłyszał tupot obcasów. Drzwi uchyliły się i rzemieślnik ujrzał zaczerwienioną i zdyszaną twarz dyrektora teatru.

– Powiedział pan „bibliotekę”?

\*\*\*

– To znaczy – Enderby pochylił się nieco w stronę włóczędzy – że od razu po wyjściu z warsztatu poszedł do biblioteki?

Bauer pokiwał głową.

– Znaczący się, to było zaraz po tym, jak zaczepił go ten szczeniak Kronstamów. Wie pan, tych, co prowadzą gorzelnię...

Mer machnął ręką.

– To wszystko? Nie było nic podejrzanego?

Bauer gorliwie pokiwał głową. Enderby wydobył mieszek i rzucił na blat dwie monety, które momentalnie zniknęły w garści pijaka. Bauer uklonił się, naciągnął na uszy czapkę i wyszedł. Vladimir odetchnął. Choć gardził starym, czuł, że istnieje pomiędzy nimi pewna nić

pokrewieństwa, jakaś pijacka solidarność. Wiedział, że zachowuje się paranoicznie – jeśli tak dalej pójdzie, zaczną podejrzewać każdego przybysza, w końcu skończy w zaułku, jak Bauer.

Endreby podniósł się i podszedł do okna. Targały nim wątpliwości i odczuwał suchość w gardle. Nie zaszkodzi przecież, jeśli wychyli jeden czy dwa kieliszki...

\*\*\*

– Ma pan może orena? – Usłyszał Victor, gdy mijał kolejny zaułek.

Kilka chwil temu zaczął padać śnieg i zerwał się silny wiatr. Mężczyzna postawił kołnierz i przytrzymał rondo cylindra. Jego płaszcz załopotał, szalik na moment zakrył oczy. Victor stanął plecami do wiatru, odgarnął z twarzy skraj szalika i spojrzał na kilkunastoletniego chłopaka o wesołym, lekko złośliwym uśmiechu i zadartym nosie, który wyrastał z pokrytej piegami twarzy.

– Przepraszam? – Dyrektor teatru wyprostował się i podparł na lasce.

– Orena. Albo dwa?

– Mój drogi – Victor uśmiechnął się – oreny nie rosną na drzewach ani nie spadają z nieba niczym śnieg. Pieniądz to symbol ciężkiej ludzkiej pracy, godzin spędzonych na sumiennym wykonywaniu swoich obowiązków. Dlaczego miałbym cię wspomóc choćby symboliczną sumą, skoro w żaden sposób nie przysłużyłeś się ani mnie, ani społeczeństwu?

– Nie wygląda pan na takiego, co dużo pracuje.

– Wygląd bywa mylący. Na przykład ty, młody człowieku, wydajesz się miłym i uczciwym chłopcem. Patrząc na ciebie, zupełnie bym się nie spodziewał po tobie żadnych brzydkich postępów, takich jak na przykład wyciągnięcie z mej kieszeni i przywłaszczenie sobie zegarka z dewizką. A przecież to się właśnie stało, gdy szalik na moment zakrył moją twarz, prawda?

Zadziorny uśmieszek w jednym momencie zniknął z twarzy kieszonkowca. Chłopak powoli sięgnął do kieszeni połatanych spodni i wyciągnął mały owalny przedmiot. Podał go Victorowi.

– Dziękuję uprzejmie. – Mężczyzna kiwnął głową. – Nie próbuj oszukiwać przyjezdnych, oni zwykle nie są tak łagodni i spolegliwi jak ja. To taka uwaga na przyszłość.

– Zauważył pan – powiedział chłopak. – Nikt nigdy tego nie zauważa. Jestem w tym dobry. Bardzo dobry.

– Och, z pewnością. Uwierz, że nawet nie poczułem twojej ręki sięgającej ku mej kieszeni. Problem polega na tym, że zawsze w końcu trafisz na lepszego od siebie. Nigdy nie próbuj oszukać oszusta, bo on natychmiast przejrzy twoje postęпки i obróci je przeciwko tobie. To już druga rada. Zapamiętaj sobie, a być może zachowasz wszystkie palce. W stolicy młodszy od ciebie trafiali do ciemnicy za mniejsze przewinienia.

– Jest pan oszustem?

– Najlepszym na tym świecie – powiedział Victor z uśmiechem. – I lepiej w to uwierz. Choć obecnie, miast okradać bogatych i rozdawać biednym, zajmuję się uczciwą pracą. Można powiedzieć, dla odmiany. Nazywam się Victor Caillou i jestem nowym dyrektorem miejscowego przybytku sztuki.

– Słyszałem o panu. Podobno jakiś dziwak z Północy chce rozkręcić tu teatr dla przyjezdnych. Więc to pan?

Victor puścił mimo uszu uwagę o dziwaku. Zamiast tego pochylił się lekko, by spojrzeć w twarz złodziejaskowi.

– Jak ci na imię, rezolutny chłopcze?

– Patrick Kronstam, proszę pana.

– A zatem, Patricku Kronstamie, nie doniosę nikomu o twoim wybryku, jeśli zaczniesz dla mnie pracować. W ten sposób unikniesz odpowiedzialności za niecne czyny i uczciwie zarobisz na swoje oreny. Zgadzasz się? – Victor wyprostował się z szerokim uśmiechem na ustach.

Patrick spojrział na niego zaskoczony. Widać było, że nie tego się spodziewał.

– Co miałbym robić? – zapytał nieufnie.

– Drobiazgi. Widzisz, jestem tu nowy i zupełnie nie znam miasta, a obecnie mam bardzo dużo pracy. Potrzebna mi pomoc w załatwianiu pomniejszych spraw, przekazywaniu wiadomości. Słowem, wszystkie te drobne rzeczy, na które muszę marnować czas. Czasem bywa to naprawdę irytujące.

– A haczyk?

– Słucham? – zdziwił się dyrektor.

– Haczyk – powtórzył Patrick. – Mój tato zawsze o to pyta, gdy sprawy idą podejrzanie dobrze. Zawsze musi być jakiś haczyk, inaczej coś jest nie tak ze światem.

– Masz bardzo mądrego tatę. Ale w tym przypadku haczyka nie ma. Biegasz dla mnie z wiadomościami i dostajesz za to dwa oreny dziennie.

– Pięć.

– Dwa, obawiam się. Nie jesteś w najlepszej pozycji do targowania. Albo przyjmiesz moją ofertę, albo doniosę o twojej próbie kradzieży, choć przyznam, że myśl o tym napawa mnie wstrętem. Nie zawaham się jednak.

Chłopak zastanowił się krótko.

– Trzy oreny dziennie i jestem na pańskie rozkazy.

– Umowa stoi.

Uścisnęli sobie dłonie, mocno po męsku. Victor spojrział mu w oczy. Patrick wyszczerzył zęby.

– Nie pożałuje pan – oświadczył.

– Jestem tego pewien. A zatem najpierw przejdiesz się po mieście i popytasz o osoby z tej listy.

– Victor podał mu złożoną na czworo kartkę papieru. – Dowiesz się, gdzie mieszkają, po czym przyjdiesz do mnie i podasz mi ich adresy. Teraz idę do biblioteki, po południu będę w swoim pokoju w zajeździe pani Cirque. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak.

– Świetnie. Masz tu swojego orena.

Jedna moneta wylądowała na dłoni Patricka.

– Tylko jednego? – zdziwił się chłopiec.

– Resztę dostaniesz po tym, jak wykonasz zadanie.

– Myśli pan, że go oszukam?

– Skądże znowu. Jestem po prostu rozsądny. Czy to jakiś problem?

Patrick pokręcił głową, uśmiechnął się wesoło, uklonił, odwrócił na pięcie i odszedł różnym krokiem. Ten cały Victor Caillou wydał mu się całkiem przyzwoitym jegomościem. Niemal się zawstydził tego, że gdy podawali sobie ręce, raz jeszcze wyciągnął zegarek z jego kieszeni. Nie mógł się powstrzymać, taki fant był bardzo wartościowy. Wsunął dłoń za pazuchę, gdzie ukrył łup, i stanął jak wryty. Dokładnie obmacał poły kurtki – zegarek zniknął! Tknięty złym przecuciem wywrócił kieszenie na lewą stronę. Oren wyparował, jak gdyby nigdy go nie było.

Odwrócił się i spojrział na Victora, który uśmiechał się szeroko, machając mu zegarkiem.

– Tak to jest, gdy próbujesz oszukać lepszego od siebie oszusta! – zawołał dyrektor teatru. – Dopóki nie przyswoisz sobie tej lekcji, dopóty będziesz przegrywał!

Patrick uśmiechnął się, choć wyraźnie nieco wbrew sobie. Musiał przyznać, że poczuł znaczny

przyływ szacunku do mężczyzny. Dlatego schował dumę do kieszeni i odpowiedział na pożegnanie panicza Caillou.

Biblioteka mieściła się w eleganckiej, choć niewielkiej kamienicy. Victor był przyjemnie zaskoczony, spodziewał się bowiem zakurzonej klitki z upchniętymi, gdzie się da, groszowymi powieściami sensacyjnymi i romansami. Przybytek literatury w Vadeline okazał się zaskakująco dobrze zaopatrzony – przybysz dostrzegł kilka białych kruków, które zawsze miał ochotę przeczytać, a których nie odnalazł nawet w przepastnych archiwach Akademii. Pomiędzy długimi rzędami półek przechadzało się kilku mieszkańców miasta. Bibliotekarzem okazał się starszy, siwiejący już mężczyzna uzbrojony w rogowy okulary.

– Miło mi ugościć panicza w naszej skromnej bibliotece – rzekł na powitanie. W jego głosie pobrzmiwał silny północny akcent, a sympatyczny, lekko jowialny uśmiezek nadawał pokrytej zmarszczkami twarzy szelmowskiego wyrazu. – Obawiam się, że nasz zbiór nie umywa się do biblioteki Akademii Pięciu Sztuk, której nawiasem mówiąc, jestem absolwentem.

– A zatem studiowaliście na tej samej uczelni – oświadczył Victor z uśmiechem. – Do jakiego bractwa pan należał?

– Ach, bractwa... – Staruszek pogrążył się we wspomnieniach. – Byłem w Żagwi, a panicz?

– W Zefirze. Ale przyznam szczerze, że nie przyniosłem swojej konfraterni zbyt wiele chwały. Zawsze uważałem tego typu zabawy za wyjątkowo pretensjonalne, wstąpiłem tam tylko z powodu pewnej damy... – Teatrológ uśmiechnął się do własnych myśli. – Ale to temat na inną opowieść. Nazywam się Victor Caillou i przybyłem do Vadeline, by odnaleźć zaginione sztuki teatralne Samuela Zimmermana. Jak do tej pory nie idzie mi to zbyt dobrze. Miałem nadzieję, że tu znajdę jakiś trop.

Na dźwięk nazwiska Zimmermana oczy starca zaśniły.

– Stary, dobry Sam... Znaliśmy się, oczywiście. Dzieliliśmy jeden pokój w uczelnianym dormitorium. Straszny dziwak był z niego, ale też dobry przyjaciel i zacny człowiek.

– Mógłby pan mi o nim opowiedzieć? – Victor ożywił się. – Bardzo mi na tym zależy, panie...

– Emil Decroux – przedstawił się bibliotekarz. – Bardzo chętnie. Jak sam pan widzi, o tej porze nie mam zbyt wielkiego ruchu. Zapraszam do kantorka.

Decroux skinął swojemu pomocnikowi, który zajmował się układaniem książek na półkach, po czym powiodł Victora do ciasnego, dusznego pomieszczenia na zapleczu. Wrzucił do pieca kilka bryłek węgla, po czym postawił na nim blaszany czajnik. Tymczasem przybysz usadowił się na skrzypiącym krześle, tuż obok okna, za którym niepodzielnie rządziła biała kurzawa. Pokoik był tak przesycony upajającym zapachem starego papieru, że Victorowi na moment aż zakręciło się w głowie.

– W porządku. – Staruszek zajął miejsce naprzeciwko młodzieńca. – Przepraszam za bałagan, ale rzadko przyjmuję tu gości.

– To niesamowite – powiedział Victor, oglądając stojące w karnym porządku monografie. – Jak się panu udało zgromadzić takie cuda? Prędzej bym się spodziewał ujrzeć je w Wielkiej Bibliotece niż tu, w miasteczku na rubieżach. Te tutaj na przykład. – Wskazał na grzbiet opasłej, oprawionej w skórę książki. – Dałbym głowę, że ten tom to osławiony *Dyskurs o białej karcie*. Na własne oczy widziałem tylko dwa egzemplarze.

– No cóż, taka pasja. – Decroux bezradnie rozłożył ręce. – Kiedy zakładałem tę bibliotekę, miałem zaledwie parę setek podniszczonych pozycji. Trochę z nudów, trochę z ciekawości zacząłem pytać mieszkańców o zbędne książki. Zdziwiłby się panicz, jakie skarby ludzie przetrzymują w piwnicach i na strychach.

– Mówił pan, że studiował w Akademii – zmienił temat Victor. – Absolwenci zazwyczaj nie mają problemów z dostaniem dobrej pracy. Ciekawi mnie, czemu pan nie został w stolicy.

– Prawdopodobnie z tego samego powodu, z którego pan uciekł z uczelni od razu po odebraniu dyplomu. Z tego samego powodu, dla którego ucieka każdy, kto ma dość rozumu, honoru i szacunku wobec samego siebie. – W tym momencie zagwizdał czajnik. Starzec podniósł się i podszedł do piecyka. – Napije się pan herbaty? – zapytał gościa. Gdy Victor kiwnął głową, bibliotekarz wyjął z kredensu dwie filiżanki. – Młodzi rzadko o tym mówią – ciągnął, krzątając się przy mikroskopijnym blacie. – Kiedyś było inaczej, oj tak, zupełnie inaczej... Strach przygiął nam karki do samej ziemi, gdy królewska policja szturmem wkraczała do dormitoriów i wywlekała z łóżek studentów podejrzanych o zdradę. Kiedy skazano Sama, nie czekałem na nic. Rzuciłem pracę księgarza i wróciłem tutaj. Nie dlatego, że byłem czemuś winien. Nie miałem pojęcia o tym, co wyprawiali Zimmerman i jego kompani, ale sam panicz wie. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... Królowa uderza celnie, ale czasem giną też postronni.

– Panie Decroux, nie powinien pan mówić takich rzeczy o naszej władczyni – napomniął go łagodnie Victor. – A już zwłaszcza nie osobie ze stolicy, którą ledwie pan zna.

– Jest mi wszystko jedno. – Bibliotekarzowi zatrzęsły się ręce, kilka kropel wrzątku spadło na zakurzony blat. – Zna panicz to powiedzenie o tchórze i śnieżnym bałwanie? Jestem jednym i drugim.

– Proszę opowiedzieć mi o Samuelu Zimmermanie, panie Decroux.

Staruszek postawił przed nim filiżankę parującej cieczy, usiadł na krześle i oparł się ramieniem o parapet okna. Wzrok zaszedł mu mgłą wspomnień, jakby w płatkach wirującego za oknem śniegu kryły się obrazy z przeszłości.

– Jak panicz wie – zaczął cichym, lekko zachrypniętym głosem – Akademia przyjmuje młodych mężczyzn w wieku od siedemnastu do dziewiętnastu lat. Dwa razy podchodziłem do egzaminów wstępnych. Za pierwszym razem zgubiła mnie nazbyt wielka pewność siebie, wie panicz zresztą, jak trudno dostać się na tę uczelnię. Potrzebne były dobre koneksje, duże pieniądze, ogromny talent lub tytaniczna praca. Pierwszego i drugiego nie posiadałem, trzecie pozostawało poza moim zasięgiem. Zrozumiałem, że muszę zdać się na czwarte. Moi rodzice mieli niewiele pieniędzy, ojciec bezpowrotnie stracił zdrowie, pracując ponad swoje siły; wszystko po to, bym mógł mieć drugą szansę. Kiedy znowu udałem się do stolicy w celu ponownego przystąpienia do egzaminów, byłem zdeterminowany ponad wszelkie wyobrażenie.

Okazało się, że oprócz mnie, do egzaminów ma przystąpić także jeszcze jedna osoba z Vadeline. Młody Sam Zimmerman, którego mgliście pamiętałem ze szkoły. Wieczny marzyciel, zmora nauczycieli bezskutecznie usiłujących wtłoczyć wiedzę do jego głowy. Obiekt westchnień większości miejscowych dziewcząt. Kiedy okazało się, że zmierzamy w tym samym kierunku, niepodobna było nie zawrzeć bliższej komitywy. Z początku odnosiłem się do niego z niechęcią, by nie rzec – z pogardą. Raziły mnie jego beztroski stosunek do życia, lekka gapowatość, manieryzmy... ale przekonałem się do Sama, w istocie wiele zyskiwał przy bliższym poznaniu. – Decroux przerwał, by upić łyk herbaty. – Zna panicz stare opowieści o rycerzach walczących z barbarzyńcami, broniących honoru wysoko urodzonych dam i bezpieczeństwa prostych ludzi? Otóż Samuel właśnie taki był. Z lekka staroświecki w swych poglądach, zawsze gotów stanąć do walki o to, w co wierzy. Bez rozumu, bez krzty zastanowienia, taki właśnie był. Z pieśnią na ustach i ogniem w sercu. Byle jak, byle do przodu. Ten zapał rekompensował mu wszelkie niedostatki charakteru i sprawiał, że ludzie lgnęli do niego, jak gdyby grzejąc się jego płomieniem, mogli uszczknąć go trochę dla siebie. Wszystko, co czynił, czynił z sercem. Kiedy



przybyliśmy do stolicy, tubylców bawił nasz akcent. Ze wstydu wyzbyłem się go jak najszybciej, po miesiącu czy dwóch mówiłem już niemal tak, jakbym od urodzenia mieszkał na Północy. Samuel zaś – wprost przeciwnie, ostentacyjnie wyrażał się tak, jak gdyby nadal mieszkał w Vadeline. Nie chciał porzucić swego dziedzictwa, tak mi to tłumaczył.

Nie mam pojęcia, jak przebrnął przez egzaminy wstępne – pamiętam jednak, że nie miał większych problemów. Kiedy w końcu obu nam udało się dostać do Akademii, przydzielono nas do jednego pokoju. Samuel nie był przykrym współlokatorem, mogłem trafić gorzej. Miał, co prawda, swoje humory. Bywało, że całymi dniami nie odzywał się prawie w ogóle, by nagle zorganizować jakiś wygłup czy krotoczwilę. Przyznam, że chwilami miałem już serdecznie dosyć jego zmiennych nastrojów, nigdy jednak nie wystąpiłem o innego współlokatora, a to z tego powodu, że Sam błyszczał w tych chwilach, w których chwycił za pióro. Pracował wtedy jak w malignie, gorączkowo przerzucając papiery i czyniąc wokół siebie trudny do opisanego chaos. Ja, jako student archiwistyki, z ledwością dzierżyłem panujący w jego papierach nieporządek, on jednak zdawał się zawsze wiedzieć, gdzie co jest. Bywało, że po paru godzinach garbienia się nad kartką papieru wybiegał z pokoju i gnał do biblioteki, by sprawdzić jakiś wątpliwy fakt lub upewnić się co do mało znaczących szczegółów. W takich wypadkach zawsze starałem się służyć mu pomocą.

Nie mam pojęcia, kiedy zaangażował się w sprawę rewolucji. Zapewne jeszcze na studiach, w tamtym bowiem czasie chęć obalenia Królowej zyskiwała coraz większą popularność. Oczywiście nie mówiło się o tym głośno, jednak w gronie zaufanych znajomych, podczas tajnych wieców, wieczornych spotkań w podrzędnych karczmach... Tak, wielu dało się zwieść tej palącej idei. Młodzi ludzie o gorących głowach, starcy o określonych poglądach, wyrzutki, marzyciele, krótkowzroczni głupcy, idealisci... a pośród nich genialny scenarzysta teatralny. Tak, był geniuszem, co do tego nie można się było spierać. Kiedy wystawił swoją pierwszą sztukę, *Alicję*, żaden z widzów nie spodziewał się, jak wiele emocji może wzbudzić w nas sceniczne łągarstwo. Sam byłem zaskoczony, gdy podczas finału spektaklu zaszklily mi się oczy, choć zwykle nie daję się ponosić porywom serca. Samuel rozumiał teatr, kochał go całym sercem. Uskrzydlał ludzi, którzy z nim pracowali, sprawiał, że stawali się lepsi. Nie był bez wad. Miał niekiedy dziwaczne poglądy, szybko się upijał. Wrzeszczał na ludzi, którzy zachowywali się wobec niego małostkowo czy protekcyjnie. Często wpadał przez to w kłopoty, niejednokrotnie groziło mu wydalenie z uczelni, zawsze jednak któryś z bakałarzy czy profesorów wstawiał się za nim.

Kiedy skończył studia, natychmiast wrócił do Vadeline, za którym zawsze bardzo tęsknił. Zabawił tu przeszło siedem lat, zebrał aktorów i założył teatr, który ma panicz zamiar wskrzesić. Później coś go tknęło, pojechał do stolicy, odwiedzał starych przyjaciół, których czas i okoliczności rozrzuciły po całej Zimie. Kiedy zawitał do mojej księgarni, w pierwszej chwili go nie poznałem. Zawsze gładko wygolony i utrefiony Sam zapuścił gęstą brodę, przytył i nabrał masy mięśniowej. Bardziej niż człowieka sztuki przypominał najemnego zbira albo łowcę wilczych skór. Jego zachowanie jednakże w ogóle się nie zmieniło, wciąż był tym samym niepoprawnym marzycielem, który w roztargnieniu przemierzał uczelniane korytarze. Pytania o swoje obecne zajęcia zbywał machnięciem ręki i anegdotami z naszej rodzinnej miejscowości, której ja sam nie mogłem przez ten czas odwiedzić – zbyt wiele trzymało mnie w stolicy, poza tym, szczerze mówiąc, nie czułem wielkiej potrzeby. Miałem pracę, dom, przyjaciół, byłem szanowanym obywatelem największego miasta na świecie. Sprowadziłem tam nawet moich rodziców, ojciec dokonał żywota w luksusie, jakiego sam nie mógłby sobie zapewnić. Powrót byłby krokiem w tył, rezygnacją ze wszystkiego, co wypracowałem przez tyle lat. Nie byłem

Samuelem, a on dostrzegł to i nie złożył mi propozycji, z którą niechybnie do mnie przyszedł. Nie wiem, co by się stało, gdybym usłyszał o jego planach... O rewolucji. Lękam się, że zachowałbym się jak tchórz i na niego doniósł. Dziś wydawać by się to mogło absurdalne, lecz to były inne czasy. Dzień w dzień słyszało się o kolejnych egzekucjach, nastroje w mieście wrzały. Ludzie się bali. Bardzo się bali – strach wylewał się na ulice, wzniewał zamieszki, trawował niewinnych i bezbronnych. To się w końcu musiało skończyć. I skończyło, sam panicz dobrze wie jak.

Victor pokiwał głową.

– Samobójczy zamach nożownika na Białą Królową – szepnął. O tej sprawie nikt nigdy nie mówił podniesionym głosem. – Jeden z rewolucjonistów przedarł się przez kordon strażników i rzucił na Jej Wysokość. Królowej nic się nie stało, nóż złamał się na jej piersi... Tak przynajmniej powiadają. Wiecznie młoda pani okazała się także nieśmiertelna. Ani ostrze noża, ani ostrze czasu nie zostawiają na jej ciele najdrobniejszego śladu. Taka jest nasza władczyni.

– Taka jest nasza władczyni – powtórzył bibliotekarz. – Stało się to dziesięć lat po tym, jak ostatni raz spotkałem się z Samuelem Zimmermanem. Dziesięć lat po tym, jak po raz ostatni wychyliłmy kufel taniego piwa w naszej ulubionej tawernie. Od tamtego czasu Sam podróżował po całej Zimie. Parokrotnie zawitał do Vadeline, czasem pojawiał się w większych miastach, gdzie zapewne agitował na rzecz rewolucji. Kiedy ujrzałem jego nazwisko na liście skazanych, przeżyłem wstrząs. Nie miałem nawet pojęcia, że Samuel przebywa w stolicy, byłem pewien, że bawi gdzieś na rubieżach Zachodniej Marchii. Spanikowałem, przyznając szczerze i ze wstydem. Kiedy tylko sytuacja w stolicy ustabilizowała się na tyle, by wyjazd z miasta nie był równoznaczny z przyznaniem się do uczestnictwa w zamachu stanu, sprzedałem swoją księgarnię i uciekłem do Vadeline. Ze strachu, owszem. Nie było tajemnicą, że z Samuelem łączyła mnie serdeczna przyjaźń, ktoś mógł zwrócić na to uwagę. Nie chciałem ryzykować. Te tygodnie po ataku na Królową były dla mnie koszmarem. W każdej chwili spodziewałem się, że straż wejdzie do mojego mieszkania, zakuje mnie w kajdany i pośle na szafot. Kiedy ustały zamieszki i ponownie otwarto bramy miasta, odczekałem jeszcze miesiąc dla pewności, że nikt nie powiąże mojego wyjazdu ze sprawą rewolucji, po czym opuściłem miasto. Nie wyobraża sobie panicz ulgi, jaką poczułem w chwili, gdy wydostałem się na powierzchnię, po raz pierwszy od bardzo wielu lat. Nie wahałem się długo, jak najszybciej chciałem zostawić za plecami północne ziemie. Kierunek podróży był oczywisty – Vadeline. Po niemal dwudziestoletniej nieobecności wróciłem do rodzinnego miasta. Początkowo pracowałem jako jeden z urzędników ówczesnego mera. Oddelegowano mnie do zajęcia się miejscową biblioteką. I tak wylądowałem tutaj, w miejscu, w którym teraz właśnie siedzimy i rozmawiamy. Wiem, że chciałby panicz więcej usłyszeć o Samuelem, jednak nie znałem go tak dobrze, jak mogłoby się wydawać. Co dziwne, bo on zdawał się wiedzieć o mnie wszystko. Takiego go właśnie pamiętam. Interesował się ludźmi, na każdego patrzył jak na oddzielną, pasjonującą krainę. Traktował ich, jakby byli ważni, choćby było wprost przeciwnie. Nie z wyrachowania czy jowialności, bynajmniej. Kierowała nim jedynie czysta fascynacja drugim człowiekiem.

Victor poruszył się i zmienił pozycję. Za oknem już zmierzchało, opowieść bibliotekarza pochłonęła go bez reszty.

– Panie Decroux – powiedział. – Przybyłem do Vadeline, by odnaleźć zaginione sztuki teatralne Samuela Zimmermana. Miałem nadzieję, że znajdę je tutaj, w pańskiej bibliotece.

– Zaginione sztuki? – Starzec uniósł brew. – Samuel nie napisał ich zbyt wiele. Poza *Alicją, Ktą zabił Amandę P.?* i paroma mniej popularnymi dziełami, jak *Piaskowy Człowiek*, powstało kilka

miniaturek, szkiców i konspektów. Z pewnością je panicz czytał, są dostępne w archiwach biblioteki akademickiej. Znam każdą książkę, każdy papier, list i dokument, który znajduje w tej bibliotece, i zaręczam, że nie ma tu żadnej nieznannej sztuki, która mogłaby wyjść spod pióra mojego starego przyjaciela. Przykro mi.

– Tym niemniej te dzieła istnieją – utrzymywał Victor. – Co najmniej trzy, przy czym jedna z nich niemal na pewno nosi tytuł *Ostateczne doświadczenie*. Wiem o tym z listu, który niejaki Jeremy napisał do Samuela Zimmermana w sprawie komentarza do nowych utworów. Dodam, że komentarz ów nie był zbyt przychylny, co poskutkowało zapewne nieujawieniem tych sztuk publiczności. Możliwe nawet, że mistrz zniszczył je w przyływie chwilowych namiętności.

– Szczerze wątpię. – Bibliotekarz pokręcił głową. – Sam nigdy nie niszczył tego, co napisał, choćby wydawało mu się to błahe i naiwne.

– A zatem one muszą gdzieś tu być. I odnajdę je, prędzej czy później. Gdybym tylko wiedział, kim jest ów Jeremy...

– Niestety, w tym paniczowi nie pomogę. Samuel korespondował z wieloma ludźmi, konsultował się z krytykami, profesorami i reżyserami. Obawiam się, że szukanie owego Jeremy'ego może się okazać szukaniem kropli w szklance wody.

– Nic nie szkodzi. – Victor uśmiechnął się. – I tak bardzo się cieszę, że tu przyszedłem i poznałem pańską historię. Mogę teraz powiedzieć, że znam Samuela Zimmermana odrobinę lepiej. Dziękuję panu, panie Decroux. – Wstał i uklonił się bibliotekarzowi.

– Może jednak chce panicz mimo wszystko wypożyczyć jakąś książkę? – zapytał Decroux, odprowadzając gościa do wyjścia.

Victor roześmiał się i pokręcił głową.

– Mam teraz wiele pracy – oświadczył. – Poza tym nie doczytałem jeszcze ostatniego tomu *Koziorożca*, który przywiozłem ze sobą ze stolicy.

– A zatem panicz także jest miłośnikiem przygód tego nietuzinkowego awanturnika? Kiedy panicz skończy, proszę jak najszybciej przynieść mi tę książkę.

– Nie omieszkam – ze śmiechem pożegnał sympatycznego bibliotekarza.

Na zewnątrz panowała biel – gęsty śnieg ograniczał pole widzenia do zaledwie kilku kroków, wiatr nie pozwalał białej kurzawie opaść na ziemię. Zasłaniając twarz ramieniem, dyrektor teatru jął przedzierać się przez zawieję. W połowie drogi zaczął żałować, że nie przeczekał zawieruchy w przytulnym budynku biblioteki – pogoda najwyraźniej nie miała zamiaru ulec poprawie. W końcu Victorowi udało się dotrzeć do zajazdu, gdzie solennie obiecał sobie zaopatrzyć się w cieplejsze ubranie. Płaszcz mógł wystarczyć, gdy mieszkało się w stolicy, ale Caillou miał skrytą nadzieję, że południowe rubieże okażą się znacznie cieplejsze.

W korytarzu natknął się na panią Cirque.

– Mam tu coś dla panicza – powiedziała na jego widok. Sięgnęła do kieszeni fartucha i wydobyla z niej sfatygowaną kartkę papieru. Nagryzmołona na niej wiadomość była przepelniona błędami i trudno odczytywalna. Mimo to Victor uśmiechnął się z satysfakcją, gdy zmrużonymi oczyma prześledził jej treść.

– Przyniósł to młody Patrick Kronstam – poinformowała pani Cirque. – Ponoć zatrudnił go pan w charakterze posłańca.

– To prawda – powiedział Victor, wciąż zmagając się z nieczytelnym pismem Patricka.

– Nie, bym miała panicza napominać, ale ten młody nicpoń to obibok i złodziejaszek.

– Taki miły młody człowiek? Złodziejem? – udał zdziwienie przybysz. – Być nie może!

– A jednak. Jego ojciec ma gorzelnię na peryferiach miasta. Moim zdaniem powinien pan

odprawić go, i to jak najszybciej.

– Droga pani Cirque – Victor uśmiechnął się swym najlepszym uśmiechem – nie wolno pochopnie oceniać ludzi. Każdy z nas zasługuje na przynajmniej jedną szansę. Młody Patrick wydał mi się pełnym ikry chłopcem, który przy odpowiednim podejściu może błyszczeć, niczym najpiękniejszy diament w koronie Białej Królowej.

– Jak panicz twierdzi. – Widać było, że nie udało mu się jej przekonać. – Tak czy inaczej, proszę na niego uważać.

– Ja zawsze uważam.

– Druga sprawa. Ma pan sąsiada. – Sally Cirque wymownie spojrzała na schody wiodące do mieszkalnej części budynku. – To przedsiębiorca z Zachodniej Marchii. Przybył tu jako pełnomocnik jednego z murgrabiów, który chce mieć oko na trwające w kopalni prace.

– Tak wcześniej? – zdziwił się Victor. – Przecież wydobywanie rozpocznie się najwcześniej na początku przyszłego roku. Na razie trwają prace przygotowawcze, badania próbek, wznoszenie budynków służących do składowania surowca i baraki dla górników... Nic, czym musieliby się interesować przedsiębiorcy.

– Jest panicz wyjątkowo dobrze poinformowany jak na człowieka niezwiązanego z tymi sprawami – zauważyła pani Cirque.

– Lubię wiedzieć o tym, co się dzieje wokół mnie – oświadczył Victor. – Ten przybysz... Przedstawił się jakoś?

– Morgan Beckett. Przyjechał do Vadeline wraz z konwojem kupieckim. Zameldowawszy się, zjadł obiad, po czym zamknął się w swoim pokoju. Twierdził, że jest kompletnie wyczerpany podróżą.

Victor spojrzął z ukosa na właścicielkę zajazdu. Czytanie z jej twarzy nie było wielkim wyzwaniem.

– Nowy gość wyraźnie nie przypadł pani do gustu.

– Nie jest moją rzeczą oceniać gości – oświadczyła oschle pani Cirque. – Pan Beckett to uprzejmy, nieco skryty dżentelmen, który z całą pewnością nie przysporzy nikomu przykrości czy kłopotów. A już na pewno nie podniesie ręki na mienie miasta.

– Ach, droga pani Cirque – Victor teatralnie uniósł oczy ku niebu – skąd ta złośliwość w pani słowach? Jestem tylko skromnym i niegodnym sługą sztuki, jedną zaś przerdzewiałą kłódkę trudno nazwać mieniem miasta. Proszę nie oceniać mnie zbyt surowo.

Kobieta uśmiechnęła się mimowolnie. Widać było, że nie potrafiła gniewać się na sympatycznego młodzieńca.

– Tak czy inaczej prosiłabym, by panicz nie hałasował ponad miarę.

Victor uniósł dłoń w komicznie wyolbrzymionym geście uroczystego przyrzeczenia.

– Obiecuję.

Po czym udał się na górę, do swojego pokoju. Dopiero teraz miał czas i sposobność przemyśleć swoje obecne położenie.

Jak dotąd wszystkie tropy wiodły donikąd. Szanse na znalezienie sztuki mistrza w Vadeline zmalały niemal do zera. Może trzeba było zostać dłużej w stolicy, zbadać wszystkie poszlaki... Victor nie po raz pierwszy przeklął swoją buńczuczną naturę, która nie pozawalała mu dłużej usiedzieć w jednym miejscu. Cóż, pomyślał, stało się i tyle. Muszę dołożyć wszelkich starań, by moja wyprawa odniosła zamierzony skutek. Samuel Zimmerman często powtarzał, że rozpamiętywanie tego, co zaszło, nie służy niczemu.

Myśl ta przypominała mu o ludziach, których zostawił za sobą tak dawno temu... A także tych,

z którymi rozstał się całkiem niedawno.

Wstał z łóżka, wydobyl z walizy zwitek papieru, pióro i inkaust, po czym zasiadł za biurkiem i zabrał się do pisania.

*Szanowny Neilu,*

*rad wielce jestem móc donieść Ci, że moja podróż na prowincję zakończyła się pełnym sukcesem. Do Vadeline dotarłem bez przeszkód, wraz z konwojem wojskowym wiozącym zaopatrzenie dla brygady wydobywczej, w chwili, w której piszę te słowa, rozpoczynającej prace w nowo odkrytej kopalni. Ufam, że za niedługo dotychczas do mineralogów oceniających jakość wykopanego surowca. Nie twierdzą bynajmniej, że królewscy naukowcy nie są w stanie doskonale wykonać swojej pracy, kierują mną daleko bardziej egoistyczne pobudki – po prostu tęskno mi do naszych całonocnych dyskusji! Choć tubylcy są z reguły uprzejmi i spolegliwi, samo zaś Vadeline to przeurocze miasteczko, to jednak – co przyznaję z przykrością i dużym zaskoczeniem – brakuje mi przepychu stolicy.*

*Ale dość już o tym! Ciekaw jesteś zapewne, jak przebiegają moje poszukiwania. Z niejakim rozczarowaniem stwierdziłem, że sprawa nie jest tak prosta, jak to sobie imaginowałem. Ani w starym budynku teatru, ani w miejscowej bibliotece nie odnalazłem niczego, co Z. mógł po sobie zostawić dla potomności. Oczywiście będę kontynuował moją misję. Udało mi się zdobyć nazwiska i adresy byłych aktorów – jeśli ktoś jeszcze jest w stanie mi pomóc, to tylko oni. Jeśli i to nie odniesie pożądanego skutku, pozostanie mi już tylko bieganie wkoło i wzywianie imienia tajemniczego Jeremy'ego dopóty, dopóki jakiś zacni ludzie nie odprowadzą mnie do szpitala dla obłąkanych.*

*Bez żartów. Szczerze i od serca życzę Ci, by Twoja misja we Wschodniej Marchii powiodła się o wiele lepiej niż moja. Wierzę, iż odnajdziesz to, czego szukasz. Mnie samemu wiele...*

Victor przerwał pisanie, jego uwagę bowiem zaprzątęła wrzawa dochodząca od strony drzwi. Przybysz ostrożnie oparł stalówkę pióra o nakrętkę kałamarza, po czym uniósł głowę. Na korytarzu toczyła się jakaś gorączkowa sprzeczka, Victor rozpoznał głos pani Cirque i usłyszał jeszcze jeden, kobiecy, władczy i nieznoszący sprzeciwu.

Po chwili rozległo się natarczywe pukanie. Caillou wstał od biurka, machinalnie wygładził na sobie ubranie, a następnie podszedł do drzwi i otworzył je. Ujrzał gospodynię i drugą, niższą od niej kobietę. Nieznajoma wydawała się dużo starsza od Sally Cirque. Roztaczała wokół siebie aurę despotyzmu. Zmierzyła Victora pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– A więc to pan – powiedziała mocnym, głębokim głosem. – Spodziewałam się kogoś o wiele starszego.

– Bardzo mi przykro, że zawiodłem panią już na samym początku naszej znajomości – odparł gładko Victor. – Czy mógłbym wiedzieć...?

Sally Cirque chciała coś powiedzieć, ale ta straszna kobieta uciszyła ją krótkim, ostrym spojrzeniem. Podobny wzrok już moment później spoczął na coraz bardziej zdziwionej twarzy przybysza.

– Nie waż się traktować mnie protekcyjnie, młody człowieku! – Ostrzegawczo uniosła palec wskazujący. – Dostawałam owacje na stojąco, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Może i szkoliliś się w Akademii, ale prawdziwy talent musi dojrzewać odpowiednio długo, niczym wino.

Victorowi coś zaświtało.

– Pani jest jedną z aktorek grających niegdyś w tutejszym teatrze!

Kobieta wyprostowała się z godnością i prezencją, której mogła jej pozazdrościć nawet sama Biała Królowa.

– Nazywam się Cyntia Greene – oświadczyła dumnie. – W swej karierze tysiąc sto czternaście razy stawałam na scenie, w tym dwieście osiemnaście razy w wielkich teatrach stolic Marchii

Południowej i Zachodniej. Usłyszawszy, że jakiś paniczek z Północy chce wskrzesić nasz teatr, nie mogłam siedzieć bezczynnie. Znam ja was, młodych! Wszystko robicie na opak, bez należytej czci i szacunku!

– Pani Greene! Obraża pani mojego gościa. – Sally Cirque usiłowała możliwie taktownie wprowadzić aktorkę z pokoju. – Proszę wyjść, w przeciwnym wypadku...

– Dajże spokój, Sally. – Pani Greene oswobodziła ramię z uścisku dłoni gospodyni. – Jeśli ten młokos chce zająć miejsce Sama Zimmermana, będzie musiał najpierw udowodnić, że jest cokolwiek wart.

Cyntia Greene wyminęła gospodynię i stanęła nos w nos z Victorem. Choć była od niego o dwie głowy niższa, to przybysz i tak poczuł się dziwnie nieswojo. Przypomniała mu się jedna z nauczycielek, która w Akademii prowadziła ćwiczenia z dykcji. Mimo że była drobną starszą kobietą, studenci doskonale wymawiali końcówki i akcentowali odpowiednie części zdania, nikt bowiem nie chciał stanąć w ogniu jej spojrzenia.

Podobny ogień czaił się w paciorkowatych źrenicach krewkiej Cyntii Greene, toteż elokwentny zazwyczaj Victor zdołał wykrztusić jedynie:

– Ehm... Miło mi niezmiernie...

– Milczeć. Nie przerywa się starszym!

– Przepraszam... – bąknął potulnie.

Cyntia Greene, widać udobruchana pokorą przybysza, uśmiechnęła się z satysfakcją, choć brwi wciąż miała ściągnięte.

– No dobrze – stwierdziła. – A zatem zamierza pan odbudować teatr? Cóż, nie, żebym miała coś przeciwko, ale pomysł jest chybiony. To już nie te czasy, gdy spektakle przyciągały tłumy. Dziś wszyscy ludzie wечно się spieszą, każdy ma milion spraw na głowie, a drugi milion w zanadru. I ta kopalnia, którą odkryli nieopodal stąd... Poprzewracała ludziom w głowach. Wszyscy tylko czekają, aż miasto zaroi się od bogaczy, którzy zostawią tu swoje oreny. Nawet obecna tu Sally, zdawałoby się mądra i rozsądna dziewczyna, zapożyczyła się po same uszy, byle tylko wybudować ten zajazd. Inni też nie są lepsi. Tak jak gdyby potrzebowalibyśmy tu panoszących się po mieście otyłych przedsiębiorców. Też mi coś! Byłam parę razy w stolicy i nie sądzę, bym miała ochotę jeszcze kiedykolwiek się tam wybierać. To nienaturalne, żyć pod ziemią jak jakieś robactwo.

– W tym się z panią zgadzam. – Victor odzyskał już rezon i przystąpił do kontrataku. – Jednakże nie mamy wielkiego wpływu na to, co się stanie. Możemy jedynie się przystosować i mieć nadzieję, że wiatr zmian okaże się dla nas łaskawy. I nie sądzę, by teatr był anachronizmem. Według mnie istnieje spora szansa na odrodzenie tej sztuki. Czasy się zmieniają, madame. Ludzka wyobraźnia sięga dalej i głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Żywię głębokie przekonanie, że ten czas i ta chwila są odpowiednie do tego, by wskrzesić ducha arkanów dramatycznych. Między innymi dlatego tu przybyłem. Jeśli mi pani pomoże, madame, wspólnymi siłami ocalimy teatr!

Najwidoczniej zapał bijący z postawy młodzieńca udzielił się nieco Cyntii Greene. Aktorka uśmiechnęła się z aprobatą.

– Ma pan już aktorów? – zapytała, gdy pięć minut później siedziała wraz z Victorem przy stole w jadalni zajazdu. – Należy jak najszybciej rozpocząć przesłuchania. Obawiam się, że starzy aktorzy w większości dali sobie spokój ze sceną po odejściu Sama. Ci, którzy zgodzą się zagrać, są już raczej zbyt posunięci w latach. Ja osobiście nie wcieliłabym się ponownie w rolę Amandy. Nie dlatego, że nie poradziłabym sobie! – zastrzegła szybko. – Sam pan rozumie.

Pod płaszczykiem despotycznej emerytowanej aktorki Cyntia Greene okazała się rzeczową, choć upartą kobietą. Nie była zgorzkniałą, zdziwaczałą staruszką żyjącą wspomnieniami minionej chwały. Ostatecznie Victor uznał, że taka pomoc może okazać się niebagatelna, dlatego postanowił za wszelką cenę uzyskać jej przychyłność.

– Rozumiem doskonale. Obecnie jestem jednak zajęty pilnowaniem spraw związanych z odbudową gmachu teatru i poszukiwaniem nieznanymi sztuk Zimmermana. Poza tym w najśmielszych nawet planach nie przewidywałem premiery wcześniej, niż na początku przyszłego roku. Goście z Północy...

– Powiedziałabym coś o gościach z Północy, ale wiek i przyzwoitość mi na to nie pozwalają.

– Ja jestem gościem z Północy. – Victor z pewną satysfakcją obserwował, jak na twarzy jego rozmówcy pojawia się coś na kształt zakłopotania. – Mam jednak podobną pani opinię. Mimo wszystko, jeśli chcemy, żeby teatr utrzymał się ze sprzedaży biletów, musimy na niej polegać. Vadeline jest zbyt małe, by prowadzić teatr bez finansowej pomocy od władz miasta.

– O tym niech pan nawet nie marzy. Wydobywanie pieniędzy od mera Enderby'ego przypomina wyciskanie wody z kamienia.

– Zdążyłem się już o tym przekonać. I właśnie dlatego musimy zachęcić publikę do regularnych odwiedzin naszego przyszłego przybytku sztuki.

– Naprawdę uważa pan, że to możliwe? – powątpiewała pani Greene.

– Ja nie uważam, madame, ja to wiem.

– No dobrze... Ale sądzę, że mieszkańcom miasta należy się przynajmniej jeden przedpremierowy spektakl. Zaslужują na to. Jeśli nie w imię pieniędzy, to w imię sztuki i należnego szacunku dla Samuela Zimmermana.

– Blisko go pani znała?

Na twarz madame Greene momentalnie powrócił wyraz głębokiej dezaprobaty.

– Nie podoba mi się ton tego pytania – oświadczyła.

– Ależ nie miałem na myśli niczego zdrożnego! – zastrzegł szybko Victor. – Po prostu chciałbym lepiej poznać człowieka, który uczynił tyle dobrego dla teatru, a którego sława została stłamszona przez błędy, jakie popełnił w swoim życiu. Gdyby nie sympatyzowanie z rewolucjonistami i przedwczesna śmierć, dziś byłby żywą legendą i wielkim reformatorem form dramatycznych. Niestety jego gwiazda zgasła przedwcześnie. Nie mam już szans na rozmowę z Zimmermanem, wciąż mogę jednak dotrzeć do ludzi, którzy z nim obcowali. Stąd moje pytanie.

– Znałam go, a i owszem. Nie dość blisko, niestety. Sam miał trudny charakter. Najczęściej siedział w swoim biurze, gdzie załatwiał związane z teatrem sprawy, odpowiadał na listy i oczywiście pisał. Bywało, że całymi dniami nie wychodził z gabinetu. Od czasu do czasu, najczęściej wiosną i latem, wybierał się na długie piesze wędrówki. Jednego dnia po prostu zniknął, po czym po paru dniach pojawiał się z powrotem, z torbą podróżną na plecach i niechlujnym zarostem na twarzy. Kiedy nie pisał i nie podróżował, urządzał nam próby. Wtedy zmieniał się nie do poznania. Z mrukliwego samotnika stawał się surowym, lecz rzeczowym i znającym się na swoim fachu twórcą. Szlifował nas, aktorów, niczym diamenty, abyśmy błyszczeli podczas premiery. Nie było z nim dyskusji czy polemiki, jednak koniec końców zawsze okazywało się, że jego decyzje są słuszne. Nie był tyranem ani nikim w tym rodzaju, jedynie... Zdawał sobie sprawę z własnego geniuszu, tak to trzeba nazwać. Niektórzy mogli twierdzić, że zadzierał nosa, ale to nieprawda. Nigdy nie twierdził, że może dokonać więcej, niż mógł w istocie.

– Mówiła pani, że dużo pisał... – Victor wyprostował się. – Czy mówi pani coś może tytuł *Ostateczne doświadczenie*?

– Oczywiście. – Madame Greene kiwnęła głową. – Jedna ze sztuk Sama. Swego czasu mówił o niej niemal bez przerwy.

Przybysz zerwał się na równe nogi, przypadł do aktorki i chwycił ją za przedramiona.

– Pani Greene, na miłość, niechże mi pani powie, że jest w posiadaniu przynajmniej jednego egzemplarza scenariusza!

– Co to za obyczaje! – zawołała oburzona zachowaniem młodzieńca aktorka. – Proszę mnie puścić.

– Przepraszam. – Victor opanował się. – Poniosło mnie, wybaczy pani. Po prostu słyszałem o tej sztuce i mimo usilnych starań nie zdołałem do niej dotrzeć.

– I nic dziwnego – powiedziała kobieta, wciąż bocząc się nieco na młodzieńca. – Sam opowiadał nam o niej, twierdził, że *Ostateczne doświadczenie* będzie przełomem w historii teatru. Kiedy pisał tę sztukę, był jak w gorączce, na samej granicy materialnego świata. Jego oczy cały czas wpatrywały się w nieistniejące krainy, niemal śnił na jawie. Gdyby zobaczył go pan w tym nastroju, niechybnie posądziłby go pan o szaleństwo. Kiedy udało mu się skończyć sztukę, był bliski kompletnego wyczerpania fizycznego i psychicznego.

– I co się dalej stało?

– Nic. W czasie, gdy finalizował pracę nad *Ostatecznym doświadczeniem*, byliśmy w trakcie przygotowań do prapremiery *Piaskowego Człowieka*. Samuel bez przerwy mówił nam o tym, jak bardzo owa sztuka jest przełomowa i nowatorska. Gdyby to był ktoś inny, pewnie wyśmialibyśmy go za pyszałkowatość, ale to był Sam. Lecz pewnego dnia po prostu przestał wspominać o *Doświadczeniu*. Pytany o tę sztukę udawał, że nie wie, o co chodzi, po czym irytował się. Jasne było, że nie chce o tym rozmawiać.

– Nie pojmuję – zdziwił się Victor. – Sztuka, którą uważał za swoje największe dokonanie, przepadła z woli autora?

Madame Greene uśmiechnęła się lekko.

– To był Samuel Zimmerman. Geniusz i szaleniec.

– I nikomu nie pokazywał tej sztuki? Nikt nie ma nawet jednego egzemplarza, odpisu, bodaj fragmentu czy streszczenia?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przykro mi.

Victor opuścił głowę.

– Za każdym razem gdy wydaje mi się, że już znalazłem trop, ten okazuje się fałszywy. Ale odnajdę zaginione dzieła Samuela Zimmermana, jestem tego pewien.

– Można wiedzieć, skąd ta fascynacja Samem? – zapytała Cyntia Greene. – Nigdy nie był popularnym scenarzystą, żaden z mecenasów nie odważył się otoczyć go swoją protekcją. Dziwne, że w ogóle pan o nim usłyszał. Wydawało mi się, że po ujawnieniu jego udziału w rewolucji sztuki Sama zostały zakazane.

– Też się zdziwiłem, że nie miałem żadnych problemów z dotarciem do tych pism – odparł Victor. – Nawet pytałem o to dworskich cenzorów. Dowiedziałem się, że Zimmerman został uznany za obłąkanego, a jego sympatia względem rewolucji jest powszechnie uważana za wybryk szaleńca. Nie uchroniło go to przed egzekucją, jednak ocalało jego dzieła.

– Sam nie był niepoczytalny. Pracowałam z nim i mogę to powiedzieć z ręką na sercu. Owszem, miewał swoje dziwactwa, jednak jego umysł był jasny i czysty.

– Wiem o tym. Tym niemniej cenzura wyświadczyła mu pewną przysługę, uznając go za niepoczytalnego. Nie dość, że jego dzieła nie zostały zniszczone, to na dodatek szaleństwo przydało autorowi pewnego splendoru... Ludzie lubią obcować ze sztuką tworzoną przez kogoś,



kto ma inny niż oni kontakt ze światem. – Victor podniósł się z krzesła. – Pomoże mi pani w pozyskaniu i wyszkoleniu aktorów?

Cynthia Greene kiwnęła głową i również wstała.

– Postaram się.

– Doskonale. – Uśmiechnął się. – Proszę mi znaleźć obsadę do *Amandy*. Sądzę, że najlepiej będzie zacząć od najpopularniejszej sztuki Zimmermana. Potrzebujemy zatem Amandy, Briana, Tristana, Jacka, babci Amandy...

– Znam obsadę tej sztuki – przerwała mu aktorka. – Proszę się nie martwić, znajdę panu aktorów i wyuczę ich tak, że będą grali nie gorzej niż zawodowcy.

– Jestem tego pewien.

Madame Greene, widać bardzo zaabsorbowana swoim nowym zadaniem, pożegnała się i wyszła. Victor wrócił do swojego pokoju. Zasiadł przed biurkiem i wrócił do pisania listu. Prześledził wzrokiem kilka ostatnich linijek, by uchwycić wątek, po czym podjął:

*Mnie samemu wiele czasu zajęły bezowocne poszukiwania jakichkolwiek tropów zaginionych dzieł Zimmermana w stolicy, dlatego też zdecydowałem się przyjechać tutaj. Co do Twojego zadania: sam bym się go nie podjął czy też raczej – podjąłbym się, gdybym doprowadzony był do ostateczności. Ludzie, z którymi będziesz się zadawał, nie należą do takich, którzy witają obcych z otwartymi ramionami i lubią dzielić się swoimi tajemnicami. Czeka Cię żmudna, mrówcza praca, której rezultat może się okazać niewart zachodu. Ja, w przeciwieństwie do Ciebie, mam jakiś trop – mglisty wprawdzie i wciąż wymykający mi się z rąk, ale jednak. Ty natomiast działasz kompletnie po omacku. Uważaj na siebie!*

*Ufam, że otrzymasz ten list, nim jeszcze wyruszysz w podróż do Johansberga. Wspominasz, że co najmniej przez najbliższy miesiąc będziesz szukał materiałów mogących nakierować Cię na właściwy trop. Jeśli dobrze liczę, wiadomość ta powinna do Ciebie dotrzeć najdalej w trzy tygodnie po nadaniu. Mam wśród wojskowych dobrego znajomego, który winien jest mi niejedną przysługę. Dopilnuje on, by list poszedł razem z wiadomościami żołnierzy, a ci, jak wiadomo, dysponują nad wyraz sprawnym aparatem kurierskim. Mam zatem nadzieję, że nie przestraszyłeś się, gdy do Twoich drzwi zapukał ubrany w mundur jegomość.*

*Na ten czas to by było na tyle. Trzymaj się ciepło, stary druhu, bądź ostrożny (tak, wiem, już o tym pisałem, jednak znając Twój charakter, śmiem wątpić, czy w ogóle zwrócisz na to uwagę) i nie daj się pożreć lodowym wilkom.*

*Twój przyjaciel,*

*Victor Caillou*

Victor odczekał, aż wyschnie atrament, po czym delikatnie złożył kartkę i umieścił ją w kopercie. Rano dostarczy list do garnizonu, teraz jednak burczący żołądek przypominał mu o koniecznościach chwili obecnej.

W kuchni zastał Julię. Dziewczyna krzątała się po pomieszczeniu, przygotowując posiłek. Pod nosem cicho nuciła jakąś piosenkę. Rozpoznał słowa.

– Czym byłoby życie bez blasku miłości, jak pokochać można kogoś, kto w sercu ma gniew...

– ...gdy dłoń kochanka nóż dzierży zawieszony, miast zabrać od serca kolczasty ów krzew – dokończył Victor.

Julia odwróciła się, zawstydzona.

– To jedna z partii śpiewanych z *Kto zabił Amandę P.?* Samuela Zimmermana – wyjaśnił gość.

– A już się bałem, że będę miał problem ze znalezieniem aktorki o odpowiednim głosie.

– Niech panicz skończy już z tymi żartami. – Julia sięgnęła po bochenek chleba, który sprawnie pokroiła w cienkie kromki. – Nie nadaję się do gry na scenie.

- To się jeszcze okaże. – Victor nawet nie próbował się spierać. – Skąd znasz tę partię?
- Moja mama często ją śpiewała.

Victor zauważył pewną subtelną zmianę w jej zachowaniu. Julia opuściła głowę, ale uśmiechnęła się na wspomnienie matki.

- Co się z nią stało? – zapytał łagodnie.
- Zima ją zabrała. Nie wiem z jakiego powodu. Czasem tak bywa.

Głos był poważny, ale rozpacz i smutek wyparowały już dawno temu. Nie, nie wyparowały, poprawił się w myślach Victor. Po prostu... zostały przeżyte.

- Przykro mi.
- W porządku. – Odwróciła głowę w jego stronę i posłała mu uroczy uśmiech. – Wciąż mam jeszcze kochanego tatę. Proszę się nie przejmować.

Przybysz odwzajemnił uśmiech.

- Tak naprawdę nie przyszedłem cię tu wypytywać o prywatne sprawy – oznajmił. – Chciałem się tylko dowiedzieć, kiedy będzie kolacja.

- Dosłownie za chwilę.
- Poczekam. Zjesz ze mną?

Julia zarumieniła się.

- Godzi się, by służba jadała z gośćmi?
- Jeśli goście sobie tego życzą, to owszem, godzi się.

Dziewczyna przygotowała posiłek – chleb z masłem i szynką. Victor dawno już nie jadł chleba z masłem i szynką – towarzystwo, w którym przeważnie się obracał, nie uznawało jedzenia, którego nie spożywa się za pomocą minimum czterech sztuczków. Takie podejście z czasem zaczęło irytować Victora, który w gruncie rzeczy był człowiekiem prostym i nieskomplikowanym. Nie znaczyło to bynajmniej, że był głupi – choć niektórzy odnosili takie wrażenie, a on nie starał się wprowadzać ich z błędu.

Po zakończonym posiłku wrócił na górę. Położył się spać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. To był dobry dzień, uznał, zdmuchując płomień świecy.

## Rozdział III

### Wezwanie

**Miażdżąca krytyka – Minimalizacja kosztów i rozszerzanie działalności – Zaproszenie – Lord Rautenstrauch – Serce z lodu – Tradycje teatralne i współczesne wyzwania – Praca i niepokój**

Poranek kolejnego dnia oszczędził Victorowi wizji czy sennych mar, co od razu wprawiło go w świetny nastrój. Przez kilka długich chwil po otwarciu oczu leżał bez ruchu, wpatrując się w śnieżnobiały sufit. Wiedział, że dzisiejszy dzień będzie wypełniony pracą i dość ważkimi rozmowami, dlatego zwlekał ze wstaniem z łóżka. W końcu, kiedy poczucie obowiązku zaczęło górować nad lenistwem, Victor wygrzebał się spod pierzyny. Popatrzył na leżące na biurku papiery. Wczoraj podczas pobieżnych oględzin przed snem odkrył pośród nich łakomy kąsek w postaci krótkiej notatki autorstwa byłego dyrektora teatru, która okazała się zapisem pomysłu na nową sztukę opowiadającą o gwiazdnych podróżnikach. Nie było to nic dziwnego, mistrz częstokroć zapisywał pomysły na najbliższych dostępnych skrawkach papieru, po czym zapominał o nich. Szkic sztuki był krótki, ale zadziwiająco precyzyjny – fabuła rozplanowana została na siedem aktów – Zimmerman umyślnie nie stosował się do kanonu, który tragedie każe dzielić na pięć części. Historia opowiadała o czwórce przybyszów z gwiazd, którzy podróżują po rozmaitych światach w poszukiwaniu tajemniczego artefaktu o nieustalonym przeznaczeniu. Bardziej przypominało to streszczenie któregoś z tomów *Kozioróżca* niżli sztukę teatralną, ale Victor wiedział o tym, że późniejsze sztuki Zimmermana były popisem nieokiełznanej wyobraźni.

Chwilę pogrzebał w papierach, które przywiózł ze stolicy, po czym odnalazł list Jeremy'ego. Rozłożył go i zaczął czytać, choć treść znał niemal na pamięć.

*Szanowny Panie,*

*w przerwie pomiędzy moimi codziennymi obowiązkami udało mi się wreszcie przebrnąć przez to, co w swych listach szumnie nazwał pan „sztukami teatralnymi”. Zakładam, że uznaje je Pan za coś godnego głębszej uwagi, może nawet uznania. Jeśli tak, muszę Pana głęboko rozczarować – szczerze powiedziawszy, czytałem Pańskie „sztuki” jedynie wiedziony nadzieją, że gdzieś tam, na następnej stronie, czai się jakiś przebłysk większej formy, może coś, przy czym będzie się można uśmiechnąć bez zażenowania. Przeliczyłem się, niestety.*

*Wydarzenia zmieniające się jak w kalejdoskopie, rwany wątek, przenoszenie akcji z miejsca na miejsce, niczym w jakiejś opowieści snutej przy ognisku. Panie Zimmerman, nie rozumie Pan dostojności teatru, nie szanuje jego wieloletniej tradycji. „Ostateczne doświadczenie” nazwałbym snem wariata, gdyby nie stała za mną wrodzona przyzwoitość i...*

Całość listu utrzymana była w podobnym, szyderczo-pogardliwym tonie. Victor ze zniecierpliwieniem przewrócił kartkę, w końcu znalazł interesujący go fragment komentarza.

*...pisał pan o innej swojej sztuce, która jest w fazie rozwoju. Jeżeli ta, cytuję, epopeja o podniebnym mieście (swoją drogą, cóż to za absurdalny temat!) w treści i formie będzie podobna do Ostatecznego doświadczenia, to nie widzę sensu, by zwracał mi Pan nią głowę.*

A zatem sztuka ta już powstała. Obok *Ostatecznego doświadczenia* i niezatytułowanej pracy, której konspekt Victor trzymał właśnie w dłoniach, istniała także trzecia, utrzymana w podobnym fantasmagorycznym klimacie. Jeremy napomknął o niej jedynie, nie było jednak wątpliwości, że gdzieś tam, w czyjejs szufladzie, w kufrze na strychu, pod lawiną innych papierów, wciśnięte pomiędzy teczki w jakimś archiwum – te dzieła istniały. Musiały istnieć. Teatrológ nie dopuszczał do siebie żadnej innej ewentualności.

Victor umył się i ubrał. Delikatnie wodząc ostrzem brzytwy po policzkach, zastanawiał się, od czego najlepiej zacząć pracę. Z pewnością należy zamienić słowo czy dwa z panem Mancinim, przypomnieć mu o tym, by podczas remontu jego ludzie uważali na wszelkie znalezione dokumenty. Potem wybrać się do byłych aktorów i poprosić ich o sztuki Zimmermana – choć po rozmowie z madame Greene Victor nie spodziewał się cudów, to jednak nie wolno było zaniedbać tej poszlaki.

W jadalni czekała na niego pierwsza niespodzianka – Morgan Beckett, przedsiębiorca, który przybył do Vadeline wczorajszym konwojem.

Patrząc na nowego gościa, który zajmował się właśnie pałaszowaniem lanych kluseczek na mleku, Victor zrozumiał, czemu pani Cirque odnosiła się do niego z dystansem. Pan Beckett wyglądał niczym bardzo otyła łasica.

Dostrzegłszy Victora, mężczyzna uniósł głowę.

– Witam sąsiada. – Victor skłonił się uprzejmie.

– A witam, witam. – Beckett podniósł się z krzesła i podszedł do młodzieńca. Ocierał o siebie pulchne dłonie, oczyma strzelał na lewo i prawo – wypisz wymaluj lis, który wdarł się do kurnika.

– Victor Caillou – przedstawił się Victor, czując, jak jego dłoń tonie w spoconej łapie rozmówcy. – Bardzo mi miło.

– Morgan Beckett. Pan ze stolicy?

– Owszem. – Dyrektor usiłował możliwie taktownie oswobodzić rękę z wilgotnego uścisku. – Przyjechałem tu zaledwie przedwczoraj. Nie spodziewałem się, że tak szybko znajdę tu towarzystwo innych przybyszów.

– Ja podobnie. – Beckett puścił wreszcie dłoń Victora i gestem zaprosił go, by się do niego przysiadł. Młodzieniec z trudem powstrzymał odruch otarcia ręki o koszulę. – W ogóle nie powinno mnie tu być, jednak mój pryncypał, lord Giradoux, uprał się, bym rozeznał się w sytuacji, zanim jeszcze przybędą konkurenci. W czym się rozeznąć, pytam się. Ale cóż, pan każe, sługa musi, jak to mówią.

– Pracuje pan dla lorda Giradoux? – Victor z wdzięcznością przyjął talerz i miskę podaną przez Julię. Dziewczyna uśmiechnęła się doń, po czym posłała mu znaczące spojrzenie odnoszące się do Becketta. Dyrektor skarcił ją, marszcząc czoło. Julia roześmiała się cicho. – Nie wiedziałem, że jego firma działa tak daleko od rejonu Zachodniej Marchii.

– Bo nie działa – przedsiębiorca przełknął kolejną łyżkę zupy – gildia jubilerska lorda liczy na wynegocjowanie dobrych cen złota. Jako że złoto jest nowe i jeszcze niezbadane, przy odrobinie szczęścia możemy na tym interesie całkiem sporo zarobić.

– A czy taki interes nie zostanie zamordowany przez duże koszty transportu kruszcu? Na rubieżach grasują bandyci, którzy tylko czekają na takie łakome kąski, a wynajęcie ochrony swoje kosztuje.

Beckett podniósł do góry palec.

– Otóż właśnie. Dlatego postanowiliśmy założyć filię w najbliższym większym mieście. Minimalizacja kosztów transportu przy jednoczesnym rozszerzeniu działalności – powiedział

zadowolony z siebie.

– Jesteśmy na prowincji – zauważył Victor. – Ludzie tu raczej nie są łasi na rozmaite błyskotki, biżuteria musiałaby więc być w cenie na samej granicy rentowności przedsięwzięcia.

– Początkowo owszem. Ale z czasem to się zmieni. Nie powiedział pan jeszcze, którą z gildii pan reprezentuje.

– Żadną. – Victor uśmiechnął się. – Chyba że za gildię uznać Akademię Pięciu Sztuk. Jestem tu w sprawie miejscowego teatru, który mam zamiar przywrócić do istnienia.

– I dorobić się na spragnionych rozrywki przedsięwzięciach? – domyślił się Beckett.

– W zasadzie nie liczyłem na fortunę, ale owszem, można to tak ująć. Choć robię to głównie dla przyjemności.

– Ma pan kiepskie podejście do pieniędzy – uznał przedsiębiorca. Poskrobał łyżką o spód miski, a gdy stało się jasne, że nic więcej z niej nie wygrzebie, wstał i przeciągnął się. – Nie mam pojęcia, co robić – oświadczył. – Wprawdzie powinienem wybrać się na teren kopalni, ale podejrzewam, że pałętający się tam przedsiębiorca nie dowiedziałby się niczego od robotników, a tylko im przeszkadzał. Nie wie pan przypadkiem, czy są tu jakieś rozrywki?

– Z tego, co zdążyłem zauważyć, mieszkańcy raczej zajmują się swoimi sprawami. Polecilibym panu zaskakująco dobrze wyposażoną bibliotekę.

– Książki. – Beckett pogardliwie machnął ręką. – Mój ojciec zawsze powtarzał, że ostatecznie przydają się tylko jako wyrafinowany materiał opałowy. No, chyba że mówimy o księgach rachunkowych.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z pańskim ojcem. Książki to okna, przez które zaglądamy do nieistniejących światów.

– Tak jakby ten świat nie był dostatecznie powikłany.

Victor westchnął teatralnie.

– Widzę, że tutaj nie uda nam się dojść do porozumienia. Zostawmy tę kwestię. Może mi pan powiedzieć...?

W tym momencie w drzwiach stanęła pani Cirque. Po jej minie Victor od razu poznał, że nie przynosi najlepszych wieści.

– Paniczu Caillou...

– Słucham – Victor podniósł się z krzesła – czy coś się stało?

– Niezupełnie. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Po prostu otrzymał pan zaproszenie od lorda Rautenstraucha.

Dyrektor teatru znieruchomiał.

– Nie wiedziałem, że w mieście mieszka jakiś szlachcic – powiedział, autentycznie zaskoczony.

Do jadalni wszedł schludnie ubrany mężczyzna w średnim wieku. W oczy rzucały się jego stalowoszare oczy i binokle osadzone na wydatnym, orlim nosie.

– Lord osiadł na tych ziemiach dopiero miesiąc temu – oznajmił, kłaniając się pani domu i gościom. Ukłon był lekki i czysto formalny. – Nie dziwię się, że panicz o tym nie usłyszał. Lord Rautenstrauch nie jest osobą robiącą wokół siebie szum.

– A pan jest...? – zawiesił głos Victor.

– Dorożka już czeka. – Szpakowaty nieznajomy nie przedstawił się. – Liczę, że w miarę szybko zakończy panicz posiłek i przygotowuje się do wyjazdu.

– A jeśli nie mam czasu albo ochoty na tę wizytę?

Victor wiedział, że musi działać ostrożnie. Stąpał po wyjątkowo cienkim lodzie. Arystokracja należała do ścisłego kręgu ludzi zaufanych Białej Królowej. Nie miał najmniejszego pojęcia,

czego szlachcic mógłby chcieć od młodego teatrologa, a już na pewno – co robił na tak odległej prowincji. Jeśli powodowała nim ciekawość, to nic złego, jeżeli jednak ten Rautenstrauch coś podejrzewał...

I zaraz zmytygował się – skąd te podejrzania? Od czasu przybycia do Vadeline nie zrobił niczego, co mogłoby sugerować, że Victor Caillou jest kimś więcej, niżli tylko egzaltowanym samozwańczym zbawcą sztuki teatralnej.

Szpakowaty uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Och, nie musi panicz się go bać. Zareczam, że lord jest osobą o łagodnym usposobieniu.

– W to nie wątpię – odparł szybko Victor. – Jestem jednak człowiekiem zajęтым, a teraz mam przed sobą wybitnie dużo pracy. Ponadto uprzejmość nakazywałaby wysłać pisemne zaproszenie.

– Uprzejmość nakazywałaby złożyć formalną wizytę miejscowemu arystokracji od razu po przybyciu, szczególnie na jego wyraźne zaproszenie. – Szpakowaty wciąż się uśmiechał, jednak w jego głosie zabrzmiał chłód.

Victor przeniósł wzrok na panią Cirque. Kobieta była wyraźnie zaniepokojona. Dyrektor teatru, choć miał ochotę ciągnąć sprzeczkę, na ten widok postanowił nie przysparzać gospodyni ewentualnych nieprzyjemności.

– Pozwoli pan, że się przebiorę – oznajmił przybyszowi. – Za kilka chwil powinienem być gotowy.

Ubrany na czarno mężczyzna przyjął kapitulację bez satysfakcji. Wyszedł, umyślnie zdaniem Victora, zapominając o ukłonie.

– Nie powinien był panicz zwracać się tak do posłańca lorda Rautenstraucha – oznajmiła pani Cirque.

Dyrektor uśmiechnął się samymi ustami.

– Kim jest ów lord? – zapytał. I w myślach dodał: „Oraz czemu pani się go obawia?”

– Przeniósł się tutaj niespełna miesiąc temu. Podobno z powodu choroby córki. Dziewczynka źle się czuła w surowym klimacie Północy, dlatego lord osiadł tutaj, gdzie zimy są krótsze i łagodniejsze.

– Jaki on jest?

– Nie wiemy – odparła gospodyni. – Przybył tu wraz ze służbą, sam rzadko kiedy pokazuje się w mieście. Tylko plotki przedostają się zza murów nowo odbudowanego dworku.

– A zatem nie ma się czego obawiać – uznał Victor. – Jeśli ktoś w imię zdrowia i bezpieczeństwa najbliższych naraża się na niewygody, nie może być złym człowiekiem.

– Nie wie panicz wszystkiego. Powiadają...

– Tak?

Sally Cirque odwróciła wzrok.

– ...podobno Królowa dotknęła jego serca.

Victor zacisnął wargi. To wszystko zmieniało.

Plotki, pogłoski, opowieści snute w karczmach i przy ogniskach. O ludziach nagrodzonych przez Jej Wysokość, o tych, którzy swoimi zasługami przyczynili się do powiększenia jej chwały. O nielicznych arystokratkach bezgranicznie oddanych Królowej, noszących na piersi jej lodowe piętno.

Ubrana w śnieżnobiałą sunię Królowa podchodzi do klęczącego szlachcica. W komnacie nie ma nikogo – ta jedna ceremonia zawsze odbywa się bez świadków. Szczupłą bladą dłonią delikatnie rozchyła poły jego koszuli. Mężczyzna drży, ze strachu i ekstazy. Wie, że za chwilę przeżyje coś, co poznali tylko nieliczni. Drobną dłoń dotyka piersi mężczyzny, który czuje, jak ogarnia go

obezwładniający chłód. Odruchowo szarpie się do tyłu, jest już jednak za późno – lewa część klatki piersiowej płonie zimnym ogniem. Potem jest już tylko pełen bólu krzyk i ciemność utraty przytomności.

Nie wszyscy ją odzyskują. Zdarza się czasem – na tyle często, by nigdy nie mieć pewności – że pobłogosławiony ręką Królowej nie budzi się z gorączkowego, pełnego majaków i koszmarów snu.

Nikt nie wie, co się dzieje w sercach i umysłach tych, którym udało się przeżyć ów proces. Przeważnie zachowują się jak przed przemianą – przyzwyczajenia i manieryzmy nie zmieniają się. Może to być wszakże kamuflaż dla otoczenia, maska, która niegdyś była żywą tkanką. Co zatem kryje się pod tą maską? Nie wiadomo.

Victor otrząsnął się z wizji, która nawiedziła jego umysł. Spojrzał na wciąż zaniepokojoną panią Cirque, po czym uśmiechnął się przymusem.

– Proszę się nie obawiać. Porozmawiam sobie z lordem, po czym wrócę do miasta. Powinienem zjawić się na obiad.

Gospodyni nie odpowiedziała, kiwnęła tylko głową.

Victor poszedł na górę. Założył surdut, chwilę wahał się pomiędzy krawatem a muchą, w końcu zdecydował się na to drugie. Przebijając się, wciąż rozmyślał o tym, co też może chcieć od niego lord Rautenstrauch. Uznał, że nie ma większych powodów do obaw, jednak na wszelki wypadek należy zachować ostrożność.

Bezwiednie pomyślał o rewolwerze, który owinięty w nawoskowany papier tkwił na samym dnie nierozpakowanej jeszcze walizy. Neil, dobry zapobiegliwy Neil, niemal wcisnął mu go podczas ich ostatniego spotkania. Na nic się zdały tłumaczenia, że broń przynosi tylko kłopoty. Gdy Victor przytoczył stare porzekadło, że mędrzec powstrzyma armie siłą swojego umysłu, podczas gdy głupiec i komara nie ustrzeli z armaty, usłyszał tylko: „Wybacz szczerze, przyjacielu, ale bliżej ci do tego drugiego. Gwoli ścisłości, mam na myśli głupca, nie komara”.

Nie, uznał po chwili wahania. Nie warto nosić ze sobą broni. Kiedy masz broń, jesteś celem. Poza tym każdy strzał, każda śmierć niesie za sobą kłopoty. Nie tylko z prawem, ale i ze spokojnym snem.

Dopiął guziki surduta, łokciem przetarł wierzch cylindra, który zaraz potem wcisnął sobie na głowę, po czym chwycił laskę i rażnym krokiem ruszył na spotkanie z arystokratą.

Na dworze sypał drobny śnieg, powietrze było rześkie i lekkie. Dach podstawionej pod zajazd dorożki zdążył się już pokryć delikatną warstwą bieli. Szpakowaty czekał przed jej drzwiami, które uchylił, widząc nadchodzącego Victora.

– Ciekawi mnie powód, dla którego lord tak bardzo chce się ze mną spotkać – zaczął bez ogródek, gdy tylko ruszyli. Elegancki mężczyzna siedział obok niego i uśmiechał się lekko spod wąsa.

– Dowie się tego panicz na miejscu. Nie zwykłem wypytywać lorda o powody jego działań, zazwyczaj ograniczam się jedynie do wykonywania poleceń.

– A może jakieś podejrzenia? – zapytał teatrolog, po czym dodał: – I naprawdę byłbym wielce zobowiązany, gdyby zdradził mi pan w końcu swoje nazwisko. Jeśli nie z czystej uprzejmości, to dla dobra konwersacji.

Szpakowaty po raz pierwszy spojrzał Victorowi prosto w oczy. Nie było to spojrzenie wrogie, raczej obojętne i sondujące.

– Albrecht Łazariew – przedstawił się w końcu. – A co do podejrzeń... Nie ośmieliłbym się zwierzać z nich komuś, kto nie należy do ścisłego grona bliskich przyjaciół lorda. Rozumie

panicz, że to kwestia honoru.

– Rozumiem oczywiście. – Według Victora ludzie powołujący się na tę wartość zdolni są do najgorszych niegodziwości, byle tylko ich duma pozostała krystalicznie czysta. – Co zatem może mi pan opowiedzieć o lordzie bez naruszania ani jego prywatności, ani swojego honoru?

– Z pewnością słyszał panicz plotki o tym, że lord Rautenstrauch został uhonorowany przez samą Białą Królową – zaczął Łazariew po chwili milczenia. – Nim przeniósł się tutaj, był jednym z najbardziej wpływowych magnatów na dworze naszej władczyni. Jego kariera rozwijała się wręcz doskonale, możnowładcy zabiegali o jego względy i usiłowali swatać z nim swoje córki. Bezskutecznie, bo choć od tragicznej śmierci żony lorda minęło już dziesięć lat z okładem, lady Rautenstrauch wciąż jest żywa w pamięci męża. Działo się tak zapewne z powodu milady Niny, tak bardzo podobnej do matki. Dziewczynka była jedynym powodem, dla którego nie pogrążył się do końca w rozpacz. Za wszelką cenę usiłował wynagrodzić córce brak matki i swoją nieobecność...

– Na skutek czego milady stała się rozpuszczonym, zepsutym dzieckiem? – domyślił się Victor. Łazariew uśmiechnął się, lecz powiedział:

– Komentowanie metod wychowawczych mojego chlebobdawcy...

– Tak, tak, rozumiem – przerwał mu Victor. – Jedno lordowi trzeba przyznać, potrafi dobierać sobie pracowników. Pełna dyskrecja, co naturalnie wielce się chwali.

Albrecht Łazariew skinął głową, przyjmując pochwałę, leciutki zaś uśmiech wskazywał, że doskonale rozumie ukryty w niej przytyk.

Minęli ostatnie zabudowania miejskie. Za oknem rozciągał się biały krajobraz. Dorożka powoli toczyła się środkiem drogi. Otyły woźnica kołysał się lekko na koźle w rytm stukotu końskich podków.

– Nina zawsze była chorowitym dzieckiem – podjął Łazariew. – Wie panicz, jak zmienna i nieprzewidywalna jest aura terenów Północnej Marchii. Panujące tam warunki niemal uniemożliwiają życie gdziekolwiek poza zagrzebaną w ziemi stolicą. Nie dziwota zatem, że lord, w trosce o zdrowie córki, przeniósł się tutaj. Gdyby nie trzymające go na Północy interesy, zapewne przeniósłby się na dalekie Południe. Z powodu zobowiązań wobec Królowej i współpracowników postanowił zamieszkać w starym dworku należącym do jego rodziny. Za chwilę tam dojedziemy.

Victor w zamyśleniu kiwnął głową.

Dworek okazał się dużym, przestronnym budynkiem zbudowanym na niewielkim wzniesieniu. Caillou uśmiechnął się, widząc tak lubiany przez niego starodawny styl architektury – gmach wzniesiono jeszcze w czasach, gdy elegancja współlistniała z praktycznością. Choć widać było pewne oznaki wiekowości, był zaskakująco dobrze utrzymany.

Wnętrze powitało Victora pewną surowością wystroju. Znając gusta bogatych przedsiębiorców i arystokratów, dyrektor teatru oczekiwał ogromnego przepychu, ścian kapiących od gobelinów, podłóg wyścielonych eleganckimi dywanami, wymyślnych witraży w oknach... Tymczasem ozdoby korytarza i alkierza, do którego zaprowadził go Łazariew, ograniczały się do zaledwie kilku obrazów i wiekowego zegara z kukułką. Ta dziwna pustka mogła być spowodowana niedawną przeprowadzką i związanym z nią brakiem czasu na zajęcie się domem, lecz Victor intuicyjnie podejrzewał, że ascetyczny wystrój odzwierciedlał charakter pana domu. Przeczucie było silne i narzucało się samo, choć teatrolog unikał wyciągania pospiesznych i zbyt daleko idących wniosków.

Albrecht Łazariew z posłańca przeistoczył się w lokaja – odebrał od Victora cylinder i płaszcz



(młodzieniec zdecydował się zatrzymać laskę), po czym uprzejmym gestem wskazał jeden z foteli.

– Lord niebawem do pana dołączy – poinformował, znikając w drzwiach.

Victor rozejrzał się po pomieszczeniu. Podobnie jak reszta dworu było skromnie urządzone, jednak w tym konkretnym przypadku właściciel starał się chyba nadać mu pewien odrębny styl. Świadczyło o tym wysłużone biurko, na którym w karnym porządku leżały dokumenty, pióra i stemple, lecz znalazło się też miejsce dla małej porcelanowej figurki przedstawiającej roześmianego chłopca bawiącego się z ojcem.

Na ścianie wisiał duży portret przedstawiający młodą kobietę w krwistoczerwonej sukni. Podpis informował, że malowidło przedstawia lady Rautenstrauch. Zmarła żona lorda nie była olśniewającą piękną – miała zbyt okrągłą twarz i zbyt zadarty nos, by nazwać jej twarz doskonałą. Mimo to łagodny uśmiech i uwieczniony przez malarza błysk w oku świadczyły, że lady miała w sobie inne, wewnętrzne piękno.

Victor zorientował się, że ktoś za nim stoi. Nie odwracał się jednak, czekał na reakcję gospodarza. Kiedy ów się odezwał, nie udawał zaskoczenia.

– Victor Caillou – oznajmił lord. – Licencjat Akademii Pięciu Sztuk, dyplomowany teatrolog, z zamiłowaniem badacz starych manuskryptów i zapomnianych kronik.

Głos był głęboki, lekko wibrujący. Mógł należeć do dobrze trzymającego się starca albo zapracowanego mężczyzny w średnim wieku. Był to głos nawykły do wydawania poleceń i udzielania reprimend.

– Lord Rautenstrauch. – Victor wciąż się nie odwracał. Przez chwilę zastanawiał się, jaką przyjąć postawę, nie miało to jednak większego znaczenia. Tak czy inaczej zachowa się w swój zwyczajny sposób. – Tajemniczy arystokrata, o którym po raz pierwszy usłyszałem dzisiaj rano, choć tak znaczną personę powinienem był przecież poznać znacznie wcześniej.

Odwrócił się powoli. Może był to wynik długiego przesiadywania nad różnymi książkami, w których stroniący od ludzi szlachcic zawsze okazywał się groteskowym upiorem żywiącym się krwią dziewcząt, ale Victor spodziewał się ujrzeć wysokiego przystojnego bruneta odzianego w czarny płaszcz z czerwoną podszewką. Tymczasem lord był mężczyzną średniego wzrostu, niewiele wyższym od Victora, o lekko pucyfowatych policzkach i włosach tak jasnych, że mógł uchodzić za albinosa.

– Witam u pana. – Victor skłonił się, zastanawiając się, jak na tę nietypową formę powitania zareaguje gospodarz. Jeśli Rautenstrauch poczuł się w jakiś sposób urażony, nie okazał tego. Kiwnął tylko głową i zasiadł za biurkiem.

– Proszę usiąść – polecił. – Domyśla się panicz powodów, dla których go zaprosiłem?

– Przyznam szczerze, że nie. – Wiem już za to, od kogo Łazariew nauczył się tego przenikliwego spojrzenia, pomyślał Victor, patrząc w oczy lorda. – Samo zaproszenie było dla mnie sporą niespodzianką.

Uśmiech lorda niemal sięgnął jasnyniebieskich oczu. Ale tylko niemal. Rautenstrauch podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

– Słyszałem o panu – wyznał, wpatrując się w zasnutą bielą horyzont. – Człowiek sztuki. Marzyciel. Wyreżyserował pan kilka naprawdę udanych spektakli. Och, sam oczywiście nie mogłem być na żadnym z nich, ale czytałem recenzje. Na ogół dość przychylnie, choć niektórzy krytycy zarzucali im zbyt schlebienie niskim gustom. Ponoć dokonał panicz pewnych cięć i zmian w klasycznych scenariuszach.

– Owszem. – Victor nie miał pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, tak samo jak nie podejrzewał wpływowego bądź co bądź magnata o zainteresowanie teatrem. – Sztuka powinna być przyjazna

współczesnemu odbiorcy, urzekać go i dawać satysfakcję z obcowania z nią. Klasyczne spektakle są zbyt anachroniczne dla umysłów dzisiejszych widzów.

– Niektórzy uznaliby to za sprzeniewierzenie się wielowiekowej tradycji – stwierdził lord.

– Z całym szacunkiem, panie, ale dla mnie to właśnie tkwienie w miejscu przez wiele wieków jest przemieszczeniem się tradycji teatru. Ludzkość dorasta, zmienia się. Jeśli sztuka nie zmienia się i nie dorasta wraz z nią, po cóż nam ona? Tak samo jak dziecięce ubranie niepodobna założyć na ciało dorosłego człowieka. Za ciasno, uwiera, pije pod pachami.

Rautenstrauch zerknął na Victora tym swoim nieodgadnionym spojrzeniem.

– Rozumiem punkt widzenia panicza – powiedział. – Jednak niektórzy mogliby stwierdzić, że zbliżanie kultury do gminu może w końcu doprowadzić do jej degeneracji.

– Znam ten argument. I wiem, że głoszą go niepewni swoich umiejętności grafomani. Każdy dureń może napisać sążnistą sztukę naszpikowaną nudnymi elaboratami o życiu, śmierci i przeznaczeniu. Podobnie nie potrzeba wielkich umiejętności, by przypodobać się pospólstwu prostą jednoaktówką o kumoszkach czy dzielnym szewczyku. Ale stworzyć dzieło, które zachwyci zarazem mędrca, jak i mieszczanina? Tu trzeba już dużych umiejętności, wielkiego wyczucia i olbrzymiej dozy talentu. A to przecież domena nielicznych.

Rautenstrauch nie odpowiedział od razu. Wciąż wpatrywał się w okno, jakby dojrzał tam coś niepomiernie bardziej interesującego niż jego rozmówca.

– Śmiała teza – uznał w końcu – Ale wątpię, by przysporzyła ona paniczowi popularności w środowisku akademickim. Zdaje się, że tam panują raczej konserwatywne poglądy.

– Jesteś, panie, nad wyraz dobrze poinformowany.

W tym momencie do pokoju wszedł Łazariew. W dłoniach niósł tacę z dwoma wysokimi kieliszkami i butelką.

– Napije się panicz? – zapytał lord i nie czekając na potwierdzenie, otworzył butelkę, by rozlać wino.

– Lordzie Rautenstrauch – Victor ujął podany kieliszek – wciąż nie wiem, po co zostałem tu wezwany.

– Zaproszony – poprawił bez nacisku arystokrata. – Wie pan, Caillou, dlaczego wyniosłem się ze stolicy?

– Z powodu stanu zdrowia pańskiej córki. Tak przynajmniej słyszałem.

– Owszem, był to główny powód. Nie ukrywam, że z ciężkim sercem opuściłem tereny Północy. Zostawiłem tam moje zobowiązania. W chwili, w której rozmawiamy, cały sztab księgowych pilnuje moich interesów. Każdego dnia dostaję raporty, pytania i umowy, na których musi widnieć moja pieczęć i mój podpis. Choć mieszkam tu przeszło miesiąc, już dwa razy musiałem ruszać w podróż. Bywają jednak tygodnie, gdy nie mam absolutnie nic do zrobienia.

– Jeśli potrzebujesz, panie, towarzystwa, tuż obok masz miasto pełne sympatycznych mieszkańców.

Lord Rautenstrauch roześmiał się głośno.

– Szlachcic pośród mieszczan! Wyobraża panicz to sobie? O czym miałbym z nimi rozmawiać?

Może o tym, czemu budujesz pomiędzy wami mur milczenia, pomyślał Victor, ale oczywiście nie powiedział tego na głos. Różnice klasowe topniały, czego najlepszym przykładem była otwarta na wszystkich uzdolnionych młodzieńców Akademia – nieważne, czy pochodzili z gminu, czy z arystokracji. Jeszcze kilkanaście lat temu taka sytuacja była wręcz nie do pomyślenia.

– Zatem potrzebujesz, panie, partnera do rozmowy – podjął. – Niedługo wręcz zaroi się tu od przedsiębiorców i ich pełnomocników. Z całą pewnością każdy z nich będzie chciał zamienić

słowo czy dwa z tak znamienitym arystokratą.

– Jakbym nie miał dosyć spraw finansowych. – Lord uśmiechnął się i po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia rozmowy był to prawdziwy uśmiech, a nie wystudiowany grymas obliczony na zamierzony efekt. – Wie pan, Caillou, w młodości lubiłem chodzić do teatru. Oczywiście, musiałem zrezygnować z tego typu rozrywek, kiedy na dobre przejąłem interesy ojca. Wciąż jednak od czasu do czasu udawało mi się wygospodarować jeden wolny wieczór przeznaczony na wyprawę do przybytku sztuki scenicznej. Może będę miał okazję powrócić do dawnych zainteresowań? Cóż, zobaczymy. Na razie jednak musimy omówić sprawę, z powodu której panicza zaprosiłem.

– A jednak jest jakaś konkretna sprawa? Nie tylko chęć zaspokojenia potrzeby konwersacji?

Lord Rautenstrauch odwrócił się gwałtownie. Nie wyglądał już tak przyjaźnie i spolegliwie jak jeszcze kilka chwil temu.

– Samuel Zimmerman – powiedział. – Szaleniec, który spiskował przeciwko Jej Wysokości. Zdaje się, że uczynił panicz z niego kogoś w rodzaju swojego patrona. Odszczepieńca, który ośmielił się podnieść rękę na władzę Białej Królowej.

– Samuel Zimmerman – Victor ważył każde słowo – był geniuszem pokonanym przez własny umysł. Nie można potępiać go za to, co uczynił w ślepym szaleństwie, przyznał to nawet Królewski Urząd Cenzorski.

– Jednakże gloryfikacja rewolucjonisty, choćby i obłąkanego, nie jest najlepiej widziana. Nigdzie. Przez nikogo. Tymczasem chce panicz wystawić jego sztuki na deskach odbudowanego teatru. Pod moim nosem. Stąpasz po cienkim lodzie, Caillou. Co więcej, po twojej minie widzę, że nie zechcesz posłuchać głosu rozsądku i w porę zawrócić. Gdy usłyszysz trzask pękającej kry, może być już za późno.

Victor spojrział w ciemnoniebieskie oczy lorda. Królowa dotknęła jego serca, pomyślał. Wszystko wskazuje na to, że skaziła też myśli i duszę.

– Schlebiasz mi, lordzie – powiedział, podnosząc się z miejsca. – Nie interesują mnie życie i poglądy Zimmermana, a jedynie twórczość, geniusz zawarty w sztukach, które wyszły spod jego pióra. Nie jest to wykroczenie. A teraz pozwolisz, panie, bym cię opuścił. Wzywają mnie niecierpiące zwłoki sprawy związane z odbudową teatru.

– Przemysli panicz moje słowa?

– Już to zrobiłem.

– I?

Victor raz jeszcze spojrział lordowi prosto w oczy. Przez chwilę wydawało mu się, że jest w nich coś więcej, coś poza lodowatą obojętnością, ale równie dobrze mogło to być złudzenie spowodowane grą przedpołudniowego światła.

– Mimo iż gmach jest jeszcze niewyremontowany, nie mam aktorów, kostiumów i dekoracji, już teraz zapraszam cię, panie, na najbliższy spektakl.

Na zimny uśmiech lorda odpowiedział własnym, szczerym i ciepłym.

– W takim razie to by było na tyle – oświadczył Rautenstrauch. – Miło mi było panicza poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Victor.

Jak na zawołanie do pokoju wszedł Łazariew.

– Albrechcie, odprowadź panicza Caillou do wyjścia – polecił mu lord.

Sługa Łazariew skinął głową i uprzejmie przytrzymał drzwi wychodzącemu Victorowi. Teatrológ nie odzywał się, dopóki nie opuścili dworku.

– Panie Łazariew – rzekł, gdy sługa zasiadł obok niego w dorożce. – Ma pan bardzo ciekawego gospodarza. Pomimo rozmowy z nim wciąż nie potrafię ocenić, jakim jest człowiekiem.

Uśmiech sługi mógł znaczyć absolutnie wszystko – łącznie z niepodszytym podtekstami uprzejmym zainteresowaniem.

Victor zadumał się. Obraz na ścianie, figurka na biurku... O ile nie były to zaledwie rekwizyty mające nadawać właścicielowi gabinetu pozory ludzkich cech, znaczyłyby one, że lord Rautenstrauch nie jest takim bezdusznikiem, jakiego teatrolog spodziewał się spotkać. Choć, oczywiście, Królowa dotknęła jego serca. Nic już nie było pewne, nie po tym owianym mitami procesie. Ale pomijając to – jak i nieudaną próbę zastraszenia Victora – lord wydawał się miłym, obowiązkowym człowiekiem. Bez trudu można było go sobie wyobrazić, jak godzinami wnikliwie studiuje raporty i umowy, kreśli listy, podpisuje weksle, od czasu do czasu pociąga za sznurek dzwonka, by wydać polecenie któremuś z podwładnych. Równie łatwo przychodziła wizja Rautenstraucha bawiącego się na bankiecie w gronie znajomych, wymieniającego kolokwialne uwagi, śmiejącego się z opowiadanych anegdot czy przechadzającego się z żoną i córką po gwarynych uliczkach miasta. A jednak... coś w oczach lorda sprawiało, że w każdą taką imaginację wkładał się jakiś nieuchwytny fałsz, coś zimnego i twardego niczym skuta lodem tafla jeziora.

Teatrolog wzruszył ramionami. Wizyta u arystokraty wytrąciła go nieco z równowagi, to musiał przyznać. Skrycie liczył, że na prowincji uda mu się uniknąć tego typu nieprzyjemności – szlachta zawsze lubiła na każdym kroku pokazywać swoją władzę i prestiż. Zwłaszcza teraz, gdy jej wpływy topniały z roku na rok, powoli, lecz nieubłagane. Potężne gildie rzemieślnicze przejmowały rolę, jaką dotychczas pełniła arystokracja. Skostniała struktura szlachty nie potrafiła poradzić sobie z tymi prężnymi organizacjami. Pośrednio to dzięki temu sztuki Zimmermana mają szansę odnieść sukcesy w niedalekiej przyszłości, wraz bowiem ze zmianą struktur społecznych szła też zmiana wzorców. Do oper i teatrów coraz częściej zaczęli uczęszczać dorobkiewiczze, którym nużące sztuki o cierpiętniczej miłości niekoniecznie musiały przypadać do gustu. Ci ludzie wychowali się na innego rodzaju opowieściach – snuty przy ognisku historiach o poszukiwaczach przygód, myśliwych czy najemnikach. Swoje zrobił też autor słynnych na całą Zimę *Koziorożców*, które to powieści, wyśmiewane przez poważnych krytyków, podbiły serca wielu czytelników. Wartka akcja, rubaszny humor, tajemnicze organizacje, złowieszczy wrogowie – tego oczekiwali współcześni. I gdzieś w tym galimatiasie, gdzieś pomiędzy niską a wysoką kulturą, pomiędzy salonem a nizinnym szlakiem, pośród karczemnych bójek i poetyckich odczytów zaistniał Samuel Zimmerman, którego zbawianie dusz obchodziło równie mocno, co tworzenie przejmujących opowieści. W czasach, w których tworzył, nie było jeszcze odbiorcy mogącego w pełni docenić jego dzieła. Jak to często bywa, geniusz wyprzedził swoją epokę.

Dorożka zatrzymała się i zatopiony w rozmyślaniach Victor zorientował się, że wrócił już do miasta. Wyprostował się, obciągnął płaszcz i odwrócił się do Łazariewa:

– Żegnam pana. Mam szczerą nadzieję, że spotkamy się jeszcze w miłszych okolicznościach.

– I ja – Łazariew skłonił głowę – mam taką nadzieję.

Dorożka odjechała, zostawiając Victora na odśnieżonym poboczu. Teatrolog przeciągnął się z ulgą – siedzisko było zbójcko twarde i niewygodne – po czym ruszył w stronę zajazdu.

Morgan Beckett drzemał w fotelu przy kominku. Przechodzący obok otwartych drzwi świetlicy Victor zauważył, że rozłożona na wydatnym brzuchu gazeta unosiła się i opadała w rytm pochrapywania przedsiębiorcy. Widok ten przywodził na myśl żagiel łódki powiewający na łagodnym wietrze. Płonące polana trzaskały w kominku, zza uchylonego leciutko okna dobiegał przytłumiony gwar toczącego się na ulicy życia. Ten sielankowy widok niemal przekonał Victora,

by legnąć na sąsiednim fotelu i oddać się w objęcia Pani Snu. Pokusa była silna, oparł się jej jednak – miał zbyt wiele do zrobienia. Odpoczynek... na odpoczynek przyjdzie jeszcze czas.

Kartka z nazwiskami byłych aktorów leżała na biurku, tam, gdzie Victor ją wczoraj zostawił. Postanowił odwiedzić przynajmniej niektórych i popytać o sztuki Zimmermana.

Nie przyniosło to wielkiego skutku. Za każdym razem witano go z otwartymi ramionami, goszczono niczym pierwszego marszałka Białej Królowej, chętnie udzielano wszelkich pożądanых informacji, kiedy jednak Victor pytał o to, co interesowało go najbardziej, napotykał tylko rozłożone bezradnie ręce. Choć od początku nie spodziewał się niczego innego, z każdym przepraszającym uśmiechem na twarzy kolejnego byłego aktora mina wydłużała mu się coraz bardziej. Pod sam koniec nie starał się nawet kryć rozczarowania.

Gdy powrócił do zajazdu, słońce chyliło się już w stronę horyzontu. Szybki obiad, praca przy dokumentach, wieczorne odwiedziny gmachu teatru, po którym kręcili się już ludzie Manciniego – tak spędził resztę dnia, choć myślami wciąż był w ascetycznym dworku lorda Rautenstraucha. Czuł, że cała ta sprawa może mu zaszkodzić, choć zupełnie nie miał pojęcia w jaki sposób. Arystokrata nie dysponował żadną realną władzą. Oczywiście, pozycja i piętno Królowej przydawały mu autorytetu i przy odpowiednim podejściu mógł wywrzeć nacisk na mera i radę miejską, jednak z tego, co słyszał Victor, Rautenstrauch trzymał się z daleka od Vadeline i jego mieszkańców. Irytujący idealista ze stolicy mógł, rzecz jasna, zmusić szlachcica do skontaktowania się z Enderbym, ale dyrektor teatru szczerze w to wątpił.

Niemniej postanowił tego nie bagatelizować.

## Rozdział IV

### Remont

*Charaktery realne i fikcyjne – Kurtyna! – Inżynierowie ze skłonnością do eksplozji – Tożsamość Jeremy’ego – Jak to jest być rewolucjonistą? – W pogoni za Zimmermanem*

– Dobrze zatem – Victor powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych – chciałbym wszystkim was powitać na pierwszym zebraniu grupy teatralnej działającej w Vadeline. Jak zapewne wiecie, nazywam się Victor Caillou i mam zaszczyt być nowym dyrektorem tutejszego teatru. Jako że gmach jest obecnie w remoncie, a pani Cirque okazała się na tyle uprzejma, że udostępniła nam świetlicę swojego zajazdu, przynajmniej dopóki nie będziemy przeszkadzać gościom, tu właśnie będziemy się spotykać.

Raz jeszcze spojrzął na swoich aktorów. Julia uśmiechnęła się do niego. Filip i Emilia – rudowłose rodzeństwo, dzieci jednego z byłych aktorów. Ponury Igor o ciemnoniebieskich oczach i smutnym spojrzeniu. Kędzierzawy, pucułowaty blondyn Alain. A pomiędzy nimi madame Cyntia Greene z miną cesarzowej pośród swoich poddanych. To ona odpowiedzialna była za dobór aktorów i po krótkiej rozmowie z każdym z nich Victor przekonał się, że słusznie postąpił, ufając jej w tej kwestii. Nie byli zawodowymi aktorami, ale brak kunsztu nadrabiali zapalem i entuzjazmem. Z pewnością po kilku miesiącach intensywnych prób przynajmniej niektórzy osiągnął poziom gry aktorskiej, który będzie co najmniej zadowalający. To więcej, niż Victor się spodziewał. Zdarzało mu się współpracować z amatorami, rzadko kiedy jednak trafiali mu się równie obiecujący debiutanci. Patrząc na nich, powoli przestawał się dziwić, że geniusz mistrza rozkwitł akurat w tym miejscu, w jak żywo wyjętym ze scenicznej baśni miasteczku.

– No dobrze – podjął. – Z pewnością niektórzy z was słyszeli o Samuelu Zimmermanie, poprzednim dyrektorem teatru Vadeline i wziętym dramaturgu. Chcąc go uhonorować, postanowiłem, że pierwszą sztukę, jaką wystawimy, będzie najsłynniejsza praca tego artysty, czyli *Kto zabił Amandę P.?* Jest to opowieść o miłości, smutku, rozstaniu i sile ludzkich uczuć. Młoda Amanda zakochuje się w Brianie, zazdrosny o nią Tristan sprzymierza się ze złowrogim i szalonym Jackiem, który koniec końców okazuje się ojcem Amandy. Amanda ginie z rąk Jacka, Tristan zaś pogrąża się w żałobie, jednocześnie usiłując dociec, co spotkało jego ukochaną. Sztuka jest długa i złożona, jednak poza wymienionymi przeze mnie postaciami ma jeszcze tylko jedną ważną bohaterkę, mianowicie babcię Amandy, w którą zgodziła się wcielić madame Greene. Dziś chciałbym przydzielić wam role oraz rozdać kopie scenariusza. Jakies pytania? – Podniósł wzrok. Jego świeżo upieczeni aktorzy nie odzywali się, widać onieśmieleni jeszcze całą sytuacją. Victor mimowolnie przyrównał ich do siebie, kiedy dopiero zaczynał poznawać świat teatru i wiedział, że rumieniec zawstydy z czasem ustąpi czystej radości gry.

Następną godzinę spędzili na ustalaniu, kto kogo zagra. W czasie tej dyskusji przełamano pierwsze lody, w grupie zaczęła nawiązywać się nić porozumienia. To właśnie Victor uwielbiał najbardziej – gdy garstka ludzi zjednoczonych wspólnym celem zaczyna działać razem, gdy całość staje się czymś więcej niż tylko sumą zawartych w niej części i rodzi się coś nowego.

Filip okazał się wesołym dorastającym chłopcem, który może nie był tytanem intelektu, ale za swoją młodszą siostrą skoczyłby w ogień. Po krótkim namysle Victor wstępnie przypisał mu rolę Tristana.

Emilię opisać można było jako młodszą wersję Cynthii Greene – z pozoru złośliwa i nieznosząca sprzeciwu, zyskiwała po bliższym poznaniu. Otrzymała rolę służki Amandy.

Igor pod maską ponurej wyniosłości okazał się sumiennym, odpowiedzialnym młodym człowiekiem, może odrobinę zbyt sztywnym, by uznać go za przyjemnego towarzysza. Niemniej jednak, deklamując kwestie Jacka, którego rolę otrzymał, spisywał się znakomicie.

Alain był wręcz stworzony do roli Briana – uśmiechnięty, lekko roztrzepany chłopiec o dużych, niebiskich oczach i nieco zaokrąglonych policzkach, które nadawały jego twarzy niemal dziecięcego wyrazu. Miał, co prawda, niejaki problemy z zapamiętywaniem swoich kwestii, ale dykcji i odpowiedniej ekspresji wypowiedzi nie można mu było odmówić pod żadnym pozorem.

Próba wypadła pomyślnie. Świeżo upieczeni aktorzy jękali się, mylili kwestie, zacinali się, czerwienili, wybuchali śmiechem wskutek zabawnych pomyłek bądź przejęzyczeń. Victor nie spodziewał się niczego innego, pierwsze spotkanie miało służyć tylko i wyłącznie uchyleniu kurtyny i wpuszczeniu za nią kilkorga młodych, pełnych werwy ludzi. Na odsłonięcie sceny przyjdzie jeszcze czas.

– Nie powiem, bym była zachwycona – powiedziała madame Greene po zakończeniu próby. – Ale niech się pan nie martwi, za miesiąc czy dwa będą grać niczym zawodowcy.

– Jestem tego pewien – powiedział z przekonaniem Victor, odprowadzając aktorkę do wyjścia.

Reszta dnia minęła mu na gorączkowym bieganiu po całym mieście i załatwianiu rozmaitych spraw. Należało porozmawiać z krawcem o kostiumach, z Mancinim o dekoracji, zorganizować całe mnóstwo mniej lub bardziej ważnych rzeczy. Niezmiernie pomocny okazał się tu Patrick Kronstam, który wydawał się najlepiej poinformowanym człowiekiem w całym Vadeline.

– Paniczu Caillou! Niech panicz spojrzy! – zawołał go jeden z robotników remontujących gmach teatru.

Zaciekawiony Victor wyminął trzech innych pracowników, schylił głowę, by nie zderzyć się z niesioną przez Manciniego i jego pomocnika belką stropową, i podszedł do wołającego go. Mężczyzna – jak wszyscy co do jednego pracownicy Manciniego barczysty i potężny niczym niedźwiedz – z uśmiechem na ustach wydobył spod sceny wielki krwistoczerwony rulon. Victor od razu zorientował się, na co patrzy.

– Kurtyna! – zawołał, pochylając się nad znaleźnikiem. Materiał był brudny, spłowiały i w wielu miejscach dziurawy, ale dyrektor od razu zdecydował, że zachowa kurtynę. Ten materiał pamiętał czasy Samuela Zimmermana, był świadkiem jego sukcesów. Dla Victora był zatem cenniejszy niż wszystkie tkaniny i jedwabie tego świata. – Połatamy ją i już niedługo powróci na swoje miejsce – oświadczył.

– Jest bardzo zniszczona – ocenił towarzyszący mu Patrick. – Taniej by paniczowi wyszło zamówić nową. Poza tym co powiedzą ludzie, jak zobaczą połataną kurtynę?

– Gdyby chodziło o zasłony do biura księgowych, to byłaby prawda. – Victor czule gładził miękki materiał. – Ale teatr, młody człowieku, to nie biuro czy gabinet. Teatr to szaleństwo. Czyste, wspaniałe, nonsensowne szaleństwo.

Patrick, który zdążył się już przyzwyczaić do dziwactw swojego pracodawcy, wzruszył tylko ramionami.

– Jak panicz chce – powiedział. Wychodził z założenia, że lepiej nie kwestionować słów panicza Caillou, przynajmniej dopóki nie wiąże się to z nadmiernym wysiłkiem fizycznym.

Kurtyna szybko trafiła w bezpieczne miejsce, a jej odnalezienie zdawało się niezmiernie cieszyć Victora, który uznał to za dobry znak, swoisty omen. Dobry humor dyrektora pogłębiało też iście błyskawiczne tempo prac remontowych. Mancini był profesjonalistą w każdym calu.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział majster, gdy dyrektor do niego podszedł. – Kocioł grzewczy musi pójść do wymiany. Czas obszedł się z nim nad wyraz brutalnie. Część rur także należałoby wymienić... – Zamyślił się. – W zasadzie to nawet większość. Wygląda na to, że będziemy niestety potrzebować pomocy braci Alfieri...

– Niestety? – Victor uniósł głowę. – Czyżby tacy z nich byli kiepscy kotlarze?

– Inżynierowie – poprawił Mancini, krzywiąc się lekko. – Tak się przynajmniej każą nazywać. Fabian i Diego Alfieri mają swoją pracownię w mieście. I nie, nie są kiepscy. Mając za ojca kowala, a za matkę zegarmistrzynię, trudno nie odziedziczyć smykałki do rzemiosła. Tak... – Mancini w zamyśleniu poskrobał się po brodzie. – Co do braci, to utalentowani z nich młodzieńcy, nie można powiedzieć. Tyle tylko że... cóż, niektórzy twierdzą, że brak im paru klepek.

– Raczej całego zadaszenia – dodał jeden z pomocników Manciniego, który przysłuchiwał się rozmowie.

– Za ich sprawą w zeszłym roku wybuchły trzy pożary – wtrącił Patrick. – W ratuszu eksplodował kocioł. Od tego czasu ludzie wolą zatrudniać kotlarzy z sąsiedniego miasta.

– Prawda – potwierdził skinieniem głowy majster. – Ale trzeba przyznać, że jeśli powstrzyma się ich niszczyielskie zapędy, bracia Alfieri okazują się prawdziwymi fachowcami. W naszym warsztacie mamy ich instalację grzewczą i jak dotąd nie popsuła się ani razu. Wieczorem się do nich przejdę i wszystko uzgodnię – westchnął.

– Ja to zrobię – zdecydował Victor. – Z tego, co pan opowiada, ci bracia są naprawdę interesującymi indywiduami. Proszę to nazwać kapysem, ale bardzo chciałbym ich poznać.

– Jak panicz chce. – Stolarz wzruszył ramionami. Podał dyrektorowi narecze gęsto zapisanego papieru. – Niech im panicz to da i spyta, co o tym myślą. W rozmowie z nimi należy kategorycznie zaznaczyć, że nie potrzebuje pan żadnych udiwnień, jedynie klasyczną, prostą instalację. Proszę im przerywać za każdym razem, gdy któryś powie „nowatorska”, „eksperymentalna”, a przede wszystkim „nieprzetestowana”. Gdyby zaś usłyszał panicz słowo „innovacje”, proszę natychmiast uciekać albo schować się za czymś ciężkim. – Mancini uśmiechał się, choć nie na tyle szeroko, by można było zupełnie zignorować jego żartobliwą przestrożę.

– Dobrze zatem – Victor zrolował dokumenty i wetknął je za pazuchę – Patricku, idziemy.

Gawędząc i dowcipkując, chłopiec i dyrektor dotarli do warsztatu braci Alfieri. Patrick zatrzymał się przed wejściem.

– Poczekam tu na panicza – oświadczył. – Nie mam zamiaru tam wchodzić nawet za całą górę orenów.

– Ależ, drogi Patricku – Victor uśmiechał się lekko spod runda cylindra – tam nie może być aż tak strasznie.

– Panicz ich nie zna – wymamrotał chłopiec. – Tam pracują wariaci, takie jest moje zdanie. Raz, jak przechodziłem obok warsztatu, usłyszałem wielki huk dobiegający z dachu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem kulę armatnią, która wystrzeliła z komina.

– Cóż to za nonsens! – Teatrológ zmarszczył nos. – Kula armatnia? Nie nabierasz mnie aby, młodzieńcze?

– Żeby tak miał skonać na miejscu! – Patrick wyprostował się z godnością.



– Niesłychane... – Victor pokręcił głową, ale po chwili wahania przekroczył próg warsztatu.

Wnętrze tonęło w półmroku, gorącu i okrutnym zaduchu. Teatrológ już po paru chwilach zdjął płaszcz i cylinder, po paru następnych musiał przetrzeć czoło dobytą z kieszeni chustką.

Pomieszczenie wyglądało jak graciarnia. W niczym nie przypominało pachnącego żywicą i porządkiem warsztatu pana Manciniego, gdzie każdy przedmiot i człowiek miał swoje ściśle ustalone miejsce i przeznaczenie. Naraz dyrektor usłyszał dwa sprzeczące się ze sobą głosy. Nie zastanawiając się, ruszył w ich kierunku.

– Nie wiem, co ty sobie znowu uroiłeś! – oburzał się jeden głos.

– Kiedy to ma sens, nie rozumiesz? – upierał się drugi, niezwykle podobny do pierwszego. Przypominało to nieco szaleńca sprzecającego się z sobą samym w delirycznym uniesieniu. – Wiele małych kotłów połączonych ze sobą siecią rur, każdy z własnym systemem grzewczym.

– Bzdura! Koszt utrzymania takiego systemu byłby olbrzymi. To już taniej w każdym pomieszczeniu wstawić kominek. Jeden duży kocioł, powiadam! Przez te twoje fanaberie ludzie w mieście mało nas nie przepędzili.

– Nie ja zamontowałem ten nieprzetestowany regulator ciśnienia w ratuszu.

Pierwszy głos zamilkł, zapewne z urazy. Victor uznał, że to dobry moment, by wkroczyć do akcji. Wyprostował się i wynurzył zza sterty żelastwa.

– Witam panów. – Skłonił się uprzejmie osłupiałym właścicielom głosów, którym miał teraz szansę dobrze się przyjrzeć.

Bracia wyglądali kropka w kropkę tak samo. Te same kruczoczarne włosy, te same brązowe oczy i śniada skóra, która sugerowała pochodzenie z Południa. Różnił ich jedynie ubiór i układ plam smaru i sadzy na twarzach.

– Nazywam się Victor Caillou – ciągnął. – Jestem nowym dyrektorem tutejszego teatru.

– Starszy inżynier Diego Alfieri – przedstawił się jeden z braci, właściciel oburzonego głosu. – Ten tu jegomość to mój brat, młodszy inżynier Fabian Alfieri.

– Młodszy? – Victor uniósł brew.

– O ćwierć obrotu klepsydry – wyjaśnił Fabian. – Diego mocniej pchał się na ten świat, żeby go zmroziło, łapserdaka jednego.

Victor rozpoznał charakterystyczny śpiewny akcent, jakim porozumiewali się bracia. Sam jakiś czas przebywał na Południu, machinalnie więc przeszedł na tę gwarę.

– Właściwie... – zaczął, ale w tym momencie dojrzał, jak z jednej z podwieszonych pod sufitem rur wydobywają się gęste kłęby pary. – Czy to powinno tak robić?

Obaj bracia równocześnie zadarli głowy.

– A niech to mróz zetnie! – zawołał Diego, po czym rzucił się w głąb pomieszczenia. – Fabian, nasadowy ósemka, migiem!

Drugi brat pognał w ślady pierwszego. Tymczasem z nieszczęsnej rury zaczął wydobywać się nieprzyjemny wizg. Victor zerknął w stronę inżynierów, którzy gorączkowo krzatali się przy olbrzymim kotle stojącym w kącie pomieszczenia. W końcu krzątania ustała, a para przestała się ulatniać.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podchodząc.

Diego z ulgą opierał się o ścianę, Fabian wciąż grzebał przy kotle.

– Tak, tak... – Starszy inżynier otarł czoło. – Drobną awarię, naprawdę nie ma się czym przejmować. Wprowadzamy pewne innowacje do naszego systemu i od czasu do czasu mamy... małe problemy.

– Rozumiem – stwierdził dyplomatycznie dyrektor. – Poniekąd w tej sprawie przychodzi.

Otóż, jak zapewne panom wiadomo, obecnie trwa remont budynku teatru. Mówiąc krótko, chciałbym panów wynająć do naprawy lub też nawet wymiany systemu grzewczego.

Inżynierowie wymienili się spojrzeniami.

– Mówi pan o tym wielkim budynku, w którym mieści się magazyn? – zapytał Diego.

– Tym olbrzymim gmachu, który z całą pewnością wymagać będzie nietypowych, eksperymentalnych układów instalacyjnych? – zapalił się Fabian.

– Jestem przekonany, że wystarczająco tradycyjne – ostudził jego zapał Victor. – Nie, bym miał coś przeciwko postępowi, ale naprawdę wolałbym uniknąć eksplodujących kotłów.

– Już panicz słyszał o tej... awarii w ratuszu? – zmartwił się młodszy z braci. – To było jednostkowe niedopatrzanie, które nigdy się nie powtórzy.

– Dlatego że nikt już nie zechce z nami współpracować – dodał ponuro Diego. – Od tamtego pożaru nie dostaliśmy ani jednego zlecenia. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli się stąd wynieść i spróbować gdzie indziej.

– Z pewnością nie jest tak źle – powiedział dyrektor. – Jeśli dobrze się spisiecie przy pracy w teatrze, ludzie odzyskają do was zaufanie. – Wyciągnął plany, które przekazał mu Mancini i podał je starszemu inżynierowi.

Diego przeszedł je uważnie, po czym podszedł do zakurzonego stolika, jednym ruchem zrzucił zeń walające się po blacie drobiazgi i rozłożył plany. Przez jakiś czas wraz z bratem pochylali się nad nimi, zawzięcie o czymś dyskutując. Diego wydobył z kieszeni kawałek węgla, którym zakreslił kilka miejsc na arkuszu, co spowodowało kolejną kłótnię. W końcu bracia wrócili do lekko zniecierpliwionego już Victora, który przezornie rozglądał się po pomieszczeniu, wypatrując kolejnych awarii.

– Musimy obejrzeć budynek – oznajmił mu Fabian. – Ale pewnie weźmiemy tę robotę.

– Doskonale – powiedział Caillou. – Skontaktujcie się z panem Mancinim. I postarajcie się niczego nie wysadzić w powietrze – dodał na odchodnym.

– Bardzo zabawne, paniczu, bardzo – burknął Fabian, ale uśmiechnął się, gdy dyrektor ścisnął mu rękę. Widać było, że inżynierowie zadowoleni są z propozycji, która da im szansę odzyskania twarzy w oczach mieszkańców miasteczka.

Po załatwieniu pilniejszych spraw Victor wrócił do zajazdu. Wyczerpany, ale zadowolony, skinął głową siedzącemu w świetlicy Rayowi, który czytał pożyczonego od Victora *Koziorożca*. Na powitanie dyrektora odpowiedział dziwnym spojrzeniem, Victor jednak nie zwrócił na to uwagi. Na drugim końcu pomieszczenia, w swoim ulubionym fotelu siedział Morgan Beckett. On również oddawał się lekturze – śledząc kolejne linijki gazetowego artykułu, chichotał pod nosem.

– O, panicz Caillou – powiedział, gdy spostrzegł Victora. – Błędny rycerz teatru. Niech panicz lepiej uważa.

– Na co? – Dyrektor uniósł brew.

Beckett uniósł trzymaną w ręku gazetę.

– Jeśli pańskie przedsięwzięcie nie będzie wystarczająco doskonałe, Jeremy Salieri okpi panicza w swej rubryce kulturalnej.

Victor znieruchomiał.

– Kto? – zapytał cicho.

– Jeremy Salieri – powtórzył przedsiębiorca. – Prowadzi kolumnę dziennikarską w „Heroldzie Bordii”. Ha, nie przepuści żadnej książki, sztuce czy wystawie. Jeśli tylko znajdzie jakieś uchybienie, natychmiast wytknie je w swoim artykule, i to nie przebieając w słowach. Taki jest,

ma pióro ostrzejsze od niejednej szpady. Dobrze się panicz czuje? – zapytał, spostrzegłszy, że twarz Victora stała się bledsza niżli sypiący za oknem śnieg.

– Jeremy... – wykrztusił – Jeremy... – Naraz rzucił się na Morgana Becketta, wyrwał mu z rąk gazetę i odnalazł wzrokiem wspomniany artykuł. Wystarczyło kilka linijek, by rozpoznać zgryźliwy styl, jaki znał z listu do Zimmermana. – Jeremy! – wykrzyknął wprost do ucha zaskoczonego przedsiębiorcy, po czym – o, zgrozo! – ujął go za ramiona i mocno ucałował w oba policzki.

– Panicz zwariował! – zawołał Beckett, usiłując odepchnąć od siebie dyrektora teatru.

Victor zerwał się z miejsca, po czym pobiegł w stronę schodów, wykrzykując po drodze:

– Wariat tak! Ale i głupiec, który nie widzi odpowiedzi, mając ją tuż przez swym nosem! Wszak sam czytałem tę gazetę nie dalej, jak dwa dni temu! Ach, głupia, nieuważna głowa! – Krzycząc to, uderzył się pięścią w czubek wspomnianej części ciała. – Przydałaby mi się lepsza!

W drzwiach stanęła pani Cirque.

– Słyszałam krzyki! – powiedziała. – Czy coś się stało?

– Stało się – potwierdził Victor, podbiegając do niej. – Proszę natychmiast przygotować mi prowiant na drogę. Który dziś mamy dzień?

– Dziesiąty... – odparła odruchowo gospodyni.

– A zatem nie mam wiele czasu. Wojskowy patrol wyrusza o zmierzchu, do tego czasu muszę być gotowy!

– Już pan wyjeżdża? – zdziwiła się.

– Nie na długo, pani Cirque, nie na długo! Jest ważna sprawa w Bordii, którą muszę niezwłocznie załatwić. Ledwo zdążyłem opróżnić walizy, a już muszę je na powrót pakować.

– Ależ... Ma tu panicz mnóstwo obowiązków! Budowa teatru...

– Mancini się tym zajmie.

– ...wyszkolenie aktorów...

– Madame Greene robi to lepiej ode mnie. Wybaczy pani, muszę gnać!

I z tymi słowy faktycznie pognał po schodach do swojego pokoju.

Sally Cirque rozejrzała się po pomieszczeniu. Choć panował w nim idealny porządek, miała wrażenie, jakby przez świetlicę przeszła burza śnieżna.

– Wie pan może, o co mu chodziło? – zapytała Becketta.

– Któż zrozumie wariata? – Przedsiębiorca wzruszył ramionami, po czym wrócił do lektury. – Dlatego właśnie trzymam się z dala od sztuki – dodał. – Rzuca się ludziom na mózg, ot i co!

Ray zamknął książkę, uniósł głowę i pomaszerował w ślad za Victorem. Na schodach zastanawiał się, czy zapukać, czy może wejść od razu, los jednak oszczędził mu dylematu – drzwi do pokoju dyrektora teatru stały otworem.

Victor gorączkowo przerzucał ubrania – rozmaite części garderoby dosłownie wirowały w powietrzu. Niektóre z nich zostały upchnięte do największej z waliz.

– Dyrektorze... – zaczął Ray.

– Nie teraz, chłopcze. Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, z całą pewnością może poczekać do...

– Wiem, że jest panicz rewolucjonistą.

Nerwowa krzątanina Victora ustała. Dyrektor znieruchomiał. Powoli odwrócił się w stronę chłopca.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał, zastanawiając się, jakie przeżycia czekają go jeszcze w dniu dzisiejszym. Z pewnością odetchnie z ulgą, widząc zmierzch.

– Kiedy chciałem pożyczyć od panicza *Koziorożca*, zobaczyłem list, jaki pisał panicz do swojego

przyjaciela. Widziałem też inne dokumenty. Wspominał pan o nich o... o rewolucji. O obaleniu Królowej.

Victor, przeklinając w myślach swoje roztrzepanie, usiadł ciężko na łóżku.

– Porozmawiajmy. – Wskazał chłopcu krzesło. Niemal zabołało go, widząc, jaki spięty jest Ray, jak waha się i zerka na wciąż otwarte drzwi.

– Czyli to prawda? – zapytał.

Dyrektor teatru westchnął.

– Prawda – potwierdził. – I przez moją głupotę ty się o tym dowiedziałeś. Cóż, bywa i tak. Pytanie tylko, co zamierzasz zrobić z tą wiedzą. Jak ją wykorzystasz?

– Jeszcze nie wiem – odparł Ray. – Najpierw chciałem z paniczem porozmawiać.

– Słusznie. – Victor kiwnął głową.

– Naprawdę jest panicz rewolucjonistą? – Chłopiec wciąż nie dowierzał.

Dyrektor teatru uśmiechnął się samymi ustami.

– Nie wyglądam, prawda?

Istotnie, dobroduszny, nieco ekscentryczny młodzieniec nijak nie przystawał do wizerunku rewolucjonisty, jaki przez lata formował się w świadomości ogółu. Większość ludzi – w tym i Ray – wyobrażali sobie rewolucjonistów jako grupę obdartych, zarośniętych drabów dyszących nienawiścią do Jej Wysokości. Tak opiewali ich heroldzi i opłacani przez dwór królewski minstrele, taki obraz dominował też na prowincji, gdzie za jedno uważano grasantów i tych, którzy nazywali siebie bojownikami o wolność.

– Niewiele rzeczy jest takich, jakimi pozornie się wydają – oświadczył Victor. – Ale myślę, że w tej chwili masz zbyt wiele pytań, by mieć cierpliwość do wysłuchiwania banałów. Pytaj zatem.

Ray nie zastanawiał się długo.

– Co pan robi w Vadeline?

– Jak to co? – Uśmiechnął się. – Rewolucję!

– Tworząc grupę teatralną?

Victor westchnął, ale z jego twarzy nie znikł dobroduszny uśmiech.

– To długa historia, a mam niewiele czasu. Skrótowo więc: Samuel Zimmerman, geniusz pióra i rewolucjonista, odkrył sposób, jak zabić Białą Królową.

– O!

Mimo wagi całej sytuacji Victor nie mógł powstrzymać uczucia satysfakcji, widząc, jak oczy Raya rozszerzają się w zdumieniu.

– Przecież to niemożliwe! – zawołał chłopiec. – Królowa jest wieczna.

– Ciszej, na Zimę! – skarcił go dyrektor teatru, rzucając szybkie spojrzenie na drzwi. – Niespieszno mi do ciemnicy.

– Ale... próbowano już zabić Jej Wysokość – powiedział Ray. – Sztylet zabójcy złamał się na jej ciele.

– Wiem, wiem. – Victor zamachał w powietrzu rękami, jakby w ten sposób chciał nadać kształt swoim myślom. – Lecz mistrz w swoich notatkach jasno wykazywał, że metoda istnieje, on zaś opracował ją bądź też był tego bliski. Wszystkie swoje wyniki, ze strachu przed dekonspiracją, zaszyfrował. Jesteś mądrym chłopcem, Rayu. Domyśl się zatem, jaką formę nadał im twój zacny krajan.

– Sztuki... – powiedział powoli chłopiec. – Zaginione sztuki Samuela Zimmermana, których tak zawzięcie panicz szuka.

– Brawo. Nie myśl jednak, że poszukuję ich jedynie przez wzgląd na zawarte w nich

informacje. Równie ważna – dla mnie może nawet ważniejsza – jest ich wartość artystyczna. A teraz, wiedząc to wszystko... Czy mnie wydasz?

Ray wciąż się wahał.

– Nie zatrzymam cię – zapewnił Caillou. – Jeśli zdecydujesz się to ujawnić, po prostu zostanę tu do czasu przybycia konstabli. Masz prawo to zrobić, przebywając bowiem tutaj narażam na niebezpieczeństwo ciebie i twoją rodzinę. Prawo surowo karze tych, którzy udzielają pomocy rewolucjonistom. Ale musisz wiedzieć coś jeszcze. Każdego dnia na całej Ziemi znikają ludzie. Dobrzy, źli, mądrzy, głupi, bogaci, biedni. Ludzie, których nic nie łączy poza tym, że w jakiś sposób narazili się Białej Królowej. Może powiedzieli o jedno słowo za dużo w zatłoczonej karczmie. Może zwlekali z zapłatą podatków. Może nawet popełnili jakieś przestępstwo. Nieważne, bo nie tak to się powinno odbywać. Podejrzanych sądzić, winnych karać, owszem. Ale nie tak, by niewinni musieli się bać nieopatrzego słowa czy czynu. I z tym właśnie walczę ja i mi podobni. Teraz, młody Rayu, z tą wiedzą musisz podjąć decyzję – wydasz mnie czy nie? – Victor w napięciu czekał na decyzję chłopca. Wiedział, że nie powinien stawiać go przed takim dylematem, że powinien jak najszybciej wyjechać z Vadeline i nigdy nie wracać. Zrobiłby to, gdyby nie fakt, że był już o krok od zdobycia sztuk Zimmermana. Dlatego postawił wszystko na jedną kartę. Choć wiedział, że niemal na pewno będzie tego żałował.

– Na razie tego nie zrobię – powiedział w końcu Ray. – Nie wydam panicza.

Victor odetchnął z ulgą, ale tylko w głębi duszy.

– Nie ukrywam, że cieszę się twoją decyzją. Obyś jej nie żałował. A teraz, czy mógłbym ci przeprosić, ponieważ naprawdę nie mam czasu...

– Jeszcze jedno pytanie. Tylko jedno.

– Pytaj.

Ray uniósł głowę.

– Jak to jest być rewolucjonistą?

Co ja narobiłem, pomyślał Victor, widząc spojrzenie Raya. Co ja narobiłem.

– Pewnie wyobrażasz sobie nocne napady na konwoje, tajne zebrania, pościgi, walki na szpady i przekazywane półgębkiem hasła? – Dyrektor teatru westchnął. – Rozczaruję cię, drogi chłopcze. Jest zmudna, nużąca praca, długie planowanie i... i strach. Ciągły, mdlący strach przed dekonspiracją, przed prowokacjami królewskich. Strach przed tym, że druh, który wczoraj ratował ci życie, jutro pošle cię na szafot, strach o bliższych i dalszych znajomych, o to, że pewnego ranka żołnierze wyciągną cię z łóżka i zawloką do lochu. Albo na szafot. Strach przed zaciskającą się na szyi pętlą, strach przed katowskim toporem. Czy zaspokoilem twoją ciekawość?

Ray pokiwał głową.

– Doskonale. A teraz naprawdę prosiłbym cię, być pozwolił mi przygotować się do wyjazdu. W Bordii czeka mnie starcie z Jeremym, który być może jest w posiadaniu sztuk Zimmermana. – Victor powrócił do gorączkowego upychania ubrań po walizkach i torbach. W końcu uznał, że jest przygotowany na każdą ewentualność. Ujął bagaże w ręce i zszedł na dół. – O, Patrick! – zawołał na widok młodzieńca. – Doskonale. Pobiegnij do garnizonu i powiedz kapitanowi bądź jednemu z jego ludzi odpowiedzialnych za transport, że Victor Caillou uniżenie prosi o możliwość zabrania się do Bordii wraz z dzisiejszym konwojem.

– Tak jest, paniczu. – Patrick nie ruszył się z miejsca.

Victor westchnął i rzucił mu trzy oreny. Chłopak zniknął w drzwiach.

– Pani Cirque – zwrócił się do gospodyni dyrektor teatru – przepraszam, że wyjeżdżam tak nagle i niespodziewanie.

– Opłacił panicz pokój na cały miesiąc z góry... – przypomniała mu.  
– I dlatego chciałbym, by czekał on na mnie, gdy wrócę. Nie będzie mnie... Niech pomyślę... Sześć dni drogi dzieli Vadeline i Bordię. Tam zabawię nie dłużej niż dwa, trzy dni, kolejne sześć zajmie mi powrót... Razem wychodzi nie więcej niż dni piętnaście. Za piętnaście dni stawię się tutaj, dzierżąc w dłoniach zaginione sztuki Zimmermana!

\*\*\*

Zdążył w ostatniej chwili. Kapitan zaprzął sanie i już sposobił się do wyjazdu, gdy zdyszany i zziębnięty Victor dotaszczył na miejsce swoje bagaże. To spowodowało dość długą i mało przyjemną dyskusję – kapitan garnizonu był niechętny zabrananiu ze sobą pasażera, w dodatku cywila. Ostatecznie, wskutek uporu Victora, zgodził się. Jak to zwykle w podobnych przypadkach bywa, skutecznym remedium na problem okazał się zastrzyk pieniężny zaaplikowany krnąbrnemu pacjentowi.

Jeden z żołnierzy pomógł czekającemu na miejscu Patrickowi załadować je na sanie.

– Paniczu!

Victor odwrócił się i ujrzał kroczącą ku niemu dziarskim krokiem madame Greene.

– Co to ma znaczyć? – rzuciła zamiast powitania. – Sally powiedziała mi, że wyjeżdża panicz do Bordii. A co z teatrem?

– Właśnie w sprawie teatru udaję się od sąsiedniego miasta – oznajmił Victor. – Czystym przypadkiem odkryłem tożsamość tajemniczego Jeremy'ego.

Aktorka zmarszczyła czoło.

– Że kogo, proszę?

Victor w kilku zdaniach naświetlił jej całą sytuację.

– Rozumiem – powiedziała madame Greene po chwili milczenia. – Jaką ma panicz jednak pewność, że ów Jeremy jest tym samym, z którym korespondował Sam? A nawet jeśli, jaką ma panicz pewność, że jest on jeszcze w posiadaniu tych sztuk? Albo że zechce się nimi podzielić?

– Nie mam żadnej – przyznał Victor – ale to trop, który muszę zbadać. Wiele przemawia za tym, że to właśnie tego Jeremy'ego szukam. Muszę się upewnić.

– Niech panicz wyśle list. Mamy mnóstwo pracy przy teatrze, poza tym zbliża się zima. Podobno będzie długa i ostra. Może się zdarzyć, że utknie pan w Bordii aż do wiosny.

– Droga pani Greene. – Victor ujął ją za ramiona. – Zdaję sobie sprawę z tego wszystkiego, ale musi mnie pani zrozumieć. Jak miałbym żyć, pracować, funkcjonować z myślą, że gdzieś tam, tuż za horyzontem, w zasięgu ręki niemalże, leżą zaginione sztuki Zimmermana? Rzecz niemożliwa.

Aktorka zmierzyła go długim spojrzeniem.

– Zupełnie jakbym słyszała Sama – oświadczyła w końcu. – Kiedy opętała go jakaś myśl, po prostu nie umiał usiedzieć na miejscu.

– To zaszczyt być do niego porównanym przez kogoś, kto znał go osobiście – odparł Victor, po czym skłonił się dwornie.

Madame prychnęła.

– Bez wygłupów. Już mówiłam, że takie rzeczy nie robią na mnie wrażenia.

Mężczyzna wyprostował się z dość niemądrą miną.

– Przepraszam. Poniosło mnie.

Kapitan krzyknął do niego, by ten się pospieszył.

– Muszę lecieć. Zajmie się pani aktorami, prawda?

– Oczywiście. Niech panicz leci.

Victor wskoczył na sanie. Odjeżdżając, pomachał Patrickowi i madame Greene. Gdy zniknęli mu z oczu, z westchnieniem usadowił pomiędzy pakunkami.

## Rozdział V

### Wyprawa

*Niewygody podróży – Najciemniej jest pod latarnią – Oko w oko ze sforą – Dwa głosy – Herold szaleństwa – Jak podstępem dopiąć swego – Krytyk totalny*

Podróż przebiegała bez większych przygód, jeśli nie liczyć płozy uszkodzonej na jednym ze zwodniczo bezpiecznych szlaków, z którym to problemem poradzono sobie nader szybko i sprawnie. Niewygody podróży dawały się Victorowi we znaki, nie narzekał jednak – daleko bardziej męczyła go nuda i z wolna narastające zniecierpliwienie. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Bordii i odszukać Jeremy'ego Salieri, pragnienie to paliło go żywym ogniem. Z trudem mógł usiedzieć w jednym miejscu, co od czasu do czasu powodowało spięcia i nieprzyjemności ze strony towarzyszy podróży.

Eskortujący konwój żołnierze traktowali Victora jak jeden z towarów do przewiezienia. Dyrektora teatru nie dziwiło takie podejście, wielokrotnie miał bowiem do czynienia z żołnierzami na wszystkich szczeblach i znał wojskową niechęć żywioną do kogoś, kto – gdy przychodzi co do czego – jedynie utrudnia działania operacyjne. Wyjątkiem był powożący zaprzęgiem młodszy szeregowy Johann Krist, wiecznie uśmiechnięty pucułowaty szatyn. Mimo niskiej rangi i związanego z tym nadmiaru obowiązków, jakie spychali nań starsi wiekiem i stopniem, Johann nigdy się nie skarżył, spolegliwy zaś charakter ułatwił zawarcie znajomości. Młodszy szeregowy był z dziada pradziada mieszkańcem Vadeline i okazał się bardzo poczciwym młodzieńcem, choć jego poglądy – oględnie mówiąc – nie pokrywały się z poglądami Victora, co częstokroć było przedmiotem ciekawych, lecz dość niebezpiecznych dla dyrektora teatru dyskusji.

– Wojsko – powiedział Victorowi podczas jednej z ich rozmów, zapytany o powód zaciągnięcia się w szeregi królewskich sił zbrojnych – jest ważnym elementem naszej cywilizacji. Ktoś musi pilnować porządku, ktoś musi gasić rewolty, rozbijać spiski, sprawiać, że wszyscy na Zimie mogą spać spokojnie.

– Za wyjątkiem spiskowców i rewolucjonistów. – Victor przełknął kęs zimnej pieczeni. Postój niedługo się kończył, należało się więc spieszyć z posiłkiem.

– Zgadza się – potwierdził Johann. – Kto podniesie rękę na władzę Białej Królowej, ten nie straci ręki, a od razu głowę. Tak tylko można zapewnić bezpieczeństwo ludziom: chroniąc ich przed szaleńcami i nienawistnikami.

– Dziwna sprawa z tymi spiskowcami – powiedział niefrasobliwie Victor. Oblizał palce, po czym dokładnie wytarł dłonie. – Niby plewicie ich od niepamiętnych czasów, a oni wciąż nie dają za wygraną. Można by pomyśleć, że coś w tym jest.

– Co niby? – Wojskowy uniósł brwi.

– Królowa rządzi od bardzo dawna. Gdy dwieście lat temu przybyła na Zimę wraz ze swoim orszakiem, ludzie byli podzieleni na małe państewka rządzone przez lokalnych władców. Jej Wysokość w krótkim czasie zgromadziła pod swoją władzą cały świat. Wszystko to, jak okiem



sięgnąć, należy do naszej władczyni. Nie ma na Zimie niczego, czym by nie rozporządzała. Myślę się?

Johann Krist pokręcił przecząco głową.

– Przemawia panicz wyjątkowo przytomnie.

– Doskonale. – Victor uśmiechnął się. – Skoro zatem w tym się zgadzamy, pójdźmy krok dalej. Skoro cała planeta jest państwem, po co nam armia? Z kim mamy wojować, których strzec granic, jakich wypatrywać najeźdźców? Do eliminacji szaleńców i nienawistników wystarczą o wiele mniejsze siły, sprawy te można spokojnie przekazać milicji królewskiej. Oszczędzone w ten sposób pieniądze można by spożytkować na wiele innych rzeczy. Pytam więc ponownie – po co nam armia?

– Nie rozumie panicz – odparł natychmiast wojskowy. – Ludziom potrzebne jest poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

– W mundurze i ze strzelbą przy boku?

– Nie zdaje sobie panicz sprawy z powagi sytuacji. Rewolucjoniści mają oczy i uszy wszędzie, nawet na dworze, nawet w wojsku. Inaczej by panicz śpiewał, gdyby choć raz w życiu spotkał się z ludźmi tego pokroju. A najgorsze, że każdy, dosłownie każdy może być w rewolucjonistą.

– Nawet ja?

Johann spieszył się wyraźnie.

– A gdzieżby... Panicz? Bez urazy, ale taki z panicza rewolucjonista jak ze mnie krawcowa.

Victor uśmiechnął się. Wiedział, że nie powinien ciągnąć tej rozmowy, ale nie potrafił się oprzeć. Lubił takie skryte granie przeciwnikowi na nosie, nawet jeśli ten miał dobrotliwe i niezbyt bystre oblicze szeregowca Krista.

W pobliżu naprędce rozpalonego ogniska nastąpiło pewne poruszenie. Kapitan przez chwilę rozmawiał ze zwiadowcą, po czym przywołał do siebie kilku żołnierzy.

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojony Victor.

– Dwa dni temu widziano tu grupę zbrojnych – pospieszył z wyjaśnieniami Krist. – Miejscowi zaklinają się, że to ludzie Rudej Gabrielle.

– Ruda Gabrielle? Tutaj? – zdziwił się dyrektor teatru. – Myślałem, że jej sfera grasuje gdzieś na wschodnich rubieżach.

– To pewnie tylko gadanie ludzi. Przepraszam panicza na chwilę. – Krist odszedł, wezwany przez kapitana.

Dyrektor teatru zamyślił się. Znał historię Rudej Gabrielle, choć chwalenie się taką wiedzą nie było zbyt mądrym posunięciem, zwłaszcza pośród wojskowych.

Była prostą dziewczyną, córką myśliwego. Pragnący syna ojciec dziewczynki nigdy nie doczekał się męskiego potomka – żona jego zmarła w połogu, chwilę po urodzeniu Gabrielle. Nic zatem dziwnego, że ojciec – typ starego myśliwego, cierpliwy i obowiązkowy – starał się dbać o nią najlepiej, jak potrafił. Dziewczynka ledwo odrosła od ziemi, już to jeździła z nim na polowania, już to uczyła się tropienia śladów, korzystania z broni palnej, łuku i kuszy. Sąsiedzi i znajomi kręcili nosem na takie wychowanie dziewczynki, ojciec jednak nie dawał im posłuchu, zwłaszcza że mała Gabrielle nigdy nie pragnęła innego życia. Pierwszego lodowego wilka ustrzeliła w wieku trzynastu lat, nim jeszcze stała się kobietą. Wedle opowieści był to potężny basior ponad dwukrotnie przerastający małą myśliwą. Dziewczyna nie zawahała się jednak ani sekundy – wypaliła do zwierzęcia ze strzelby, którą wtedy ledwo mogła unieść. Odrzut wyłamał jej bark ze stawu, jednak nie chybiła – gdy zaalarmowani strzałem uczestnicy polowania przybiegli na miejsce zdarzenia, ujrzeni olbrzymie zwierzę z krwawą dziurą w kudłatym łbie. Podobno ojciec,

po upewnieniu się, że małej nic nie jest, niemal zabił łowczego mającego się zajmować dziewczynką, który to nieszczęśnik w trakcie owego zdarzenia przebywał w krzakach, w łatwym do odgadnięcia celu.

Gabrielle rosła. Jak tylko mogła, wspomagała podupadającego na zdrowiu ojca, po jego śmierci zaś kontynuowała karierę łowczyni. Miejscowi zaakceptowali już fakt, że kobieta nie gorzej od mężczyzny potrafi posługiwać się bronią. W niedługim czasie jej imię stało się znane wśród myśliwych Zachodniej Marchii, a historie o młodej, rudowłosej kobiecie umilały niejedną łowiecką wyprawę.

Pewnego dnia wiedziona zewem przygody Gabrielle zapuściła się do ciemnego jaru, gdzie – podług plotki – miał swoje legowisko przerażający lodowy niedźwiedź. Podobno był wielki na wysokość średniego budynku, a jego futro rude od krwi tych, którzy próbowali się z nim mierzyć. Nie dziwota zatem, że łowczyni nie mogła przepuścić takiej okazji. Opowieść głosi, że tropiła zwierzę pełne osiem miesięcy, choć każdy myśliwy z łatwością zrozumie przesadę. Faktem jest jednak, że w końcu Gabrielle stanęła oko w oko z potworem i przekonała się, iż jego legenda przerasta go w bardzo niewielkim stopniu. Wiedziała, że ma do dyspozycji tylko jeden strzał, wiedziała też, gdzie musi trafić – dokładnie w lewe ślepie niedźwiedzia.

Nie zawahała się, gdy potwór na nią zaszarżował. Spokojnie przyłożyła policzek do kolby, wycelowała i wypaliła. Trafiła idealnie – łeb niedźwiedzia eksplodował karminem, nie spowolniło go to jednak ani trochę. Przeżona Gabrielle stwierdziła, że stwór, choć teoretycznie martwy, wciąż biegnie w jej stronę.

Wiedziała, że ten dzień w końcu nadejdzie – gdy brak umiejętności, zbyt ni pośpiech lub najzwyczajniejszy w świecie pech sprawi, że dokona żywota rozerwana pazurami dzikiego zwierzęcia. Pogodziła się z tym, czekała na tę chwilę od czasu, gdy po raz pierwszy ujęła broń w dłonie. Zamknęła oczy.

W tym samym momencie usłyszała dźwięk, którego nigdy, przenigdy nie pomyliłaby z żadnym innym – huk strzelby. A potem dziki ryk konającego zwierzęcia. Gdy otworzyła oczy, ujrzała lodowego niedźwiedzia leżącego u jej stóp. Zwierzę było martwe, z jego czaszki nie zostało zupełnie nic. Domyśliła się, co to oznacza. I odwróciła się błyskawicznie. Zobaczyła mężczyznę o przyprószonych nienaturalną siwizną włosach i oczach błękitnych niczym letnie niebo. Trzymał w dłoni strzelbę, z lufy której sączyło się cienkie pasemko szarego dymu.

W tym miejscu opowieść rozgałęzia się. Jedni, osobliwie poeci i marzyciele, twierdzą, że krwawa ofiara połączyła dwoje myśliwych nierozzerwalnym węzłem miłości. Gabrielle i Aleksiej – tak bowiem zwał się ten mężczyzna – rozbili wspólny obóz w jamie dotychczas zamieszkiwanej przez lodowego niedźwiedzia. I tamtej właśnie nocy dziewczyna straciła niewinność, ofiarowując serce i ciało swojemu wybawcy.

Druga wersja tej legendy, popularna raczej wśród myśliwych i tropicieli, głosi, że wspólnie ubita bestia stała się źródłem gorącego sporu między Gabrielle i Aleksiejem. Oboje rościli sobie prawo do jego skóry, pazurów i przede wszystkim – tytułu pogromcy lodowego giganta. Kwestia po dziś dzień pozostała nierozstrzygnięta, paradoksalnie jednak zbliżyła ona do siebie obdarzoną gwałtownym temperamentem kobietę i nieustępliwego mężczyznę.

Wszyscy, niezależnie od tego, w którą wersję historii wierzyli, zgodni byli co do jednego – incydent ten sprawił, że Gabrielle i Aleksiej zapalali do siebie gorącym uczuciem, które w niedługim czasie połączyło ich węzłem małżeńskim.

W tym miejscu historia się kończy – a przynajmniej każdy mądrzejszy bajarz, znający zasady dobrej opowieści, poprzestaje na tym wydarzeniu. Bo przecież nikt nie chce słuchać o tym, że

Aleksieja spotkała śmierć za współpracę z rewolucjonistami, myśliwa zaś cudem zbiegła, nim wojskowi zdołali ją pojmać. O tym, jak pałająca żądzą zemsty Ruda Gabrielle – tak bowiem nazywali ją ludzie w czasach, w których jej świat nie tonął jeszcze we krwi – dołączyła do małej grupy grasantów, nad którą szybko przejęła dowództwo. O tym, jak po dziś dzień była myśliwa krąży po całej Zimie, kontaktując się z ludźmi, którzy mogą jej pomóc zabić Jej Wysokość i tym samym pomścić ukochanego.

Ale o tym mało kto chciał słuchać, a niemal nikt nie ważył się opowiadać. Żaden bajarz, minstrel, trubadur, żadna rozgadana gęba napotkana w przydrożnej karczynie nigdy, przenigdy nie zająknęła, że wie o tym, jaki przydomek rebelianci nadali zyskującej coraz większą popularność wśród prostego ludu Rudej Gabrielle.

Mimo to coraz więcej ludzi zaczynało myśleć o niej jako o Czerwonej Królowej.

Victor uśmiechnął się pod nosem. Ludzie uwielbiają symbole, ale on im nie ufał. Wyznawał pogląd, iż wierzący w nie ludzie sądzą, że zwalnia ich to z obowiązku myślenia, a to bardzo źle.

Wrócił Krist. Minę miał nietęgą.

– Powinniśmy już ruszać – oznajmił.

– Coś się stało?

– Powinniśmy już ruszać – powtórzył Johann ze wzrokiem wbitym w horyzont. Victor zrozumiał, że nie wydobędzie od niego żadnych informacji.

Wśród wojskowych zapanował pewien określony rodzaj niepokoju charakterystyczny dla ludzi przyzwyczajonych do noszenia broni. Żołnierze, mimo wyraźnego pośpiechu, zachowywali się nieco nonszalancko, jak gdyby demonstrowali towarzyszom brak strachu przed ewentualną walką. W ciągu kilku chwil karawana była gotowa do dalszej drogi.

Kolejne chwile aż wibrowały od napięcia, które udzieliło się nawet beztroskiemu na ogół dyrektorowi teatru. Victor wiercił się, wykręcając szyję, rozglądał się na wszystkie strony, usiłując cokolwiek dojrzeć.

Naraz jeden z zaprzężonych w sanie renów zarżał rozdierająco i upadł. Małe, czarne jak noc ślepia zastygły w niemym zdziwieniu, gdy zwierzę przestało wierzeć. Z jego szyi sterczał pierzasty bełt kuszy.

Konwój zatrzymał się. Żołnierze chwycili za broń, choć było już za późno. Mimo wzmożonej czujności zostali zaskoczeni. Wróg miał przewagę liczebną – dosłownie znikąd na trakcie zaroilo się od uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Każde z nich – to Victor zauważył dopiero później, gdy wczłógiwał się pod sanie – miało przedramię przewiązane czerwoną chustą.

Załomotały strzelby i rewolwery. Huk zagłuszył wrzaski i okrzyki bojowe, gęste kłęby dymu skryły ciemniejące w śniegu plamy krwi. Victor skulił się pod saniami. Szpony strachu zakleszczyły się na jego sercu. Był tchórzem i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Choć kilka razy znajdował się już w podobnej sytuacji, wciąż nie umiał się z nią oswoić. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie w stanie.

Od wstydu nieco ratowało go przeświadczenie, że przynajmniej jest rozsądnym tchórzem. Ucieczka prawdopodobnie byłaby samobójstwem, a gdy opadną emocje, być może będzie miał na tyle szczęścia, by skorzystać z okazji i wymknąć się...

Wtem czyjaś potężna ręka bezceremonialnie ucapiła go za kołnierz i mocnym szarpnięciem wyciągnęła na światło dzienne.

Victor rozejrzył się – krótka walka zakończyła się porażką ochraniających konwój. Wszędzie wokół leżały trupy żołnierzy. Johann z rozplatanym gardłem opierał się plecami o płożę sań.

Kilka kroków od niego leżał kapitan, wciąż trzymający strzelbę w pozbawionych życia dłoniach. Dwoje napastników przetrząsało kieszenie martwym i dobijało tych jeszcze żyjących.

Dyrektor teatru poczuł, jak zjedzony niedawno posiłek podchodzi mu do gardła.

Ręka, która wyciągnęła go spod sań, należała do rosnącego mężczyzny o posturze kowala. Napastnik wy dobył z pasa długi sztylet.

– Chwila!

Victor rozchylił powieki. Z niebotycznym zdziwieniem zakonotował, że wciąż żyje. Kowal opuścił dłoń, w której dzierzył oręż. Dyrektor teatru przeniósł wzrok na kobietę, która uratowała go od śmierci.

Inaczej ją sobie wyobrażał – być może znów dała o sobie znać jego romantyczna natura, prawdziwy bowiem wizerunek Rudej Gabrielle tak dalece odbiegał od jego imaginacji, że w pierwszej chwili nie rozumiał, kim jest stojąca przed nim niewysoka pucułowata kobieta w prostym myśliwskim stroju i burzą krwistoczerwonych włosów. Jednak szacunek, z jakim odnosili się do niej jej ludzie, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

Czerwona Królowa zmierzyła dyrektora teatru badawczym spojrzeniem.

– Nie jesteś żołnierzem – powiedziała.

Victor chciał odpowiedzieć, że to nie było zbyt trudne do odgadnięcia, ale zdobył się tylko na głośnie przełknięcie śliny.

– Nazywam się Victor Caillou – rzekł i spróbował się pokłonić, zapomniał jednak o potężnej łapie wciąż spoczywającej na jego karku, przez co ukłon zmienił się w groteskową parodię.

– Victor Caillou – powtórzyła Gabrielle, nie spuszczać z niego wzroku. – Słyszałam o tobie. Puść go, Insiramie – zwróciła się do kowala. – On służy naszej sprawie.

Mężczyzna z niejakim zawodem uwolnił dyrektora ze stalowego uścisku.

– Jestem Gabrielle – przedstawiła się kobieta. – Nie uwierzę, jeśli powiesz, że o mnie nie słyszałeś.

– Twoja sława cię wyprzedza, Czerwona Królowo. – Oswobodzony Victor ukłonił się raz jeszcze, tym razem robiąc to, jak należy. Teraz, gdy widmo nieuniknionej śmierci oddaliło się nieco, z trudem utrzymywał się na drżących nogach. Za jego plecami ktoś wrzasnął krótko. Dyrektor teatru postanowił się nie odwracać.

– Victor Caillou – powtórzyła raz jeszcze Ruda Gabrielle. – Marzyciel, bohater i idiota. Niekoniecznie w tej kolejności. Co tutaj robisz?

Victor w kilku zdaniach wytłumaczył Czerwonej Królowej cel swojej misji. Ta słuchała go z umiarkowanym zainteresowaniem. W międzyczasie wydawała rozkazy. Ludzie Gabrielle zajęli się grabieżą.

– Zimmerman? – Uniosła brew, słysząc nazwisko dramaturga. – Zimmerman był szaleńcem. Pod koniec życia nie potrafił już nawet odróżnić fikcji od rzeczywistości. Doprawdy, Caillou, powinieneś być zostać w domu, gdzie z pewnością lepiej przysłużyłbyś się naszej wspólnej sprawie.

– Być może – odparł dyplomatycznie Victor, zastanawiając się, na ile Czerwona Królowa zna jego pozycję w konspiracji. – Jeśli jednak jest nikła szansa na odnalezienie zapisków Zimmermana, to ja mam zamiar ją wykorzystać. Choćby, jak sama mówisz, okazały się one czczymi mrzonkami.

Ledwie żywy żołnierz krzyczał, płakał i wzywał litości. Krążący pośród trupów Insiram podszedł doń i z rozmachem wbił mu sztylet w gardło. Bluznęła krew, wojskowy targnął się jak ryba i znieruchomiał.

– Wiem, co o mnie myślisz, Caillou – powiedziała niespodziewanie Czerwona Królowa, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. – Słyszałam twoje zdanie o przeprowadzaniu rewolucji w taki sposób. Tak jakby dało się obalić tyrana bez ubrudzenia sobie rąk.

– Despotyzm jest chorobą, która przenosi się przez kontakt z krwią zarażonego – stwierdził Victor. – Królowa może zmienić barwę, wciąż jednak będzie tą samą osobą, która tak samo traktować będzie swoich poddanych.

Gabrielle spojrzała na niego, a jej wzrok przywołał na myśl drapieżnego ptaka.

– Zważaj na słowa, Caillou – warknęła. – Stoimy po tej samej stronie, ale...

– Nie – przerwał jej gwałtownie Victor. – Nie stoimy po tej samej stronie. Nigdy, przenigdy nie stanę po stronie, w której okrucieństwo usprawiedliwiane będzie jakąś mętną wyższą ideą, choćby i z założenia szczytną. Bo rewolucja, w której muszą ginąć niewinni ludzie, jest dla mnie warta tyle, co zeszlóroczny śnieg. Jedyną stroną, po której stoję, jest moja własna.

– Nie będę z tobą dyskutowała na ten temat, Caillou. Wiedz, że spokojnie mogłabym uznać twoje słowa za zdradę i z czystym sumieniem cię zabić. Nie zrobię tego jednak. Nie jestem Białą Królową, co przed chwilą raczyłeś zasugerować.

Biedna kobieto, pomyślał Victor. Biedna kobieto zamknięta w lodowej skorupie nienawiści i pragnienia zemsty skrytego pod powłoką walki o wolność. Biedna Ruda Gabrielle, która straciła swojego Aleksieja, a teraz wymachuje majchrem w nadziei, że rozpacz da się utopić w morzu krwi.

Kiwnął głową. Uprzejmie, lecz nic ponadto.

Tymczasem ludzie Gabrielle kończyli dobijanie rannych i przenoszenie przewożonych konwojem towarów na własne sanie. Jeden z nich – niski pucułowaty mężczyzna o skośnych oczach – dał jej znak ręką. Przywódczyni odpowiedziała mu takim samym gestem.

– Zbieramy się – powiedziała. – Jedziesz z nami, Caillou.

Victor pokręcił głową.

– Muszę jak najszybciej dostać się do Bordii.

– A skąd myślisz, że cię wypuszczę? – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Królowa machnęła ręką. – Musisz się ze mną zgodzić – powiedziała – że fakt, iż jako jedyny wyszedłeś bez szwanku z napadu na konwój, mógłby wydawać się podejrzany. Spokojnie, nie rób takiej miny. Nic trwałego ci się nie stanie. Spraw, bym tego nie żałowała – dodała jeszcze.

Kiedy Victor chciał zapytać, co rozumie przez te słowa, Gabrielle skinęła głową komuś stojącemu za jego plecami. Dyrektor odwrócił się, ale nic więcej uczynić nie zdołał, w tej samej chwili bowiem jego świadomość zgasła jak zdmuchnięta świeca.

\*\*\*

– Mróz by to...

– Panie Kajzar! Proszę się wyrażać.

Pierwszy głos – gdy już udało mu się przebić do pulsującej bólem głowy Victora – należeć musiał do mężczyzny starszego, lecz wciąż jeszcze stojącego na mocnych nogach, najprawdopodobniej nawykłego do przyjmowania rozkazów od niekompetentnych zwierzchników. Natomiast właściciel głosu drugiego nie mógł być nikim innym, jak tylko takim właśnie niekompetentnym zwierzchnikiem, w dodatku sporo młodszym od „pana Kajzara”.

Gdy Caillou otworzył oczy, uświadomił sobie kilka rzeczy. Pierwszą – leżał pod saniami. Drugą – zgubił gdzieś swój cylinder. Trzecią – żył. Na moment zastanowiła go zaskakująco nielogiczna

kolejność napływających myśli, zaraz potem jednak pojawiły się kolejne, co zniechęciło go do dalszych dywagacji.

– Czemu nie zareagowaliście od razu? – Głos numer jeden wręcz promieniował dezaprobatą, która zabawnie kontrastowała z niemal dziecinnością jego tembru. – Przecież musieliście słyszeć strzały. Waszym obowiązkiem wobec konfratrów...

– Panie Cumhail. – Głos numer dwa, zidentyfikowany już przez Victora jako „pan Kajzar”, wyrażał źle skrywaną niechęć wobec rozmówcy. – Po pierwsze, nie jesteśmy żołnierzami, tylko myśliwymi. To, że i oni, i my nosimy broń, nie czyni z nas jeszcze, jak to pan ładnie określił, konfratrów. Po drugie, nie mam zamiaru wystawiać swoich ludzi na niebezpieczeństwo, nie upewniwszy się pierwej co do jego skali. Po trzecie, z tego, co widać, napastnicy przewyższali nas liczebnie i atak na nich byłby samobójstwem. Po czwarte zaś i ostatnie, dzieliła nas zbyt wielka odległość, byśmy mogli dotrzeć tu przed zakończeniem walki.

Głos numer jeden – to znaczy, poprawił się w coraz jaśniejszych myślach Victor, pan Cumhail – burknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi. Dyrektor teatru uznał, że najwyższa pora włączyć się do konwersacji. Chciał krzyknąć, jednak z jego gardła wydobył się zaledwie słaby jęk.

– Słyszał pan? – zadudnił głos pana Kajzara.

Victor jęknął raz jeszcze. Naraz przed jego oczyma pojawiły się dwa solidne buciory.

– Tutaj...

Buciory znikły, a na ich miejscu ukazała się zarośnięta, nalana twarz.

– Mamy rannego! – krzyknął Kajzar. – Pomóżcie mi go wyciągnąć!

Czyjeś ręce chwyciły go i w mig wydobyły spod sań. Victora zalała oslepiająca biel nieba. Zamknął oczy. Pod powiekami wykwitły karminowe okręgi.

– Halo, młody panie! – Kajzar potrząsnął jego ramieniem. – Nie zasypiaj nam tu!

– Nie jest wojskowym – zauważył Cumhail. – Nie nosi munduru.

– Hmm... – wymruczał Victor. Plamy czerwieni wiły się i migotały.

– Chyba chce coś powiedzieć.

– Celna uwaga – rzucił Kajzar kąśliwie. – Sam bym się tego nie domyślił. – Stary myśliwy pochylił się nad Victorem. Po chwili wyprostował się. – Brzmiało jak „Gdzie mój cylinder?”. Jest w szoku, to pewne. Są jeszcze jacyś ocaleli?

To ostatnie pytanie skierowane było do jednego z towarzyszących mu myśliwych, co Victor spostrzegł, gdy na powrót udało mu się rozchylić powieki.

– Nie ma – padła odpowiedź. – Tylko ten cywil się uchował. Widać miał dość rozumu, by wtoczyć się pod sanie, gdy tylko konwój wpadł w zasadzkę.

– Ale i tak nie wyszedł z tego bez szwanku. Ma na ciemieniu paskudnego guza.

Victor uniósł się nieco. Świat na powrót utonął w powidokach, dla odmiany tym razem ciemnozielonych.

– Spokojnie – Kajzar delikatnie, lecz stanowczo pchnął go z powrotem do pozycji leżącej – niech się pan nie martwi, już po wszystkim. Może pan mówić, panie...?

– Victor – wychrypiął – Victor Caillou. Teatrolog.

– No, to w niezły dramat się panicz wplątał – ironicznie stwierdził myśliwy. – Nazywam się Oleg. Oleg Kajzar. Wyjaśni nam pan, panie Caillou, co tu się stało?

Victor podjął kolejną próbę podniesienia się. Tym razem obyło się bez nieprzyjemnych doznań, choć pulsujący ból był niemal obezwładniający.

– Ruda Gabrielle – oznajmił. – Napadła na konwój...

– Mróz by to... Ta diabliska kręci się po okolicy? No, to cały sezon łowiecki mamy z głowy.

Hola, wiara! Zbieramy się! Migiem!

Myśliwym nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko zorganizowano prowizoryczne nosze, na których przetransportowano Victora do obozowiska łowców. Dochodzący do siebie dyrektor teatru zdołał zamienić kilka słów z Bernardem Cumhalem, który okazał się niewiele odeń młodszym mężczyzną, właściwie jeszcze chłopcem, choć już noszącym się z dumą i nawykłym do posłuchu.

– Paskudna rana – stwierdził. – Musi strasznie boleć.

– Musi – potwierdził Victor.

Jeden z myśliwych podszedł do niego z bandażami i maścią. Teatrolog podziękował za utensylia, ale oznajmił, że sam woli zająć się opatrywaniem. Myśliwy wzruszył ramionami i odszedł. Victor pomacał się po ciemieniu. Pomimo paskudnego bólu uznał, że nie jest tak źle, po czym sięgnął po flaszeczkę z maścią.

– Zastanawia mnie, co panicz robi wśród myśliwych – zagadnął Cumhaila, który z ciekawością przyglądał się jego poczynaniom. – Bo chyba nie przyucza się panicz do zawodu?

– Skąd. – Bernard machnął ręką. – Ojciec mi kazał. Jest handlarzem, który od zawsze był za pan brat z myśliwymi i chciał, by jego syn liźnął trochę tego fachu. Nie, żeby zaraz ganiać ze strzelbą po bezdrożach, ale zobaczyć, jak wygląda życie łowcy.

– Wielce rozsądnie. – Victor rozwinął bandaż i złożył go dwa razy. – I jak? Podoba się?

– Podoba? Nudno, zimno i niewygodnie. W dodatku ten cały Kajzar nawet na krok nie pozwala zbliżyć mi się do broni.

– Gdybym pozwolił, to pewnie bym pana musiał ojcu w worku odwozić. – Rozległo się za plecami Bernarda, który drgnął i obejrzał się.

Kajzar, wzięwszy się pod boki, uśmiechał się kpiąco. Cumhail obrzucił go wyniosłym spojrzeniem, co jednak nie zrobiło najmniejszego wrażenia na starym myśliwym. Młodzieniec zadarł nos i oddalił się z godnością.

– Masa kłopotów z tym dzieciakiem – rzekł Kajzar, zajmując zwolnione przez Bernarda miejsce przy ognisku. – Gdyby nie to, że mam niewąski dług u jego ojczulka, to bym go wrzucił do pierwszej napotkanej przerębli. Jak głowa?

– Przestała krwawić. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Co tam się w ogóle stało?

Victor, który miał już w głowie odpowiedź na to pytanie, odparł:

– Napadła na nas wataha Rudej Gabrielle... Było ich chyba ze czterdziestu, każde z czerwoną chustą nad łokciem. Zaskoczyli nas w śnieżnej kurzawie. Chciałem się wymknąć i dostałem w głowę czymś ciężkim. Potem musiałem się wtoczyć pod sanie, ale obawiam się, że tego już nie pamiętam.

Kajzar przypatrywał mu się dziwnie. Nie uwierzył, pomyślał Victor. Widać, że to stary lis, który nie da się nabrać na byle historyjkę.

Nawet jeśli obawy Victora były uzasadnione, to myśliwy nie dał tego po sobie poznać.

– To znaczy, że naprawdę Czer... Ruda Gabrielle grasuje po tych ziemiach? Myślałem, że to tylko głupie karczemne plotki.

– Też słyszałem te historie i podobnie brałem je za banialuki. Mało nie przypląciłem tego życiem.

– Musimy jak najszybciej wracać do Bordii – oznajmił Kajzar. – Lękam się, że szlak pomiędzy Vadeline a Bordią pozostanie zamknięty aż do czasu schwytania rzezimieszków.

– Kiedy mnie mus jechać do Vadeline! – Victor aż podskoczył na swoim miejscu, za co został

ukarany falą tępego bólu. Jęknął i złapał się za brzeg pniaka, na którym siedział. – To znaczy, mam tu do załatwienia niezwykle ważną sprawę, po czym bezzwłocznie będę musiał wracać do miasteczka – wyjaśnił już spokojniejszym głosem.

– Spokojnie. – Myśliwy uśmiechnął się. – Najpierw niech panicz wydobrzeje, a potem porywa się na jakieś szaleńcze eskapady, bo gotowym pomyśleć, że oberwał panicz z deczka zbyt mocno. A skoro już o tym mowa... – Kajzar sięgnął za siebie i podał Victorowi jego sfatygowany, lecz wciąż cały cylinder.

Teatrolog aż się rozpromienił.

– Ten cylinder to mój talizman – oznajmił Kajzarowi, oglądając nakrycie głowy ze wszystkich stron, by upewnić się, czy nie jest dziurawe. – Dostałem go na urodziny od najlepszego przyjaciela i od tamtej pory nigdy się z nim nie rozstaję.

– No, to trzeba przyznać, że przyniósł paniczowi szczęście. – Myśliwy uniósł brew. – Jako jedyny przeżył pan napad na uzbrojony konwój wojskowy.

– Faktycznie, niesamowite szczęście... – potwierdził Victor, starając się nie zwracać uwagi na ukryte w tym zdaniu pytanie. Wcisnął cylinder na głowę, po czym podniósł się. Zawirowało mu przed oczami, ale nie upadł, podtrzymany silną dłonią Kajzara. – Chyba jeszcze nie do końca doszedłem do siebie – wymamrotał.

Stary myśliwy uśmiechnął się wyrozumiale i pomógł mu dojść do sań. Pozostali pospiesznie zwijali obóz i już kilka chwil później ruszyli w stronę Bordii.

Victor przemyślał swoje obecne położenie. Omal nie zginął podczas napadu na konwój, przeżył właściwie przez głupi przypadek. Naraził się na dekonspirację i...

Co tu robi Czerwona Królowa?

Myśl ta objawiła się nagle i niespodziewanie, choć już od dłuższego czasu kołatała mu się w głowie. Sfora Rudej Gabrielle była dla rewolucjonistów czymś w rodzaju symbolu – prawdziwi wojownicy pokazujący, że walka trwa, że wychodzi poza szeptaną i zakulisową konspirację.

Prawdziwi wojownicy, pomyślał gorzko Victor, przypominając sobie jatkę. Czasem lepiej było, gdyby symbol pozostał tylko symbolem.

Co tu robi Czerwona Królowa? Czemu nie grasuje po bardziej cywilizowanych częściach Zimy, gdzie wieść o jej działaniach dotarłaby do większej liczby uszu? Czy to wojsko zaczęło deptać jej po piętach tak zaciekle, że Gabrielle zmuszona była uciekać aż na koniec świata?

Victora zaczęło to denerwować. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Bordii, gdzie miał nadzieję uzyskać odpowiedzi na przynajmniej część nurtujących go pytań. Szczęśliwie zarówno Kajzar, jak i myśliwi podzielali jego chęć jak najrychlejszego dostania się do miasta. Przyczyn nie było trudno się domyśleć.

Mężczyzna zlecił jednemu z młodszych myśliwych zaprzęgnięcie renów, sam ponownie zbliżył się do Victora i starał się wypytać go o szczegóły napadu. Teatrolog odpowiadał na jego pytania ogólnikowo i wymijająco, zasłaniając się słabą pamięcią. Domyślał się, że myśliwym nic nie grozi ze strony sfory Czerwonej Królowej, że Ruda Gabrielle wiedziała o ich obecności. Wszak czy zostawiłaby Victora nieprzytomnego na pobojowisku, gdyby w pobliżu nie było kogoś, kogo całe zamieszanie mogłoby tam ściągnąć? Z oczywistych względów nie powiedział tego Kajzarowi, toteż stary myśliwy zlecił swoim podwładnym zachować najwyższą ostrożność.

Victora usadowiono na mniejszych saniach, które pierwotnie miały zapewne służyć do przewożenia mięsa, skór i trofeów. Płozy gładko sunęły po oblodzonej, przyprószonej śniegiem drodze. Konwój poruszał się dość szybko, od czasu do czasu zwalniając lub przyspieszając, w zależności od ukształtowania terenu i czasu poświęconego na zbadanie miejsc nadających się na



potencjalną zasadzkę. Ukołyszany tym tempem Victor przymknął oczy, mocniej okręcił się znalezionym w saniach kocem i usnął.

Kiedy się obudził, zmierzchało już, a myśliwski konwój dotarł do bram Bordii. Ból głowy zmienił się w tępe ćmienie, które od biedy dawało się wytrzymać. Victor wstał i rozejrzył się. Kajzar rozmawiał z wysokim mężczyzną w mundurze konstabla, Bernard Cumhail gdzieś zniknął. Stary myśliwy, spostrzegłszy, że mężczyzna już się obudził, gestem wezwał go do siebie.

– To panicz jest tym jedynym ocalałym z napadu na konwój z Vadeline? – zapytał formalnie i bez ogródek urzędnik, gdy tylko Victor podszedł.

Teatrológ skinął głową.

– Pójdzie panicz ze mną.

– Skąd przypuszczenie, że mam ochotę?

Konstabl najeżył się.

– Musi panicz złożyć zeznania. Jeśli to prawda, co mówił pan Kajzar, to sprawa jest poważna. Komendant już na nas czeka. Pańska ochota nie ma tu nic do rzeczy.

– Jestem ranny, brudny i zmęczony – zaoponował Victor. – Nie mógłbym najpierw odpocząć? Obiecuję, że jutro z samego rana stawię się na posterunku i złożę zeznania.

– Ten młody człowiek niemało dzisiaj przeżył – poparł go Kajzar. – Dajmy mu chwilę wytchnienia.

Konstabl zawahał się na moment.

– Dostałem rozkaz, by doprowadzić panicza, jak najprędzej tylko się da.

– Rozkaz, to rozkaz – westchnął Caillou. – Chodźmy zatem. – I powlókł się za mundurowym.

Bordia w niczym nie przypominała Vadeline. Miasto było ważnym węzłem handlowym, na którym przecinały się trzy szlaki, przez co jego mieszkańcami byli wszelkiej maści kupcy – od tych drobnych, podróżujących między miastami, skupujących dobra tam, sprzedających gdzie indziej, po potężnych przedsiębiorców zarządzających całymi gildiami. Jak w każdym mieście napędzanym siłą popytu i podaży, tak i w Bordii roiło się od rzezimieszków, dziwek, kanciarzy, oszustów, złodziei, najemników i niespokojnych dusz, które przybyły tutaj w poszukiwaniu lepszego życia, znajdując na ogół coś zgoła przeciwnego.

Była czymś – i mimo zmęczenia Victor nie był w stanie odpędzić się od tej natrętnej myśli – czym już niedługo może stać się Vadeline.

Posterunek mieścił się w niewielkiej, obskurnej kamieniczce. Komendant posadził znużonego Victora naprzeciwko swojego biurka i zaczął wypytywać go o niedawne zdarzenia.

– Rozumiem – chrząknął, gdy teatrológ opowiedział mu tę samą historię, którą wcześniej sprzedał Kajzarowi. Westchnął i pochylił się w stronę Victora. – Muszę przyznać, że to pierwszy taki przypadek, o którym słyszałem. Żeby Ruda Gabrielle zostawiła kogoś przy życiu... Wprost niepodobna.

– Jej ponura sława zdaje się być przesadzona. – Caillou poprawił opatrunek na głowie. – Zna pan chyba siłę plotek. Szczurem wyleci, renem wróci...

Komendant westchnął tylko.

– Mróz by ją nadał... Tego tylko było nam trzeba, zwariowanej grasantki.

– Musi mieć pan przez to sporo kłopotów...

– Nie wyobraża sobie panicz nawet. Szczęściem, niedługo nie będzie to już mój problem.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Victor.

– Gabrielle krążyła po tych ziemiach już od dłuższego czasu – powiedział komendant. – Miałem nadzieję, że nie zapuści się tak daleko na południe, ale w świetle dzisiejszych wydarzeń...

– Rozłożył ręce. – W każdym razie zawiadomiłem kogo trzeba i już niedługo zajmie się tym Biała Gwardia. Słyszał panicz o Białej Gwardii?

– A kto nie słyszał? – Victor uśmiechnął się blado. Elitarna organizacja bojowa podlegająca jedynie Jej Wysokości od zawsze cieszyła się ponurą sławą wśród rewolucjonistów. Coraz lepiej, pomyślał. Coraz lepiej. – Mogę już iść? – zapytał, demonstracyjnie chwytając cylinder. – Jestem zmęczony podróżą, brudny, głodny i ranny.

– W porządku – odparł komendant po krótkiej chwili namysłu. – Proszę tylko zawiadomić nas o miejscu, w którym się panicz zatrzyma, na wypadek, gdyby potrzebne były bardziej szczegółowe zeznania.

Victor sennie kiwnął głową – zmęczenie naprawdę mocno dawało mu się we znaki – po czym, pożegnawszy się, wyszedł. Westchnął i na powrót zagubił się w ciemnych zaułkach miasta.

\*\*\*

Pojawienie się Rudej Gabrielle na horyzoncie zdarzeń przysporzyło Victorowi więcej problemów, niż początkowo przypuszczał. Przede wszystkim – szlak pomiędzy Bordią a Vadeline został zamknięty i trudno było przewidzieć, kiedy na powrót można będzie bez przeszkód podróżować pomiędzy tymi dwoma miastami. Victor zorientował się, że być może przyjdzie mu przezimować w Bordii, co zupełnie mu się nie uśmiechało. Nie wątpił, że madame Greene poradzi sobie z przygotowaniami, jednakże to przecież Victor Caillou był dyrektorem teatru Vadeline i to na nim spoczywał obowiązek zajmowania się wszystkimi sprawami z nim związanymi. Ta myśl zawstydziła go nieco.

Zajazd, w którym się zatrzymał, był urządzony skromnie, ale wyposażono go we wszelkie wygody, jakich mógł oczekiwać za taką cenę. Był to typowy lokal wynajmowany przyjezdnym, którzy chcieli spędzić noc lub dwie w stosunkowo suchym i bezpiecznym miejscu i zjeść przyzwoity – choć bynajmniej nie wykwintny – posiłek. Daleko mu było do przytulności zajazdu pani Cirque, ale też Victor nie planował zatrzymywać się tu na długo.

Poranek powitał teatrologa lekkim bólem ciemienia. Choć, jak oceniał delikatnie, badając ranę dotykiem, guz nie napuchł za bardzo, to fale bólu rozlewające się przy każdym gwałtowniejszym ruchu głowy momentami były dokuczliwe. Krzywiąc się niemiłosiernie, Victor zmienił opatrunek.

Pogoda nie nastrajała optymistycznie – na ulicach zalegał brudny śnieg, wdeptany w bruk setkami podeszw, kół, płóz i kopyt. Ciemne chmury kłębiące się nisko nad horyzontem zwiastowały rychło nadchodzącą śnieżycę. Przybysz postawił kołnierz płaszcza, opuścił głowę, laskę wsadził sobie pod pachę, wbił dłonie w kieszenie, po czym ruszył na poszukiwanie Jeremy'ego.

„Herold Bordii” był najstarszym tego typu wydawnictwem w tym rejonie – zasięg dziennika obejmował prawie całą południową część Marchii, choć oczywiście nie do wszystkich miejscowości dochodził z tą samą częstotliwością. Mieszkańcy Bordii i okolicznych wiosek mogli cieszyć się nowym wydaniem każdego dnia, do bardziej oddalonych miast „Herold” dochodził raz na jakiś czas – co dziesięć dni redaktorzy przygotowywali specjalne wydanie o potrojonej objętości, które zbierało najważniejsze informacje, jakie zamieszczono w dzienniku, i w tej właśnie formie pismo docierało do bardziej odległych zakątków rejonu.

Redakcja „Herolda” znajdowała się w skromnej, ale cieszącej oko estetyczną budową kamieniczce o wysokim, spadzistym dachu. Takie konstrukcje Victor widywał przeważnie w miastach położonych dalej na północ, gdzie zalegający na dachach śnieg bardzo często

przyczyniał się do wielu problemów czy nawet tragedii. Kamieniczka była nowa i to być może chęć hołdowania modom rodem ze stolicy stanowiła powód, dla którego dach miał taki kształt. Jednak po drodze Victor widział jeszcze co najmniej kilka tego typu konstrukcji. Nasuwał się zatem logiczny wniosek, iż z roku na rok, z dekady na dekadę śniegi w tej części Zimy stawały się coraz bardziej dokuczliwe. To z kolei oznaczało, że być może domniemania niektórych meteorologów, jakoby warunki na całym globie powoli się zaostrzały, nie były jeno akademickim bajdurzeniem. Teorie te były zresztą dość popularne pośród rewolucjonistów, którzy za taki stan rzeczy nader chętnie oskarżali Królową.

We wnętrzu panowała zdrowa atmosfera cudownie nieokiełznanego rozgardiaszu, w którym wszystko działo się naraz. Przybyszowi z zewnątrz panujący w głównym pomieszczeniu redakcji rejwach mógł wydać się istnym pandemonium – ludzie wchodzili i wychodzili, siedzący przy maszynach do pisania dziennikarze krzyczeli do siebie z jednego końca pomieszczenia do drugiego, goniec zaś, który wbiegł właśnie do środka, o mało nie przewrócił przy tym Victora.

Odzyskawszy równowagę, teatrológ począł rozglądać się w poszukiwaniu osoby panującej nad tym całym chaosem, zadanie to jednak okazało się ponad jego siły. Ludzie, których zaczepiał, albo zbywali go poirytowanym mruknięciem czy wręcz zdawkowym ruchem ręki, albo w ogóle nie zwracali na niego uwagi. To nie był warsztat pana Manciniego, gdzie pozorny nieporządek okazywał się w istocie misternym tańcem ludzkich kółek zębatych, przekładni i wahadeł precyzyjnego mechanizmu. Tutaj faktycznie panowało trudne do opisanego szaleństwo.

Ale i z szaleństwem Victor umiał sobie poradzić. Przycupnąwszy w kącie pomiędzy drzwiami a zawałoną papierami szafką, oczekiwał na moment, w którym jeden z zdyszanych gońców znów wpadnie do redakcji, wymachując jakimś ważnym dokumentem czy niecierpliwie wyczekiwaną paczką. Nie czekał długo – już po niespełna dwóch obrotach klepsydry usłyszał szybki rytm tupotu butów w sieni. Victor policzył do czterech i wysunął zakrzywiony koniec laski tak, by wystawał dokładnie pośrodku dolnej części drzwi.

Biegący chłopiec zahaczył stopą o przeszkodę i – przy akompaniamencie głośniego łoskotu, w asyście chmury rozrzuconych kartek – jak długi wyciągnął się na podłodze. Nie czekając, Victor pochylił się nad nim, ucapił za kark i silnym szarpnięciem przywrócił nieboraka do pozycji pionowej.

– Nic ci się nie stało, młodzieńcze? – zapytał troskliwie, oglądając go od stóp po czubek głowy.  
– To ryzykowne, tak gnać na oślep. Można sobie zrobić krzywdę. Ciesz się, że nie rozbiłeś nosa.

– Reportaż... – wystękał chłopiec, opadając na kolana, by pozbierać upuszczone stronicę. – Muszę dostarczyć pani naczelnej, ale to już! Ze skóry mnie obedrze, już i tak zmitrężyłem nielicho...

– Spokojnie. – Victor przyklęknął i pomógł chłopcu w uporządkowaniu kartek. – Mam pomysł. Ja dostarczę pani naczelnej ten reportaż, wskaż mi ją tylko.

– A pan to kto? – zapytał chłopiec, zabawnie przekrzywiając głowę. Nie mógł być wiele starszy od Raya Cirque.

– Interesant – odparł Victor. – Nuże, młody człowieku! Na pewno masz jeszcze sporo na głowie.

– Niech mnie mróz zetnie! – Goniec aż chwycił się za czapkę. – Racja, że pan Colben coś jeszcze ode mnie chciał! Gdzie ja mam głowę? Naprawdę dałby pan szefowej ten reportaż? Ja jej w oczy nie chcę teraz leżeć, ona cięta na mnie, niejednego na skutym lodzie wyrzuciła za mniejsze przewiny.

– Oczywiście. – Victor wyciągnął mu z dłoni papiery. – Gdzie siedzi szefowa?

– O, tam, o – chłopiec wskazał sterczącym z dziurawej rękawiczki palcem – ta wysoka, z wiedzimim wejrzeniem. Zła jak lodowa wilczyca, gdy jej kto do szczeniaków podchodzi.

– Widzę. No już, zmykaj. Nie pozwól czekać panu Colbenowi, na pewno nielecho się denerwuje.

– Co prawda, to prawda. – Chłopiec potarł zaczerwieniony od upadku policzek. – Dziękuję panu!

I już go nie było.

Ściskając w dłoni naręczce papieru niczym śmiercionośny oręż, Victor śmiało wkroczył w ten środek burzy śnieżnej, jaką była redakcja „Herolda”. Lawirując pomiędzy krążącymi wśród rzędów biurk dziennikarzami, dotarł w końcu do wskazanej przez gońca kobiety, która bębniła palcami w maszynę do pisania z zajadłością godną pułku żołnierzy wiążących ogniem rewolucjonistów. Trzask-trzask-chrup (wałek maszyny przesunął się z powrotem na swoje miejsce). Trzask-trzask-trzask-trzask.

Victor stanął obok niej, rzucił reportaż na względnie pusty i czysty fragment biurka i wyskandował:

– Reportaż dla szefowej!

Pani naczelna, jak określił ją goniec, nie odwróciła nawet głowy. Trzask-trzask-trzask – palce strzelały po klawiaturze z zadziwiającą szybkością. Dopiero gdy dotarła do końca akapitu, zdecydowała się przyjąć do wiadomości istnienie kogoś takiego jak Victor. Nie znaczyło to jednak, że poświęciła mu całą swoją uwagę – bynajmniej.

– Co tak długo? To już dawno powinno być po korekcie! – burknęła, sięgając po przyniesiony przez teatrologa tekst. Przerzuciła kilka stron. – To przecież w ogóle nie jest na temat! Poza tym jeśli Hugo nie nauczy się stawiać przecinków tam, gdzie należy, to osobiście wtłoczę mu do gardła każdy grafomański... – przerwała. Widocznie zorientowała się, że coś jest nie tak. Przez moment, gdy nie mogła ustalić, co konkretnie, z jej twarzy zniknął wyraz bezbrzeżnej irytacji. Potem zobaczyła Victora. – Kim pan jest? – zapytała ostro.

– Victor Caillou, teatrolog. Chciałbym...

– Nie mam czasu – warknęła naczelna, uprzątając rozłożone na biurku dokumenty. – Nie widzi pan, jakie mamy urwanie głowy? O zmierzchu musimy puścić nowego „Herolda”, a wczorajszy napad rebeliantów na konwój z Vaseline sprawił, że właściwie cały numer musimy składać od początku. Herman! – krzyknęła tak niespodziewanie, że Victor odruchowo skulił się w sobie. – Skontaktowałeś się już z tym świadkiem, który ocalał z jatki? Co?

– Komendant nie chciał mi podać jego nazwiska! – Padła odpowiedź z biurka dwa rzędy dalej.

Naczelna z frustracją huknęła pięścią w blat, aż podskoczyły i zagrzechotały wieczne pióra, kubki oraz przyciski do papieru.

– Mróz by to! – zakłęła. Naraz jej uwaga znowu skupiła się na Victorze. – No słucham. Czego pan chce? Tylko rychło i zwięźle.

– Szukam Jeremy’ego Salieri – powiedział szybko. – Ponoć pisze dla tutejszej gazety.

– Doprawdy? – Obrzuciła go długim, podejrzliwym spojrzeniem. – Chwila, wspominał pan, że jest teatrologiem?

– Obecnie dyrektorem teatru – uściślił Victor. – Widzi pani...

– No to wszystko jasne. – Kobieta odwróciła się, chwyciła pióro, jedną ze stron przyniesionego reportażu i zaczęła kreślić, dopisywać, podkreślać, malować strzałki i dostawiać znaki przestankowe. Robiła to szybko, mechanicznie, niemal bez zastanowienia. Oko śledziło tekst,

umysł wyłapywał błąd, uzbrojona w pióro dłoń go poprawiała. – Widzi pan, nie jest pan pierwszy.

Victor zdębiał.

– Przepraszam, ale chyba nie rozumiem – wyjąkał.

– Co pewien czas zjawia się tu jakiś wyjątkowo wrażliwy na swoim punkcie młodzien, gotów do ostatniej kropli krwi i atramentu bronić własnego dzieła przed miazdzącą krytyką pana Salieri. Przychodzą tu, jak pan, dumni, oburzeni, przeświadczeni o własnym geniuszu, niemający ani krzty dystansu wobec siebie. Ja zaś zawsze odpowiadam im to samo – adres pana Jeremy'ego Salieri tylko do wiadomości redakcji. To stary, schorowany człowiek. Proszę dać mu spokój, przełknąć krytykę i wrócić do domu.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Victor – myli się pani, ja wcale nie...

Ale naczelna już go nie słuchała. Demonstracyjnie pochyliła się nad maszyną do pisania, uderzając w klawisze z jeszcze większą niż dotychczas zajadłością, jakby hałasem czcionek chcąc już zawczasu zagłuszyć protesty namolnego interesanta.

Teatrológ westchnął. Miał nadzieję, że uda mu się tego uniknąć, ale na ową chwilę nie widział innej możliwości.

– Wspominała pani, że szuka osoby, która ocalała z ataku Rudej Gabrielle na konwój z Vadeline...

Stukot ucichł na moment.

– Wiadomo panu coś o tej sprawie?

– To ja jestem tą osobą.

Udało się – naczelna przerwała pracę i skupiła na nim uwagę.

– Konwój pochodził z Vadeline – ciągnął Victor. – Ja właśnie stamtąd przyjechałem.

– I ja mam w to uwierzyć?

– A czemu nie?

– Mówił pan, że jest dyrektorem teatru?

Kiedy Victor przytaknął, kobieta wyprostowała się i krzyknęła:

– Herman!

– Tak?! – Z lekka ochryply głos dobiegł z drugiego końca pomieszczenia.

– Czy w Vadeline jest jakiś teatr?!

– Pierwsze słyszę!

– I tym oto sposobem – naczelna odwróciła się do Victora – pańskie łgarstwo wyszło na jaw. Coś jeszcze?

– Chwileczkę. – Victor desperacko starał się nie stracić zainteresowania naczelnej swoją osobą.

– Teatr w Vadeline jest, tyle tylko, że zamknięty. Ja dopiero od paru dni staram się na powrót wprowadzić go w ruch.

– Ma pan na to jakieś dowody?

– Ja...

– Więc nie widzę powodu, bym dalej musiała zawracać sobie panem głowę.

– Niech pani spyta komendanta.

– Nie udzieli mi takich informacji.

Victorowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Udzieli – zapewnił – jeśli ja wyrażę na to zgodę. Ma pani gdzieś tu kartkę i coś do pisania?

Zważywszy na to, gdzie się znajdowali, było to bardzo niemądre pytanie. Victor pospiesznie skreślił kilkanaście słów.

*Ja, Victor Caillou, będąc w pełni władz umysłowych, upoważniam komendanta posterunku policji w Bordii do udzielenia dziennikowi „Herold Bordii” wszelakich informacji na swój temat.*

Poniżej dodał swój zamaszty podpis – taki sam, jaki widniał pod zeznaniami, które złożył dzień wcześniej. Wiadomość wręczył jednemu z gońców, który wprawdzie wyciągnął rękę po zapłatę, ale spostrzegłszy kosy wzrok naczelnej, szybko ją schował, porwał papier i pędem wypadł z redakcji.

– Umowa brzmi tak – rzekł Victor, gdy młodzieniec zniknął już za progiem. – Pani zdradzi mi adres Jeremy’ego Salieri, ja zaś zgodzę się na wywiad.

– Kiedy tylko się przekonam, że nie robi pan ze mnie bałwana.

– Jakżebym śmiał! – Mężczyzna uniósł dłonie w obronnym geście i uśmiechnął się szeroko, kobieta jednak okazała się nadzwyczaj odporna na jego urok osobisty.

– Zdziwiłby się pan, jacy ludzie czasem do nas przychodzą – oznajmiła, porządkując papiery wokół siebie. – Szaleńcy, wariaci, fanatycy... A to i tak nic z porównaniu z korespondencją. Istny dom dla obłąkanych.

Victor rozejrzał się po redakcji. Dwóch dziennikarzy wpadło na siebie, rozsypując niesione papiery. Ktoś krzychał na młodzietkiego gońca, który był o krok od zalania się łzami. Czyjś niesforny łokieć zawadził o wałek maszyny do pisania, która z hukiem wylądowała na podłodze.

– Właśnie widzę – mruknął pod nosem.

– Mówił pan coś?

– Nie, nie – zaprzeczył szybko i gorliwie. – Musiało się pani wydawać.

W końcu wrócił goniec – zdyszany i zaczerwieniony, w przekrzywionej czapce. Victor sięgnął po trzymaną przez niego wiadomość, ale redaktor naczelna ubiegła go. Niecierpliwym ruchem ręki rozwinęła papier, szybko prześledziła jego zawartość, przerzuciła spojrzenie na Victora, po czym wróciła do lektury. Gdy upewniła się w końcu co do autentyczności dokumentu, westchnęła ciężko i krzyknęła:

– Herman!

Victor skrzywił się lekko, ale pojmował, że system komunikacji polegający na krzyczeniu do siebie przez całe pomieszczenie zwyczajnie się sprawdzał, zważywszy na to, że korzystali z niego wszyscy bez mała dziennikarze.

– Tak?!

– Przeprowadzisz wywiad z panem...?! – Zerknęła na Victora.

– Caillou – odpowiedział szybko.

– Z panem Caillou! To ocalony z konwoju!

– Skąd go pani wytrzasnęła?!

– Sam do nas przyszedł!

Niespełna pół obrotu klepsydry później Victor siedział przy biurku wysokiego, wyposażonego w długą, bujną brodę, mężczyzny, którego do tej chwili Victor znał tylko jako donośny głos spod przeciwległej ściany. Herman okazał się sympatycznym, potężnie zbudowanym człowiekiem, który swoją aparycją pasowałby bardziej do grona myśliwych lub drwali niżli do kadry dziennikarskiej.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy Victor zajął miejsce przy jego biurku.

– Tak – potwierdził teatrolog. – Nie spodziewałem się tylko, że do pracy w gazecie trzeba mieć tak silne płuca.

– Hałas, prawda... – Herman lekceważąco machnął olbrzymią, przypominającą szpadel dłonią.

– Po pewnym czasie się przywyka. Możemy już zacząć?

- Oczywiście. - Victor wyprostował się.
- Imię i nazwisko?
- Victor Caillou. Przez dwa l.
- Profesja?
- Teatrológ.
- Wiek?

Wywiad nie trwał zbyt długo, Victor musiał się jednak pilnować, by nie chlapać o jedno słowo za dużo i by jego odpowiedzi były zgodne z zeznaniami złożonymi zeszłego wieczoru. Herman wydawał się usatysfakcjonowany. Po zakończeniu wywiadu wstał i podziękował Victorowi, wyciągając do niego rękę. Teatrológ podał mu swoją, w duchu obawiając się łamiącego palce uścisku, jednak dziennikarz, najpewniej wiedziony doświadczeniem, wykazał się zaskakującą delikatnością.

- Słyszałem, że chce się pan spotkać ze starym Salierim - rzucił, gdy Victor podniósł się już z krzesła. Gdy teatrológ przytaknął, Herman westchnął i zgarbił się nieco. - Niech pan sobie daruje - rzekł. - Tego starego capa nikt nie lubi, nawet najwierniejsi czytelnicy jego rubryki. Raz w tygodniu przysyła tu kogoś, kto dostarcza nam jego felietony oraz recenzje, i to wszystko. Ostatni raz we własnej osobie pojawił się w redakcji chyba dwa lata temu. I bardzo dobrze.

- Słyszałem, że to ceniony krytyk.

- A jakże! - Olbrzym przetarł czoło przedramieniem i zaczął rozglądać się wokół siebie. W końcu znalazł dużą kraciatą chustkę i otarł nią twarz. - Uch, ależ tu zaduch. O czym to ja...? A, tak. Salieri. Widzi panicz, ludzie od początków prasy lubili czytać niepochlebne, złośliwe recenzje. Taka natura człowiecza, radować się, że komuś się oberwało. Im kto z większą finezją opluje, wyśmiej, tym uciecha większa. Nie dziwota więc, że Salieri cieszy się taką popularnością.

- Czy on kiedykolwiek napisał jakąś pozytywną recenzję?

- A jakże. Dlatego właśnie, mimo jego ciętego pióra i wygórowanych oczekiwań, twórcy wciąż wysyłają mu zaproszenia na premiery. Bo jak już się coś Salieriemu spodoba, to niechybnie będzie przebojem w całej Marchii. Ale to się zdarza bardzo rzadko.

- Domyślam się - rzekł Victor. Pożegnał się z sympatycznym dziennikarzem i wrócił do naczelnej. Ta bez słowa podała mu świstek papieru z adresem. Teatrológ uklonił się i wyszedł. Zamierzał wprawdzie poprosić naczelną, by opisała mu drogę, ale widział wyraźnie, że chciała się go jak najszybciej pozbyć z redakcji, a i sam miał już serdecznie dosyć przebywania w dusznym, gwarliwym pomieszczeniu. Z westchnieniem ulgi wyszedł na świeże powietrze.

Pytając przechodniów i sprzedawców, udało mu się w końcu ustalić, w którą stronę powinien się udać, choć i tak kilka razy zabłądził w gąszczu nieznanymi uliczek. W pewnym momencie uświadomił sobie, że znajduje się nieopodal placu sądowego. Zadrzał - odbywała się na nim egzekucja.

- Zgodnie z rozporządzeniem murgrabiego sprawującego rządy z woli miłośniców nam panującej Białej Królowej, ogłasza się, co następuje: obecni tu Anastazja Stjepanowicz, Karol LeStrange, Alvin Coriolane...

Urządник beznamiętnym głosem wymieniał kolejne nazwiska. Victor przypatrywał się więźniom - kilkanaście mężczyzn i kobiet w brudnych uniformach więziennych, z dłońmi związanymi za plecami. I pustką w oczach.

- Cel! - krzyknął dowódca plutonu egzekucyjnego, unosząc w górę obnażone ostrze szabli. Kilkanaście łuf równocześnie uniosło się do pozycji strzeleckiej.

Teatrológ w ostatniej chwili odwrócił wzrok, nie widział więc śmierci skazańców. Usłyszał

jedynie ogłuszający huk wystrzału i kilka urwanych krzyków. Odetchnął ciężko, wciągając do płuc ostry zapach prochu. Gdy było już po wszystkim, Victor spojrzał na dowódcę plutonu. Na jego twarzy nie malowało się żadne widoczne uczucie, może poza obojętnością. Dla niego była to pewnie rutyna. Możliwe, że nie myślał o ludziach, których pozbawił właśnie życia. O tym, że niektórzy z nich mogli być niewinni, mogli po prostu znaleźć się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Znał takie przypadki. Kiedyś sam uniknął dekonspiracji i schwytania, ponieważ żołnierze pomylili Victora z innym młodzieńcem, który trochę przypominał go z oblicza. Tamten młody mężczyzna zginął – teatrolog obserwował jego egzekucję.

Wtedy nie odwrócił wzroku. Choć bardzo tego pragnął.

Wojskowy zorientował się, że ktoś mu się przypatruje. Podeszedł do Victora.

– Jakiś problem? – zapytał uprzejmie.

Teatrolog pokręcił głową.

– Zgubiłem się – powiedział, podając żołnierzowi kartkę z adresem. – Może pan będzie w stanie mi pomóc.

Mężczyzna rzucił okiem na papier.

– Źle panicz skręcił – wyjaśnił, podbródkiem wskazując drogę. – Proszę cofnąć się jedną przecnicę i ruszyć w stronę wieży zegarowej.

– Dziękuję. – Victor ostrożnie skinął głową, nadal nie spuszczać wzroku z jasnoniebieskich oczu dowódcy plutonu.

Coś w spojrzeniu teatrologa musiało powiedzieć wojskowemu, że jego rozmówca nie do końca aprobuje to, czego był właśnie świadkiem.

– Chronimy ludność cywilną przed rebeliantami – powiedział, jakby się usprawiedliwiał. – Mam nadzieję, że panicz to rozumie.

– Zaiste. – Victor ugryzł się w język, zanim wymknęła mu się jakaś kąśliwa uwaga. Miał wrażenie, że na obliczu żołnierza pojawiły się oznaki wątpliwości. Jak gdyby on sam nie był pewien, czy to, co przed chwilą powiedział, jest prawdą. – Raz jeszcze dziękuję za pomoc – powiedział, uklonił się i odszedł pospiesznie.

Jeremy Salieri mieszkał w bogatszej części miasta, gdzie chodniki były starannie odśnieżone, zaułki wyraźnie czystsze, po okolicy zaś nie kręcili się włóczędzy – za to częściej niż gdziekolwiek indziej w Bordii można było dostrzec konstabla patrolującego dzielnicę.

Krytyk mieszkał w czystej, lecz zaskakująco skromnej kamieniczce. Victor przekroczył furtkę i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu młoda, jasnowłosa kobieta o zalęknionym spojrzeniu.

– Dzień dobry. – Victor uśmiechnął się przygotowanym specjalnie na takie okazje uśmiechem. – Zastałem może pana Jeremy'ego Salieri?

– Wuj jest u siebie – powiedziała cicho. Wbrew wrażeniu, jakie początkowo odniósł Victor, kobieta nie była przestraszona, po prostu miała bardzo duże, ciemnozielone oczy, które nadawały jej twarzy wyrazu niepokoju przemieszanego ze zdziwieniem. – Był pan umówiony?

– Nie, mam nadzieję jednak, że pan Salieri przyjmie mnie poza kolejką.

– Nie ma żadnej kolejki – powiedziała. – Niewiele osób tu zagląda. Pańska godność?

– Victor Caillou.

– Proszę wejść.

Victor znalazł się w niewielkim, ale schludnie urządzonej mieszkaniu. Najwyraźniej Jeremy Salieri nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do wystroju wnętrza.

– Nazywam się Ilona – przedstawiła się kobieta. – Ilona Salieri. Proszę się rozgościć, zapytam



wuja, czy pana przyjmie.

Kiedy zniknęła w sąsiednim pokoju, Victor rozejrzał się po salonie. Jego uwagę przykuły oprawione w ramki dyplomy, listy z podziękowaniami i plakaty, z których wywnioskował, iż słynny krytyk literacki był przed laty o wiele bardziej spolegliwym człowiekiem niż obecnie. A może to tylko nieliczne wyjątki, które ktoś – najpewniej młoda krewniaczka Jeremy'ego – uznał za warte wywieszenia na ścianie?

– Wuj się teraz z panem spotka – oznajmiła Ilona, stając w drzwiach.

Victor uprzejmie skinął jej głową i przeszedł do drugiego pokoju. Tam, przy kominku, na szerokim fotelu siedział Jeremy Salieri, jedyna znana Victorowi osoba, która mogła przechowywać egzemplarz jednej z zaginionych sztuk Samuela Zimmermana.

## Rozdział VI

### Rozczarowania

*Oko w oko z Salierim – Co przepadło w płomieniach – Kaprysy losu i pogody – Pan Kyd i jego talenty –  
Teorie spiskowe – Szarlotka*

Jeremy Salieri odwrócił się w stronę Victora, który przyznać musiał, że krytyk najlepsze lata ma już za sobą. Okoloną siwymi włosami twarz znaczyły głębokie bruzdy, szponiaste dłonie zaciskały się na oparciu fotela, zgarbiona sylwetka z trudem dopasowywała się do skórzanego oparcia. Jedynie oczy były młode, a przynajmniej nie tak stare, jak reszta ciała – choć zasnuła mgiełką, wciąż żarzyły się w nich węgliki bystrości rozumu. Starzec cierpliwie wpatrywał się w Victora, który naraz stracił właściwe sobie zdecydowanie i pewność siebie. Spodziewał się zażywnego, nieustępliwego krytyka, a nie schorowanego człowieka, właściwie stojącego już nad grobem.

– Nazywam się Victor Caillou – przedstawił się, gdy stało się jasne, iż Salieri nie ma zamiaru odezwać się pierwszy. – Jestem teatrologiem.

– I cóż w związku z tym? – odezwał się Jeremy, poprawiwszy pozycję w fotelu. Głos miał nadzwyczaj silny, dziwnie niepasujący do kruchej aparycji.

– Poszukuję zaginionych sztuk dramaturga i reżysera, Samuela Zimmermana – ciągnął Victor. – Mam uzasadnione podejrzenia, że może być pan w ich posiadaniu.

Na dźwięk nazwiska dramaturga Salieri drgnął i wydawało się, że zaczął zwracać baczniejszą uwagę na słowa przybysza.

– Samuel Zimmerman – powtórzył krytyk. – Od trzydziestu lat nie słyszałem tego nazwiska.

Victor nie odzywał się, widział bowiem, że starzec jeszcze nie skończył, przerwał tylko, by zebrać myśli.

– Samuel Zimmerman – powtórzył raz jeszcze Salieri. – Jest panicz jego krewnym? Członkiem rodziny? Synem może?

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Caillou, który słyszał to pytanie bardzo często. – Po prostu badam jego twórczość. Pan go znał, prawda?

– Wymienialiśmy korespondencję, owszem. Niech panicz usiądzie. – Końcem dzierzzonej w dłoni laski wskazał Victorowi krzesło stojące pod ścianą. – Czego panicz ode mnie oczekuje? – zapytał bez ogródek, gdy teatrolog zajął już wskazane mu miejsce.

– Proszę mi opowiedzieć o Zimmermanie.

– Był szaleńcem – powiedział starzec i zamilkł, jakby wyjaśnił już wszystko i nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia.

Victor westchnął w duchu.

– Panie Salieri, z tego, co słyszałem, połowa środowiska artystycznego całej Marchii drży ze strachu przed ostrzem pańskiego pióra. Czy ja naprawdę muszę ciągnąć pana za język?

Kąciki warg Jeremy'ego zadrgały lekko. Nie był to uśmiech, ale wystarczyło, by twarz starca nie miała już aż tak nieprzyjemnego wyrazu.

– Niech paniczowi będzie. Jeśli jednak spodziewa się panicz pieśni pochwalnych na cześć swojego ulubieńca...

– Zdaję sobie sprawę, że go pan nie lubił – wtrącił Victor z lekką nutą zniecierpliwienia w głosie.

– Nie lubił! – prychnął Salieri. – Osobiste sympatie nie miały tu absolutnie nic do rzeczy. Zimmerman mógł być sobie najbardziej spolegliwym człowiekiem na całej Ziemi, co nie zmienia faktu, że był grafomanem. Tak właśnie, grafomanem! – Krytyk pochylił się w stronę Victora. – Sztuka, panie Caillou to nie gnanie na oślep przez śnieżne zasy, sztuka to ciężka praca, studia i poświęcenie. To szacunek wobec tych, którzy byli przed nami, tych, którym zawdzięczamy dotychczasowe dokonania. Teatr rozwijał się przez wiele wieków, kolejne elementy przymarzały do tej osobliwej figury przez wiele lat, tworząc rzeźbę o misternie skonstruowanej topografii. Podział na akty, zwyczajowy układ dekoracji, zakres dylematów, chwytów fabularne – wszystko to zostało starannie skodyfikowane i wdrożone metodą wielu prób i błędów. Zimmerman nie był artystą, nie był nawet rzemieślnikiem. Był dzieckiem, które bawi się w teatr rzeźbionymi w drewnie figurynkami.

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Byłem podówczas wykładowcą na Akademii, wziętym historykiem sztuki, patronowałem wielu artystycznym przedsięwzięciom. Wtedy właśnie poznałem Samuela Zimmermana, uczęszczał na część moich zajęć. Bezcelny był z niego smarkacz, nawet jak na studenta. Zawsze chciał mieć w dyskusji ostatnie słowo, bronił choćby najbardziej absurdalnych opinii, odwracał się urażony, gdy ktoś mu wytknął bodaj najmniejszy błąd. Nikogo nie słuchał, nikt nie miał doń dojścia, wszystko, co robił, robił na własnych warunkach. Zawsze mnie ciekawość brała, czemu wobec tego wszystkiego zawsze miał wokół siebie tylu ludzi? Charyzmy odmówić mu nie można było, prawda. Dyskusje z nim pożerały wielką część moich wykładów, doszło nawet do tego, że zabroniłem mu się na nich pokazywać, by nie marnował czasu mojego i studentów, a przynajmniej tych z nich, którzy chcieli się czegoś nauczyć. Nie interesował mnie wtedy rozkwitający dorobek twórczy Zimmermana, wiedziałem bowiem, że krytyka zdławi jego absurdalne fanaberie, nim rozwiną się one w cokolwiek poważniejszego.

Później nasze drogi się rozeszły. Wyjechałem na prowincję, do dworku mojego brata, skąd prowadziłem ożywioną korespondencję z wieloma artystami, których nazwiska są dzisiaj znane każdemu, kto choćby odrobinę interesuje się sztuką. Dostawałem wiele propozycji od największych szkół teatralnych i związków krytyków. Ostatecznie podjąłem się pracy w „Heroldzie”, a to z racji bliskości Bordii i posiadłości mojego brata, u którego pomieszkiwałem. W końcu przeprowadziłem się tutaj. Jak zapewne panu wiadomo, dość szybko wyrobiłem sobie renomę nieustępliwego krytyka, który do ostatniej kropli atramentu jest gotów bronić widzów przed miernymi sztukami teatralnymi.

I w tym czasie ponownie skrzyżowały się nasze ścieżki – moja i Samuela Zimmermana. Otrzymałem od niego długi list, do którego dołączył kopie dwóch scenariuszy, po przeczytaniu których – klnę się na Zimę – przybyło mi siwych włosów na głowie. Absurdalne koncepty, bełkotliwe dialogi, brak jakiegokolwiek sensownej konkluzji. Nie było tam chyba ani jednej reguły, która nie zostałaby złamana, ani jednego pravidła, które oszczędziłby chory umysł zwariowanego pisarza. O ile poprzednie jego sztuki mogły jeszcze, choć z pewnym trudem, zmieścić się w ustalonym kanonie tego typu tekstów kultury, o tyle ostatnie sztuki można było określić jedynie mianem bredni szaleńca.

– I co pan zrobił z tymi sztukami? – zapytał Victor, nie mogąc dłużej się powstrzymać.

Każde słowo starca nappełniało go żywym ogniem trawiącym umysł. Oto miał przed sobą człowieka, który czytał zaginione sztuki Samuela Zimmermana! Teatrológ z trudem skrywał podekscytowanie.

Salieri poprawił pozycję. Fotel zaskrzypiał.

– Co zrobiłem? – burknął. – Pyta panicz, co zrobiłem ze sztukami Samuela Zimmermana? To, co na moim miejscu zrobiłby każdy sensowny krytyk teatralny. Spaliłem je.

Victor odetchnął ciężko. Opuścił głowę, wziął kilka długich, głębokich oddechów. Zacisnął dłonie na poręczy krzesła tak, że aż zbieleły mu kłykcie.

– Spalił pan – powtórzył głucho. Jego wzrok bezwiednie powędrował w stronę umiejscowionego przy ścianie kominka, jak gdyby spodziewał się dostrzec w nim resztki zwęglonego papieru.

– Podobnie postępowałem z każdym kolejnym listem od Zimmermana – ciągnął Jeremy, zdając się nie dostrzegać poruszenia Victora. – Łądowały w ogniu, jeden po drugim, bez czytania. Proszę nie dopatrywać się w tym jakichś resentymentów, nie był jedynym namolnym autorem, którego korespondencję traktowałem w ten sposób.

Victor powoli podniósł się do pozycji wyprostowanej. Ujął w dłoń laskę.

– Oznacza to, jak mniemam – powiedział powoli, jakby wbrew sobie, ważąc każde słowo – iż nie jest pan w posiadaniu jakiegokolwiek egzemplarza żadnego ze scenariuszy autorstwa Samuela Zimmermana?

– Dobrze panicz mniema.

– Rozumiem – powiedział Victor. Skłonił się sztywno, formalnie. – Żegnam, panie Salieri. – Odwrócił się i wyszedł, nie czekając na reakcję starca.

W drzwiach zatrzymała go Ilona.

– Proszę chwilę zaczekać – powiedziała.

– Wybacz pani, ale wolałbym jak najszybciej...

– Rozumiem, że to mój wuj doprowadził pana do takiego stanu?

– Jakiego stanu?

Ilona uśmiechnęła się tylko. Victor spojrział w jej duże, łagodne oczy i poczuł, jak ogarniające go wzburzenie odpływa. Odwzajemnił jej uśmiech, choć nie bez pewnego wysiłku.

– Nie jest pan pierwszy – powiedziała. – Niejeden młodzieniec wychodził z tego domu, mocno trzaskając przy tym drzwiami.

– Przepraszam – powiedział Victor, już uspokojony. – Po prostu jestem rozczarowany. Nie znalazłem tu tego, czego szukałem.

– Domyślam się. Mało kto odnajduje u mojego wuja to, po co przychodzi.

– Nie rozumie pani. – Caillou pokręcił głową. – Nie jestem namolnym reżyserem, którego pani wuj uraził w swoich felietonach.

– Nie, nie jest pan jak oni – odparła. – Pan, oczywiście, jest wyjątkowy. Tylko niedoceniony. Opacznie zrozumiany.

Victor chciał zaprotestować, wyjaśnić, że źle go zrozumiała, że nie jest kolejnym domorosłym zbawcą sztuki teatralnej, ale naraz dało o sobie znać zniechęcenie. Uświadomił się, że ostatnia nadzieja na odzyskanie sztuk Zimmermana zgasła. Kolejna nitka wymknęła mu się z dłoni, nim zdołał dobrze ją uchwycić. Teraz został z pustymi rękami, bez najmniejszego bodaj tropu.

– Zatrzymała mnie pani przy wyjściu – zauważył.

– Proszę wyjrzeć przez okno.

Na zewnątrz szalała śnieżna zawieja, grube płatki śniegu tańczyły w powietrzu, okrywając

okolicę białym całunem.

– Pogoda powinna poprawić się za chwilę – powiedziała Ilona. – O tej porze roku często trafiają się tu takie gwałtowne, ale krótkie śnieżyce. Napije się pan herbaty?

– Ja... – Victor raz jeszcze rzucił okiem za okno, westchnął i pokiwał głową. – Z przyjemnością. Dziękuję.

Usiadł w fotelu, w pokoju gościnnym. Raz jeszcze przyjrzał się rozwieszonym na ścianach wycinkom gazet i plakatom. Z ich uważniejszej lektury wywnioskował jedno – choć surowy i kontrowersyjny, Jeremy Salieri był w swych osądach bardzo konsekwentny. Nie był jednym z tych krytyków, którzy uzależniali ocenę dzieła od sympatii, jaką darzą autora. Wytykał błędy największym, chwalił też mniejszych, jeśli znalazł w ich sztukach coś, co mu się spodobało. Można było nie zgadzać się z jego poglądami na oblicze sztuki teatralnej, lecz niepodobna było odmówić mu konsekwencji, wiedzy i doświadczenia w tym, co robił.

– To ja je tu powiesiłam – powiedziała Ilona, potwierdzając tym samym wcześniejsze przypuszczenia Victora. – Wuj na początku się o to gniewał. Mówił, że nie zależy mu na chwaleniu się swoimi osiągnięciami, ale ja wiedziałam, że w duchu bardzo mu się to podoba.

– Jeremy Salieri musi być wyjątkowo problematycznym domownikiem – uznał Victor, siadając. Filiżanka parującej cieczy już czekała na niego na małym stoliku.

Ilona uśmiechnęła się lekko.

– Proszę nie myśleć źle o moim wuju. Jest dobrym człowiekiem. Przygarnął mnie, gdy zginęli moi rodzice, zapewnił mi dach nad głową i wykształcenie.

– Jak to się stało? – zapytał Victor i momentalnie się zreflektował. – Przepraszam, nie powinienem wypytywać...

– Nie szkodzi – przerwała mu szybko Ilona. – Nie jest to żadną tajemnicą. Zima ich zabrała.

– Rozumiem – powiedział. – Przykro mi.

– Kiedy zginęli – podjęła dziewczyna – cały mój świat się zawalił. Może sobie to panicz wyobrazić, prawda? Z pewnością, przecież na całym świecie nie ma chyba ani jednej osoby, która nie straciłaby kogoś przez Zimę.

Victor przypomniał sobie straconych przyjaciół. Ingrid, Markusa, Sebastiana... Pokiwał głową. Każdego człowieka w ten czy inny sposób okaleczył kaprys Białej Królowej.

– Rozumiem – powiedział tylko i upił łyk herbaty. Za oknem śnieg zwarł się z wiatrem w dzikim, wirującym tańcu.

– Śmierć mojego ojca głęboko odcisnęła się na wuju.

– Mogę to sobie wyobrazić – powiedział Victor. – Panno Salieri, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale... czemu pani mi o tym mówi?

Ilona opuściła swoje duże, ciemne oczy.

– Wielokrotnie mówiono mi, że potrafię nader trafnie ocenić ludzki charakter – powiedziała. – Ojciec mawiał niekiedy, że to cecha wybitnego zarządcy. Umyślił sobie przyuczyć mnie do zawodu faktora. Razem mieliśmy zawojować świat finansjery całej Marchii. – Uśmiechnęła się z zawstyżeniem, ale oczy zaszkliły się wspomnieniami po utraconych rodzicach.

– Oceniała pani zatem mój charakter – powiedział Victor po taktownej chwili milczenia – i zobaczyła...?

– Kogoś, kogo zdanie na temat mojego wuja mogłoby mnie obchodzić. Przepraszam, że początkowo traktowałam panicza jak kolejnego zadufanego w sobie grafomana. Widzę, że nie jest pan głupcem.

Victor skinięciem głowy podziękował za komplement.

– To miłe usłyszeć coś takiego od obcej osoby – powiedział. – Proszę mnie jednak nie przeceniać. Oprócz wielu niewątpliwych zalet mam także wady.

– Wiem – powiedziała Ilona. – Jest pan tchórzem.

Znieruchomiał.

– Panno Salieri...

– Przepraszam, jeśli panicza uraziłam – powiedziała szybko. – Ale to przecież prawda, zgadza się? Jest pan tchórzem i bardzo się pan tego wstydzi. Co jednak w najmniejszym stopniu nie zmienia postaci rzeczy.

Victor przypomniał sobie paraliżujące ciało i umysł przerażenie, gdy konwój z Vadeline wpadł w zasadzkę Czerwonej Królowej. Drapieżne gorąco wypełniające trzewia, pustka w umyśle i jeden instynktowny impuls: „Uciekać!”

– Tak... – powiedział cicho. – Tak, ja... cóż, jestem tchórzem. To prawda. Choć wciąż nie mogę uwierzyć, jak szybko mnie pani przejrzała.

– Mam dar – powiedziała po prostu.

Zrozumiał. Przed przybyciem Białej Królowej świat Zimy tętnił magią. Zjawienie się Jej Wysokości wszystko zmieniło. Magia zniknęła. Najwięksi mędrcy i czarodzieje byli bezsilni, cała ich potęga nagle zniknęła. Od czasu objęcia rządów przez Białą Królową na Zimie nie narodziła się ani jedna osoba, która potrafiłaby władać magicznym żywiołem w stopniu choćby zbliżonym do legendarnych magów. Jedyne, co pozostało ludziom, to drobne sztuczki – od czasu do czasu pojawiały się osoby mające szczególne talenty. Umiejętność odnajdywania tropów, talent do osądu ludzkich charakterów... albo opróżniania kieszeni i sakiewek. Przymioty na samej granicy magii, sprawności umysłu i łutu szczęścia. Magia, w istocie magią już niebędąca. Ilona Salieri musiała posiadać taki właśnie talent.

– Dar – powtórzył Victor z uśmiechem. – Niebezpiecznie mówić o takich darach obcym osobom. Nie w sytuacji, gdy takie dary posyłają ludzi na stosy.

– Nie wyda mnie panicz – powiedziała Ilona spokojnie.

– To też panna we mnie zobaczyła?

Odpowiedziała mu kiwnięciem głowy. Teatrológ wychylił kolejny łyk.

– Nie gniewa się panicz na mnie? – zaniepokoiła się.

Victor przecząco pokręcił głową.

– Tylko głupiec gniewa się o prawdę, choćby i przykrą, choćby i niewygodną. Zdaję sobie sprawę z własnych słabości. – Wstał. – Dziękuję, że mi pani zaufała. I dziękuję za herbatę.

– Proszę nie być dla siebie zbyt surowym – powiedziała Ilona, widząc, że Victor zbiera się do wyjścia. Zawieja wprawdzie nie ustała kompletnie, jednak zelżała – dziki taniec śniegu z wichurą zmienił się w łagodny balet.

– Nigdy nie jestem. – Uśmiechnął się. – To kolejna z pokaznej galerii moich wad. Miło mi było panią poznać, panno Salieri.

– Nawzajem, panie Caillou.

Opuściwszy kamienicę, Victor machinalnie skierował się w stronę zajazdu, w którym wynajmował pokój. Nogi prowadziły go tam same – głowa była bowiem zbyt zajęta przemyśleniami, zgoła niezbyt wesołymi.

Salieri spalił sztuki Zimmermana – już od wielu lat nie był w ich posiadaniu. I choć Victor zdawał sobie sprawę, że szanse i tak były niewielkie, piętno porażki paliło go żywym ogniem. Najgorsze, że powrót do Vadeline mógł być w tej chwili mocno problematyczny – szlaki zostały

zamknięte do czasu pozbycia się kłopotu, jaki stanowi Ruda Gabrielle i jej sfera żądnych krwi rebeliantów.

Wrócił do zajazdu – recepcjonistka powitała go ledwie zniechęconym rzutem oka – przebrał się i zjadł lekki posiłek. Zamierzał udać się pod bramy miejskie, gdzie miał nadzieję uzyskać pomoc w jak najszybszym dostaniu się do Vadeline. Miał świadomość, że bramy miasta zostaną zamknięte, dopóki szlak nie zostanie zabezpieczony, ale wiedział też, że nie zawsze i nie we wszystkich przypadkach podobne prawa są egzekwowane z całą surowością. Odpowiedni zastrzyk gotówki w odpowiednim miejscu był w stanie rozwiązać przynajmniej niektóre z jego problemów.

Problem polegał na tym, że ogarnął go marazm. Teatrológ złapał się na myśli, że może najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby porzucenie z góry skazanego na niepowodzenie przedsięwzięcia. Wyjechać do którejś z większych aglomeracji Zimy albo jeszcze lepiej – na ciepłe Południe, gdzie życie toczy się powolnym, leniwym trybem, a ludzie uśmiechają się niemal bez przerwy...

Nie, zdecydował, siadając na łóżku. Robimy to, co musimy. Skoro Victor Caillou był tym, który podjął się zadania odnalezienia zaginionych sztuk Samuela Zimmermana, to nikt inny, tylko Victor Caillou winien doprowadzić tę sprawę do końca, choćby było to nie wiadomo jak trudne. Poddać się? Niepodobna! Z tym postanowieniem teatrológ na powrót ruszył w miasto.

\*\*\*

– Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Ależ, drogi panie, żywymi orenami zapłacę.

– Na co mi żywe oreny, jak ja sam żyw nie będę?

– Nie ma się czego bać – powiedział Victor, z trudem tłumiąc irytację. – Ruda Gabrielle nigdy jeszcze nie podniosła ręki na nieuzbrojonych podróżników.

– Niechże panicz przejrzy na oczy. – Kajzar wziął się pod boki. – Nikt o zdrowych zmysłach nie wypuści się poza bramę, a już na pewno nie bez broni. A nawet gdyby, to komendant nikomu przejść nie da. Nie ma siły.

– To przecież absurd! Blokada szkodzi wszystkim.

– Mnie pan to mówi? – Myśliwy podkręcił wąsa i pochylił się nad kuflem. – Ledwom co wyruszył na polowanie, a już musiałem wracać. Z tego, co udało nam się zdobyć, nie będzie nawet miesiąca godziwego życia. A jeśli komendant rychło nie cofnie blokady, nadejdą mrozy i tyle będzie z polowania, o tyle! – Wykonał wymowny gest. – Uch, żeby tę rudą sukę...

– Panie Kajzar – upomniał go Victor. – Proszę baczyć na język.

Myśliwy odburknął tylko coś niezrozumiałego.

Mała karczma, w której siedzieli, znajdowała się nieopodal głównej bramy i obecnie wypełniona była niezadowolonymi kupcami i myśliwymi, których narzucona blokada chwilowo przymroziła do Bordii. Jedynym zadowolonym w całym pomieszczeniu był karczmarz, który z lekkim uśmiechem na twarzy uwijał się przy klientach. Z pewnością nie będzie tego dnia stratny, a i perspektywy rysowały się w jasnych barwach.

– Jaki jest najlepszy scenariusz? – zapytał Victor, prostując się na krześle. Piwo, choć tanie, było zaskakująco przyjemne w smaku.

– Scenariusz? – nie rozumiał myśliwy.

– Chodzi mi o tę sytuację. Jak może się najpomyślniej potoczyć?

– Zastanówmy się. – Kajzar uniósł kufel do ust i potężnym łykiem opróżnił sporą część jego zawartości. – Komendant pchnął kuriera do guberni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za miesiąc będzie tu Biała Gwardia. Może wtedy zdejmą blokadę, bo na pewno nie wcześniej.

– Miesiąc? – Teatrológ skrzywił się. – Za miesiąc szlaki zakryje śnieg i nie będzie podróżowania aż do wiosny.

– Nie wiadomo, nie wiadomo... Najstarsi myśliwi prorokują, że zima będzie jedną z lżejszych w historii. Nie, żebym im wierzył, bo starzy łowcy najczęściej żyją z butelką przymrożoną do ręki.

– I tak mnie to mało urzęda – burknął Victor. – Nie mogę czekać miesiąca.

– A czemuż to? – Myśliwy uniósł brew.

– Mam obowiązki w Vadeline.

Kajzar pochylił się lekko w stronę Victora.

– Jestem prostym człowiekiem, panie Caillou. Prostym, ale nie głupim. Będę zatem mówił otwarcie. Od początku ta pańska historyjka o cudownym ocaleniu z konwoju wydawała mi się bzdurna. Obaj doskonale wiemy, że Ruda Gabrielle nie przepuszcza nikomu. Nigdy.

Victor milczał, przywoławszy na twarz doskonale obojętny wyraz. Stary myśliwy przerwał, by pociągnąć kolejny potężny łyk.

– Nie wiem, co tak panicza ciągnie do Vadeline. I mnie to mało interesuje. Mogę jeno snuć domysły, że przed czymś panicz ucieka. Albo za czymś goni. Ale nieważne. Jak mówiłem, nie interesuje mnie to. Chcę tylko, żeby panicz wiedział, że nie wspomnę komendantowi o swoich spostrzeżeniach.

– A czemuż to? – zapytał Victor po dłuższej chwili, gdy jasne się stało, że Kajzar oczekuje na jakąś jego reakcję.

Myśliwy zniżył głos i pochylił się jeszcze mocniej.

– Nie wszyscy kochamy Białą Królową.

Victor rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje. Co prawda w karczmie panowała wrzawa i trudno było przypuszczać, że ktokolwiek byłby w stanie usłyszeć tę dyskusję, ale nie mógł się powstrzymać. To był odruch.

– Uważa więc pan, że mam... że mam cokolwiek wspólnego z rebeliantami?

– Niczego nie uważam, paniczu – odparł Kajzar już normalnym głosem. – Jak mówiłem, jestem tylko prostym myśliwym. Jedyne, czego pragnę, to godziwy zarobek. Moja praca jest niebezpieczna. Można zgubić się w lesie, zostać zaatakowanym przez głodne zwierzę, postrzelonym przez innego myśliwego. Albo zamarznąć na śmierć. Rozumie panicz, o czym mówię, prawda?

Victor powoli pokiwał głową. Wiadomą rzeczą było, że Królowa potrafi do pewnego stopnia kontrolować pogodę. Właściwie nie potrzebowała armii – czasem nawet głupia plotka mogła spowodować zniknięcie całej wioski pod morderczym płaszczem śniegu.

– Życie jest nieprzewidywalne, ale tam, gdzie możemy, powinniśmy uczynić je możliwie bezpiecznym. Dla nas i dla naszych dzieci. Proszę tu na mnie poczekać, paniczu.

Podniósł się i odszedł w głąb karczmy. Teatrológ czekał w niepewności, sącząc piwo. Zastanawiał się, czy czekanie jest aby na pewno mądrą decyzją, kiedy myśliwy wrócił. W towarzystwie.

– Paniczu Caillou, przedstawiam paniczowi pana Kyda.

Choć pan Kyd ubiorem i sposobem bycia przypominał nieco zubożałego szlachcica, któremu ostatnimi czasy zaczęło powodzić się trochę lepiej, Victor bez trudu odgadł, czym w istocie para się ów jegomość.



W każdym większym mieście istnieje jakiś pan Kyd – człowiek, który za drobną opłatą może wszystko załatwić. Człowiek, który działa na samej granicy prawa, czasem wręcz poza nią. Konstable na ogół tolerują panów Kydów, częstokroć żyjąc z nimi w dobrej komitywie, bo istnienie takich osób najzwyczajniej w świecie niekiedy bardzo ułatwia życie. Pan Kyd znał odpowiednich ludzi, wiedział, gdzie ich szukać i jak skłonić do współpracy. Wystarczyło znać jedną osobę – i już można było sobie oszczędzić wiele zachodu.

Victorowi zdarzało się współpracować z panami Kydami tego świata i na ogół taka współpraca wypadała korzystnie dla obu stron. Raz tylko źle skalkulował ryzyko sytuacji, przez co musiał się salwować ucieczką z miasta – panowie Kydowie potrafią być bardzo nieprzyjemni dla tych, którzy nie wywiązują się z zawartych umów.

Victor wstał i uprzejmie powitał przybysza. Pan Kyd kiwnął mu głową i zasiadł przy ławie.

– Pan Kajzar powiedział mi o pańskiej sytuacji – zaczął bez ogródek. – Oczywiście, nie jest pan osamotniony. Wiele osób utknęło w Bordii wbrew własnej woli. Dotarcie do Vadeline przed zdjęciem blokady jest dla nich bardzo opłacalne. Rozumie pan dlaczego?

– Rozumiem – odparł Victor. – Nieopodal Vadeline odkryto kopalnię złota. Gdzie złoto, tam i przedsiębiorcy.

– Otóż właśnie. – Pan Kyd uniósł palec. – Gdzie złoto, tam i przedsiębiorcy. Gdzie zaś przedsiębiorcy, tam i oszustwa, matactwa, łapówki, malwersacje i wojny gildii. To są ścierwojady, młody paniczku, i ten, kto się najprędzej do ścierwa dobierze, najwięcej z niego wydłubie. Proszę mi wierzyć, doskonale wiem, o czym mówię.

– Wierzę panu.

– W porządku. – Pan Kyd uśmiechnął się pod nosem. – Wiem, że nie jest paniczek jednym ze ścierwojadów.

Victor zerknął na Kajzara, który miał dosyć przyzwoitości, by w zawstydzeniu odwrócić wzrok.

– Nie przeczę – odparł lakonicznie teatrolog.

– Ma pan pieniądze?

– Nie przy sobie – odpowiedział, przypominając sobie zasady postępowania względem panów Kydów. Nie, żeby podejrzewał go o zamiar ograbienia, ale brak elementarnych środków ostrożności byłby po prostu czymś nierozważnym, może nawet uwłaczającym rozmówcy. – O jakiej sumie mówimy?

Pan Kyd wymienił cenę. Victor spokojnie pokiwał głową. Nie przekraczała ona jego możliwości finansowych, ale też nie miał zamiaru pozwalać panu Kydowi myśleć, że może wyciągnąć od niego coś więcej.

– To zbyt wiele – powiedział. – Obawiam się, że nie stać mnie na pańskie usługi.

Pan Kyd długo przyglądał mu się badawczym wzrokiem.

– Cena nie spadnie – oznajmił.

– Jestem w stanie zapłacić trzy czwarte tego – odparł teatrolog. – Jeśli to nie wystarczy...

– Proszę nie robić ze mnie durnia, panie Caillou.

To ta moja twarz, w duchu przeklinał sam siebie Victor. Mam po prostu zbyt szczerą twarz.

– Nawet się nie staram, szanowny panie.

Pan Kyd wstał od stołu.

– Rozmowa skończona – oznajmił.

– W porządku. – Caillou kiwnął głową. – Czyli zawarliśmy umowę?

Wiedział, że tak otwarcie bezczelną zagrywką nie ryzykuje zbyt wiele, ale mogło się zdarzyć, że pan Kyd ma nad wyraz cienką skórę, co mogło się skończyć zgoła niewesoło. Na ułamek chwili

na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji, który zniknął, zastąpiony lekkim uśmiechem.

– Niech będzie – powiedział po chwili. – Gdy sprawa się wyklaruje, powiadomię panicza o czasie i miejscu. Cena pozostaje bez zmian.

– Wie pan, gdzie mieszkam?

– Umiem się dowiedzieć. Z całą pewnością nie ma w Bordii miejsca, w którym bym pana nie znalazł.

Victor nie wątpił w to ani przez chwilę. Nie przeoczył też delikatnej groźby zawartej w tym stwierdzeniu.

Pan Kyd ruszył w stronę wyjścia.

– I jeszcze jedno – dodał na odchodnym. – Podziwiam ludzi odważnych, ale... proszę więcej tego nie robić. Nie zawsze mam nastrój do krotochwil.

– Rozumiem – powiedział Victor, prostując się na siedzeniu.

– Hazardownie panicz zagrał – orzekł Kajzar, gdy pan Kyd opuścił karczmę. – Ale koniec końców na pańskie wyszło.

– Niepotrzebnie ryzykowałem – przyznał Victor. – Czasem nie potrafię się powstrzymać.

\*\*\*

Kolejne dni Victor spędził z niecierpliwym oczekiwaniu na informację od pana Kyda. Nienawidził beczynności, a sytuacja wymusiła na nim ciągłe siedzenie w wynajętym pokoiku i wczytywanie się w niesamowite przygody *Koziorożca*, których ostatni tom teatrolog zakupił w pobliskiej księgarni. Lektura okazała się przyjemnym, lecz bardzo krótkim doświadczeniem, co sprawiło, że przez większość czasu Victor wałęsał się po mieście albo leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. W takich chwilach jego myśli najczęściej szybowwały w stronę Vadeline. Czy pan Mancini i jego ekipa ukończyli już odbudowę teatru? Czy madame Greene i jej aktorzy przygotowali się już do premierowego spektaklu? Powiniennem być tam teraz z nimi, pomyślał ze wstydem, nie po raz pierwszy zresztą. Ta uporczywa myśl dręczyła go niemal bez przerwy. Nim ruszył w podróż do Bordii, drażniące myśli nieustannie gnały go ku Salieriemu. Gdy wyprawa skończyła się fiaskiem, te same myśli – splecione z piekącym poczuciem porażki – ciągnęły go ku Vadeline.

Kiedy w końcu do jego drzwi zapukał młody człowiek o wyglądzie opryszka, Caillou ucieszył się, jakby to sam Samuel Zimmerman wstąpił do niego na dłuższą pogawędkę. Młodzieniec nie przywitał się ani nie przedstawił – przekazał tylko miejsce i czas spotkania, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Victor spakował się – przez te kilka dni zdążył kilka razy poprzetrzucać z miejsca na miejsce wszystkie rzeczy, jakie zabrał ze sobą w tę podróż. Bałaganiarstwo było jedną z cech, które z pewnością mógłby dopisać do długiej listy swoich wad. Gdy nadszedł czas, teatrolog chwycił w dłoń walizkę, podniósł lżącą na podłodze laskę i wyruszył w drogę. Dwukrotnie przeczytany egzemplarz *Koziorożca* zostawił na zakurzonej ladzie w recepcji. Być może znajdzie się ktoś, kto będzie miał ochotę umilić nim sobie pobyt w zajeździe.

Zmierzchało już, gdy stanął u bram miasta – nie głównych, ma się rozumieć. Przekupienie strażników którejs z bocznych bram było o wiele łatwiejsze, a i ryzyko zdecydowanie mniejsze. Oprócz Caillou w umówionym miejscu kręciło się kilka osób –odważniejszych pośredników handlowych, niebojących się nagiąć nieco prawa w walce o kapitał. Kiedy małe, lecz dobrze wyposażone sanie podjechały nieopodal bramy, teatrolog odetchnął z ulgą. Saniami powoził młodzieniec o podejrzanej aparycji, ten sam, który wcześniej dostarczył Victorowi informację o wyjeździe. Napięcie było wyczuwalne – żaden z obecnych nie zachowywał się swobodnie. Victor

podał mieszek stojącemu obok najemnikowi i zajął miejsce pośród pakunków. Pozostali poszli w jego ślady. Kiedy wszyscy sadowili się już, woźnica pomachał ręką. Wartownicy rozwarli bramę. Powożący strzelił biczem, bardziej dla kurażu niż z realnej potrzeby, i pod osłoną zmroku, sanie opuściły Bordię.

\*\*\*

Młodzieniec powożący saniami miał na imię Sam – i to właściwie wszystko, co można było o nim powiedzieć, bo jegomość był nadzwyczaj nieskory do rozmów. Wszelkie podejmowane przez Victora próby nawiązania z nim dłuższej pogawędki spalały na panewce. Sam burczał coś pod nosem, całą swoją uwagę poświęcając temu, by nie zgubić drogi w śnieżnej kurzawie, wyrazem twarzy jasno zaś dawał do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty na nawiązywanie przyjacielskich relacji. Teatrológ szybko zrezygnował z nagabywania woźnicy i przerzucił swoją uwagę na współpasażerów. Czekало go tu niewiele mniejsze rozczarowanie – wszyscy jego towarzysze podróży byli kutymi na cztery nogi przedsiębiorcami o wysokich ambicjach i równie wysokim mniemaniu o sobie, przez co rozmowy z nimi były na ogół irytująco jałowe. Większość podróży spędził więc wciśnięty pomiędzy walizy a kufry bagażowe, wsłuchując się w chrzęst ubijanego pod kopytami renów śniegu i dźwięk płóz tnących zmarzlinę. Pozostali pasażerowie umilali sobie niewygody podróży dysputami na tematy dotyczące się interesów, w jakich brali udział. Kiedy rozmowa zesłała na Czerwoną Królową i jej działalność na tych terenach, Victor, rozparty dotychczas na jednym z pakunków, z rondem cylindra zsuniętym na czoło, baczniej nadstawił ucha.

– ...garnizon wojskowy – oznajmił jeden z przedsiębiorców. – Duży garnizon wojskowy pilnujący kopalni. Co ta Ruda Gabrielle sobie myśli? Że może swawolić na tych ziemiach, a nikomu nie przyjdzie do głowy, jak dziwaczne się to może wydać?

– Dziwaczne? – Inny przedsiębiorca, niewiele starszy od Victora, pucułowaty i z modnym w Stolicy wąsikiem na twarzy zmarszczył lekko brew. – Cóż ma pan na myśli?

– Sfora Rudej Gabrielle – zaczął rozmówca, zauważalny zaś moment zawahania po słowie „sfora” sugerował, że odruchowo miał zamiar użyć mniej akceptowanego pseudonimu rebeliantki – do tej pory zajmowała się drażnieniem sił Jej Wysokości. Spalenie garnizonu pod Jengerbem, atak na obóz więzienny przy granicy z Północną Marchią... To wszystko było czytelnymi sygnałami dla lojalistów.

– Jakimiż to? – zapytał kolejny przedsiębiorca, śniady, o brązowych oczach.

– Czyż to nie oczywiste? „Jesteśmy tu. Walczymy”. Ruda Gabrielle może się wydawać groźną rebeliantką dybiącą na życia oficerów i dygnitarzy, ale cały zamęt, jaki sieje, ma rezultat przede wszystkim propagandowy.

– No i co? – zapytał pucułowaty, drapiąc się po brodzie. Nie był jedynym, któremu zaczął dokuczać kilkudniowy zarost.

– Zrozumcie – zapalił się przemawiający – po co Gabrielle miałyby roztaczać swoją ponurą sławę na tak nieważnym i oddalonym od Stolicy terenie? Czemu rebeliantów miałyby interesować kopalnia złota o w najlepszym razie wątpliwej jakości kruszcu?

– Badania nad jakością kruszcu są dopiero we wczesnej fazie – zauważył śniady. – Zbyt wcześnie, by o tym przesądzać.

– To prawda – zgodził się interesant. Dopiero teraz Victor przyjrzał mu się uważniej. Entuzjastycznie przemawiający mężczyzna miał nalaną, rumianą twarz i solidny wąs pod nosem, który przydawał jego obliczu wyrazu wiecznej podejrzliwości i niezadowolenia. Wydawał się też

znacznie starszy od współtowarzyszy. – Zastanówcie się więc, po co żywy sztandar rewolucjonistów miałby zajmować się czymś takim.

No właśnie, pomyślał Victor. Po co?

– To oczywiste – ciągnął wąsacz. – Rebelianci niechybnie wiedzą o tej kopalni więcej od nas. Jakimiś tajnymi kanałami wywiedzieli się, że złoża są tam bogatsze, niż przewidywano, i połaskili się na nie. Tak, konfratry, właśnie tak i nie inaczej. Wierzę, że kopalnia nieopodal Vadeline będzie prawdziwą żyłą złota.

Pozostali pokiwali głowami, widocznie będąc pod wrażeniem usłyszanych informacji. Victor roześmiał się w duchu, bo teoria krewkiego przedsiębiorcy miała tyle dziur i nielogiczności, że niepodobna było brać jej na poważnie. A jednak, zdawało się, że pozostali przyjmują te rewelacje za dobrą monetę. Teatrológ przez moment bawił się myślą wejścia w polemikę i wyjaśnienia uzbrojonemu w sumiastego wąsa przedsiębiorcy, że rebeliantom niepomrotnie łatwiej jest okradać konwoje, niż marnować czas i zasoby na opanowanie kopalni w celu rozpoczęcia prac wydobywczych na własną rękę. Które zresztą i tak szybko musiałyby zostać zarzucone z uwagi na siły wojskowe, jakie z pewnością zostałyby wysłane w celu odbicia punktu wydobywczego.

Pozostawało jednak pytanie – po co w takim razie Ruda Gabrielle zawiodła swoją sforę w okolice Vadeline? To w istocie było dziwne i trudne do wytłumaczenia. Poza nowo odkrytymi złożami nie było w okolicy niczego godnego uwagi.

Victor szczerzej otulił się płaszczem – śnieżycy zaczęła przybierać na sile. Rozmowa przedsiębiorców urwała się. Gwałtowne podmuchy wiatru uderzały w burtę sań, grożąc wywróceniem. Woźnica Sam zaklął siarczyście. Victor podpełzł do niego.

– Powinniśmy przeczekać! – zawołał, przekrzykując wyjącą wichurę. Młodzieniec łypnął tylko na niego, wzruszył ramionami i batem popędził reny. – Naprawdę sędzę... – spróbował jeszcze raz Victor, ale Sam przerwał mu burkliwie:

– Jesteśmy już niedaleko – odparł. – Nie opłaca się.

Widząc, że nic tu nie wskóra, teatrológ na powrót wsunął się na swoje miejsce. Zimno coraz bardziej zaczęło mu doskwierać. Płaszcz nie dawał dostatecznej ochrony przed mrozem. Victor zanotował w pamięci, że – o ile, ma się rozumieć, przetrwa tę podróż – musi zaopatrzyć się w cieplejszy przyodziewek. Koniecznie nowe, solidne buty, pomyślał, orientując się, że nie czuje większej części palców u stóp.

– Widać już światła miasta – poinformował woźnica, na co Victor zaryzykował rzut oka na zasnuty kurzawą horyzont. Niczego nie dojrzał, gęsto sypiący śnieg skutecznie mu to uniemożliwił.

Do miasta dotarli dopiero późnym zmrokiem i było to bezsprzecznie jedno z najgorszych przeżyć w życiu Victora. Problemem nie był mróz – przed nim bowiem, do pewnego stopnia, chronił płaszcz i szalik. Problemem nie był wiatr – burta sań dawała dostateczną ochronę przed wichurą. Wielkim kłopotem nie był także śnieg. Prawdziwą udranką była mordercza kombinacja przenikającego do szpiku kości zimna i niewygodnej pozycji, w której pasażerowie musieli tkwić długimi godzinami. Kiedy w końcu sanie się zatrzymały, Victor wyskoczył z nich niczym kula armatnia, po czym potupując i pokaszując, ruszył w stronę zajazdu.

Gdy tylko stanął w drzwiach, w jego nozdrza uderzył najcudowniejszy zapach, jaki mógł sobie wyobrazić, zapach daleko wyprzedzający wszelkie wonie kwiatowe czy drogie perfumy. Odetchnął z rozkoszą, postawił torbę podróżną, zrzucił płaszcz, dokładnie oczyścił podeszwy butów, zdjął cylinder po czym ruszył w stronę kuchni, mając własny nos za kompas i busołą. Kiedy przekroczył jej próg, jego oczom ukazało się w końcu źródło precudnego zapachu.

– Szarlotka! – zawołał uradowany. Obecna w kuchni pani Cirque drgnęła zaskoczona i odwróciła się.

– Panicz Caillou!

– We własnej osobie. – Victor zasiadł przy kuchennym stole, mając wobec siebie leżące w blasze parujące ciasto.

– Kiedy pan wrócił? – zapytała gospodyni.

– Tuż przed momentem. Zagubiony w śnieżnej kurzawie byłbym szesnasty i przepadł bez śladu uwięziony w jakiejś zaspie, gdyby nie ów niebiański zapach przyrządzonego przez panią kulinarnego arcydzieła, który przywiódł mnie na miejsce.

Podczas gdy mówił, do kuchni, zwabieni wywołanym przez Victora zamieszaniem, wkroczyli Julia i Ray.

– Pan dyrektor! – zawołał chłopiec.

– Oto i ja. – Uśmiechnięty Victor nie odrywał wzroku od szarlotki. – Pani Cirque, czy byłaby pani tak dobra i pozwoliła mi poczęstować się tym oto szczytowym osiągnięciem ludzkiej wyobraźni i przemyślności?

– Ależ... musi wystygnać.

– Złotem zapłacę – błagał.

Pani Cirque, otrząsnąwszy się już nieco z nagłego wtargnięcia teatrologa, uśmiechnęła się, sięgnęła po nóż i odkroiła kilka kawałków ciasta. Tymczasem Ray i Julia obsypali Victora pytaniami.

– Odnalazł panicz sztuki Zimmermana?

– Myśleliśmy, że panicz nie żyje, gdy dowiedzieliśmy się o konwoju!

– Jak udało się panu dotrzeć do Bordii?

– Czy...?

Caillou uniósł dłonie.

– Później – wybuczał z pełnymi ustami, rozsiewając wokół siebie okruszki. Przez dłuższą chwilę delektował się ciastem, po czym przełknął je i westchnął z rozkoszą. – Absolutnie zachwycające – wyszeptał. Otarł usta serwetką i rozejrzał się po twarzach obserwujących go osób. Zorientował się, że powinien powiedzieć coś jeszcze. – To była bardzo interesująca podróż – oświadczył, czym wzbudził kolejną lawinę pytań. Zamachał rękami nad głową. – *Pardon!* – zawołał. – Ledwie co postawiłem stopę w Vadeline, muszę zażyć gorącej kąpieli, przebrać się i odpocząć. A najlepiej zapaść w sen zimowy. Toteż, jeśli panie i młody panicz, ma się rozumieć, mi wybaczą... – Tu skłonił się trzykrotnie, obrócił na pięcie i zniknął za drzwiami. W drodze do swojego pokoju obliznął jeszcze zęby, usuwając z nich ostatnie okruszki smakowitej szarlotki.

## Rozdział VII

### Powrót

*Głosy pod progiem – Morderstwo nudy – Tajemnicza dźwignia – Obraz – Bibliotekarz i notatki – Koci omen  
– Teatr i szaleństwo w równych proporcjach*

- Jakże to – śpi?
- Kiedy wrócił, był o krok od utraty przytomności.
- Ależ jest już grubo po południu!
- Wczoraj zjadł szarlotkę i padł jak nieprzytomny.
- Zjadł szarlotkę?
- Uznał ją za raczej udaną.
- Zapewne bredził z przemęczenia.
- Madame, nie sądzę, aby...
- Dajże spokój, Sally. To niezdrowo wylegiwać się tak do późna! Od tego ogarniają człowieka osobliwe humory.

Victor otworzył jedno oko. Strzępki gorączkowej wymiany zdań po drugiej stronie drzwi jego pokoju wyrwały go z upojnego stanu na granicy snu i świadomości. Teatrológ rzucił okiem za okno. Istotnie, słońce stało już wysoko, pogoda zaś wyraźnie się uspokoiła – śnieg, choć dalej otulał okolicę białym płaszczem, nie wydawał się już tak intensywny jak zeszłego dnia. Dalsze rozważania przerwało natarczywe łomotanie w drzwi. Victor, na wpół jeszcze otępiąły od snu, podniósł się z łóżka, przeciągnął, ziewnął rozdzierająco, podrapał się po głowie, po czym chwiejnym nieco krokiem ruszył w stronę drzwi.

Kiedy je otworzył, jego oczom ukazały się dwie twarze – jedna wzburzona, druga zatroskana i wyraźnie speszona. Ta pierwsza należała do madame Greene, właścicielką tej drugiej była gospodyni, pani Cirque.

– Cóż to za wylegiwanie się? – huknęła madame, nim Victor znalazł odpowiednie słowa, jakimi mógłby należycie rozpocząć konwersację. – Wyjeżdża panicz, właściwie bez wyjaśnienia...

– Przecież rozmawialiśmy tuż przed moim wyjazdem... – ośmielił się wtrącić, ale madame Greene zignorowała go całkowicie.

– ...zostawiając mnie, słabą kobietę, z całym tym szaleństwem, jakie w swej lekkomyślności i głupocie, tak, nie zawaham się użyć tego określenia, głupocie właśnie, mnie, starą i słabą kobietę, zostawiając na pastwę całkowicie niedoświadczonych aktorów, oczekując, że zrobię z nich nie wiadomo jak wspaniałych artystów, i jeszcze cały bałagan związany z przygotowaniem, rzemieślnicy, stolarze, krawcowa, jak panicz myśli, kto za tym musiał chodzić...

Victor skapitulował i z nieruchomym uśmiechem na twarzy wysłuchał całej tej tyrady do końca.

– Ale udało się pani? – zapytał, kiedy aktorka zamilkła i zaczęła wpatrywać się w niego, wyraźnie oczekując usprawiedliwień co najmniej tej długości, co jej zarzuty.

– No cóż, zrobiłam tyle, ile byłam w stanie, wzięwszy pod uwagę ograniczone środki, jakimi dysponowałam. Z rozczarowaniem stwierdzam, że młodzież nie jest już tak utalentowana jak za

moich czasów – westchnęła. – Tym niemniej są w stanie w miarę przekonująco odegrać swe role.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć ich w akcji – zapewnił Victor. – A teraz, jeśli panie pozwolą, chciałbym się ubrać i zażyć porannej toalety. Wszak dbanie o czystość ciała zapobiega osobliwym humorom.

– Oczywiście. – Pani Cirque przejęła inicjatywę. Chwyliła madame Greene za łokieć i uprzejmie, lecz stanowczo odciągnęła ją od drzwi.

Victor spojrział za odchodzącymi kobietami i westchnął bezgłośnie. Dzień jeszcze się nie rozpoczął, a on już czuł się zmęczony. Niewygody podróży boleśnie odezwały mu się w kręgosłupie. Teatrológ skrzywił się, swoje dodała też bowiem rana w nodze, której nabawił się kilka lat temu – zaleczona wprawdzie, wciąż jednak dokuczająca niekiedy przy zmianie pogody. Victor nie miał problemów z chodzeniem, przyzwyczał się jednak do laski, z której korzystał podczas rekonwalescencji, i od tamtej pory już nigdy się z nią nie rozstawał.

Nieco później, odświeżony już i należycie ubrany, ruszył ku świetlicy. W połowie schodów minęło go dwóch nieznanym mu wcześniej mężczyznom, uprzejmie kiwając głowami na powitanie. Victor odpowiedział na pozdrowienie, zastanawiając się w duchu, ile nowych twarzy zawitało do Vadeline pod jego nieobecność. Wyłączając Becketta, przez długi czas był jedynym obcym w miasteczku. Najwyraźniej większość przedsiębiorców zorientowała się, że dotarcie na miejsce przed zimową porą może być jedyną okazją na wyprzedzenie konkurencji – szczególnie że zima zapowiadała się nad wyraz srogo i drogi przez dłuższy niż zazwyczaj okres mogły być niezdatne do podróżowania.

W świetlicy panował upojny spokój. Kilku mężczyznom zajmowało fotele przy kominku, dyskutując o czymś ściszonymi głosami. Morgan Beckett okupował natomiast swoje zwyczajowe miejsce pomiędzy oknem a niewielkim stolikiem, na którym stała karafka wypełniona ciemnobursztynowym płynem.

– Kogoż ja widzę? – zawołał, ujrawszy Victora. – Toż to nie kto inny, jak nasz błędny rycerz sztuki teatralnej w pogoni za jakowąś chimerą. Proszę się przysiąść, zapraszam!

Victor z wdzięcznością zajął miejsce przy stoliku. Uświadomił sobie, że mimo początkowej niechęci polubił Becketta, który w jakiś zadziwiający sposób równoważył w sobie chytróść wziętego przedsiębiorcy i sympatyczną rubasznosc kojarzoną zazwyczaj z ludźmi jego postury i wieku. Mógł mieć mylne poglądy o sztuce (Victor myślał w ten sposób o każdym, kto nie traktował teatru z totalną fascynacją), ale dawał się lubić.

– Proszę spojrzeć, z czym zmagalem się podczas pańskiej nieobecności. – Beckett podniósł ze stolika niedużą książeczkę oprawioną w szary papier, zapewne z powodu zniszczeń, jakie dotknęły jej pierwotną okładkę.

– *Samuel Zimmerman. Dzieła zebrane* – odczytał Victor, biorąc do rąk książkę. Przekartkował ją szybko. – Pierwszy raz widzę to wydanie. Musi być jednym z pierwszych, bo brakuje niektórych późniejszych prac mistrza. – Uniósł wzrok. – Przeczytał to pan?

– Ano, udało się – potwierdził przedsiębiorca. – Nudząc się niemożliwie, poszedłem za pańską radą do biblioteki, szukając czegoś do zabicia czasu, i ta oto książeczka okazała się wcale przyzwoitym narzędziem zbrodni. Ale żeby, jak to panicz czyni, zaraz tracić dla niej głowę, urządzać jakieś wariackie eskapady, byle tylko odnaleźć kolejne manuskrypty – niepodobna! Szaleńcem trzeba by chyba być.

– Światu potrzebne są rozsądne głowy – zgodził się Victor. – Projektanci porządku i spokoju. Ale czym byłby świat bez choćby jednego wariata, który wierci się, podszczypuje, jątrzy nawet

niekiedy? Toż zapadłby się taki świat, zasnął pod pierzyną śniegu i szczęł doszczętnie! Wierzę w to, jak w nic innego na tym świecie.

– Bo pan jest wariat – burknął Beckett. – I tak pan wizję świata wywróci, tak zamąci, by na pańskie było.

– Gdybym dostawał orena za każdym razem, gdy ktoś mnie określi mianem wariata, to dziś mógłbym sobie wybudować pałac – powiedział Victor z uśmiechem. – Może opowie mi pan, co ciekawego działo się w miasteczku w czasie mojej podróży?

– Ciekawego? – Beckett wzruszył ramionami. – Nic kompletnie. Tyle tylko, że konkurencja zaczęła się powoli zjeżdżać – Wskazał podbródkiem na dysputujących przy kominku mężczyzn. W pewnym momencie przedsiębiorcy uścisnęli sobie dłonie, równocześnie podnieśli się ze swych foteli i opuścili pomieszczenie.

– Dogadali się – skomentował kwaśno Beckett. – Kopalnia jeszcze na dobre nieotwarta, kruszec niezbadany, obfitość złóż praktycznie stoi pod znakiem zapytania, a ci już dzielą skórę na niedźwiedziu, zawiązują przymierza, składają umowy i piszą wstępne zobowiązania. I choć żaden pieniądz nie przeszedł z rąk do rąk, to już jest transakcja, gdzie towarem są obietnice, a monetą zapewnienia. Na tym, młody paniczku, w ogromnej mierze opiera się i dzięki temu funkcjonuje gospodarka.

– Dlatego też nigdy nie ciągnęło mnie ku karierze finansisty – odparł teatrolog. – Za dużo kłamstw, oszustw, łgarstw. Sztuka mówi prawdę, nawet jeśli artyści czasem kłamią. Sztuka nikomu się nie kłania, nie daje posłuchu, nie łąsi się ani nie przymila. Jest wolna. – Wstał. – Dziękuję za rozmowę. – Skłonił się uprzejmie. – Wybacz pan, ale mam dzisiaj moc obowiązków. Muszę na nowo pochwycić wątki, jakie zarzuciłem na czas wyprawy do Bordii – westchnął. – Czeka mnie naprawdę wiele pracy.

– Nie odpuszcza sobie panicz, co? Nie zatrzymuję w takim razie.

Pogoda poprawiła się nieco. Nie padało już, choć przenikliwy mróz wciąż dawał się we znaki. Victor okręcił się szczerzej płaszczem i ruszył odśnieżoną uliczką w stronę budynku teatru. Już z oddali dojrzał, że gmach zmienił się nie do poznania. Odnowione lico gmachu pyszniło się w promieniach porannego słońca. Teatrolog przyspieszył kroku. Dojrzał, że z drugiego końca ulicy pozdrawia go jakaś nieznajoma kobieta. Uśmiechnął się i odpowiedział na pozdrowienie.

Drzwi oddzielające przybytek sztuki od świata zewnętrznego skrzypnęły lekko, gdy nacisnął klamkę, po czym stanęły otworem. Wewnątrz trwała metodyczna krzątania pracowników pana Manciniego, którzy dokonywali właśnie ostatecznych szlifów wieńczących ich pracę.

– Pan dyrektor. – Mancini uniósł głowę, usłyszawszy trzask zamykanych drzwi. Podeszedł do Victora i poddał mu rękę. – Właśnie się dowiedziałem, że panicz wrócił. Kiedy usłyszeliśmy o napadzie na konwój, obawialiśmy się najgorszego.

– Szczęśliwym trafem nic mi się nie stało. – Victor rozejrzał się po holu. – Wspaniała robota. W najśmielszych snach nie spodziewałem się, że uda się doprowadzić budynek aż do takiej świetności.

– Wciąż pozostaje jeszcze kilka rzeczy, którymi musimy się zająć, ale można powiedzieć, że remont jest już niemal zakończony. – Mancini zerknął nad ramieniem Caillou. – Na przykład te drzwi. Skrzypią, niezależnie od tego, czego bym z nimi nie zrobił.

– Niech tak zostanie. Cóż to za teatr bez skrzypiących drzwi?

– Jak pan uważa. – Mancini uśmiechnął się pod wąsem.

Raptem Victor usłyszał za swoimi plecami prowadzoną ściszym, lecz natarczywym szeptem sprzeczki. Odwrócił się i dojrzał braci Alfieri.



– O, to panicz – powiedział jeden z nich, dostrzegając Victora.

Teatrolog przypomniał sobie ich imiona – Fabian i Diego – nie był jednak pewien, z którym z nich właśnie rozmawia. Szczęściem, wątpliwości te szybko zostały rozwiane.

– Dobrze, że pana widzę. Obecny tu mój brat kretyn Diego upierał się, że trójprzewodowy model przepływu wody znacznie zwiększy wydajność systemu grzewczego – powiedział Fabian, obrzucając brata pogardliwym spojrzeniem. – Wyjaśniłem mu, oczywiście, że jego nieprzetestowana metoda doprowadzania i regulacji ciepła to prosta droga ku katastrofie, ale upierał się, że panicz preferowałby właśnie takie rozwiązanie.

Victor zerknął na Manciniego.

– Rozumie pan coś z tego?

– Nic a nic – rzekł stolarz. – Wiem tylko, że tych dwóch mało się nie pozabijało podczas projektowania i instalowania systemu grzewczego. Raz moi ludzie musieli ich rozdzielać, boby się skończyło na poważnych obrażeniach.

– Bo ten upačkany w smarze tyran więzi i krępuje mój geniusz – zawołał Diego, oskarżycielskim gestem wskazując na brata. – Wie, że od małego zawsze byłem odeń bardziej utalentowany i uzdolniony, mści się więc teraz, podcinając mi skrzydła.

– Jakież skrzydła? – zaśmiał się Fabian. – To tobie się zawsze śrubki z rąk sypały, narzędzia leciały na ziemię, rury pękały, kotły wybuchały. Ty mnie zawsze w dół ciągniesz, twoje nieudactwo jest przyczyną nieszczęść naszych wszelkich!

– Trzymajcie mnie, ludzie!

– Spokój, panowie! – Victor przybrał srogi wyraz twarzy, choć wewnętrznie trząsł się ze śmiechu. – Bez animozji. Tu jest teatr, przybytek sztuki, a nie karczma. Kto to widział, żeby w teatrze okładać się pięściami i szarpać za ubrania? – zamilkł w tym miejscu i zastanowił się krótko, po czym dodał: – No dobrze, czasem, po kontrowersyjnych premierach, gdy się spotkają krytycy o szczególnym stosunku do siebie nawzajem, zdarzają się przepychanki i rękoczynny. Ale to rzadkość. Apeluję zatem o spokój. Poza tym jestem przekonany, że znakomicie wywiążaliście się z tego zlecenia.

– A żeby pan wiedział – potwierdził Fabian. – Mimo wszelkich przeciwności losu, których źródło jest nam wszystkim doskonale znane...

– A żeby cię mrozem ścięło – wycedził przez zaciśnięte zęby Diego.

– ...udało nam się zmontować prawdziwe dzieło sztuki. Chodź, bracie mój niesforny, pokażemy panu Cilloe, że nie wyrzucił swych pieniędzy w czeluść.

– Nazywam się Caillou – poprawił go Victor, ale posłusznie dał się poprowadzić do piwnic, gdzie mieściło się serce stworzonej przez braci płataniny rur i zbiorników, mających za zadanie ustrzec aktorów i widzów przed zimnem.

– Proszę. – Fabian wskazał na straszliwą maszynę wyglądającą niczym skrzyżowanie sporych rozmiarów pieca, zbiornika i jakiegoś prehistorycznego mieszkańca oceanicznych głębin. – System jest bardzo prosty, opierający się na cyrkulacji wody. O tutaj, proszę spojrzeć, główny kurek regulujący ciśnienie, który nigdy, ale to absolutnie nigdy nie może być...

– Nie zaczynaj od końca – upomniał go brat. – Najpierw pokaż paniczowi, jak się obsługuje system regulacji podstawowej, dopiero potem przejdź do szczegółów.

– Nie ucz mnie, jak powinienem wykonywać swoją pracę, lodowy łbie.

– Uważaj ze słowami, młokosie! – uniósł się Diego.

– Panowie... – jęknął Victor i westchnął ciężko.

W końcu wspólnymi siłami obaj inżynierowie zdołali sprawić, że pogubił się doszczętnie w

zawiłościach obsługi systemu grzewczego. Kurek zielony winien być odkręcony dopiero wtedy, gdy czerwony wskaźnik osiągnie połowę skali, kurek żółty służy do regulacji w przypadku, gdy ciśnienie opadnie do połowy zakładanej wartości...

– A do czego służy ta dźwignia? – zapytał dyrektor teatru, wskazując na niedużą wajchę sterczącą niepozornie z boku aparatury. Jako że należał do osób, które nacisną każdy przycisk tylko po to, by przekonać się, jaki będzie tego efekt, odruchowo położył dłoń na gałce.

– Nie! – krzyknęli bracia zadziwiająco zgodnie.

Dłoń Victora znieruchomiła.

– Proszę nigdy, przenigdy nie używać tej dźwigni – ostrzegł Fabian.

– Pod żadnym pozorem, bez względu na cokolwiek – zawtórował mu Diego. – Zamontowaliśmy ją ze względu na pewne...

– ...względy... – odpowiedział szeptem Fabian.

– ...względy.

– Co więc się stanie, jeśli ktoś za nią pociągnął? – zapytał Victor.

Blizniacy porozumieli się wzrokiem, wyglądając przy tym niczym swoje lustrzane odbicia, tak zgrane były ich ruchy.

– Nie wiemy – przyznał niechętnie Diego Alfieri. – Chodzi o to, że konstrukcja okazała się ździebko bardziej złożona, niż przewidywaliśmy...

– ...a kolejne wersje planów uległy pewnemu pomieszaniu... – ciągnął Diego.

– ...tak właśnie. Toteż, mówiąc krótko, ta dźwignia musiała się tu znaleźć, ale nie mamy najmniejszego pojęcia, co by się stało, gdyby ktoś za nią pociągnął. Ale proszę nam zaufać. Jesteśmy inżynierami.

Victor długo przyglądał się ich twarzom. W końcu poddał się, westchnął i zadał jedno kluczowe pytanie:

– Ale nie wybuchnie?

– No co też pan! – obruszył się Diego. – Własnym słowem ręczę, że nie będzie żadnych nieprzewidzianych usterek.

– To są jakieś przewidziane? – zauważył bystro teatrolog.

– No cóż, zawsze trzeba brać pod uwagę ryzyko wystąpienia pewnych drobnych błędów w działaniu, ale gwarantuję, że nic nie wybuchnie. Jak mówiłem, ręczę za to słowem.

– A ja – dodał Fabian – ręczę swoim, bo jego słowo to w tym przypadku nader niewiele.

– W porządku. – Victor uśmiechnął się. – Dziękuję wam, panowie. – Zostawił braci, którzy na powrót zaczęli się o coś sprzeczać, po czym ruszył stromymi schodami z powrotem do holu. – To ich zwyczajne zachowanie? – zapytał Manciniego, gdy oddalił się od Alfierich na tyle, by ucichła czyniona przez nich wrzawa.

– Zwykle są ze sobą zgodni tak, że kończą po sobie zdania. Chyba że przychodzi im coś zrobić. Wtedy się zaczyna. Obaj równie zawzięci, jeden drugiemu nie ustąpi. Co chwila zmieniają im się pomysły, kreślą po planach jak małe dzieci z kredkami.

– Ale nie grozi nam katastrofa? – zaniepokoił się Victor.

– Co, strach panicza nagle obleciał? – Mancini uśmiechał się do brodu. – Pańskie pieniądze, pańskie decyzje, pańskie ryzyko. Ja mogę tylko zapewnić, że konstrukcja budynku wytrzyma eksplozję średniego rażenia. Na nic więcej nie może pan liczyć.

– Panie dyrektorze! – Usłyszał naraz. Odwrócił się i ujrzał jednego ze swoich młodocianych aktorów.

– Witaj, Alainie – powiedział, rad, że jego beznadziejne zapominalstwo nie zadziało w tym

momencie i dobrze zapamiętał imię chłopca.

Alain stał w szerokich drzwiach wiodących do głównej sali.

– Myśleliśmy, że panicz nie żyje.

– W pewnym momencie mnie też się tak wydawało – odparł z uśmiechem teatrolog. – Jak jednak widzisz, oto jestem, w swojej własnej osobie. Daję słowo bakałarza Akademii Pięciu Sztuk, że nie jestem zjawą, widziałem ani upiorem.

– Wiem, wierzę – Alain odpowiedział uśmiechem. – Madame Greene powiedziała nam, że wrócił pan do miasta.

– Madame dotarła tu przede mną? – zdziwił się szczerze. – Rozumiem, że bardzo przejęła się rolę koordynatorki przygotowań spektaklu.

– Złego słowa nie mógłbym powiedzieć na jej temat – oświadczył Alain z kamienną twarzą.

Victor roześmiał się.

– Oczywiście, domyślałam się, że ma jasno określoną wizję, jak taki spektakl powinien wyglądać.

– Bardzo jasno – potwierdził chłopiec, kiedy weszli już do głównego pomieszczenia, mieszczącego w sobie scenę i widownię.

Trwała właśnie próba. Na oświetlonej skromnym światłem scenie wcielająca się w postać Amandy Julia deklamowała swoją kwestię. Victor na palcach podszedł do siedzącej w trzecim rzędzie Cyntii Greene i zajął sąsiednie miejsce. Aktorka skinęła mu głową i powróciła do kontemplacji próby.

– Bardzo dobrze, moje dziecko – powiedziała donośnym głosem, gdy Julia skończyła. – Ale nie pędź tak pod koniec, to sztuka teatralna, a nie wyścigi zaprzęgów. I pamiętaj o tych nieszczęsnych końcówkach! W kilku momentach w ogóle nie można zrozumieć, co mówisz. No dobrze, przejdźmy do początku drugiego aktu.

– Widzę, że niepotrzebnie tak pędziłem na złamanie karku – szepnął Victor, gdy aktorzy ustawiali się na scenie. – Wszak pani sama świetnie wypada w roli reżysera.

– Gdzież tam – odpowiedziała madame ze źle skrywaną dumą w głosie. – Wie panicz, mogę zrobić tylko tyle, ile pozwalają mi moje umiejętności i doświadczenie, ale tu potrzeba ręki kogoś bardziej obytego w takich sprawach. Cieszę się, że już panicz wrócił.

Dokończyli próbę. Victor z satysfakcją stwierdził, że jego aktorzy doskonale radzą sobie z powierzonymi im rolami. Oczywiście, nie mogli się równać z zawodowymi aktorami, z którymi wielokrotnie zdarzało się pracować, ale i tak był pod wielkim wrażeniem postępów przez nich poczynionych. Kilka samorodnych talentów rokowało naprawdę duże nadzieje, pozostali – widać to było bardzo wyraźnie – ciężko pracowali, by solidnym rzemiosłem dorównać przyrodzonym umiejętnościom kolegów i koleżanek.

Victor na bieżąco udzielał wykonawcom odpowiednich rad, dawał wskazówki, proponował interpretacje. Wyglądał krawędzie – rzeźba była już bowiem w dużej mierze gotowa i nie widział potrzeby wprowadzania radykalnych zmian. Opowieść o tajemniczej Amandzie P., jej ukochanym i rodzinie była jakby żywcem wyjęta z tego osnutego mroźną aurą, lecz zaskakująco ciepłego miasteczka.

Kiedy późnym popołudniem zakończono próbę i ostatni aktorzy rozeszli się już, Victor wyszedł z sali głównej i ruszył schodami w górę. Na piętrze gmachu znajdował się foyer oraz kilka pomieszczeń, między innymi jego gabinet. Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej klucz, który wcześniej otrzymał od Manciniego.

Pomieszczenie było przestronne. W pierwszej chwili Victor uznał, że może nawet za bardzo jak na jego potrzeby, ale mógł to być efekt panującej w nim pustki. Puste były przeszklone szafy i

komody, puste szuflady ustawionego równolegle do drzwi biurka, puste ściany, pusty blat, pusty parapet okna. Po wpływie tego dojmującego uczucia nicości Victor wzdrygnął się. Zrozumiał, że gabinet dyrektora teatru czeka, aż ktoś go zajmie, wypełni jego próżną skorupę własnym jestestwem, nada mu kontekst i znaczenie. Wiedziony tą myślą podszedł do prostego krzesła ustawionego przed biurkiem i usiadł na nim. Z rozczarowaniem skontestował, że nie odczuł żadnego nadprzyrodzonego kontaktu z Samuelem Zimmermanem. Zdawał sobie sprawę, że to tu właśnie, w tym miejscu, genialny dramaturg składał rymy, snuł opowieści, kreślił szkice i scenariusze. To tu – Victor nie wątpił w to ani przez chwilę – obmyślał plany pokonania Białej Królowej, może nawet w tym miejscu doznał olśnienia i opracował plan ostatecznej detronizacji. A jednak teatrolog nie odczuwał niczego niezwykłego, żadnej nici łączącej go z mistrzem, choć skrycie na to liczył. To nie był już gabinet Samuela Zimmermana. I jeszcze nie był to gabinet Victora Caillou. Na to potrzeba czasu.

Pogrążony w rozmyślaniach dopiero po dłuższej chwili dostrzegł stojące w kącie pomieszczenia pudło do połowy wypełnione papierami. Przypomniawszy sobie, że poprosił Manciniego o zachowanie wszelkich znalezionych w czasie remontu dokumentów, i uśmiechnął się. Nie spodziewał się wiele, ale i tak ogarnęło go rozczarowanie, gdy okazało się, iż pudło nie kryje żadnych wartościowych artefaktów.

Poza jednym – oprawionym w prostą ramkę obrazem przedstawiającym zasnuty śniegiem krajobraz. Las, pagórki, majaczące się w oddali miasteczko – czyżby Vadeline? – jaskinia przywalona ciężkim głazem. Osamotnione drzewo iglaste na pierwszym planie. Ciepłe, łagodne barwy otoczenia kontrastowały z wyrazistym zachodem krwistoczerwonego słońca. W jakiś sposób jednak te skrajności gładko komponowały się i dopełniały.

Victor rozejrzał się po gabinecie i po lewej stronie okna zauważył wbity w ścianę gwóźdź, na którym od razu powiesił obraz. Odszedł dwa kroki, by skontrolować rezultat, i z zadowoleniem pokiwał głową. Następnie wyciągnął rękę i położył palec wskazujący na górnym rogu ramy, delikatnie przekrzywiając obraz i tym samym lekko zaburzając harmonię z otoczeniem. Uśmiechnął się do siebie – pierwszy krok na drodze uczynienia gabinetu swoim własnym.

W drodze powrotnej do zajazdu natknął się na Emila Decroux – bibliotekarza. Staruszek bardzo się ucieszył na jego widok.

– Właśnie do pana szedłem – oświadczył, podchodząc do Victora i wyciągając wiotką dłoń na powitanie. Victor ujął ją i potrząsnął delikatnie. – Cieszy mnie, że nic się paniczowi nie stało. Słyszałem plotki, jakoby zginął pan z rąk bandytów.

– Wieści o mojej śmierci są nieco przesadzone – odparł teatrolog. – Pozwoli pan, że go odprowadzę? W drodze może mi pan opowiedzieć, jaką sprawę ma pan do mnie.

– Pamięta panicz nasze pierwsze spotkanie? – zapytał Decroux, gdy ramię w ramię, zmagając się z nasilającym wiatrem, ruszyli zasnutą delikatnym całunem śniegu alejką.

– Przyszedłem do pańskiej biblioteki z zapytaniem, czy Samuel Zimmerman nie zostawił po sobie jakichś dokumentów i czy miejscowy przybytek literatury nie jest miejscem, w którym je ukrył.

Staruszek pokiwał głową.

– Powiedziałem wtedy, że nic mi o tym nie wiadomo. Pamiętam jeszcze rozczarowanie, jakie odmalowało się na twarzy panicza.

– W zamian jednak uraczył mnie pan historią swojej znajomości z Zimmermanem – przypomniał mu Victor. – Co stanowiło nadspodziewaną osłodę gorczy porażki.

– Był panicz wdzięcznym słuchaczem – zapewnił Decroux. – W dzisiejszych czasach stary

człowiek mało ma okazji rozpuścić język, szczególnie w obliczu młodzieży.

– To chyba przywara każdego czasu.

– Ano... – westchnął Decroux i przed jego twarzą wykwitł miękki obłoczek ciepłego powietrza. – Ale nie tym chciałem paniczowi zaprzętać głowę. Otóż po naszym pierwszym spotkaniu, widząc pański zawód, postanowiłem poszperać nieco w księgozbiórce. W archiwum cudem odnalazłem starą kartę biblioteczną Samuela i przejrzałem wszelkie książki, jakie kiedykolwiek wypożyczył. Wbrew pozorom nie było to tytaniczne zajęcie. Samuel miał w zwyczaju po wielokroć wypożyczać te same pozycje, jakby za każdym razem odnajdywał w nich nowe treści, przez co lista jego lektur była krótsza, niż mogłoby to wynikać z jego karty. Kilka pozycji, z racji poczynionych przez czas i czytelników zniszczeń, zostało wyłączonych z księgozbioru, ale i do nich w znakomitej większości udało mi się dotrzeć. Ale nie będę zanudzać panicza szczegółami i zaprezentuję mu rezultat moich poszukiwań. – To rzekłszy, bibliotekarz sięgnął za pazuchę i wydobyl z niej śnieżnobiałą kopertę. – Te dwie krótkie notatki zostały spisane dłonią samego Samuela Zimmermana, ręczę za to słowem jego wieloletniego współlokatora.

Podał kopertę Victorowi, który przyjął ją z wdzięcznością. Chciał ją natychmiast otworzyć, ale silny wiatr skutecznie mu to uniemożliwił.

– Poczekajmy z tym, aż dojdziemy do zajazdu. Zapraszam pana na kubek ciepłego mleka – zaproponował, gdy kolejny podmuch o mało nie wyrwał mu z rąk koperty.

Niedługo później obaj mężczyźni, siedząc w fotelach w świetlicy zajazdu pani Cirque, pochylali się nad pożółkłymi ze starości papierami.

Pierwszy dokument zawierał w sobie wiersz – czy też raczej, by być bardziej precyzyjnym, szkic wiersza. Wielokrotnie poskreślane słowa, przepisane strofy, porozmazywane kleksy – wszystko to świadczyło o gonitwie ulotnych myśli, splatanych i zaklinanych w pospiesznie spisywanych wersach. Wczytawszy się uważnie, Victor zorientował się, że skądś zna ten utwór.

– Czy to nie jest...?

– Wczesna wersja jednego z fragmentów sztuki o Amandzie P. – potwierdził bibliotekarz. – Też to zauważyłem. Proszę spojrzeć w dolny róg kartki, o tutaj.

Victor posłusznie przyjrzał się wskazanemu sękatym palcem fragmentowi papieru.

– „Do A., zachować na później. Dobrze na początek” – odczytał zamaszystą notatkę. Wyprostował się.

– Jeśli dobrze wnioskuję, to może być pierwszy spisany fragment najśłynniejszego dzieła Zimmermana – powiedział Decroux.

Teatrológ w zamyśleniu pokiwał głową, złożył papier na dwoje i troskliwie, niczym cenny skarb, wsunął go do kieszeni płaszcza.

Treść drugiego dokumentu ograniczała się do krótkiego „Jutro po zmierzchu, w ustalonym miejscu. Postaram się nie spóźnić S.”.

– Znając Samuela, spóźnił się z pewnością. – Bibliotekarz uśmiechnął się lekko, gdy Victor odczytał na głos treść. – Choć wyznaję, że nie mam pojęcia, z kim i w jakim celu chciał się spotkać.

– Naprawdę nic panu nie przychodzi do głowy? – zapytał. Westchnął, gdy Decroux pokręcił przecząco głową. – A nie sądzi pan... – Victor odruchowo ściszył głos – ...że Zimmerman mógł kontaktować się z kimś ze swoich... skrytych znajomych?

Decroux zastanowił się głęboko. Zrozumiał, o jakich „skrytych znajomych” pytał Victor i czemu zadał to pytanie niemal konspiracyjnym szeptem.

– Nie umiem odpowiedzieć paniczowi na to pytanie – oznajmił w końcu. – Nie wiem, czy któryś z jego skrytych znajomych przebywał w Vadeline. Ale nie jest to wykluczone.

– Dziękuję panu, panie Decroux. – Victor kiwnął głową.

– To nic takiego – powiedział bibliotekarz. – Choć w taki sposób mogę się paniczowi odwdzięczyć.

– Odwdzięczyć? – zdumiał się Victor.

– Za to, co robi panicz dla mieszkańców Vadeline – wyjaśnił starszek. – Za niedługo miasteczko bardzo się zmieni. Zjawi się tu wielu ludzi, którzy wzniosą nowe budynki na filie i mieszkania. Miasteczko rozpuści się w tej nadciągającej fali przybyszów i podróżników, straci swojego ducha. Rozrośnie się i okrzepnie jako kolejna handlowa metropolia. Ale jest jeszcze nadzieja i to panicz niesie ją w dłoniach. Bo jeśli Vadeline ma jakiegoś ducha, to duch ów nazywa się Samuel Zimmerman, ocaliwszy zaś jego pamięć, możemy ocalić i miejscowość. Wskrzyszając nasz teatr, stawia panicz pomnik Samowi i to od pana zależy, jaki kształt mu pan nada. Mam nadzieję, panie dyrektorze, że zdaje pan sobie sprawę z tej odpowiedzialności.

– Tak – powiedział Victor. – I może pan mieć pewność, że dołożę wszelkich starań, by ten pomnik godny był osoby Samuela Zimmermana.

– Uspokoił pan właśnie serce starego człowieka – powiedział Decroux, zbierając się do wyjścia.

– Czy ma to dla panicza jakiegokolwiek znaczenie?

– Ogromne – zapewnił go teatrolog.

Kiedy za bibliotekarzem zamknęły się już drzwi, Victor opadł na fotel i odetchnął. Słowa Decroux wywarły na nim duże wrażenie, dokonały jednak niezwyklej rzeczy – sprawiły, że po raz pierwszy od rozmowy z Salierim opuściło go dojmujące poczucie porażki. Zrozumiał, że może nigdy nie odnajdzie zagubionych sztuk genialnego dramaturga, że może nigdy nie odtworzy jego planu pokonania Białej Królowej. Ale w tym momencie przestało mieć to dla niego aż tak wielkie znaczenie. Teraz miał przed sobą inny cel – oddać cześć Samuelowi Zimmermanowi, kontynuując jego dzieło. Dając zagubionemu pośród ośnieżonych wyżyn miasteczku coś, z czego może być dumne, coś, co nada mu kontekst, co w jakiś sposób je określi. Dać mu opokę, za którą będzie mogło ukryć swe serce przed nadciągającymi zmianami. Decroux ma rację. Vadeline zmieni się, zmieni się bardzo. I to już niedługo. Przypomnił sobie słowa pana Kyda. „Gdzie złoto, tam i przedsiębiorcy. Gdzie zaś przedsiębiorcy, tam i oszustwa, matactwa, łapówki, malwersacje i wojny gildii”. Tego nie dało się uniknąć, wiedział o tym doskonale. Ale może wcale nie trzeba było? Może wystarczy ocalić duszę miasta? Jeśli tak, to on, Victor Caillou, jest w stanie tego dokonać. I niech go mróz zetnie, jeśli mu się nie uda.

Wtulił plecy w miękkie oparcie fotela i przymknął oczy. Kąciki jego ust uniosły się delikatnie i ciężar, z istnienia którego do tej pory ledwie zdawał sobie sprawę, spadł z jego pleców.

\*\*\*

Mijały dni. Surowa zima, którą straszili najstarsi mieszkańcy miasta, okazała się koniec końców do zniesienia i nie przeszkodziła w napływie kolejnych przedsiębiorców do miasteczka. Zajazd pani Cirque szybko wypełnił się mężczyznami w różnym wieku i zazwyczaj bardzo wysokim mniemaniu o sobie. Victorowi całe to towarzystwo szybko zaczęło działać na nerwy.

– Nie rozumie pan, jak pracuje umysł przedsiębiorcy – powiedział mu pewnego razu Beckett, gdy Victor poskarżył się na właściwą finansjerom nieumiejętność spojrzenia dalej niż na czubek własnego nosa. – Pan jako artysta...

– Nie jestem artystą – przerwał mu Victor.

– No więc człowiekiem sztuki. Jako taki rozum panicza działa na kompletnie różnych zasadach. Pańskie myśli błędzą po manowcach, niczym ślepiec na trzęsawiskach, co chwilę chwytając się już to gałęzi, już to konara. Przedsiębiorca natomiast to człowiek, który musi być skupiony i to skupiony na wielu rzeczach równocześnie. Świat finansjery to świat brutalnej matematyki, świat bezkompromisowy, twardy i pod pewnymi względami straszliwy. Bez przerwy trzeba mieć się na baczności, patrzeć na ręce nie tylko przeciwnikom i konkurentom, ale i partnerom finansowym, a nawet własnemu sekretarzowi. Mniej odpornym ludziom psuje to duszę.

– Zauważyłem – odparł Victor powściągliwie i od tamtej pory zaniechał prób nawiązania bliższych znajomości z nowo przybyłymi. Zresztą, i tak nie miałby na to czasu – obowiązki związane z nadchodzącą wielkimi krokami premierą sztuki piętrzyły się w straszliwym tempie. Choć do spektaklu pozostało jeszcze stosunkowo dużo czasu, już teraz musiał dopilnować tak wielu rzeczy, że aż bał się myśleć, ile będzie miał na głowie na kilka dni przed spektaklem.

Pewnego razu podczas próby jednej z finałowych scen Victor wpadł na scenę, wymachując laską i krzycząc: „Stop! Przerwać próbę!”, po czym ułapił zaskoczonych aktorów pod ramiona i nakazując zachowanie absolutnej ciszy, sprowadził ze sceny. Gdy pani Greene oburzonym głosem zapytała, czym usprawiedliwi swoje wariackie zachowanie, teatrolog bez słowa wskazał na ciemny kąt sceny. Madame w lot zrozumiała i natarczywym gestem przywołała do siebie aktorów.

– Co się stało? – zapytała Julia, gdy wszyscy już znaleźli się pod sceną, stłoczeni przed pierwszym rzędem siedzeń. Zamiast odpowiedzieć, Victor ponownie spojrział za kurtynę. Pozostali podążyli za jego spojrzeniem.

Zsunięta poła ciężkiej kurtyny poruszyła się delikatnie i wyszedł zza niej mały, szary kot. Zwierzątko miauknęło cicho, poruszyło końcem ogona i ruszyło w poprzek sceny, zatrzymując się mniej więcej na samym jej środku.

– Tyle hałasu o kota? – zdziwił się Igor, aktor odgrywający rolę Jacka.

– Ciszej – syknął Victor. – Nie chcemy go spłoszyć.

– Nie chcemy? – zdziwiła się Julia.

Tymczasem kot, najwidoczniej nieświadomy popłochu, jaki wzbudził swoją obecnością, jak gdyby nigdy nic zaczął wylizywać sobie futerko.

– Nie możemy go przegonić? – zapytał Alain stłumionym szeptem.

– Prze... przegonić? – Victor aż zaniemówił.

– Młody człowieku – madame Greene także była wyraźnie wstrząśnięta – nie życzę sobie tego typu żartów teraz ani nigdy później.

– Przecież to tylko kot – powiedziała Julia.

– Kot to największy aktor świata istot żywych – wyjaśnił teatrolog, ostrożnie sadowiac się na jednym z siedzeń. – Kiedy on jest na scenie, wszyscy inni muszą z niej zejść. To stara teatralna tradycja.

– Słyszałam kiedyś historię teatru w Gebren – dodała pani Greene. – Tamtejszy reżyser, ponoć straszny nerwus, kopniakiem zrzucił przeszkadzającego w próbie kota ze sceny. Kilka dni później w budynek uderzył piorun, niszcząc go zupełnie, reżyser zaś zmarł na serce niespełna miesiąc później. Nie muszę chyba dodawać, że sam spektakl zakończył się katastrofą artystyczną.

Victor pokiwał głową, oznajmiając, że także o tym słyszał, po czym dodał:

– Z kolei w stolicy jeden z moich znajomych dramaturgów brał udział w dużym przedsięwzięciu artystycznym. W czasie generalnej próby jeden z aktorów usiłował przegonić

kota ze sceny, wskutek czego został dotkliwie podrapany po dłoniach i twarzy. Wystąpił na deskach teatru z ledwie zagojonymi szramami, które otworzyły się w drugim akcie, co prawda, że aktor ów obryzgał krwią widzów w pierwszym rzędzie, po czym zemdlął na scenie i trzeba było przerwać sztukę. Mój znajomy opowiadał mi, że był to zaledwie początek długiego korowodu problemów, z jakimi borykał się cały festiwal.

Po usłyszeniu tych rewelacji aktorzy spojrzeli na obecnego na scenie kota, który ani myślał ruszyć się z miejsca. Przeciwnie – położył się wygodnie, wyciągając przed siebie przednie łapy i ogarniając ogonem tyłne.

– Nie trzeba nam żadnych nieszczęść przed premierowym spektaklem – oznajmił Victor. – Nic się nie stanie, jeśli dzisiaj skończymy wcześniej.

– To szaleństwo – uznał Igor.

– To teatr, mój drogi – poprawił go Caillou. – Choć niekiedy, istotnie, miesza się on z szaleństwem w równych proporcjach.

Kot zadomowił się w teatrze na dobre – mała, szara kulka miękkiego ciepła i mruczenia szybko zyskała sobie sympatię aktorów oraz imię Brian, na cześć jednego z głównych bohaterów *Kto zabił Amandę P.?* Brian ostatecznie uznany został za dobry znak, jak bowiem wyjaśnił teatrolog, koty przynoszą pecha tylko tym, którzy ich nie szanują, pozostałych obdarzają natomiast szczęściem i powodzeniem.

Victor postanowił urządzić biuro dyrektora zgodnie z własnymi szczególnymi upodobaniami. Wygrzebał z przywiezionych ze stolicy z waliz kilka książek, z którymi – przez sentyment – nie miał serca się rozstawać i poustawiał je na półkach. Młodszy z braci Alfieri sprezentował mu także bogato rzeźbiony zegar ścienny, którego miarowe tykanie szybko stało się nieodłączną częścią gabinetu. Zegar wyglądał na kosztowny i Victor długo wzbraniał się przed przyjęciem takiego подарunku.

– To w podzięce za zlecenie – wyjaśnił Fabian. – Gdy tylko skończyliśmy pracę nad systemem grzewczym teatru, dostaliśmy trzy nowe propozycje. Ludzie powoli zaczynają nam ufać, choć niektórzy wciąż cynicznie obstawiają zakłady, kiedy budynek teatru wyleci w powietrze.

– Naprawdę? – Victor uśmiechnął się lekko. – No cóż, miejmy nadzieję, że to nie nastąpi. Ale jeśli jednak istnieje taka możliwość, to byłbym niewypowiedzianie wdzięczny, gdyby mnie pan o tym poinformował. Kto wie, może i ja dorzucę się do puli?

– Nie nastąpi – zapewnił go Fabian. – Niemal na pewno wszystko będzie działało bez najmniejszego zarzutu.

– Właśnie tym „niemal” niepokoję się najbardziej – powiedział Victor. Uniósł zegar na wysokość oczu i przyjrzał mu się dokładnie. – A zegar?

– Co z nim? – zaniepokoił się młodszy inżynier.

– Nie wybuchnie? – zapytał niewinnie Victor.

– No co też panicz... – zaczął z oburzeniem, jednak widząc minę dyrektora, zrozumiał, że był to żart, i roześmiał się.

I tak zegar zawisł na ścianie gabinetu, miarowym stukaniem najcieńszej wskazówki wyznaczając spokojny i systematyczny tryb pracy Victora. Choć teatrologa trudno byłoby uznać za wcielenie spokoju i cierpliwości, po zamknięciu drzwi biura zmieniał się w metodycznego urzędnika zmagającego się biurokratyczną stroną jego profesji. Co prawda szczerze tego nie znosił, potrafił jednak przyznać przed sobą samym, że skrupulatne podliczanie równych kolumn cyfr, planowanie wydatków i porządkowanie rachunków miało w sobie pewien nieodparty urok. Wszystko staje się ułożone, unormowane. Pomaga to zachować równowagę, na chwilę uwierzyć, iż żelazna



matematyka nie dopuszcza porażki przedsięwzięcia. To oczywiście iluzja – Victor widział niejedną artystyczną klapę, w którą mecenas włożyli nieprzebrane sumy pieniędzy. Tu, w świecie cyfr, rachunków, równań i wyników, wszystko mogło wydawać się jasne. Tam, w świecie gorączkowego zaferowania, pospiesznych charakteryzacji i zapominanych kwestii, jasne nie było absolutnie nic. A jednak Victor za nic w świecie nie zamieniłby tego na cokolwiek, choćby obiecywano mu całe złoto z pobliskiej kopalni.

## Rozdział VIII

### Gość

*Kłopotliwy nieznajomy – Co planuje Ruda Gabrielle? – Motywy i motywacje – Cierpienie młodego klienta krawca – Biurokratyczna szermierka – Natura ludzka – Kim jest Victor Caillou?*

Mężczyzna nie był stary – na pewno nie można było tego o nim powiedzieć. Przeciwnie, był to człowiek wciąż jeszcze cieszący się dobrodziejstwami młodości. A jednak głębokie rysy jego twarzy, kwadratowa szczęka i stalowe, nieprzeniknione spojrzenie przydawały mu dojrzałości i aury nieokreślonego wieku. Był wysoki i solidnie zbudowany, jednak manieri i sposób wyrażania kłóciły się z posturą pasującą raczej do żołnierza lub myśliwego niż człowieka interesu. Obcy wyglądał jak ktoś nawykły do noszenia broni i wydawania rozkazów, choć zdawało się, iż usilnie, acz bezskutecznie starał się to ukryć. Coś z jego postawy przenikało przez kamuflaż. Dało się to wyraźnie odczuć; ludzie, których mijał w drodze do zajazdu, instynktownie schodzili mu z drogi w bezwiednym przeświadczeniu wewnętrznej siły przybysza. Nie tylko tym wyróżniał się spośród tłumu innych nowo przybyłych do Vadeline. Zdawało się, że nie jest zainteresowany pozostałymi gośćmi zajazdu, że traktuje ich tylko jako irytujące ruchome tło dla własnych poczynań. Pani Cirque z miejsca oceniła tego młodego mężczyznę jako człowieka, który sprawia kłopoty. A to właśnie kłopotów chciała uniknąć najbardziej.

Z początku uznała, iż skoro radzi sobie z prowadzeniem gospodarstwa domowego, obsłużenie paru gości nie będzie nastroczało żadnych problemów. Szybko okazało się jednak, iż jej praca znacząco odbiega od pierwotnych wyobrażeń. Nie chodziło bynajmniej o to, że stanowisko właścicielki i zarządczyni zajazdu było zajęciem wyczerpującym. Sally Cirque przyzwyczajona była do ciężkiej pracy, wyższe zaś od przewidywanych zyski pozwoliły jej na zatrudnienie tylu osób do pomocy, że dysponowała małą, prywatną armią kucharzy, tragarzy, gońców i sprzątaczek. Mąż, dzięki Zimie, nie starał się nawet wtrącać do interesu – znał ją zbyt dobrze, by żywić jakiegokolwiek wątpliwości co do jej umiejętności organizacyjnych. Z pozoru więc wszystko układało się bajecznie, właścicielka zajazdu miała jednak jeden zasadniczy problem, mianowicie – szczerze nie znosiła swoich gości.

Naturalnie, nie wszystkich – panicz Caillou był wymarzoną klientem, choć miał pewne irytujące dziwactwa. Były one jednak niczym w porównaniu z zachowaniem dużej części młodszych i starszych mężczyzn korzystających z jej gościny. Sally przez większość czasu zmuszona była do wysłuchiwanie skarg na zachowanie niektórych gości, co w pewnym momencie skutecznie sparaliżowało jej pracę. W ciągu tych kilku tygodni doszło do trzech bójek, było pięć wybitych szyb, niezliczone nocne wrzaski i parę innych incydentów, które wymagały wezwania konstabli. Pani Cirque wniosowała, iż ludzie z wyższych sfer – urzędnicy, kupcy, księgowi, członkowie szacownych rodzin – będą się zachowywać odpowiednio do swego statusu. Wstrząsem było dla niej odkrycie, że najbardziej kłopotliwi goście są zarazem tymi cieszącymi się największym szacunkiem. Znacząco zmieniło to jej pogląd na wyższe sfery.

Mężczyzna miał ze sobą kilka solidnych waliz – przynajmniej to go nie odróżniało od reszty gości – a także kilka pytań.

– Victor Caillou – powtórzył cierpliwie. – O ile mi wiadomo, zatrzymał się w tym miejscu.

– Nie wolno mi udzielać takich informacji – powiedziała pani Cirque, w duchu myśląc: „Paniczu Victorze, w co się panicz znowu wpakował?”. – Jeśli zamierza pan wynająć pokój, doradzam pośpiech. Niedługo może zabraknąć miejsc.

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy osoba, którą pani opisałem, istotnie tu zamieszkuje. Młody mężczyzna, nieco młodszy ode mnie. Nosi wyjątkowo niegustowny cylinder i laskę. Może sprawiać wrażenie człowieka niespełna rozumu. Nie umie usiedzieć na miejscu dłużej niż chwilę. Często biega i krzyczy. Zaręczam, że nie trudno go przegapić ani zapomnieć. Mógł przedstawić się jakimś innym, zapewne bardzo wymyślnym i równie głupkowskim aliasem, ale...

– Nie wolno mi udzielać takich informacji – powtórzyła uparcie pani Cirque, zerkając na jednego z młodzieńców, których niedawno zatrudniła do pomocy w zajeździe. Był to Hansel, jeden z siostrzeńców pana Mancini, z właściwą członkom tej rodziny posturą i wzrostem.

Młodzieniec w lot pojął jej spojrzenie i podszedł do przybysza.

– Może w czymś panu pomóc? – zapytał z uprzejmością, która byłaby wzbudziła popłoch u niejednego natręta, tajemniczy mężczyzna jednak spojrzał na niego z ukosa i bez lęku, co sprawiło, że Hansel poczuł się znacznie mniej pewnie.

– Dziękuję za troskę, jestem pewien, że sam sobie poradzę. A zatem, skoro najwyraźniej nie otrzymam tu żadnych przydatnych informacji...

W tym momencie skrzypnęły drzwi wejściowe i do holu wkroczył Victor Caillou, tupiąc i parszkając.

– Pogoda się psuje – oświadczył, zwracając się do całego świata w ogólności. – Coś jednak może być w tym, że zima będzie sroga i siarczysta. – Naraz dojrzał tajemniczego przybysza, wyprostował się i zamarł.

Mężczyzna zmierzył teatrologa przeciągłym spojrzeniem i podszedł do niego powoli. Jasne było, że obaj mężczyźni się znali. I jasne było, że zjawienie się nieznanego zaskoczyło Victora. Hansel bezwiednie zacisnął pięść, w każdej chwili gotów zainterweniować.

– Victor Caillou – powiedział. – W końcu się spotykamy.

Victor nie odpowiedział. Uniósł głowę i spojrzał w szare oczy mężczyzny.

– Dobrze cię w końcu widzieć, Neilu.

Niepokojąca, pełna napięcia atmosfera natychmiast opadła, gdy dwaj dawno niewidziani przyjaciele roześmiali się szczerym śmiechem i padli sobie w ramiona, ściskając się serdecznie i poklepując po plecach.

– Już się bałem, że nie przyjdiesz – oświadczył teatrolog. – Zima to nie najlepsza pora na tak dalekie podróże, poza tym cała ta sprawa z rebeliantami...

– ...i tak nie zdołałaby mnie powstrzymać przed dotarciem tutaj. – Uśmiechający się Neil nie wydawał się już tak złowrogi i odpychający. – Zapominasz, że jestem metalurgiem oddelegowanym tu specjalnie przez Królestwo w celu zbadania jakości kruszcu z odkrytej tu kopalni. Jestem, jakbyś to określił, rycerzem w trakcie swej świętej misji. Śnieg, zawieja i wichura nie mogłyby stanąć mi na drodze.

– Czyli panowie się znają? – upewniła się pani Cirque. Ulga na jej twarzy była tak widoczna, że musiało to przyciągnąć uwagę Victora.

– Niech zgadnę – powiedział, szturchając Neila pod żebra. – Ten tu gagatek zrobił na pani fatalne pierwsze wrażenie? Nie, proszę nie zaprzeczać – dodał szybko. – Sam, napotkawszy go w

ciemnej uliczce, mocno bym się przeląkł.

– I nie bez przyczyny – oświadczył Neil. – Albowiem mam zamiar w nieodległej przyszłości srogo ci natrzeć uszu. Ale teraz, na twoje szczęście, jestem zbyt wyczerpany podróżą. Ufam, że znajdzie się tu dla mnie ciepły kąt do spania i łyżka strawy?

– Oczywiście. Mój drogi chłopcze, możesz być tak dobry i wnieść bagaż mojego przyjaciela na piętro?

Hansel spojrział na właścicielkę zajazdu, a kiedy ta skinęła głową, wzruszył ramionami i bez wyraźnego wysiłku zarzucił sobie na plecy najcięższą walizę.

– Pański przyjaciel? – zapytała pani Cirque, gdy Neil ruszył schodami w górę.

– I to najlepszy. Niejeden raz ratował mi życie i to w całkiem dosłownym sensie.

Neil zajął pokój nieopodal pokoju Victora. Rozpakował najmniejszą walizę, wydobywając z niej najpotrzebniejsze przybory użytku codziennego, zażył toalety i lekkiego posiłku. W tej ostatniej czynności towarzyszył mu przyjaciel, z entuzjazmem opowiadając o swoich ostatnich dokonaniach. Neil wysłuchał jego relacji z kamienną twarzą, po czym zapytał, czy mogą udać się w jakieś miejsce, gdzie będą mogli porozmawiać na osobności.

– Jesteś bałwan – zaczął przybysz bez ogródek, gdy tylko Victor zamknął za nimi drzwi swojego pokoju. – Kompletny bałwan z guzikami w miejsce oczu i patykiem zamiast...

– No! – Victor ostrzegawczo uniósł palec.

– ...nosa – dokończył Neil. – Możesz łaskawie powiedzieć, co ci strzeliło do głowy, żeby korzystać z pieniędzy przeznaczonych dla rebeliantów tylko po to, by wybudować i uruchomić teatr w jakiejś zapadłej dziurze na końcu świata?

– Rada Starszych bardzo się zdenerwowała? – zapytał teatrolog niewinnie.

– Nie nazywaj ich tak – burknął Neil. – To niepoważne. I owszem, prowodyrzy ruchu oporu urządzili długą debatę, której przedmiotem była twoja nieskromna osoba. Byli pośród nich tacy, którzy otwarcie nazwali twoje działania zdradą. Jeśli sprowadzić tę sprawę do najprostszej postaci, to istotnie wygląda ona tak, że okradłeś powstańców. Jesteś z siebie zadowolony?

– Mam nadzieję, że pamiętano o tym, iż to w dużej mierze dzięki moim działaniom ruch oporu zdobył te fundusze. Poza tym wy wydalibyście je na broń albo podobne głupoty.

Neil westchnął.

– Masz wielkie szczęście, że wśród rebeliantów wciąż cieszysz się dużym szacunkiem i cała sprawa koniec końców rozeszła się po kościach. To prawda, że gdyby nie twoja pomysłowość, determinacja i bezczelność, ruch oporu dysponowałby znacznie mniejszymi środkami, ale nie daje ci to prawa do korzystania z tych pieniędzy wedle własnego widzimisię. Poza tym... Wciąż masz w ruchu oporu sympatyków, dzielających twoje przekonanie, że naszą największą szansą na obalenie terroru Białej Królowej jest odkrycie zapisków Zimmermana.

– Tyle że Rada Starszych nigdy nie zatwierdziłaby tej akcji – powiedział Victor. – Dlatego postanowiłem przyspieszyć nieco bieg wydarzeń i zadziałać na własną rękę.

– Wydarzenia i tak niedługo nabiorą większego rozpędu – powiedział Neil.

– Co masz na myśli? – zapytał przyjaciel i w tym samym momencie w jego głowie zamigotało niepokojące przecucie. – Czy ma to coś wspólnego z Rudą Gabrielle i jej obecnością na tych terenach?

Neil uśmiechnął się, niczym nauczyciel dumny z bystrości podopiecznego.

– Wiedziałem, że cię to zastanowi. Oczywiście, nie byłbyś Victorem Caillou, gdybyś nie wpakował się prosto na sforę Czerwonej Królowej, prawda? I na dodatek opowiedział o tym w gazecie?

- To był przypadek – bronił się Victor.
- Oczywiście. Przypadek i twój talent do pakowania się w kłopoty.
- Czego Ruda Gabrielle szuka na tych ziemiach? – zapytał teatrolog.
- Chcesz powiedzieć, że jeszcze się nie domyśliłeś?

Victor pokręcił głową.

- Prawdę powiedziawszy, nie poświęcałem tej sprawie aż tak wiele czasu. Zbyt dużo innych rzeczy działo się wokół mnie... Podejrzewam jednak, że ma to jakiś związek z kopalnią. Nie wiem tylko jaki. Czerwona Królowa nie jest szalona, wbrew temu, co mówi królewska propaganda. Na pewno nie miałyby zamiaru napadać na kopalnię. To nie miałyby żadnego sensu.

- Ale takie było twoje pierwsze podejrzenie, prawda? – zapytał Neil. – Nowe, potencjalnie bardzo zasobne w kruszec złożone zostaje odkryte i nagle ruch oporu zaczyna się nim interesować. To logiczne. Nie ty jeden o tym pomyślisz, możesz mi wierzyć.

- A zatem... – Victor zastanawiał się gorączkowo. – Chodzi o przesłanie wiadomości, tak? Ale jakiej? Po co informować królewskich o swoim położeniu, po co głupio ryzykować, jeśli celem jest tylko przyciągnięcie uwagi... Ach tak! – Naraz zamilkł. Elementy układanki trafiły we właściwie miejsca w jego głowie i w tej samej chwili nadeszło zrozumienie. – Chodzi o wywabienie Białej Gwardii ze stolicy! – zawołał tryumfalnie.

- Ciszej! – zganił go Neil. – Może jeszcze ogłosisz to na scenie, przy pełnej publiczności?

- Ale po co? – zastanawiał się dalej teatrolog. – Przecież... Nie planujecie chyba...? – Otworzył szerzej oczy. – Kolejny zamach na Królową? – szepnął.

Neil pokiwał głową.

- To szaleństwo – oświadczył Victor poważnie. – Muszę ci przypominać, jak to się skończyło ostatnim razem?

- Byłem przeciwny od początku – zastrzegł Neil. – Nie do mnie powinieneś kierować pretensje. Zdania były podzielone, a dyskusja ognista. W końcu uznano, że należy wreszcie wykonać jakiś ruch – westchnął. – Zrozum, rebelianci są coraz bardziej zdesperowani. Z każdym miesiącem nasze szeregi topnieją. Musimy coś zrobić, dopóki mamy jeszcze taką możliwość. Tak przynajmniej uważa licząca się większość.

Victor oparł się plecami o ścianę i wbił wzrok w podłogę.

- Dobrze wiesz, jak to się skończy. Zamach oczywiście się nie uda. Nie udał się poprzednim razem, a nie ma żadnych przesłanek ku temu, że tym razem coś się w tej materii zmieni. A potem będzie powtórka z ostatniego razu. Represje, ograniczenia praw, godziny policyjne, masowe egzekucje. To nie jest zamach stanu, to w pełni świadome samobójstwo, przynajmniej dopóki nie znajdziemy skutecznego sposobu na zaszkodzenie Królowej.

- Już mówiłem, nie jest to mój pomysł. – Neil wydobył z kieszeni fajkę, tytoń i zapalniczki. – W tej sprawie zgadzam się z tobą w zupełności. Z przykrością muszę przyznać, że zostałem zignorowany, a mój apel o rozsądek puszczony mimo uszu.

- Nie będziesz tu palił – oznajmił kategorycznie Victor. – Jeśli chcesz się truc i zasmradzać, twoja wola. Ale nie w mojej przytomności.

- Znajomy lekarz mówił mi, że tytoń ma zbawienne skutki dla systemu trawiennego – powiedział Neil, ale posłusznie chował fajkę z powrotem do kieszeni.

- Możliwe. – Victor usiadł na zasłanym łóżku. – Ilu lekarzy, tyle diagnoz. Nieważne. Opowiedz lepiej, jak tobie się powiodło w Johansbergu.

- Wiesz, na czym polegało moje zadanie, prawda? – zapytał Victora, a gdy teatrolog skinął głową, mówił dalej: – Domyślasz się pewnie, że odnalezienie magów nie było proste. Plotka, że

ich gildia wciąż potajemnie działa w Johansbergu, była moim jedynym tropem i to tak marnym, że z trudem zasługiwała na to określenie. Miałem jednak naprawdę sporo szczęścia i nie tylko nawiązałem kontakt z magami, ale też udało mi się zdobyć ich zaufanie, co – uwierz mi – nie było wcale proste.

– Domyślałem się. Królewscy polują na czarodziei z jeszcze większą zaciekleścią niż na rebeliantów. Powiedz, czy to prawda, co mówią pogłoski? Czy magowie wciąż są w stanie posługiwać się mocami?

Neil uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

– Magia przepadła wraz z pojawieniem się Białej Królowej, dwa wieki temu. Czarodzieje mają pewną hipotezę, że to obecność Jej Wysokości bądź też jakieś jej działania blokują moce żywiołów, które są naturalne dla naszego świata.

– Coś się jednak przesądza – uznał Victor. – Choćby w moim przypadku, ale przecież są i inni. Całkiem niedawno spotkałem młodą kobietę, która dysponowała bardzo drobnym, ale jednak nadprzyrodzonym darem. Jakkolwiek Królowa blokuje magię, nie robi tego w sposób totalny. A to z kolei oznacza, że być może da się to jakoś przełamać.

– To prawda. – Neil skinął głową. – Też mi tak powiedziano. Dziś magowie zajmują się przechowywaniem bezużytecznej obecnie wiedzy. Mają jednak nadzieję, że pewnego dnia magia powróci na Zimę i będą mogli odbudować swoją potęgę. Póki co jednak mogą nam służyć jedynie dobrą radą i bardzo skromnymi zasobami.

– A gdy magia zostanie przywrócona, ponownie wrócą do walki o władzę i wpływy, jak to było przed nastaniem monarchii? – zapytał zimno Victor. – Taką, w której zwykli ludzie nie będą dla nich niczym więcej niż podziemnym robactwem, niewartym troski ani szacunku? Jesteśmy pewni, że na pewno chcemy obalać Białą Królową?

– Cynizm w twoich ustach? – Neil zdziwił się wyraźnie. – To coś nowego.

– Badałem historię magii Zimy – oświadczył Victor. – I od razu zastrzegam, tę nieocenzurowaną. Wiem, jak to wyglądało dwa wieki temu.

– Chwytam się wszelkich możliwości – odparł Neil. – Poza tym odnoszę wrażenie, że dwa wieki prześladowań pozwoliły magom nabrać odpowiedniego spojrzenia na pewne sprawy i w przyszłości mogą być już mniej małostkowi.

– Pytanie tylko, ile z tego spojrzenia zostanie już po pokonaniu Jej Wysokości i powrocie potęgi.

Neil uśmiechnął się pod wąsem.

– O to będziemy się martwić, gdy uda nam się wygrać. Na co się zresztą nie zanoszą.

– Prawda. – Teatrológ zaszepczał. – Odnalezienie zaginionych sztuk Zimmermana może się okazać naszą największą szansą.

– Co tylko dowodzi naszej desperacji – zaśmiał się sucho Neil. – Zapiski szalonego dramaturga, który jakoby odkrył metodę, za pomocą której będzie można obalić naszą nieśmiertelną władczynię. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, jak krucha i ulotna to nadzieja?

– Ośmielałem się mieć inne zdanie – zaprotestował Victor. – Po pierwsze, Zimmermann miał obsesję na punkcie zdobycia metody pokonania Białej Królowej. Podróżował po całej Zimie bez mała, rozmawiając z ludźmi, którzy mogliby choćby nakierować go na właściwy trop, prowadził żmudne, wieloletnie badania. Rezultaty na bieżąco dokumentował w dzienniku, który niestety wpadł w ręce Białej Gwardii i najpewniej został zniszczony. Wiemy także, iż w jakiś sposób zaszyfrował swoje odkrycie w treści swoich zaginionych dramatów.

– Tak przynajmniej twierdził. – Neil nie wydawał się przekonany. – I nawet jeśli to prawda, to

twoje poszukiwania zawiodły cię do ślepego zaułka, czyż nie?

– Odnajdę te sztuki – oświadczył Victor. – Uwierz mi, jeśli będzie trzeba, przejrzę każdy zabazgrany kawałek papieru, jaki znajduje się w Vadeline!

– Czasem wydaje mi się, że bardziej niż na poznaniu sposobu na obalenie Królowej zależy ci na poznaniu historii, jakie zawierają w sobie manuskrypty.

– Nie bądź śmieszny – burknął teatrolog, lekko speszony.

– Zabawne. – Neil nie spuszczał z niego oczu. – Kiedy ci to zarzucam, ty nigdy nie zdobywasz się na jednoznaczne zaprzeczenie.

Victor zdenerwował się wyraźnie.

– I owszem – warknął. – Mam zaprzeczać, iż interesują mnie wysnute przez Zimmermana fabuły? Otóż interesują. I to bardzo. On był geniuszem i jakiegokolwiek jego dzieło stanowi najdroższy skarb dla każdej wrażliwej duszy zamieszkującej Zimę. Choćby i tylko z tego względu, jeśli już nie z żadnych innych, należałoby dołożyć wszelkich starań w celu odzyskania tych utworów.

– Wstydz się, Victorze – zganił go Neil. – Przekładasz egoistyczne pragnienie przeczytania baśniowej historyjki nad jak najbardziej realne problemy jak najbardziej realnych ludzi.

Caillou poczerwieniał.

– Moje pobudki nie mają tu nic do rzeczy – odparł. – Rezultat moich działań i tak będzie jednaki. Odnajdę zaginione sztuki Samuela Zimmermana i rozszyfruję formuły w nich zawarte. Poza tym naprawdę myślisz, że nie przejmuję się losem mieszkańców Zimy?

Victor spojrzał w oczy Neilowi. Przybysz uciekł wzrokiem na bok.

– Nie – odparł. – Przepraszam. Po prostu... Musisz zrozumieć położenie rebeliantów. Wielu z nich kryje się w lasach, po jaskiniach czy na innych pustkowiach z dala od cywilizacji, zamarza na mrozie w strachu przed dekonspiracją czy niespodziewanym wojskowym patrolem. Podczas gdy ty pławisz się w luksusach, trwonisz pieniądze na odbudowę teatru...

– Mam ci przypomnieć, że sam większość swojej działalności w ruchu oporu spędziłem w taki właśnie sposób? Kryjąc się po lasach, marznąc i drżąc ze strachu? Na równi ze wszystkimi innymi głodując, chorując i cierpiąc niewygody?

– Pamiętam – uspokoił go Neil. – Ale obawiam się, że większość nie pamięta. Przeszłość mało kogo interesuje, Victorze, musisz się z tym pogodzić. Ludzi nie obchodzi, gdzie byłeś kilka lat temu. Widzą cię tu i teraz. I nie podoba im się to.

– Rozumiem twój punkt widzenia – przerwał mu przyjaciel. – Ale rebelia działa już niemal sto lat. Po takim czasie nawet dla najmniej lotnego umysłu musiało stać się jasne, że Królowej nie da się obalić metodą siłową. Ostatnim razem zapędziło nas to na skraj istnienia i tym razem będzie podobnie, gwarantuję ci to. Potrzebujemy czegoś więcej, czegoś nieuchwytnego, genialnego planu. Potrzebujemy formuły Zimmermana.

– Więc ją znajdź – westchnął Neil. – Dopóki tego nie uczynisz, skazani jesteśmy na konwencjonalne metody walki. Może ci się to nie podobać, ale co innego nam pozostało? Dać za wygraną i pokornie cierpieć rządy terroru? Tu, w Vadeline, może tego nie widać, ale sam przecież byłeś świadkiem masowych egzekucji, których podstawą było ledwie podejrzenie. Widziałeś wsie i miasteczka przykryte przez Królową śnieżnym płaszczem, bo istniały pogłoski, że kryją się w nich rebelianci. O szerzącej się korupcji, nadużyciach, kumoterstwie i szemranych interesach, niewolnictwie i niedających się opisać okrucieństwach mówić ci nie muszę, bo wiesz o tych sprawach prawdopodobnie więcej ode mnie. Samo działanie, samo świadectwo, jakie daje opór,

to już coś nieocenionego. Bez tego nie ma nadziei, a bez nadziei nie możemy liczyć na zwycięstwo.

Na to Victor nie znalazł odpowiedzi.

– Odnajdę te sztuki – zapewnił raz jeszcze.

Neil uśmiechnął się niewesoło.

– Wierzę – odparł. – To, czy zawierają one cokolwiek użytecznego, jest już jednak inną sprawą. Zimmerman był szaleńcem, a przynajmniej kimś, kogo od szaleństwa dzieliło bardzo niewiele. Może jego formuła jest tylko bredniami wariata nękanego halucynacjami.

Victor pokręcił głową.

– Nie, nie, po trzykroć nie – oświadczył, wchodząc w emfazę, którą Neil znał aż za dobrze. – Rozmawiałem z ludźmi, którzy znali Zimmermana, którzy obcowali z nim każdego dnia, towarzyszyli mu. Ci, którzy widzieli, co i jak myślał mistrz. Zapewnili mnie, iż nie był szaleńcem. Ekscentrykiem – owszem. Ale nie szaleńcem. Nie bardziej niż ja, dajmy na to.

Neil parsknął śmiechem.

– Victorze, jeśli mam być z tobą szczery, nie umiałbym zliczyć chwil, w których poddawałem w wątpliwość twoje zdrowe zmysły.

Victor także się uśmiechnął.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Rzadko kiedy – przyznał Neil. – Ale ufam ci. Zazwyczaj. Ano właśnie – przypomniał sobie nagle. – Skoro już mówimy o szaleństwach i szaleńcach. Miałeś jakieś sny? Przeczucia?

Victor zastanowił się. Jego skromny talent coraz rzadziej dawał o sobie znać i teatrolog nie wiedział, czy to rezultat działań Białej Królowej, czy po prostu z jakichś powodów traci tę umiejętność. Magia świata Zimy zawsze była chaotyczna i tajemnicza, a przybycie Królowej w jeszcze większym stopniu zmąciło zasady nią rządzące. O ile jakiegokolwiek istniały.

– Jeden, tuż po przybyciu – odparł po namyśle.

– Coś przydatnego?

Teatrolog pokręcił przecząco głową.

– Nawet już nie pamiętam treści. To nie mogło być nic ważnego – stwierdził, jednak bez przekonania. Przez jego głowę przemknęło ledwie uchwytnie przecucie, iż mógł zbagatelizować wizję, która nawiedziła go pierwszej nocy spędzonej w Vadeline, po chwili jednak zapomniał o tym zupełnie. Ogień... chodziło tam o ogień. I o śmierć. Zadrżał i wspomnienie wizji opuściło jego umysł. Odetchnął tylko i wzruszył tylko ramionami. – Jakieś bzdury. Naprawdę, nie ma się czym przejmować.

Neil przyglądał mu się badawczo. Zdawał sobie sprawę z dzikiego, nieprzewidywalnego talentu jego przyjaciela. Sny Victora już kilka razy okazały się prorocze i jak do tej pory nigdy nie zwiastowały niczego dobrego.

– To naprawdę nic takiego – zapewnił go Victor. – Koszmary podczas spania w obcym sobie miejscu to przecież norma. Cokolwiek mi się wtedy przyśniło, nie miało nic wspólnego z moją obecną sytuacją, tego jestem pewien.

Oczywiście, mylił się zupełnie.

\*\*\*

– Niechże się pan nie rusza, paniczku Caillou!

– Przepraszam, po prostu te igły...



– Jeśli nie będzie się pan ruszał, to nie będą się panu wbijać w ciało. To chyba logiczne. Będąc człowiekiem z wyższym wykształceniem, winien pan pojąć tę prostą zależność.

– Kiedy mnie swędzi!

– To proszę się podrapać i uspokoić.

Victor nie znosił takich sytuacji. Krawca odwiedzał jedynie w ostateczności, gdy naprawdę jedyną alternatywą było założenie czegoś, co z przyzwoitym odzieniem miało już niewiele wspólnego. W stolicy miał znajomego krawca, pana Hawtraya – cichego, sumiennego mistrza sztuki szwalniczej, który znał jego wymiary, preferencje i częstotliwość zużywania kolejnych kompletów ubrań, wskutek czego potrafił bezbłędnie przewidywać, kiedy Victor zwróci się do niego z kolejnym zleceniem. Niewiele się odzywał i zawsze się ze wszystkim zgadzał. Jego miejsce pracy miało w sobie ten subtelny klimat pracowni krawieckiej, gęste światło lamp naftowych wsączające się w kotary, zasłony, skrawki materiałów zwisające z oparc krzeseł i krawędzi stołów, hipnotyczny stukot maszyny do szycia, zasnuta tasiemkami podłoga i cząsteczki kurzu wirujące w powietrzu. Było to miejsce, w którym działa się magia – magia nożyczek, igieł i nici, którymi mężczyzna posługiwał się, niczym legendarny czarodziej swą magiczną różdżką.

Pan Gilbert, krawiec cieszący się w Vadeline największym uznaniem, w niczym nie przypominał cichego, usłużnego i pokornego pana Hawtraya, który oszczędzał słowa i gesty, jakby dysponował ograniczoną ich liczbą. Victor z punktu zaklasyfikował miejscowego krawca do grona „pogodnych cyników”, jak na własny użytek nazywał ludzi podobnego pokroju. Monsieur Gilbert – jak kazał się nazywać – zza wystawowej szyby przyglądał się światu ze wzgardliwą złośliwością, choć bez zatruwającej duszę goryczy. Z tego, co Victor zdążył usłyszeć, mieszkańcy miasteczka nie darzyli może Gilberta sympatią, lecz nikt nie śmiał odmówić mu kunsztu w jego zawodzie, co zresztą przysparzało mu klientów. Sam krawiec zdawał się kompletnie nie przejmować niechęcią, jaką darzy go otoczenie. Wobec Victora zachowywał się nieco autorytarnie, ale z elementarnym szacunkiem podszytym może tylko lekką ironią.

Także pracownia Gilberta niewiele miała wspólnego z przywodzącym na myśl wnętrze ula miejscem pracy pana Hawtraya. Krawiec z Vadeline dał się poznać jako beznadziejny perfekcjonista, trzymający przybory pracy w karnym porządku, z matematyczną dokładnością gospodarując najbliższą przestrzenią. Warsztat krawiecki monsieur Gilberta przypominał raczej muzeum. Nie było tam ani jednej rzeczy świadczącej o jakimkolwiek przejawie indywidualności właściciela, ani jednego przedmiotu łamiącego wystudiowaną kompozycję tego małego, geometrycznego świata nici, manekinów i materiału. To także niezbyt podobało się Victorowi. Teatrológ co prawda zgadzał się z tezą, iż uporządkowane miejsce pracy świadczy o uporządkowanym umyśle pracownika, po cichu wyznawał jednak zasadę, iż nadmierne uporządkowane miejsce pracy świadczy już tylko i wyłącznie o poważnej fiksacji umysłowej. Sam szczylił się tym, iż nigdy nie pozwolił, by otaczająca go przestrzeń zbyt uporządkowaniem krępowała jego umysł – i tej filozofii trzymał się od zawsze.

Gilbert odprawiał właśnie znany wszystkim krawcom rytuał tańca wokół klienta, mierzenia go wzdłuż i wszerz kawałkiem tasiemki i mrużenia pod nosem. Teatrológ nie umiał wyobrazić sobie mniej komfortowej sytuacji – zmuszony był do długiego trwania w bezruchu, podczas gdy jakiś obcy człowiek oglądał go ze wszystkich stron, niczym juczne zwierzę, które ma zamiar kupić. Nie wspominając już o tym, że czuł się kompletnie odsłonięty i w razie ataku byłby zupełnie bezbronny. Nawet jego laska stała oparta o ścianę poza zasięgiem jego rąk. Oczywiście w najbliższej przyszłości nie spodziewał się żadnych skrytobójców czyhających na jego życie, jednak przykry wypadek z przeszłości, gdy poprzez nieuwagę naraził się na śmiertelne

niebezpieczeństwo, w dużej mierze doprowadził go do paranoi. Kiedy krawiec skończył wreszcie oględziny, Victor odetchnął z ulgą.

– Trochę to panicza wyniesie – powiedział monsieur, zapisując coś w swoim notesie. Wyglądał przy tym niczym leśne lichy lub diablik spisujący cyrograf, który za niedługo podetknie jakimś nieszczęśnikowi do podpisania własną krwią. – Ale jak to mówi stare, mało znane przysłowie, człowiek, który opłaca odbudowę teatru, nie musi narzekać na brak pieniędzy.

Nieświadomie Gilbert poruszył dość palący Victora problem. Pod naporem wydatków związanych z renowacją teatru i przygotowaniem do premierowego występu jego fundusze topniały w zastraszającym tempie. Nieplanowana eskapada do Bordii jeszcze bardziej uszczupliła zasoby pieniężne. Jeśli premiera zakończy się porażką, a zyski z biletów nie pozwolą na utrzymanie płynności finansowej... Victor nie chciał o tym myśleć. Widział, że jego aktorzy poradzą sobie z wyznaczonymi im rolami, wartość artystyczna zaś samej sztuki była bezdyskusyjna. Jediną niewiadomą pozostawała publiczność. Choć wszyscy wokół zapewniali go, że przyjdą na premierową sztukę, choćby z ciekawości, jeżeli nie z innych powodów, Victor nie umiał przyjąć tego za dobrą monetę. Zbyt wiele razy był świadkiem sytuacji, gdy znakomicie zapowiadająca się i szeroko reklamowana inscenizacja kończyła się występem przed zaledwie garstką przypadkowych widzów.

– Potrzebny mi frak – oświadczył, odsuwając od siebie niespokojne myśli. – Nic ekstrawaganckiego, krój prosty, acz szykowny.

Krawiec skinął głową.

– To mi przypomina, że w końcu udało mi się nareperować pański cylinder. Choć przyznam, iż nie rozumiem, czemu nie kupi pan sobie nowego.

– Bo to skarb – oznajmił Victor, odbierając od Gilberta znajome nakrycie głowy. Krawiec wykonał swoją pracę z właściwą sobie starannością i cylinder wyglądał teraz niczym dopiero co zdjęty ze sklepowej półki. – Prezent od najlepszego przyjaciela. Nigdy go nie wyrzucę. – Założył cylinder i przejrzał się w lustrze. Odbicie uśmiechnęło się do niego z dumą.

– Jak panicz chce. – Krawiec wzruszył ramionami. – Lepiej dla mnie, bo naprawa jest droższa od nowego nakrycia głowy. Ach, i kończę już pracę nad kostiumami.

– Doskonale – rzekł Victor, zdejmując z głowy cylinder i oglądając do uważnie, jakby czegoś szukając. – Jutro przyślę tu panią Greene, żeby skontrolowała ich jakość.

– Znowu ta straszna kobieta? – westchnął Gilbert, sprawnym ruchem dłoni zwinął tasiemkę i położył ją na stole, pośród innych przyborów. – Bywała tu pod pańską nieobecność, co i rusz starając się uczyć mnie, jak powinienem wykonywać swoją pracę. Też mi coś! Czy ja ją pouczam, jak powinno się zachowywać na scenie? Jak gestykulować i akcentować kwestie?

Victor poczuł się w obowiązku usprawiedliwić panią Greene.

– To bardzo zasadnicza kobieta i perfekcjonistka do szpiku kości.

– Na mnie wywarła raczej wrażenie despotki zaprowadzającej rządu terroru wszędzie, gdzie tylko znajdzie się na dłużej niż pół obrotu klepsydry. Ale panicz pewnie wie o tym najlepiej.

– Chcemy tylko, by wszystko było dopięte na ostatni guzik – wyjaśnił Victor.

– Na dopinaniu i guzikach znam się lepiej niż ktokolwiek w tym mieście – odparował krawiec.

– W każdym razie, prace są już na ukończeniu.

– To dobrze, bo premiera zbliża się wielkimi krokami – oznajmił Caillou, zbierając się do wyjścia. – Wykona pan dla mnie ten frak?

– No cóż, skoro już podjąłem tytaniczny wysiłek zdjęcia z pana wymiarów i przyjąłem zaliczkę, logiczne jest, iż zajmę się tym zleceniem. Nie uważa pan?

Victor westchnął, ale nie skomentował. Tylko się uśmiechnął.

– Uważam – powiedział. – A płaszcz?

– Co „płaszcz”?

– Zamówiłem u pana nowy płaszcz, trzy dni temu. Szykuje się sroga zima, mówi się, że najsroższa od pokoleń. Postanowiłem zatem zawczasu uzbroić się w chroniący przed chłodem i śniegiem płaszcz. Obawiam się, że ten, w którym przyjechałem ze stolicy, jest już dość sfatygowany.

– Trzy dni temu? – Gilbert poprawił binokle zsuwające mu się z nosa i podszedł do biurka, omiatając je badawczym spojrzeniem. – Dziwna rzecz, nie przypominam sobie, bym odbierał zamówienie. Zawsze wszystko zapisuję i zostawiam notatki na swoim biurku, a niczego takiego nie stwierdzam.

– Zamówienie odebrał pański czeladnik.

– Ach, to wszystko jasne. – Gilbert uśmiechnął się krzywo. – Przecież mówiłem mu, że takie rzeczy należy notować. To już trzeci w tym miesiącu i widocznie tego też będę musiał go odprawić. Nie mam pojęcia, co się dzieje z młodzieżą w dzisiejszych czasach. Nie umieją się skupić na jednej czynności dłużej niż chwilę.

Mimo ciętego języka i złośliwego usposobienia monsieur Gilbert w istocie był mistrzem w swoim fachu, o czym Victor przekonał się dwa tygodnie później, gdy odebrał zamówienie. Frak leżał idealnie, szeleścił nowością i świeżością. Płaszcz doskonale chronił przed zimnem, dopuszczał jednak do ciała akurat tyle powietrza, ile było potrzeba, by uniknąć zapocenia. Teatrolog wielokrotnie zmuszony był do noszenia odzienia będącego nieprzepuszczalną skorupą, przez co już po kilku chwilach pływał we własnym pocie, co nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy. Potrafił docenić dobry płaszcz, a ten był po prostu idealny.

Wnętrze teatru wciąż pachniało żywicą i świeżo ciętym drewnem i ten właśnie zapach uderzył Victora w nozdrza w chwili przekraczania progu holu. Teatrolog odetchnął pełną piersią i uśmiechnął się.

– Dyrektorze!

Westchnął, nie zdejmując z twarzy szerokiego uśmiechu. Przez ostatnie kilka dni właściwie przez cały czas ktoś go wołał, szukał, potrzebował jego pozwolenia, rady, opinii, wsparcia czy rekomendacji. Choć lubił obcować z ludźmi, to jednak po kilku dniach nieprzerwanych rozmów, dyskusji, debat, kłótni, sprzeczek, monologów, dyktowanych treści listów, pism, zaproszeń i afiszów momentami miał już serdecznie dosyć i z trudem powstrzymywał chęć zabarykadowania się w swoim gabinecie.

Odwrócił się.

– Julio. Coś się stało? – Spojrzał na twarz dziewczyny i od razu spoważniał. – Mów – polecił.

– Przyszedł urzędnik z ratusza. Czeka na pana już od dłuższego czasu.

– Wpuściłaś go do gabinetu?

– Uparł się, że poczeka przed drzwiami.

– To pewnie nic takiego – uznał Victor, podchodząc do schodów.

Urzędnik mu wydał się znajomy i dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że spotkał już tego człowieka niedługo po przybyciu do Vadeline. Był to Jakub, starszy mężczyzna, który dość szorstko potraktował go w ratuszu.

– Pan Caillou – stwierdził raczej, niż spytał, ujrawszy Victora. – Czekałem na pana.

Urzędnik miał nieprzyjemną barwę głosu, kojarzącą się ze skrzekiem starego, chorego ptaka. Aureola siwych włosów okalała jego czaszkę niczym osobliwe nakrycie głowy.

Victor otworzył drzwi do swojego gabinetu i zaprosił Jakuba do środka. Starzec przekroczył próg, omiatając pomieszczenie podejrzliwym spojrzeniem, jakby spodziewając się zasadzki.

– Ma pan przekrzywiony obraz – zauważył.

– Doprawdy? – zapytał Victor z idealnie nieruchomą twarzą. – Coś podobnego. – Usiadł za biurkiem. Jakub zajął miejsce naprzeciwko niego, po drugiej stronie blatu. – Cóż pana sprowadza w nasze skromne progi, drogi panie? – zapytał Victor.

Jakub odchrząknął.

– Istnieje szereg nieuregulowanych spraw związanych z renowacją i użytkowaniem należącego do miasta budynku. Właśnie w tej sprawie tu jestem – wyrecytował.

– Nieuregulowanych? – zdziwił się wyraźnie dyrektor. – Jestem przekonany, że dokumenty uwierzytelniające, jakie wręczyłem pańskiemu przełożonemu podczas naszej pierwszej rozmowy...

– Są pewne nieścisłości – wykrakał Jakub. – I to spore, jeśli miałbym mówić za siebie. Mer byłby skłonny pójść na pewne ustępstwa, nie mogą one być jednak wyłącznie jednostronne. Ostatecznie wszyscy jesteśmy równi wobec prawa.

– Z wyjątkiem Białej Królowej, która naturalnym porządkiem rzeczy stoi ponad wszelkimi prawami – uzupełnił Victor.

– Z wyjątkiem Białej Królowej, ma się rozumieć – zgodził się Jakub. Naraz zmarszczył czoło, jakby przypomniał sobie o czymś nieprzyjemnym i jego spojrzenie niemal bezwiednie znowu zawędrowało w stronę przekrzywionego obrazu. – Powinien pan poprawić ten obraz.

– Oczywiście. – Victor uśmiechnął się pod nosem. – Jak tylko skończymy naszą rozmowę.

– Tak... – Urzędnik z trudem oderwał wzrok od ściany. – Przede wszystkim wciąż jest pan obciążony mandatem wysokości piętnastu orenów za zniszczenie mienia publicznego.

– Chodzi o tę kłódkę? – Słyszac to, Victor nie mógł się powstrzymać przed demonstracyjnym przewróceniem oczyma. – Wyremontowałem cały budynek z własnych funduszy. Jestem pewien, że pan to zauważył.

– Wykroczenie jest wykroczeniem – odparł Jakub surowo. – Dostał pan przecież wezwanie do zapłaty. Miał pan trzydzieści dni na uregulowanie należności. Po tym okresie czasu pańskie wykroczenie poszerza się o uchylanie się od zapłaty mandatu, kara zaś wzrasta do trzydziestu orenów. Jeśli w ciągu trzydziestu kolejnych dni nie uiszcisz pan wpłaty, będę miał prawo wezwać konstabla.

Biurokratyczna szermierka, pomyślał teatrolog. Ten tu starszy człowiek wywija prawem sprawniej, niż najlepiej wyćwiczony członek Białej Gwardii wywija szpadą. Choć Victor nie czuł się na tym gruncie najpewniej, postanowił stawić czoła urzędnikowi.

– Byłem nieco zajęty – powiedział. – I jestem pewien, że władze miejskie mają w tym momencie ważniejsze sprawy. Miasto przeżywa oblężenie przedsiębiorców. Co drugi odwiedza ratusz, czy to sygnalizując chęć do rozmów, czy to wysuwając jakieś półoficjalne propozycje. A tymczasem mer marnuje czas i zasoby ludzkie na przywołanie do porządku opieszalego dyrektora teatru, który winien jest miastu równowartość dwóch obiadów?

– Po drugie – urzędnik zachowywał się, jakby nie usłyszał odpowiedzi Victora – nie uzyskał pan pisemnego pozwolenia na odbudowę teatru. Owszem, tę sprawę jesteśmy skłonni potraktować łagodniej, ponieważ zawczasu złożył pan ustną deklarację w przytomności mera, dlatego też odstąpimy od karania za to niedopatrzanie.

– Dziękuję uprzejmie – odparł Victor, dbając, by w jego głosie nie zagościł nawet cień sarkazmu. – Przyznam, że ulżyło mi, gdy pan to powiedział.

– Po trzecie, wznowienie działalności teatru wymagać będzie złożenia odpowiednich dokumentów rejestrujących działalność.

– Nasza działalność jest już zarejestrowana – zaprotestował Victor. – Oficjalnie nigdy nie rozwiązano grupy teatralnej działającej na terenie Vadeline. Fakt, iż wiele lat nie była aktywna, nie ma tu nic do rzeczy.

– W archiwum ratusza nie ma dokumentu stwierdzającego, iż grupa teatralna jest zarejestrowaną efemerydą – oświadczył Jakub tryumfalnie. – Wiem, bo specjalnie sprawdziłem to przed wizytą u pana.

Zarejestrowana efemeryda, powtórzył w myślach Victor. Muszę to sobie gdzieś zapisać, to wyrażenie jest nazbyt piękne, by miało przepaść w mrokach niepamięci.

– Widzę tu zatem dwie możliwości – powiedział. – Albo grupa nigdy nie była zarejestrowana w ratuszu... i jak do tej pory nie przeszkadzało to nikomu..., albo też dokument stwierdzający rejestrację zaginął w archiwum.

– Zaginął? – Urzędnik wydawał się wstrząśnięty samą sugestią takiego stanu rzeczy. – Wykluczone. Osobiście nadzoruję archiwa. Nigdy nie dopuściłbym do tak rażącego niedopatrzenia.

– Oczywiście – odparł pojednawczo Caillou. – Niczego takiego nie sugeruję. Myślę, że w takim wypadku najlepiej będzie, jeśli odwiedzę ratusz celem złożenia odpowiednich podpisów na wymaganych dokumentach.

– I wpłacenia wpisowego stosownej wysokości – uzupełnił zadowolony z siebie urzędnik, najwyraźniej biorąc tę deklarację za akt kapitulacji.

– W najbliższych dniach odwiedzę ratusz z zamiarem dopełnienia tej sprawy – zapewnił Victor, podnosząc się z miejsca.

– To musi być załatwione jeszcze dzisiaj. W przeciwnym wypadku kara za opieszałość...

– Dobrze już, dobrze. – W owym momencie Victor był w stanie zgodzić się na wszystko. – Wieczorem załatwię tę sprawę, obiecuję uroczyście. Jest pan zadowolony?

– Tu nie chodzi o moje zadowolenie – oświadczył urzędnik – a o wierność prawu. Bez praw jesteśmy tylko trochę mądrzejszymi i trochę bardziej niebezpiecznymi zwierzętami.

– Tu się zgodzę – odparł Victor.

Urzędnik Jakub pogderał jeszcze, po czym pożegnał się i wyszedł. Victor odetchnął. Już po kilku obrotach klepsydry usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść – polecił.

– Wszystko w porządku, dyrektorze?

– W jak najlepszym, Julio. – Uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju. „Zbyt często się uśmiechasz”, powtarzał mu ciągle Neil. „Ludzie przez to myślą, że jest coś z tobą nie tak”.

Julia odwzajemniła uśmiech.

– Po prostu zastanawiało mnie, czego od pana chciał ten urzędnik.

– Och, sprawy urzędowe. – Victor lekceważąco machnął ręką. – Nie ma się czym przejmować. Muszę dopełnić kilku formalności i wpłacić pewną sumę pieniędzy na fundusz miasta. Doświadczenie podpowiada mi, że gdy urzędnicy dostrzegają pieniądze, przestają widzieć problemy.

– To na pewno mer Enderby go przysłał – oznajmiła. – W miasteczku krążą legendy o jego pazerności.

– Więc czemu mieszkańcy wciąż na niego głosują? – zapytał teatrolog, choć doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Natura ludzka nie jest trudna do rozszyfrowania, a Victor miał się za

wybitnego jej znawcę.

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Po prostu wszyscy wiedzą, czego się po nim spodziewać. Jest... bezpieczny. Poza tym pan Cirque zapiera się rękami i nogami i nie chce kandydować na to stanowisko, choć ludzie go szanują i na pewno by na niego głosowali.

– Ojciec Raya? – zdziwił się Victor.

– Ano. – Julia uśmiechnęła się. – Kilka lat temu, dla żartów, zgłosił się na kandydata. Choć nie nawoływał do głosowania na swoją osobę, zdobył duże poparcie. Chyba wystraszył się tego, bo szybko wycofał kandydaturę. Szkoda. Ludzie go lubią.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał teatrolog. – Pan Bowen Cirque zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Też bym na niego zagłosował. A teraz wybac mi, moja droga, muszę udać się w kilka miejsc. – W drzwiach wyjściowych minął się z Neilem. – Aha! – zawołał na jego widok. – W końcu postanowiłeś rzucić okiem na skromny przybytek sztuki, który przywróciłem do życia?

Neil uśmiechnął się, ale nie wydawał się zainteresowany architekturą czy wyposażeniem gmachu.

– Przyszedłem się pożegnać – oznajmił.

– Już wyjeżdżasz? – Teatrolog nie był w stanie ukryć rozczarowania. – Miałem nadzieję, że zostaniesz na premierze.

– Dziś wieczorem wyrusza konwój z zaopatrzeniem. Pogoda poprawiła się na tyle, bym mógł bez ryzyka dotrzeć do kopalni – wyjaśnił przyjaciel. – Miałem nadzieję, że porozmawiamy jeszcze przed moim wyjazdem.

– Porozmawiamy – obiecał Victor. – Po prostu... poczekaj tu na mnie, dobrze? Julio, zaopiekujesz się moim gościem do czasu mojego powrotu? Znakomicie.

I to powiedziawszy, wypadł na zewnątrz, niczym kula armatnia.

– Nic się nie zmienił – uznał Neil, uśmiechając się pod nosem. – Wciąż goni za własnym ogonem, jak szczenię lodowego wilka.

– Napije się pan herbaty? – zapytała Julia, a gdy przybysz skinął głową, zaprowadziła go za kulisy, gdzie czereda aktorów zażywała odpoczynku po wyczerpującej próbie. Aktorzy powitali Neila, zgromadzeni przy ustawionym pod ścianą stoliku, bręcząc kubkami i rozmawiając między sobą. W ciągu tych kilku tygodni zżyli się ze sobą i zaprzyjaźnili. Kiedy usłyszeli, że Neil jest przyjacielem ich dyrektora, momentalnie otoczyli go półokręgiem.

– Niech pan nam o nim opowie – zaproponował Filip. Pozostali żarliwie przyłączyli się do tej prośby.

– Przecież go znacie. – Neil uśmiechnął się, przyjmując podany przez kogoś kubek z parującym napojem. – Victora nie da się nie znać. Po pięciu obrotach klepsydry w jego towarzystwie wiecie już o nim wszystko.

– Nigdy o sobie nie mówi – zauważyła Julia. – Kiedy któreś z nas stara się go o to pytać, zbywa nas żartami. Nawet jeśli chodzi o zupełnie błahe sprawy.

– Na przykład jakie? – zaciekawiał się przybysz.

– Nie wiem... Czy ma żonę? Narzeczoną?

To pytanie zadała Emilia, skrycie zadurzona w dyrektora.

– Jego nie interesują te sprawy – powiedział Neil. – A przynajmniej nigdy nie zauważyłem, by tak było. W jego sercu jest miejsce tylko na sztukę, co zresztą niejednokrotnie podkreślał, aż do znudzenia.

– Kim on jest? – zapytał Fabian. – Ale tak naprawdę? Jest naszym dyrektorem, a niemal nic o nim nie wiemy. Skąd pochodzi? Czy ma jakąś rodzinę? Nigdy o tym nie mówił.

Neil przysiadł na krawędzi stołu. Zamyślił się, sącząc herbatę z poobijanego kubka.

## Rozdział IX

### Przygotowania

*Kto się czubi, ten się lubi – Opowieść o Krwawym Antonio – Zapewnienia szczodre, acz nieszczerze – Wyprawa – Podwójna protekcja Victora Caillou – Znaleźisko*

– Victor Caillou – zaczął tonem sugerującym dłuższą opowieść. – Choć znam go od wielu lat i bez chwili wahania mogę nazwać się jego najlepszym przyjacielem, nie mogę powiedzieć, że znam go tak dobrze, jak bym chciał. Jak zapewne zdążyliście się już zorientować, Victor jest osobą, która przez większość czasu obraca się świecie nieco innym niż ten, do którego przywykliśmy – w świecie własnej głowy, w świecie marzeń, sztuki i snów. Nie twierdę bynajmniej, że jest szaleńcem, choć początkowo istotnie podejrzewałem taki stan rzeczy. Chodzi mi tutaj o to, że Victor jest osobą wprost uwielbiającą opowieści, rebusy, zagadki i tajemnice – a z takimi zapatrywaniami człowiek wykształca u siebie pewnego rodzaju skrytość, niechęć do mówienia o sobie samym. Kiedy żyje się wśród tajemnic, chciałoby się choć do pewnego stopnia być jedną z nich. Trudno jest oprzeć się pokusie.

Victor jest człowiekiem pełnym sprzeczności. Ma się za wielkiego kłamcę i oszusta, lecz każdy, kto zna go choć trochę, jest w stanie w jednej chwili przejrzeć jego zamiary. Nie potrafi kłamać, zaraz wszystko widać na jego twarzy. Nie znam nikogo, kto byłby bardziej narcystyczny i zapatrzony w siebie, ale nie znam też nikogo bardziej wielkodusznego i otwartego na ludzi. Utrzymuje, że nie ma absolutnie żadnych zasad, jednak honoruje swój własny niepisany, a może nawet i niepomyślny kodeks, którego trzyma się z trudną do wyobrażenia konsekwencją. Jest tchórzem i panikarzem, lecz stać go na niezwykle wręcz akty odwagi i szlachetności. Broni słabszych przed silniejszymi, jeśli tylko jest w stanie tego dokonać. Broni silnych przed zagrożeniem, jakie czasami stanowią dla siebie samych. Słyszeliście zapewne starożytne opowieści z czasów sprzed ery Białej Królowej? Te historie o dzielnych rycerzach broniących prostych ludzi przed niebezpieczeństwem? To oczywiście bzdury, dawny świat był pełen mrozu, krwi i trudnego do wyobrażenia okrucieństwa. Ale on, Victor, on w to wierzy. Wierzy i zachowuje się tak, jakby przyjmował etos i zasady tych prawych, lecz nieistniejących bohaterów. Świat, w którym wszyscy byłiby tacy jak on, zawaliłby się w ciągu jednego dnia. Ale świat, w którym nie byłoby ani jednego Victora Caillou, byłby najgorszym miejscem, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Niewiele wiem o jego przeszłości. Wychował go wuj, który zapewnił mu wykształcenie i zaszczerpił zamiłowanie do sztuki. Kiedy Victor trafił do Akademii, ja od roku już w niej studiowałem. Poznaliśmy się jakiś czas później, gdy ocaliłem go przed tęgim laniem w studenckiej karczmie, gdzie swoimi poglądami naraził się nieodpowiednim ludziom. Od tamtej pory nasze relacje wyglądały właśnie w ten sposób – on pakował się w najprzeróżniejsze kłopoty, ja zaś ciągiem go z nich wyciągałem, bywało, że i za uszy. Trzymaliśmy się razem, początkowo z koleżeńską sympatią – dzieliliśmy jedno dormitorium, choć mieszkaliśmy na różnych piętrach. Później przekonałem się, iż blisko Victora zawsze dzieje się coś niezwykłego, niekiedy z jego własnej inicjatywy, częściej jednak to przypadek wplątuje go w niecodzienne sytuacje. Zdawał się



przyciągać wypadki, tak jak niektórzy szczęśliwcy przyciągają pieniądze. Pieniądzy notorycznie miał zaś niewiele. Jego osoba nie wzbudzała może powszechnego zainteresowania, był jednak rozpoznawalny w niektórych kręgach studenckich, a po zakończeniu nauki stał się stosunkowo popularnym reżyserem. – Tu Neil uśmiechnął się pod nosem. – Pamiętam, jak pewnego razu zaczął się zakładać ze wszystkimi wokół o to, że odegra rolę Esmeraldy, szalonej kurtyzany, w sztuce zatytułowanej *Przypadki ciemnych ulic*. Wszyscy śmiali się i pukali w czoło, bo reżyserem był znany i szanowany artysta, który nigdy nie pozwoliłby sobie na podobną kompromitację. Do puli dorzucało się mnóstwo osób, licząc na pewny zysk, Victor zaś skwapliwie przyjmował kolejne wpłaty. W końcu nadszedł dzień premiery. Widownia wypełniona była po brzegi – w dużej mierze ludźmi, którzy wzięli udział w zakładach. W końcu kurtyna uniosła się i... na środek sceny wkroczył Victor. Miał na sobie wyzywającą suknię, perukę i grubą warstwę pudru na twarzy. Falszując niemożliwie, odegrał śpiewaną arię otwierającą sztukę. – Zamilkł, bo słuchający go aktorzy wybuchli głośnym śmiechem. Nakreślona przez Neila wizja okazała się tak sugestywna, że niepodobna było zachować powagę. – Sztuka zebrała miazdzące recenzje – ciągnął dalej, gdy śmiechy już umilkły. – Choć przyznać trzeba, że niektórzy krytycy odebrali to wystąpienie jako interesującą prowokację artystyczną. Tymczasem Victor, dumny z siebie, zainkasował przeszło pół tysiąca orenów wygranej. Ci, którzy się z nim zakładali, nie ociągali się z wypłacaniem mu pieniędzy, zgodnie twierdząc, że warte były one uciechy, jakiej im dostarczył.

– Chyba nie powinien pan zdradzać postronnym krępujących szczegółów z życia panicza Caillou – napomniała go delikatnie Julia.

– Ależ! – obruszył się Neil. – Jestem jego najlepszym przyjacielem. Ujawnianie postronnym krępujących epizodów z jego życia należy wręcz do moich obowiązków! – Westchnął, upił łyk herbaty i dodał już ciszej: – Wygraną oddał reżyserowi, którego syn został porwany przez bandytów żądających okupu za jego życie i zdrowie. Chłopca uprowadzono podczas powrotu do stolicy z rodzinnej miejscowości ojca. Nie konstable, nie wojskowi, nie Biała Gwardia – tylko upudrowane lico Victora uratowało mu życie. Taki właśnie jest wasz dyrektor. I ta historia mówi o nim więcej niż cokolwiek innego.

Zgromadzeni zamilkli. Naraz wizja przebranego w suknię dyrektora przestała być tak zabawna. Neil dostrzegł to i pospieszył z wyjaśnieniami:

– On i tak by to zrobił. Wprost uwielbia wygłupy. Takie przebieranki nie stanowiły dla niego żadnego upokorzenia, ten występ zaś nie był jakimś aktem bohaterstwa. W istocie, gdybyście mu to zasugerowali, oburzyłby się. Victor za największą obelgę uważa nazwanie go „honorowym człowiekiem”. Kiedy jednak może pomóc, pomaga.

Zgromadzeni porozumieli się wzrokiem. Teraz znali Victora Caillou odrobinę lepiej.

Naraz zabrzmiały kroki na korytarzu i za kulisy zajrzał on, jeszcze w cylindrze na głowie i płatkami śniegu topniejącymi na płaszczu.

– A, tu się schowaliście – powiedział.

Wszystkie pary oczu równocześnie zwróciły się w jego stronę... i po raz kolejny zabrzmiał głośny wybuch śmiechu. Dyrektor, z oszołomionym spojrzeniem człowieka, który nie rozumiał żartu, spoglądał na roześmiane twarze to Fabiana, to Neila, to Julii, to chichoczącej Emilii.

– Mam coś na twarzy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, jął macać się po nosie i policzkach. To wzbudziło kolejną salwę śmiechu.

– Tylko ten swój zwyczajowy głupawy uśmiech – uspokoił go Neil. – Załatwiłeś już wszystkie swoje sprawy?

– A gdzieżby! – teatralnie westchnął Victor. – Prawdziwe urwanie głowy mam z tym teatrem.

Idę załatwić jedną sprawę, a wracam z dziesięcioma niezałatwionymi.

– A skoro już mówimy o niezałatwionych sprawach – przypomniał sobie Neil. – Byłbym zapomniiał. Masz pozdrowienia od Krwawego Antonio.

– Krwawy Antonio jeszcze mnie pamięta? – Victor wyglądał na przestraszonego nie na żarty. – Rozmawiałeś z nim? Nie ma mi chyba za złe...?

– Kto to jest Krwawy Antonio? – zapytała Julia. – Jakiś zbój?

– Jeszcze jaki! – zawołał Victor. – Profesor Antonio Tarin, wykładowca akademicki, którego sława rozciąga się na całą Zimę bez mała. Historie o nim jeżą włosy na głowie każdego nieszczęśnika, który kiedykolwiek uczestniczył w zajęciach z historii powszechnej. Choć uczciwie trzeba przyznać, iż połowa opowiadanych o nim anegdot tak naprawdę nie miała miejsca, druga połowa zaś mocno jest przejawskrawiona.

– Na przykład nigdy nie wierzyłem w tę historię o starodrukach – odezwał się Neil.

– Ta jest akurat prawdziwa – oznajmił Victor. – Wiem, bo byłem przy tym.

– Opowie nam pan? – zapytała Emilia.

Teatrológ skinął głową i przysiadł na podsuniętym mu krześle.

– Dnia pewnego profesor Tarin zaszedł był do biblioteki w celu wypożyczenia pewnych cennych starodruków, które to miał w planach dokładniej przeanalizować. Mając swoje przyzwyczajenia, chciał je wziąć ze sobą, do swojego gabinetu, ponieważ nie wyobrażał sobie pracy poza nim. Tymczasem bibliotekarz nie mógł i nie chciał wyrazić zgody na wyniesienie tak wartościowych materiałów poza teren czytelnii. Wywiązała się długa i zaciekle kłótnia, podczas której profesor i bibliotekarz przerculali się precedensami i licytowali, który z nich ma większe prawo dysponować zawartością księgozbioru. W końcu opiekun księgozbioru nie wytrzymał i uderzył w najczulszy punkt Krwawego Antonio, mianowicie – podważył wartość jego tytułu. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż nad przyznaniem każdego stanowiska profesorskiego odbywa się głosowanie Rady Akademickiej. Jeśli kandydat zdobędzie większość głosów Rady, ma prawo tytułować się profesorem i korzystać z powiązanych z nim przywilejów. Tymczasem w sprawie Antonio Tarina głosy rozłożyły się idealnie po równo. Głosowanie zatem powtórzono, z takim samym rezultatem. W końcu postanowiono rozstrzygnąć dylemat na korzyść Krwawego Antonio i przyznano mu profesurę. Od tamtego czasu profesor Tarin bardzo nie lubi wracać do tej sprawy – a krnąbrny i uparty bibliotekarz wygarnął mu ją prosto w twarz, na dodatek w przytomności wielu obecnych w czytelnii studentów. Czerwona mgła zasnęła oczy nobliwego naukowca. Krwawy Antonio ryknął z wściekłością, huknął pięścią w blat bibliotekarskiej lady i wrzasnął, że wyniesie te starodruki tak czy inaczej. Oświadczywszy to, wyrwał pierwszą kartkę bezcennego dokumentu, otworzył szeroko usta i pożarł ją na oczach oniemiałego bibliotekarza. Sposobił się już do wyrwania kolejnej, lecz bibliotekarz rzucił się ratować bezcenne pisma. Rozpoczęła się szarpanina, w którą żaden student czy nawet wykładowca niższego stopnia nie śmiał się wnieść z obawy przed oskarżeniem o naruszenie czci i godności ciała profesorskiego. Musiano wezwać rektora, by rozdzielił walczących. Pamiętam, że tego dnia w bibliotece nie było nikogo, kto potrafiłby ustać prosto ze śmiechu. Wyjawszy oczywiście Krwawego Antonio, dla którego ta bójka skończyła się naderwanym uchem, połamanymi okularami i ostrzeżeniem dyscyplinarnym.

– Wciąż nie wierzę w tę historię – oznajmił Neil, gdy przebrzmiały już ostatnie śmiechy. – To jest zbyt absurdalne, by mogło być prawdziwe.

– Wielokrotnie życie jest zbyt absurdalne, by mogło być prawdziwe – odparł Victor z uśmiechem. – To los i przypadek piszą najbardziej nieprawdopodobne scenariusze, sama przypadkowość łamie reguły świata chętniej niż ludzki zmysł konfabulacji.

- Znowu ta twoja humanistyczna retoryka – burknął Neil.
- Znowu ten twój matematyczny brak wyobraźni – odciął się Victor.
- Ale panie Victorze – zapytała Emilia, wietrząc poważniejszą sprzeczkę – czemu ów Krwawy Antonio miałby mieć jakieś pretensje do pana?
- Chodzi o pewną pracę na zaliczenie przedmiotu, jaką powinienem był mu przekazać przed uzyskaniem bakalaureatu. Jako iż nie uczyniłem tego do tej pory, Krwawy Antonio uparcie odmawia tytułowania mnie stopniem bakałarza. Co jest dość ironiczne, zważywszy na dyskusyjność jego własnego tytułu.
- Rozmawiali jeszcze przez pewien czas, snując opowieści i anegdoty. Kiedy zapadła już ciemność, a wszyscy aktorzy w doskonałym humorach porzuchodzą się do swoich domów, Victor mógł w końcu swobodnie porozmawiać z Neilem
- Wciąż odstawiasz ten numer z obrazem? – zauważył Neil, gdy weszli już do gabinetu.
- Ten numer wciąż działa – odparł Victor, siadając za biurkiem. Przy tym skrzywił się lekko, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę. Nie umknęło to uwadze Neila.
- Jak z nogą? – zapytał.
- Nie dokucz, mogę poruszać się równie swobodnie, jak przed zranieniem. Czasem tylko odzywa się na zmianę pogody. Tak jak teraz. Myślę, że prawdziwy atak zimy dopiero przed nami.
- W takim razie tym bardziej muszę się pospieszyć – uznał Neil. – Nie będzie mnie parę tygodni, góra miesiąc.
- Liczyłem, że zostaniesz na premierze – powiedział przyjaciel, wyraźnie rozczarowany. – To już za tydzień. Wszystko praktycznie przygotowane, pozostały ostatnie szlify.
- Muszę ci o czymś powiedzieć, Victorze. – Neil spoważniał. – Kiedy przejeżdżałem przez Bordię, słyszałem plotki o tym, że niedługo ma się tam zjawić Biała Gwardia w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie sfory Rudej Gabrielle. Jest rzeczą niemal pewną, iż prędzej czy później Gwardia zawita i do Vadeline. Najlepiej byłoby, gdybyś do tego czasu na dobre zniknął z miasteczka.
- Dlaczego?
- To chyba oczywiste. Królewscy będą cię szukali. Jesteś człowiekiem, który widział Czerwoną Królową i przeżył. Już samo to wzbudza podejrzenia. Poza tym... obcy człowiek przybywający do zagubionego w zamieciach miasteczka, w jakimś wydumany, absurdalnym celu... Musisz się liczyć z tym, że jeśli nie wyjedziesz z Vadeline, nim przybędzie tu Gwardia, możesz mieć kłopoty. Co ja mówię – na pewno będziesz miał kłopoty. Z twoim szczęściem to więcej niż pewne.
- Poradzę sobie – odpowiedział. – Nie mogę wyjechać, jeszcze nie. Za dużo mnie tu trzyma. Muszę odnaleźć manuskrypty Zimmermana. One są gdzieś tutaj, gdzieś w tym miejscu. Czuję to. Poza tym gdybym wyjechał, podejrzenia wobec mojej osoby byłyby jeszcze większe. Mogłoby to zostać odebrane za ucieczkę.
- Jeśli jednak zostaniesz zdekonspirowany...
- Nie zostanę – oświadczył kategorycznie teatrolog.
- Neil westchnął ciężko.
- Chciałbym podzielać twoje niezachwiane przekonanie. Po prostu bądź ostrożny, dobrze? Zrób to dla mnie.
- Zawsze jestem ostrożny – stwierdził Victor. Słyszac to, Neil nie umiał powstrzymać się od uśmiechu.
- Twoja „ostrożność” niejednokrotnie naraziła cię na śmiertelne niebezpieczeństwo. Postaraj

się tym razem.

– Dobrze. – Victor pokiwał głową. – Obiecuję.

– Miło mi to słyszeć, aczkolwiek nie bardzo w to wierzę. Niemniej jednak życzę ci szczęścia. A teraz wybacz, muszę przygotować się do wyjazdu. Żegnaj, durniu.

– Ty też na siebie uważaj. Żegnaj, bałwanie.

Wymieniwszy te osobliwe pożegnania, raz jeszcze uściskali się serdecznie.

Kiedy Neil wyszedł, Victor opadł na krzesło i odetchnął ciężko. Mimo szczodrych zapewnień, że kwestia rewolucjonistów leży mu na sercu i że jest już o krok od przełomowego odkrycia, przed samym sobą musiał przyznać, iż w zasadzie okłamał Neila. Szanse na odnalezienie manuskryptów Zimmermana jeszcze nigdy nie były tak nikłe. Wszelkie tropy wywiody go donikąd, poznikały albo pourywały się, pozostawiając Victora z pustymi rękoma.

Teatrológ wstał i podszedł do leciutko przechylonego obrazu. Raz jeszcze przyjrzał mu się uważnie, notując w pamięci każdy szczegół. Czy madame Greene nie wspominała przypadkiem, że Samuel Zimmerman zwykł wyprawiać się w długie wędrówki po okolicy...? Zmarszczył brwi, dotykając spojrzeniem kolejnych detali, smakując fakturę malowidła. W końcu uznał, że wystarczy, i zamknął oczy, starając się odtworzyć obraz w pamięci, namalować go myślami na wewnętrznej stronie powiek. Drzewo stało bliżej czy dalej lewej krawędzi obrazu? Jaskinię pokrywał śnieg czy też skały były nagie? Słońce niknęło za horyzontem w połowie czy w trzeciej jego długości? Otworzył oczy, porównując obie wersje – tę realną i tę zapamiętaną. Dwukrotnie powtórzył tę czynność, aż w końcu uznał, że zapamiętał wszystkie szczegóły.

Nie był to wyraźny trop. Mało tego – to w ogóle nie był trop. To było wariackie przeczucie, błysk intuicji, chwytanie się brzytwy przez tonącego. Victor doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale przecież coś zrobić musiał. Bezczynność była absolutnie obca jego naturze. Każde działanie, choćby i bezsensowne, w jakiś sposób porusza tajemne mechanizmy wszechświata. Victor doskonale wiedział, co na taką filozofię życiową powiedziałby Neil. Kiedy jednak opuścił gmach teatru, w głowie układał plany.

\*\*\*

Bowen Cirque uważnie wysłuchał teatrologa, zastanawiał się przez chwilę, po czym pogładził się po brodzie i pokiwał głową.

– Owszem, znam opisywane przez panicza miejsce.

– Gdyby nie psująca się z dnia na dzień pogoda, poprosiłbym pana o zaprowadzenie mnie tam – wymamrotał Victor, rzucając okiem za okno. Gęsto padający śnieg właściwie uniemożliwiał dostrzeżenie czegokolwiek.

– To nie jest daleko – odparł pan Cirque. – Jeśli trafi się spokojniejsze południe, nie widzę problemu, by wybrać się na pieszą wycieczkę. I tak powoli głupieję od tego ciągłego siedzenia nad stertami papierów i załatwiania umów. Jestem myśliwym, nie urzędnikiem!

– Myślałem, że przyjął pan stanowisko przewodniczącego gildii z własnej woli.

– Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem – rzekł myśliwy. – Ostatecznie człowiek się starzeje. Dla panicza musi się to wydawać czymś niepojętym, ale kiedy ma się już rodzinę, inaczej patrzy się na pewne sprawy. Myślistwo to hazardowny fach. Zabłąkana kula, wilczyca broniąca młodych, bodaj głupie skrócenie kostki czy stracenie orientacji w gęstym lesie... Gdy zaczyna zapadać zmrok, to właściwie wyrok śmierci. Zaczyna się myśleć o ludziach, którzy zostają w domu i czekają w strachu, że już się nie wróci. Rozumie panicz?

– Rozumiem. – Teatrológ kiwnął głową.

Spokojniejsze południe trafiło się kilka dni później, kiedy przygotowania do premiery wchodziły w fazę ostateczną. Victor, niczym generał dowodzący wiernym do ostatniej kropli krwi oddziałem, wydawał polecenia, wprowadzał ostateczne poprawki i z pełną surowością egzaminował aktorów ze znajomości scenariusza.

– Wzywał mnie pan? – zapytał Patrick, podchodząc do teatrologa w chwili, gdy zajmował się on dokładnym instruowaniem odpowiedzialnej za dekoracje ekipy.

Victor odwrócił się do niego i uśmiechnął.

Patrick pojawił się w teatrze nieoczekiwane i został jego duchem. Nie do końca dobrym – Victor kilkakrotnie musiał łagodzić złośliwości pomiędzy nim a obsadą – ale duchem nieocenionym i bardzo pomocnym. Kiedy Victor powrócił z Bordii, chłopiec na powrót najął się u niego, tym razem jednak jego kompetencje nie ograniczały się do obowiązków chłopca na posyłki. Odremontowany teatr okazał się pełen zakamarków, schowków i skrytek, które bardzo szybko zapełniły się okruciami scenicznego życia – fragmentami kostiumów, zapodzianymi kopiami scenariusza, pełnymi rekwizytów pudłami, manekinami i innymi artefaktami o najprzeróżniejszym przeznaczeniu i genezie. Pomny ostrzeżeń braci Alfieri, teatrolog uzbroił drzwi piwnicy w solidną kłódkę, do której tylko on dzierżył klucze. Dla Patricka ten szybko wypełniający się chaosem labirynt stał się naturalnym środowiskiem. Niejednokrotnie okazywał się jedyną osobą, która wiedziała, gdzie co leży, przez co jego obecność w gmachu stała się po pewnym czasie nieodzowna. Przy okazji teatrolog rozwikłał zagadkę Patrickowej chęci uczestniczenia w życiu teatru. Nie była to – co z pewnym rozczarowaniem uświadomił sobie Victor – fascynacja sztuką. Powodem była Julia.

Dopiero po jakimś czasie dostrzegł i zrozumiał tę grę spłoszonych spojrzeń, półuśmiechów i rumieńców, jaka toczyła się pomiędzy nimi. Teatr, pomyślał z mieszaniną zadumy i zadowolenia. Teatr to miejsce magii, której nawet Biała Królowa nie jest w stanie stłumić. Magii tak starej i powszechnej, że nie jest nawet magią.

– Dyrektorze... – Patrick wyrwał go z zadumy.

– Tak – odparł Victor. – Tak, dobrze, że jesteś, mój drogi chłopcze. Trzeba doręczyć zaproszenia na premierowy występ.

– Zaproszenia? – zdziwił się chłopiec. – Myślałem, że ludzie będą kupować bilety.

– Na ogół tak. Są jednak ludzie, których zaprosić wypada. Są też ludzie, których czuję się w obowiązku zaprosić, ponieważ bez nich nigdy nie udałoby nam się doprowadzić całego przedsięwzięcia do końca. I jest też jedna osoba, której zaproszenie muszę dostarczyć osobiście. Proszę, Patricku – oto i karty imienne. Jestem pewien, że bez trudności dostarczysz je wszystkim zainteresowanym. Tę jedną natomiast... – Victor przyjrzał się dzierżonemu w drugiej ręce eleganckiemu zaproszeniu – ...tą jedną zajmę się sam.

\*\*\*

Wnętrze gabinetu lorda Rautenstraucha nie zmieniło się ani trochę od czasu, gdy Victor gościł w nim po raz pierwszy. Wciąż ten sam surowy wystrój, którego tym razem nie można było usprawiedliwić niedługim czasem, jaki minął od wprowadzenia się do dworu.

Arystokrata nie zaproponował Victorowi krzesła, dlatego teatrolog zmuszony był stać przed biurkiem lorda, niczym urzędnik, któremu przełożony ma zamiar udzielić surowej reprymendy. Rautenstrauch długo i metodycznie studiował treść własnoręcznie doręczonego zaproszenia. Caillou poczuł się odrobinę niepewnie.

– A jednak – powiedział arystokrata, unosząc wzrok ponad krawędź zaproszenia. Victor wytrzymał jego spojrzenie, nie odwrócił głowy. – Mimo moich wyraźnych obiekcji postanowił pan wystawić w swoim teatrze sztukę Zimmermana.

Formalnie rzecz biorąc, arystokraci nie piastowali realnej władzy na ziemiach Zimy. Byli zaledwie przedstawicielami starego porządku. Po przybyciu Białej Królowej ich władza zmalała i rozproszyła się. Chociaż wciąż dysponowali wielkim autorytetem i niekiedy potężnymi majątkami, władze miejskie nie miały obowiązku przyjmować od nich rozkazów. Mimo wszystko gdyby Rautenstrauch uparł się, by zapobiec wystawieniu sztuki, najprawdopodobniej byłby w stanie tego dokonać. Victor nie mógł oprzeć się wrażeniu, że arystokrata wcale nie ma zamiaru tego robić. W jakim więc celu cała ta szarada?

– Wiele się o panu mówi, Caillou – oznajmił szlachcic, odkładając zaproszenie. – Kontynuator życiowego dzieła Samuela Zimmermana. Człowiek pełen zapału. Szybko pan zdobył serca mieszkańców tutejszego miasteczka.

– O panu też można usłyszeć to i owo – oznajmił teatrolog, po czym ugryźł się w język. Było już jednak za późno. Lord spojrział na niego z zaciekawieniem.

– No proszę – rzekł, splatając ramiona na piersi i odchylając się lekko. – Posłuchajmy więc.

– Sopel – powiedział Victor, przyjmując ryzykowną, ale mogącą dać nadspodziewane rezultaty, strategię absolutnej szczerości. – Jesteś, panie, soplem lodu tkwiącym w swoim dworze, budującym wokół siebie nieprzepuszczalny mur milczenia i tajemnic. Ludzie się ciebie boją, ponieważ cię nie znają. Choć nie, strach to nazbyt wielkie słowo. Obawa – tak, oto właściwe określenie. Niepokój związany z niewiadomą. Może odrobina niechęci, bo tak ostentacyjna izolacja może być odebrana jako oznaka pogardy. – Zamilkł, ciekaw reakcji, jaką wzbudził swoją wypowiedzią.

Arystokrata nie wyrzekł ani jednego słowa, mierzył tylko Victora tym swoim długim, sondującym spojrzeniem. Teatrologowi zaczynało to już działać na nerwy.

– Dziękuję, panie Caillou – powiedział Rautenstrauch. Rozmowa była zakończona, choć zrozumienie tego zabrało Victorowi dobrą chwilę. Pokłonił się pospiesznie, po czym wyszedł z gabinetu, odprowadzony przez lokaja, profesjonalnie enigmatycznego Albrechta Łazariewa.

– Jeśli uraziłem lorda... – zaczął, ale przerwał, widząc uśmiech Łazariewa.

– Mój mocodawca bardzo ceni sobie szczerość – odparł spokojnie. – Gdyby próbował paniczki kłamać, kręcić, przeinaczać, łasić się, o tak, wtedy mógłby się narazić na jego gniew.

Sopel, powtórzył w myślach Victor, kierując się w stronę wyjścia. Królowa dotknęła jego serca. Czy je zmroziła do cna? Teatrologa drażnił fakt, że do tej pory nie udało mu się przejrzeć tajemniczego arystokraty – wszak szczycił się swoją niebywałą umiejętnością wejrzenia w ludzkie serca. Czy zatem w tym przypadku nie było w co zaglądać? Nie wiedział. Zapatrzył się na prószyący śnieg, jakby oczekując, że odpowiedź spadnie mu z nieba, tańcząc pomiędzy białymi płatkami.

\*\*\*

– Już niedaleko – oznajmił Bowen rześkim głosem, rozglądając się dokoła.

Pan Cirque narzucił bardzo szybkie tempo marszu, co sprawiło, że Victor z trudem dotrzymywał mu kroku. Z niezadowolaniem stwierdził, że dłuższy okres obracania się luksusach negatywnie odbił się na jego kondycji.

– Wszystko w porządku, paniczu? – zapytał pan Cirque.

Victor wziął głębszy oddech i pokiwał głową. Ciężkie buty, jakie zapobiegliwie wzuł na nogi przed wyruszeniem na tę eskapadę, chroniły go przed zimnem, jednak zużyty już nieco płaszcz nie zapewniał dostatecznej ochrony. Victor obiecał sobie, że zaraz po powrocie do miasteczka wyrzuci ów zużyty staroć i zacznie nosić szeleszczący nowością, nieprzepuszczający krzty zimna płaszcz sporządzony dlań przez Gilberta.

– Ray ciągle o panu mówi – powiedział Bowen.

– Mam nadzieję, że dobrze.

– Chciałby wyjechać do stolicy. Oczywiście po zakończeniu nauki. Mówi o studiach na Akademii.

– A pan wolałby, aby został w Vadeline i przejął rodzinny interes? – domyślił się Victor.

Bowen zmieszał się nieco.

– Nie chciałbym stawać na drodze jego marzeniom – odparł. – Widzi panicz, mój ojciec również sprzeciwiał się temu, bym został myśliwym. Chciał, bym przejął jego sklep, handlował. Gdyby dożył dnia dzisiejszego, byłby pewnie usatysfakcjonowany, moje obecne obowiązki bowiem w zasadzie polegają już tylko na rachowaniu i obrotem towarami. – Tu pan Cirque uśmiechnął się krzywo.

– Jakkolwiek banalnie by to nie zabrzmiało, młodzi ludzie są ciekawi świata – powiedział Victor.

– Idę o zakład, że panicz był dokładnie taki sam w jego wieku.

– Nie, ja... – przerwał Victor i pokręcił głową ze smutnym uśmiechem na ustach. – Świat mało mnie obchodził. Ludzie też. We wczesnej młodości nie skupiałem się na niczym, co sięgało dalej niż czubek mojego nosa.

– Co zatem zmieniło pańskie nastawienie? – zapytał zaintrygowany Bowen.

– Dorosłem. – Victor przesadnie dziarskim uśmiechem dał do zrozumienia panu Cirque, że jest to wykrętna odpowiedź i że wolałby nie rozwijać tego tematu.

Pan Cirque zrozumiał to. Pokiwał głową i zamilkł, nie pytając już o nic więcej.

– Jesteśmy – powiedział po kilku chwilach. Wskazał na niewielki pagórek przysypany śniegiem.

– To ta pieczara. Za moich czasów dzieci z Vadeline przychodziły się tu bawić. Aż do czasu, gdy jeden chłopiec pośliznął się na kamieniach i złamał nogę. Dorosli musieli go wyciągać przez pół dnia, a złamanie było naprawdę fatalne. Źle się zrosło, przez co chłopiec utykał już do końca życia. Od tego czasu nikt tu już nie przychodzi.

Victor pochylił się nad jamą i zajrzał do środka.

– Nic nie widać – oznajmił, przyklękając. Echo zniekształciło jego głos. – Jak głęboka jest ta jaskinia?

– Dostyc głęboka. Myślę, że by się panicz zmieścił.

Victor uśmiechnął się.

– Tak pan myśli? – Uniósł głowę. – No cóż, przekonajmy się.

Przełożył nogę przez krawędź jamy.

– Co panicz wyprawia? – zawołał Bowen.

– Zejdę na dół i sprawdzę, co tam jest.

– Ale... po co?

– Nie po to szliśmy taki kawał drogi, by teraaaaa -AAAA...!

W jednej chwili sylwetka Victora zniknęła w ciemnościach. Bowen rzucił się ku krawędzi jaskini. Po chwili usłyszał głuchy łomot.

– Paniczu! – krzyknął z przestrachem.

– Nic mi nie jest, nic mi nie... Uch, ależ tu ciemno! – dobiegło z mroku. – Zaraz, gdzieś tu miałem krzesiwo... Niech to mróz, musiało mi wypaść z kieszeni podczas upadku!

– To było nieodpowiedzialne – burknął Bowen. – Mógł panicz sobie zrobić krzywdę.

– Do odważnych świat należy, a kto nie ryzykuje, ten traci – odparł sentencjonalnie Victor. Echo zniekształcało jego słowa. – Poza tym, jak to głosi inne stare powiedzenie, los ukochał sobie szaleńców i ludzi sztuki.

– To by znaczyło, że jest panicz pod podwójną protekcją – mruknął pan Cirque pod nosem.

– Znalazłem krzesiwo! – zawołał po chwili tryumfalnie teatrolog. – Proszę się nigdzie stąd nie ruszać, panie Cirque, rozejrzę się krztynkę...

Bowen westchnął.

– Czego panicz właściwie szuka? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem, ale jestem przekonany, że rozpoznam to, gdy tylko to ujrzę. Aha! – zakrzyknął z satysfakcją. – Jest tu coś napisane!

– Naprawdę? – zdziwił się Bowen. Na powrót zbliżył się do wylotu jaskini. Wąty płomień victorowego krzesiwa rozpraszał nieco panującą wewnątrz ciemność.

– Widzę tu ciąg cyfr wyrytych w skalnej ścianie – oznajmił teatrolog. – Ktoś niechybnie włożył wiele pracy w utrwalenie tych kilkunastu znaków. Zaraz... to chyba data. Szósty miesiąc, dzień jedenasty. Rok... Nie mogę odczytać, cyfry są zbyt zatarte, ale... Ach, już widzę. To data sprzed dwudziestu lat. I kilka liter poniżej...

– Jakaś zakochana młoda para wyryła swoje inicjały i datę ważnego dla nich dnia – podsunął Bowen.

– Błyskotliwa dedukcja, panie Cirque – powiedział Victor, gramoląc się na zewnątrz. mężczyzna podał mu rękę i pomógł wydostać się z jaskini. – Mam jednak uzasadnione podstawy, by twierdzić, iż za tym enigmatycznym kodem kryje się coś więcej.

– A można wiedzieć, na czym panicz opiera swoją teorię? – zaciekał się Bowen.

– Można. – Victor poprawił cylinder i otrzepał płaszcz ze śniegu i grudek ziemi. – Znajdują się tam inicjały Samuela Zimmermana.



## Rozdział X

### Premiera

*Cisza przed burzą – Głos ze snu – Niespodziewane przybycie – Przedstawienie czas zacząć – Mroźna  
szczerłość – Łzy w pustym holu – Pani Johansen*

Wszystko było już gotowe.

Po wielu tygodniach wytężonej pracy, niezliczonych próbach, załatwianiu spraw związanych z organizacją dekoracji, kostiumów, biletów oraz bankietu zorganizowanego po premierowym spektaklu (dzięki Zimie za pani Cirque i jej nadnaturalne talenty organizacyjne!) wszystko było już gotowe. Na dzień przed premierą, po wydaniu ostatnich rozporządzeń, dwukrotnym sprawdzeniu każdego detalu, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wyczerpany Victor padł na łóżko, ledwie zrzuciwszy ubranie.

I jak to zwykle w podobnych sytuacjach, gdy ciało jest zbyt zmęczone, by spać, umysł w najlepsze pracował na pełnych obrotach. Victor przypomniał sobie ciąg cyfr, jakie odnalazł w skalnej jamie nieopodal Vadeline. Znał je już na pamięć i obracał w myślach na wszelkie możliwe sposoby. Tego, że inicjały S.Z. należą do Samuela Zimmermana, Victor nie kwestionował ani przez moment, cóż jednak oznaczały litery A.P.? Skojarzenie z główną bohaterką *Kto zabił Amandę P.?* narzucało się samo, ale teatrolog nie widział w tym żadnego sensu. Co oczywiście nie oznaczało, że tego sensu nie było – ścieżki umysłu Zimmermana były kręte i zawiłe, o czym Victor przekonywał się wiele razy. I te cyfry... Z całą pewnością nie oznaczały daty powstania najsłynniejszej sztuki mistrza. Co zatem?

I tak, zmagając się z nową zagadką, Victor powoli odpływał w objęcia snu.

*Śni mu się Samuel Zimmerman.*

*Dramaturg stoi na scenie teatru. Jego zmierzwiona broda i nieporządne odzienie narzucają skojarzenia z wilkiem morskim, korsarzem stojącym na pokładzie swojego okrętu i wyglądającym zblizającego się sztormu. Zimmerman przygląda się wyremontowanemu wnętrzu z aprobatą. Naraz dostrzega siedzącego w pierwszym rzędzie Victora. Zamaszystym gestem przywołuje go do siebie. Teatrolog rozgląda się niepewnie wokół siebie i dopiero w tej chwili orientuje się, iż gmach jest pusty. Victor i Samuel są jedynymi osobami znajdującymi się w środku.*

*Victor niepewnie podchodzi do Zimmermana. Na usta młodego teatrologa cisną się setki pytań, nie wie jednak, od którego zacząć. W dodatku trema wiąże mu słowa w gardle.*

*Samuel splota przedramiona na klatce piersiowej.*

*– Jeszcze się nie domyśliłeś, prawda? – pyta Victora. – Nie znasz odpowiedzi na swoje pytanie, prawda?*

*Pokonując nieśmiałość, teatrolog kręci przecząco głową.*

*– To tak naprawdę bardzo proste. – Zimmerman uśmiecha się pod wąsem. Robi parę kroków w stronę kurtyny, po czym zatrzymuje się gwałtownie. Na jego twarzy pojawia się wyraz lekkiej irytacji. – Ta deska!*

*– Co takiego? – Victor podchodzi do dramaturga, który unosi lewą stopę, lawirując na prawej.*

– Skrzypi. Nie słyszysz? – Samuel zakotywał się lekko i istotnie, spod jego buta wydobył się zgrzytliwy odgłos. – Skrzypiąca deska? Na scenie mojego teatru? Scena winna być stabilna, by nic nie rozpraszało aktorów i widzów!

– Prze-przepraszam – bąknął Victor.

– Wyobraź sobie, że wśród absolutnej ciszy, w momencie największego napięcia i natężenia emocjonalnego, tuż przed finałem jakiś aktor myli krok i nagle ciszę przesywa to. – Samuel podskoczył na jednej nodze, a deska pod jego stopą jęknęła cicho. – Całe napięcie mróz strzela!

– Naprawię to – zapewnił żarliwie teatrolog. – Powiedz mi tylko, mistrzu, jak pokonać Białą Królową. Wiem, że znasz sposób.

– Najpierw zrób coś z tą sceną – oznajmił Zimmerman, wciąż krytycznie przestępując z nogi na nogę. – W przeciwnym razie duch mój będzie cię prześladował aż po wsze czasy.

– Obiecuję. – Victor pokiwał głową.

– Doskonale. – Dramaturg uśmiechnął się z satysfakcją. – Sztuka jest najważniejsza, młody człowieku. Zajmij się tą sprawą. O mniej ważnych możemy porozmawiać, kiedy indziej.

\*\*\*

Ranek był gorączkowy. Była to gorączkowość doskonale znana wszystkim ludziom teatru, gorączkowość wypełniona tą upiorną beczynnością w oczekiwaniu na występ. Victor usiłował czytać, nie miał jednak do tego głowy. Aktorzy zjawili się w budynku na kilka godzin przed wyznaczonym czasem, chcąc raz jeszcze przeprowadzić próbę. Ku ich zdumieniu dyrektor stanowczo się temu przeciwował.

– To przynosi pecha – wyjaśnił. – Znacie swoje role i potrafcie je należycie odegrać, wiem o tym bardzo dobrze. Madame Greene o to zadbała. Nie ma już miejsca na wątpliwości.

Victor opuścił swój gabinet, minął kulisy, po czym wyszedł na scenę. Rozejrzał się, omiatając spojrzeniem długie rzędy siedzeń, niknące w półmroku ściany. Czuł się jak żołnierz, obserwujący pole bitwy, na które już lada moment wkroczy wraża armia. Naraz zmrużył oczy i coś sobie przypomniał. Przeszedł kilka kroków i podskoczył na jednej nodze. Nic się nie wydarzyło. Zmarszczył czoło, przeszedł kilka kolejnych i powtórzył tę czynność. Znow nic. Zrezygnowany westchnął, po czym ruszył w stronę kulis. W tym samym momencie pod jego nogą zabrzmiał delikatny zgrzyt obłuzowanej deski. Teatrolog znieruchomiał gwałtownie. Ostrożnie uniośł stopę, po czym opuścił ją, Deska skrzypnęła, niezbyt głośno wprawdzie, ale słyszalnie.

Westchnął cicho, uśmiechnął się pod nosem, po czym przeszedł za kulisy, zwabiony niespodziewanym rozgardiaszem.

Okazało się, że Emilia wpadła w histerię. Zalana łzami oświadczyła, że za nic w świecie nie wyjdzie na scenę, po czym uciekła w najciemniejszy kąt garderoby, gdzie cicho lkała i wrzaskiem reagowała na jakiegokolwiek próby wsparcia. Sytuację uratowała niezastąpiona madame Greene, która podeszła do dziewczyny, stanowczym, lecz delikatnym ruchem ujęła ją pod ramię i wyprowadziła do garderoby. Kilka obrotów klepsydry później obie wróciły, a na twarzy Emilii malował się wyraz zaciętej determinacji. Victor nigdy nie dowiedział się, co madame powiedziała młodej aktorce, ale cokolwiek to było, najwyraźniej podziałało, ponieważ jedyną oznaką chwili słabości dziewczyny były lekko zaczerwienione oczy.

– W porządku, zbliżcie się – polecił Victor swoim aktorom. Otoczyli go półokręgiem. – Powiem to teraz, ponieważ później z pewnością zabraknie czasu. Uwierzcie mi, za kulisami nigdy nie ma dosyć czasu.

Madame Greene uśmiechnęła się do siebie, po czym pokiwała głową.

– Za niedługo wyjdziecie na scenę – ciągnął dyrektor. – Najgorsze, co może się wam przytrafić, to strach przed publicznością. Znam obezwładniającą siłę tremy i wiem, że można ją powstrzymać. Żeby tego dokonać, musicie pamiętać o jednej, bardzo ważnej rzeczy. Kiedy aktor wychodzi na scenę, zyskuje władzę nad publicznością. Może ją rozbawić, zadziwić, rozwścieczyć i wprawić w osłupienie. Na kilka chwil zawładnie sercami ludzi, którzy znajdują się po drugiej stronie kurtyny. To magia tak stara, że przestała być uznawana za magię. Magia sceny. Magia teatru. Magia opowieści. Kiedy kurtyna pójdzie w górę, zaczarujecie widzów, zawładniecie nimi. Nie odwrotnie. Pamiętajcie o tym i pamiętajcie, czego nauczyłem was pospołu z madame Greene, a odniesiemy sukces.

\*\*\*

Z wysokości swojego dyrektorskiego gabinetu Victor przyglądał się przez okno wchodzącym do budynku teatru ludziom. Nadchodzili pojedynczo bądź parami, jakby zdążając gdzieś indziej, teatr zaś chwycił ich i przyciągał jakąś tajemniczą siłą. Z upływem kolejnych chwil widzów było coraz więcej, łączyli się w coraz liczniejsze grupki, wąskim strumieniem wlewając się przez skrzypiące drzwi budynku do jego środka. Victor uśmiechnął się. I naraz zamarł, gdy dostrzegł, że nieopodal zatrzymała się dorożka ze szlacheckim godłem wymalowanym na burcie. Natychmiast porwał z biurka laskę – psująca się pogoda obwieszczała swe rychłe nadejście, mając za herolda Victorowe kolano – i pognął schodami w dół. W połowie drogi niemal wpadł na Julię. Dziewczyna miała na sobie swój kostium – przepiękną suknię, dzieło nieocenionego monsieur Gilberta.

– Dyrektorze! – zawołała, z trudem łapiąc oddech. – Lord Rautenstrauch...

– ...zaszczycił nas dzisiaj swoją obecnością – dokończył za nią Victor. – Wiem to. Z okna swojego gabinetu widziałem, jak nadjeżdża jego powóz. Niczym się nie przejmuj, moja droga. Zajmę się tym. Idź na kulisy i dokończ przygotowania do występu.

Powiedziawszy to, ruszył holem ku wejściu. Przeciskając się przez gęstniejący tłum przybyłych, dotarł do drzwi wejściowych w momencie, w którym przeszedł przez nie arystokrata.

Lord Rautenstrauch, dostrzegłszy Victora, skinął uprzejmie głową. Ubrany był w wyjściowy frak i kosztowny płaszcz, na którym dogorywały topniejące płatki śniegu. Na jego ramieniu wspierała się, ubrana w jasnokremową suknię, lady Nina.

– Panie – powiedział teatrolog, kłaniając się uprzejmie. Arystokrata nie wydawał się wrogo usposobiony, choć jego przybycie i tak wzbudziło pewne poruszenie wśród widzów. Większość z nich widziała Rautenstraucha po raz pierwszy. Ów tajemniczy szlachcic mieszkający w dworze na peryferiach miasta... Wieść rozniosła się szeptem po zgromadzonych i nagle wokół arystokraty zrobiło się jakby nieco więcej wolnej przestrzeni.

Victor przywołał na twarz swój zwyczajowy uśmiech.

– Cieszę się, że mimo wszystko zdecydowałaś się, panie, zaszczycić nas dzisiaj swoją obecnością.

Lord Rautenstrauch odwzajemnił jego uśmiech. Victor starał się dojrzeć za tym grymasem kpiny, złośliwości czy drapieżną wrogość. Bezskutecznie.

– Przyznam, że kombinacja nudy i ciekawości przewyciężyła moją początkową niechęć – odparł. – Ostatecznie, jeśli istotnie sztuki Samuela Zimermanna mają w sobie jakiś potencjał rewolucyjny, wolałbym przekonać się o tym osobiście, by jak najprędzej rozkazać władzom pojmanie panicza i postawienie go w stan oskarżenia. To był żart – dodał prędko, widząc, że dyrektor kamienieje.

Victor odchrząknął nerwowo i by ukryć zmieszanie, zwrócił się ku towarzyszącej arystokracie młodej damie. Miała duże, szarzielone oczy. Wydawała się nieco przelękłona sytuacją, choć w jej twarzy można było dojrzeć też fascynację i zaciekawienie.

– Milady. – Skłonił się raz jeszcze, tym razem bezpośrednio w jej kierunku. – Nie zostaliśmy sobie jeszcze przedstawieni. Jestem Victor Caillou, dyrektor tutejszego teatru.

Nie spuszczał oczu z lady Niny, nawet w momencie gdy schylił się, by ucałować wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

Z obowiązku dalszej konwersacji wybawił go Alain, który przepchnął się przez tłum i poprosił Victora o dołączenie do reszty grupy za kulisami. Teatrológ skwapliwie wykorzystał tę okazję, uprzejmie przeprosił arystokratę i czym prędzej pognął za Alainem.

– Wszystko już gotowe – obwieściła madame Greene na jego widok. – Możemy zaczynać w każdej chwili.

– Widzowie wchodzą właśnie do auli – powiedział Victor, wyglądając na korytarz przez uchylone drzwi. – Dajmy im kilka chwil.

Przebiegł wzrokiem po swoich aktorach. Filip skrywał treść pod płaszczykiem przesadnej pewności siebie. Emilia i Julia szeptały o czymś, co i rusz wybuchając nerwowym chichotem. Igor nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w drzwi – zdawało się, że nic nie jest w stanie zmącić jego spokoju. Alain przymknął oczy i oddychał głęboko.

– Już czas – zarządziła w pewnym momencie madame Greene.

Dyrektor kiwnął głową. Ujął w dłoń laskę, na głowę nasadził cylinder i wyszedł na scenę. Przez chwilę wpatrywał się w kurtynę, która odgradzała go od publiczności. To ta stara kurtyna, pomyślał nagle. Ten sam gruby i ciężki kawał materiału wisiał nad sceną za czasów Samuela Zimmermana. Połatany, wypłowiały aksamit, za którym skrywa się nowy, nieznany widzom świat. Świat, który istnieje zaledwie moment, między pierwszymi a ostatnimi oklaskami.

Dotknął kurtyny. Zafalowała pod naporem jego dłoni. Delikatnie rozchylił jej poły, po czym postąpił trzy kroki do przodu, z półmroku do światła.

Widzowie, dotychczas szeleszczący szeptliwymi pomrukami, zamilkli i spojrzenie dziesiątek par oczu spoczęło na Victorze. Wielogłowy stwór zwany publicznością skupił swą zbiorową uwagę na młodym człowieku w czarnym fraku, który pojawił się na scenie.

Victor delikatnie obrócił głowę, od lewa do prawa, przyglądając się widzom i wyławiając z półmroku znajome twarze. Pani Cirque z mężem i synem. Hubert Mancini, tak dziwnie wyglądający w eleganckim odzieniu. Bibliotekarz Emil Decroux. Fernando Gilbert, krawiec o ciętym języku i cynicznym usposobieniu. Morgan Beckett, żywe wcielenie określenia „korpulentny”. Bracia Alfieri, nierozróżnialni z odległości, z której dostrzegł ich Victor. A nade wszystko lord Rautenstrauch z córką, roztaczający wokół siebie niepokojącą aurę tajemnicy.

Victor jeszcze przez moment upajał się tą chwilą niesamowitej ciszy i oczekiwania, po czym postąpił krok naprzód.

– Piękne panie, zacni panowie – zaczął, kłaniając się głęboko. Zrobił efektowną pauzę, po czym kontynuował: – Samuel Zimmerman. Geniusz. Szaleniec. Rewolucjonista. Buntownik. Wielec. Dramaturg. Przyjaciel. Wróg. Nie poznałem żadnego z nich, nad czym głęboko ubolewam. Nie zdążyłem. Lata, które minęły, nieodwracalnie oddzieliły mnie od szansy na osobiste zetknięcie się z genialnym dramaturgiem. Kilka miesięcy temu przybyłem do Vadeline, by to nadrobić. By odetchnąć powietrzem, jakim oddychał Zimmerman, by przejść ulicami miasta, które było jego domem, by wskrzesić teatr wzniesiony siłą jego imaginacji. Wszystko to uczyniłem w jednym tylko celu – by prawdziwie poznać Samuela Zimmermana. Nie tylko

dowiedzieć się czegoś o nim. Poznać go. Bo choć Samuel Zimmerman człowiek nie żyje, to Samuel Zimmerman duch wciąż jest tu z nami. I jeśli ktokolwiek z was, droga publiczności, ma co do tego jakiegokolwiek wątpliwości – rozsiądźcie się wygodnie, popatrzcie i posłuchajcie.

To powiedziawszy, uklonił się i – nagrodzony brawami – zszedł ze sceny. Po drodze dał znak Patrickowi, który silnym szarpnięciem za linę odsłonił kurtynę.

Rozpoczęło się przedstawienie.

\*\*\*

- Na Zimę... Pomyliłem się w ostatniej kwestii, wszyscy to widzieli...
- Uspokój się, nikt nie zwrócił uwagi.
- Gdzie jest moja peruka? Czy ktoś ją widział?
- Nie powiedziałem „Śmierci strzeże granic”, tylko „Smutku strzeże granic”, to była katastrofa.
- Wychodzę w następnej scenie, muszę znaleźć tę perukę!
- Uspokójcie się!
- Ciszej!
- Szybko, podaj mi scenariusz... Mam pustkę w głowie. Julio, powtórzmy to jeszcze, dobrze?
- Nie ma czasu. Mam jeszcze tę scenę z Tristanem i wspomnienie Briana.
- Dobrze. Skupmy się teraz...
- Nie wystawiaj głowy za kurtynę!
- Ale muszę się dowiedzieć, ile jeszcze potrwa ta scena.
- Zaczekaj, ja zobaczę...
- Nie pchajcie się tak.
- W porządku, wychodźcie.
- Ależ! Kiedy ma miłość w końcu mnie opuści...
- Przestań zgrywać wariata. Tego nie ma w scenariuszu.
- Jeszcze raz. Kiedy właściwie wychodzimy?
  - Teraz będzie scena z Amandą, potem ten długi monolog babci Amandy, potem scena pojedynku...
  - ...pojedynek jest chyba wcześniej.
  - Zaraz, niech no spojrzę... Ach, w istocie. Więc najpierw pojedynek, potem monolog, a potem... daj mi chwilę... potem ostateczne ujawnienie. Wtedy wychodzimy.
  - No dobrze, ale...
  - Nie, zaczekaj... masz rację, pojedynek jest po monologu. Pomieszały mi się strony scenariusza. Zobacz tutaj.
  - Wszystko dobrze?
  - Cicho. Słyszysz?
  - Publiczność się śmieje. To znaczy, że właśnie poszedł ten żart o żabie.
  - Albo Alain położył swoją rolę.
  - Właściwie nigdy nie rozumiałem tego żartu.
  - Och, żeby go zrozumieć, musiałbyś być kobietą.
  - Przecież Zimmerman nią nie był.
  - Ale był geniuszem. A każdy geniusz jest po części kobietą, to chyba logiczne.
  - Gdzie ty w tym widzisz logikę?!
  - Nieważne... Okropnie się denerwuję i dlatego bełkoczę. Nie zwracaj na mnie uwagi.
  - W porządku, musimy się skupić.

- A kto tu nie jest skupiony? Ja jestem skupiony, ty jesteś skupiony, Emilia jest skupiona!
- Nie mogę znaleźć tej zmarzniętej peruki!
- Emilia jest skupiona i nie może znaleźć swojej peruki.
- Młoda damo, nie życzę sobie takich słów w mojej obecności.
- Przepraszam, madame.
- A cóż to...? Które z was, zmarzluchy zatracone, podeptał mi skraj kostiumu!
- Przepraszam, madame.
- Na przyszłość uważaj, młody człowieku.
- Jak sprawy na scenie?
- Miau...
- Niech ktoś zabierze stąd tego kota! Nie pozwólcie mu wyjść za kurtynę!
- Julio, myślałam, że zamknęłaś go w piwnicy.
- Zamknęłam. Musiał się wydostać. Chodź tu, Brian...
- Patrzcie go. Drapie, bestyjka!
- Hsss!
- No już, spokojnie... Weź go, Julio. Ja za chwilę wychodzę na scenę.
- Dobrze... Alain! Nie powinienes się przygotowywać?
- Jestem przygotowany.
- A gdzieżby! Musisz zmienić kabat na zakrwawiony, przecież wychodzisz teraz po pojedynku.
- Ach, prawda! Zaraz, gdzie on jest...?
- To będzie katastrofa, to będzie katastrofa, to będzie katastrofa...
- Ścichnijże! Dobrze nam idzie.
- Poza tym już prawie koniec. Co się może zepsuć przez ten czas?
- Nie wiem... wszystko?
- Ot, czarownik! Ucichnij lepiej, jeśli masz wieszczyć katastrofę. I na Zimę, przydepcz ten scenariusz, coś go właśnie upuścił. Zresztą, nie podnoś, niech leży.
- Słyszycie oklaski?
- Czyli... to już koniec? Udało się?
- A co się miało nie udać?
- Ale numer...
- Chodźcie się uklonić!
- No już, czekają na nas!

\*\*\*

Kiedy opadła kurtyna, publiczność wciąż była w transie. Zakłęcie, które rzucili na nich aktorzy – a była to magia tak stara i tak powszechna, że właściwie nikt jej za magię nie uważał – działało jeszcze przez kilka długich chwil. Victor początkowo źle odebrał tę przedłużającą się ciszę i bliski był paniki. Katastrofa! Nie podobało się!

Pierwszy otrząsnął się lord Rautenstrauch. Uniósł się – krzeselko skrzywnęło, wyrywając z zamyślenia siedzących po sąsiedzku – wyprostował, uniósł dłonie. I zaklaskał. Początkowo dość ociężale, sztywno, formalnie. Można było się w tym dopatrywać wyrafinowanej drwiny, ze swojego miejsca Victor odczytał jednak wyraz jego twarzy.

Podążając za przykładem, pozostali widzowie powoli wstawali i przyłączali się do oklasków. Jeden rząd, drugi, trzeci – już po chwili cała sala wypełniła się odgłosami braw. Aktorzy pojawili się na scenie i pokłonili. Oklaski nasiliły się. W końcu eksplodowały.

Victor uśmiechnął się pod nosem. Mógł wziąć udział w zakładach, które obstawiali co bardziej cyniczni mieszkańcy Vadeline na wieść o tym, że bracia Alfieri wspomagają remont gmachu. Teatr wybuchł – jednak nie w ten sposób, o jaki im chodziło.

\*\*\*

– Wspaniałe przedstawienie, paniczu Victorze.

– Dziękuję.

– Te emocje... Przez chwilę wydawało mi się, że znowu mam siedemnaście lat i jestem na kolejnym spektaklu Samuela Zimmermana.

– Pani Cirque, za pozwoleniem, na dokładnie tyle pani wygląda.

– Och! Teraz to panicz grubo przesadza.

W istocie, Sally Cirque promieniała. To jakby ją odmieniło i ożywiło, przywracając młodzieńczą witalność. To samo tyczyło się pozostałych gości, po spektaklu zaproszonych do foyer, gdzie wymieniali się uwagami na temat obejrzanej sztuki i gratulowali aktorom oraz Victorowi. To było coś niezwykłego – samo przedstawienie, co Victor mógł stwierdzić na podstawie swych dotychczasowych doświadczeń, choć solidne, nie było mistrzowskie. Daleko mu było do artystycznych przedsięwzięć, w które zaangażowany był w stolicy. Trudno zresztą, by było inaczej, skoro brali w nim udział debiutanci. Tym niemniej publiczność była zachwycona. Różniła się tym od znudzonej publiki ze stolicy, która niejedno już widziała i najwspanialsze nawet spektakle kwitowała obojętnością. Tu, na prowincji, dekadentyzm nie zmroził jeszcze serc ludzi. Wciąż otwarci byli na zachwyty i radość, jaką daje obcowanie ze sztuką.

– Paniczu Caillou. – Usłyszał Victor. Drgnął (kieliszek w jego dłoniach zachybotał, ciecz zatańczyła w pucharku) i odwrócił się.

– Panie – pokłonił się lekko. – Ufam, że przedstawienie ci się podobało.

– Nie żałuję, że tu przybyłem.

Odpowiedź wykrętna, ale chyba przyjazna, pomyślał Victor. Uniósł kieliszek do ust, bacznie obserwując arystokratę.

– Wciąż spogląda na mnie panicz z ukosa – zauważył Rautenstrauch. – Wciąż świdruje, sonduje, mierzy, nie spuszcza spojrzenia.

Victor podwoił czujność.

– To normalne – powiedział szybko lord. Wydawał się jakby zasmucony reakcją Victora. Przyłożył otwartą dłoń do klatki piersiowej. – Spotyka mnie to bardzo często. Tak często, że już właściwie przywykłem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Sopel – ciągnął dalej, pozornie zwracając się do samego siebie, z oczami wbitymi w pustkę. – Zamrożony, zastygły w nienaturalnym kształcie, zmrożony do cna, do głębi serca. A przez to inny, obcy, groźny. Nieodwracalnie oderwany od swego człowieczeństwa, odgrodzony grubą taflą lodu, która nie przepuszcza niczego. W żadnym kierunku. Nie mam racji?

– Nie wiem – odparł natychmiast Victor. – A masz, panie?

Naraz Rautenstrauch roześmiał się. Kilka głów odwróciło się z ciekawością, rozglądając się i szukając źródła tej wesołości.

– Boisz się mnie, paniczu Caillou – powiedział. – Ale w strachu reagujesz butą i pewnością siebie. Inaczej niż ludzie, z którymi nawykłem rozmawiać.

– Nauczyłem się obracać strach w coś pozytywnego – wyjaśnił Victor. – Tłumić, omijać. Czasami gasić.

Przypomniał sobie podróż do Bordii, moment ataku sfory Rudej Gabrielle na konwój. Wtedy strach go sparaliżował, odebrał rozum, godność i wolę. Tchórz może nauczyć się walczyć ze swoim strachem, ale nigdy nie przestanie się bać, nigdy nie przestanie być tchórzem. Nigdy.

– Pożyteczna umiejętność – ocenił Rautenstrauch. – Często musi panicz z niej korzystać?

– Zdarza się.

Alain podszedł do trzymającej się na uboczu lady Niny. Zamienił z nią kilka słów. Rozległ się śmiech, pozostali podeszli. Posypały się pytania, żarty. Śmiech zaczął topić lodowaty mur milczenia i młodziutka arystokratka nagle przestała przypominać śniegową rzeźbę. Nie umknęło to uwadze Victora.

– Twoja córka, panie, nie ma zbyt wielu okazji do spotkań z rówieśnikami?

Lord, obserwując dziewczynę, powoli pokiwał głową.

– Większość czasu przesiaduje we dworze. Ma tam wszystko, czego jej potrzeba.

– Jak widać, nie wszystko.

Rautenstrauch odwrócił się gwałtownie w stronę Victora. Coś w jego postawie sprawiło, że nagle zaczął przypominać drapieżne zwierzę.

– Nigdy nie pozwoliłbym, by stała się jej krzywda – oznajmił.

– Ciekawi mnie jedna rzecz – powiedział spokojnie Caillou. – W jaki sposób zmarła twoja małżonka, mój panie?

Drapieżne zwierzę skuliło się i wycofało. Lord Rautenstrauch opuścił głowę.

– Została zaszytowana – powiedział cicho.

Jeden z aktorów – Igor, wysoki i przystojny, o ciemnookim wejrzeniu – porwał Ninę do tańca. Dziewczyna pisnęła i przy wtórze śmiechów oraz oklasków bez oporów dała się poprowadzić na środek sali.

– Wyjdźmy – powiedział Victor.

– Moja córka...

– ...nigdy w swoim życiu nie była bezpieczniejsza niż w tym momencie – zapewnił. – Ręczę za to swoją głową.

Teatrológ poprowadził Rautenstraucha korytarzem. Zatrzymali się dopiero przy dużym oknie, które Victor uchylił, wpuszczając do środka niego mroźnego, orzeźwiającego powietrza. Przez chwilę wsłuchiwał się w milczenie arystokraty.

– Kiedy pierwszy raz wezwałeś mnie, panie, przed swoje oblicze – zaczął, przerywając ciszę – próbowałeś mnie zastraszyć. Nie wiem, czemu miała służyć ta demonstracja siły, ale ja odebrałem ją jako wołanie o ratunek. Przyszedłem spotkać się z namolnym szlachetką, a spotkałem osobę płynącą na krze niewyobrażalnej wręcz samotności.

– Słowo daję, jeśli za chwilę weźmie mnie panicz w ramiona i krzepiąco wyściska, wezwę konstabli i każę rozstrzelać na miejscu.

– Cynizm jest chorobą duszy, mój panie.

– Zapamiętam. Wspaniałe motto, godne umieszczenia na karcie wizytowej.

Ukrywa się, pomyślał Victor. Postawiony przed obliczem prawdy kluczy i unika, chowa się za zasłoną wzgardy i sarkazmu. Po raz kolejny jego wzrok zawędrował w stronę klatki piersiowej arystokraty, gdzie skryte pod jedwabną koszulą tkwiło mroźne piętno Białej Królowej.

Lord Rautenstrauch dostrzegł to i spowaźniał.

– Tak, zgadza się – powiedział. – Jej Wysokość uhonorowała mnie swoim znamieniem. Płotki, które niechybnie panicz słyszał, są prawdą.

Rozpiął cztery górne guziki koszuli i odchylił jej poły. W lewej części jego klatki sercowej, w



miejscu serca, tkwiła lodowa bryła wielkości zaciśniętej pięści. Wyglądała niczym ogromny kamień szlachetny wznający się w ciału. Victor przyglądał się jej z fascynacją. Wyciągnął rękę.

– Czy mogę? – zapytał.

Rautenstrauch pokiwał głową.

Teatrológ koniuszkami palców musnął znamię. Było lodowate, zimna strzała mrozu przeniknęła aż do przedramienia. Szybko cofnął rękę i odruchowo zaczął ją rozcierać. Po chwili przerażające zimno, które przeniknęło go do szpiku kości, zniknęło. Krew na powrót zaczęła pulsować w żyłach.

– Czy to boli? – zapytał.

– Nie. Od czasu... ceremonii... nic mnie nie boli. Niczego nie czuję.

Victor spojrzał mu w oczy.

– Dlaczego? – zapytał po prostu.

– Po śmierci Margaret uznałem, że tak będzie najlepiej. Też wiedziałem o pogłoskach, jakoby zmrozeni dłonią Królowej przestali odczuwać. W owym momencie coś takiego było dla mnie niemalże łaską.

– I podziałało?

Arystokrata uśmiechnął się gorzko.

– Na początku owszem. Wie panicz, kiedy zdałem sobie sprawę, jak wielki gwar panował w mojej duszy? Kiedy ucichł. Wreszcie mogłem funkcjonować bez obezwładniającego uczucia żalu. Tak było prościej. Bezpieczniej.

– Do czasu – powiedział Victor.

– Do czasu – powtórzył Rautenstrauch. – Moje uczucia wciąż we mnie tkwią. Są po prostu odgrrodzone. Mam świadomość ich istnienia, nie mają na mnie jednak żadnego wpływu. Czasami... czasami mi tego brakuje. Widzę, w jaki sposób patrzą na mnie inni. Jak się ode mnie odsuwają. To nie boli, nie budzi przykrości. Już nie. Ale przeszkadza. Utrudnia życie. W sposób, jakiego nie jestem w stanie opisać, a jakiego nie jest panicz w stanie zrozumieć.

– Ten proces jest nieodwracalny?

– Nie wiem – przyznał arystokrata. – Nikt nigdy nie pytał.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Victor, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

– Troszczysz się, panie, o córkę – powiedział w końcu. – Czyż nie jest to najdobitniejszy dowód, że nie wszystkie uczucia zmroziło w tobie dotknięcie Jej Wysokości?

– Ja... – Rautenstrauch spuścił głowę. – Nie wiem. Nie wiem, ile w tym troski, a ile strachu. Chęci ucieczki. Nie wiem, czy przestałem odczuwać, czy tylko mi się tak zdaje. Czy nieodczuwalne uczucia wciąż mają na mnie wpływ, czy to tylko przyzwyczajenia mojego ciała nawykłe do reagowania podług namiętności.

– Panie...

– Mam na imię Andriej. – Wyciągnął dłoń.

– Victor – powiedział Victor, ujmując ją i ściskając.

Naraz lord Rautenstrauch – czy też Andriej – roześmiał się. Sucho, sztucznie, jakby ze wstydem i zażenowaniem.

– Masz coś w sobie, Victorze – rzekł – że ludzie się przed tobą otwierają i ufają bardziej, niżby się tego po sobie spodziewali. Wiesz o tym?

– Wiem. To rodzaj magii, tak stary i powszechny, że nie jest już nawet magią.

– To niebezpieczny talent. W rękach niegodziwego człowieka mógłby doprowadzić do

niewyobrażalnego okrucieństwa. Kiedy zbyt łatwo zdobywasz serca innych ludzi, istnieje ryzyko, że zaczniesz nimi manipulować. Stawiać siebie ponad nich. Sycić się ich uwielbieniem.

Patrząc w mądre, szare oczy Andrieja, Victor przypomniał sobie bardzo podobną rozmowę, jaką przed laty przeprowadził z nim Neil.

– Mam obok siebie ludzi, którzy obiecali mnie zabić, gdybym tylko zaczął się tak zachowywać.

– Doprawdy? Kogóż takiego?

– Moich najlepszych przyjaciół.

Arystokrata uśmiechnął się i tym razem można było uwierzyć, że był to prawdziwy, szczery uśmiech.

Kiedy wrócili do foyer, Nina rozmawiała z aktorami, żywo się z nimi sprzecząc. Nie była to jednak złośliwa kłótnia, tylko żartobliwa sprzeczka, jak pomiędzy przyjaciółmi.

– W porządku, Alainie? – zapytał Victor, podchodząc do chłopca. Alain pokiwał głową.

– Wszyscy są zachwyceni – oświadczył. – Co najmniej dziesięć razy musiałem odpowiadać na pytanie, kiedy zorganizujemy kolejny spektakl.

– Och, mój drogi chłopcze, o to nie musimy się martwić. Po dzisiejszym sukcesie nie ma mowy, byśmy zaprzestali działalności.

– Mam tylko nadzieję, że tym razem sam pan zajmie się reżyserią, dyrektorze. Madame Greene ma nieco zbyt wysokie wymagania.

– W teatrze nie istnieje coś takiego, jak „zbyt wysokie wymagania”, Alainie. Zdobywać szczyty, osiągać niemożliwe, przekraczać granice własnych umiejętności! W tym tkwi sedno.

Po pewnym czasie goście – gratulując, chwając, dziękując, zadając pytania, udzielając rad, przesyłając pozdrowienia – zaczęli się rozchodzić. Każdy chciał zamienić z Victorem choćby tylko kilka słów. Dyrektor, choć pod koniec nieco zachrypnięty, z dłonią zdrętwiałą od ciągłego wymieniania kolejnych uścisków, dzielnie trzymał się do samego końca. W końcu, pożegnawszy ostatnią osobę, uprzejmym uśmiechem dziękując za zapewnienie o przyjściu na kolejny spektakl, wyczerpany opadł na krzesło.

– Idźcie do domu. – Machnął ręką w stronę aktorów. – Posprzątamy tu jutro.

Odchylił głowę do tyłu, za oparcie, po czym westchnął ciężko. Był wyczerpany fizycznie i emocjonalnie. Doświadczył tego wspaniałego stanu, gdy zmęczenie miesza się z satysfakcją z dobrze wykonanego zadania. Podniósł się i pomaszerował na scenę. Rozejrzał się po pustych siedzeniach, jeszcze niedawno wypełnionych do ostatniego.

– Dziękuję – powiedział głośno, budząc echo w pustym pomieszczeniu. Należało to do tradycji. Trzeba podziękować nie tylko widzom, ale też teatrowi.

Kiedy mijał hol, usłyszał ciche łkanie. Zatrzymał się, nasłuchując i odruchowo podrzucając laskę, chwytając ją w pół, by w razie konieczności móc użyć jej w charakterze oręża. Po wygaszeniu wszystkich świateł hol tonął w półmroku, który wszystkie kształty czynił złowieszczyymi.

Kierując się źródłem hałasu dotarł do podnóża schodów. Tam, na trzecim stopniu, siedziała madame Cynthia Greene, pochlipując cicho.

– Madame! – zakrzyknął zdziwiony Victor. – Cóż to? Coś się stało? Ktoś wyrządził pani jakąś przykrość?

– Nie... – Pani Greene bezskutecznie starała się skryć łzy. – Po prostu... ja... po tylu latach... nigdy nie myślałam, że jeszcze... nigdy nie marzyłam... to takie... takie... bo kiedy odszedł Sam i wszystko się skończyło... a teraz panicz... i było tak pięknie...

Teatrológ uśmiechnął się łagodnie. Schylił się, by oprzeć laskę o ścianę, po czym usiadł obok

aktorki i położył jej dłoń na ramieniu. Madame przytuliła się z wdzięcznością.

Victor szczylił się tym, że niemal zawsze potrafił dobrać odpowiednie słowa do każdej sytuacji. Był jednak świadomy, że są sytuacje wykraczające poza słowa, że są sytuacje, kiedy słowa nie są potrzebne.

\*\*\*

Nastał ranek, a wraz z nim kolejny atak śniegu. Wydawało się, że całe Vadeline lada moment dosłownie utonie w oślepiająco białym puchu.

Kobieta, która zbliżyła się do budynku teatru, zdawała się nie zwracać uwagi na pogodę. Ubrana była w gruby, obszuty futerkiem płaszcz, który zapewniał jej dostateczną ochronę przed zimnem. Pod płaszczem piastowała pakunek, szczelnie owinięty w nawoskowany papier. Była już w podeszłym wieku, choć wydawała się nieco młodsza niż madame Greene.

Przekraczając próg teatru, na jej twarzy wykwitł lekki uśmiech, tak jakby skrzywienie drzwi frontowych przywiodło jej na myśl jakieś szczególnie miłe sercu wspomnienie. W holu spotkała wysokiego ciemnowłosego młodzieńca, w którym rozpoznała jednego z aktorów z wczorajszego spektaklu. Zapytała go o drogę do biura dyrektora. Młodzieniec uprzejmie wskazał jej gabinet na piętrze.

– Proszę! – Dobiegło z gabinetu w odpowiedzi na jej pukanie do drzwi.

Kobieta uchyliła je i dostrzegła młodego mężczyznę siedzącego przy biurku. Dyrektor teatru pochłonięty był pracą nad jakimś dokumentem – ze swojego miejsca kobieta dostrzegła długie kolumny cyfr pokrywające kilka leżących w nieładzie kartek. Mężczyzna z pewnością nie należał do osób przykładających wagę do porządku.

– Witam – powiedział, wyraźnie zaskoczony. Nie spodziewał się tej wizyty i nie wiedział, czego po niej oczekiwać.

Kobieta uprzejmie skinęła głową. Planowała tę rozmowę od dłuższego czasu i nie potrafiła odmówić sobie przyjemności zabawienia się kosztem młodego dyrektora teatru.

– Oczekiwał mnie pan – powiedziała. W końcu przypomniała sobie jego nazwisko: Victor Caillou. – Oczekiwał mnie pan, paniczu Caillou – powtórzyła. – Oto więc jestem.

Tak jak przypuszczała, konfuzja na twarzy Victora Caillou sprawiła jej satysfakcję.

– Proszę mi wybaczyć, madame, znany jestem ze swojej dziurawej pamięci, naprawdę nie jestem w stanie przypomnieć sobie pani, pani...?

– Johansen. Proszę nie przeproszać. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Nigdy się nie spotkaliśmy. A jednak to mojego przyjscia oczekiwał panicz od długiego czasu i nim nasza rozmowa dobiegnie końca, sam przyzna mi panicz rację.

Młodzieniec przez chwilę mierzył ją uważnym spojrzeniem. Zdawał się sondować ją, wywnioskować z jej ubioru, postawy i twarzy jak najwięcej informacji o niej. Nie jest głupcem, w duchu odetchnęła z ulgą kobieta. Tego obawiała się najbardziej.

– Proszę zatem usiąść, madame. – Dyrektor uprzejmie wskazał jej krzesło. – Przyznam, że jestem zaintrygowany.

Pani Johansen usiadła i spojrzała na obraz wiszący za plecami dyrektora.

– Pański obraz jest przekrzywiony – zwróciła mu uwagę.

– Cieszę się, że pani to zauważyła. – Uśmiechnął się. – Sporo się natrudziłem, by ustawić go w takiej pozycji.

Nieznajoma odwzajemniła uśmiech.

– Jako jego autorka cieszę się, że go panicz zachował. Nie jestem z niego szczególnie dumna, ale przywołuje dobre wspomnienia.

Victor uniósł brew.

– To pani dzieło?

– Proszę wyjąć go z ram.

Dyrektor zdziwił się nieco, ale spełnił życzenie pani Johansen. Podeszedł do ściany, zdjął z niej obraz, obrócił go i wyjął z ramki, po czym położył na biurku. Kobieta położyła na nim dłoń.

– Przez cały czas wisiał za pańskimi plecami – powiedziała. – Aż dziw, że go panicz przeoczył.

Odwróciła obraz. Na jego tylnej części widniały dwie litery – inicjały.

A.P.

Victor zmarszczył czoło.

– Obawiam się, że nie rozumiem, madame.

Pani Johansen nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. Wiedziała, że jest złośliwa, igrając tak z tym młodzieńcem, ale nie umiała się powstrzymać. Nie po tylu latach oczekiwania. Uznała, że po takim czasie może mieć z tego coś dla siebie.

– Już za chwilę wszystko stanie się jasne – powiedziała. – Widzi panicz, nie od zawsze noszę nazwisko Johansen. Przed ślubem nazywałam się inaczej.

– Jak?

– Peters – powiedziała nieznajoma. – Nazywałam się Amanda Peters, paniczu Caillou. I teraz proszę zaprzeczyć, że nie chciał się panicz ze mną spotkać.

## Rozdział XI

### Amanda

*Na Zimę! – Opowieść o Amandzie Peters – Strach Zimmermana – Odmowa i rozczarowanie – Co Samuel po sobie zostawił – Prawda ukryta między wersami*

– Amanda... – wyszeptał Victor bez tchu. – Amanda Peters. Pani jest Amandą P.! Na Zimę...! Pani Johansen – czy też Amanda Peters – uśmiechnęła się. Wyraźnie spodobał jej się efekt, jaki wywarła na Victorze, który nieomal zerwał się z krzesła, słysząc jej panieńskie nazwisko.

– Ale... jak? – zapytał, pospiesznie zebrawszy myśli. – Amanda P. jest postacią fikcyjną.

– Nie dla Samuela – odparła spokojnie Amanda Peters. – On miał bardzo wyjątkowy stosunek do fikcji i rzeczywistości. Do tego stopnia, że zdecydował się umieścić mnie w swojej najsłynniejszej sztuce. Widzi panicz, byliśmy dla siebie kimś szczególnym. Dawno temu i tylko przez pewien czas, ale fakt pozostaje faktem. Siedzi panicz naprzeciwko jedynej osoby, której Samuel Zimmerman szczerze i bezwarunkowo ufał.

Victor, oszołomiony tymi niespodziewanymi rewelacjami, w napięciu wpatrywał się w Amandę Peters.

– Pani Johansen... – wyjąkał – Amando... Ma pani moją całkowitą uwagę. A proszę mi wierzyć, nie zdarza się to codziennie.

– Och, wiem o tym doskonale. – Ku jego zdumieniu zachichotała niczym podłotek. – Wiedziałam, jak panicz zareaguje, od kiedy tylko usłyszałam, że po Vadeline biega na wpół obłąkany miłośnik twórczości Samuela.

– Więc dlaczego...? – zawołał Victor podniesionym głosem, ale natychmiast się opanował. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym zaczął od nowa, już spokojniej: – Więc dlaczego przychodzi do mnie pani dopiero teraz?

– Nie wiedziałam, jakim panicz jest człowiekiem – odparła. – Jak traktuje twórczość Samuela. Czy kieruje się pan czystą miłością do jego sztuk, czy może... czymś więcej.

– Co pani ma na myśli?

– Dojdziemy do tego. Chce pan usłyszeć moją historię?

– Jak nic innego w świecie – zapewnił gorliwie Victor.

Amanda Peters uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać.

\*\*\*

Nim zacznę, musi panicz zaakceptować jedną rzecz. Nie będzie to historia Samuela Zimmermana. Będzie to moja historia, w której Samuel odegrał ważną, ale bynajmniej nie główną rolę. Z pewnością rozmawiał już panicz z wieloma ludźmi, którzy zetknęli się z nim w różnych punktach życia, a każdy opowiedział o swoim Samuele – takim, jakiego poznał. Nie da się poznać człowieka w całości. Można poznać go tylko na tyle, na ile pozwala nam to własny rozum, wyobraźnia i zmysł obserwacji. I to, w jaki sposób dana osoba pozwoli nam się poznać. Czy zatem jest w ogóle możliwe tak naprawdę pojąć drugą osobę? Sądzę, że nie. Jedyne, co

możemy, to obcować z pewnym wyobrażeniem o kimś. I teraz pańskie wyobrażenie o Amandzie Peters opowie mojemu wyobrażeniu Victora Caillou o swoim wyobrażeniu Samuela Zimmermana.

Wbrew temu, co mogłoby się paniczowi wydawać, w Vadeline większość ludzi nie zna się z imienia. Jesteśmy małym miasteczkiem, owszem. Ale nie aż tak małym. Przez bardzo długi czas znałam Samuela tylko i wyłącznie z widzenia – był jedną z wielu twarzy, które mijalam na ulicy. Twarzą, która i tak zniknęła z miasteczka prędzej, niż byłabym w stanie ją skojarzyć z imieniem i nazwiskiem. Miałam zresztą własne problemy, własne życie, własne sprawy. Pomaganie rodzicom w sklepie, pierwsze malarskie próby – rezultat wisi za pańskimi plecami, jak już mówiłam, nie jestem dumna z tego obrazu, ale mam do niego duży sentyment – próba podjęcia pierwszej pracy. Moje życie było życiem zwyczajnej dziewczyny z małego miasteczka, pełne marzeń umilających monotonię codzienności. Po skończeniu szkoły zatrudniłam się w ratuszu. Mam pewien talent do liczb, więc dość szybko zadomowiłam się na swoim stanowisku pracy, choć w głębi serca wiedziałam, że stać mnie na coś więcej. Że gdzieś tam, za ośnieżonymi pagórkami, czeka na mnie wielki świat do zawojowania. Byłam przecież wyjątkowa – młoda, piękna, pewna siebie, błyskotliwa. Kiedy wspominam dziś tę dziewczynę sprzed wielu lat, trudno mi się z nią utożsamiać. Czy w istocie byłam wtedy tak naiwna, tak niemądra i płytka? Czy to tylko moje wyobrażenie o młodej Amandzie Peters, która umarła wiele lat temu?

Samuela poznałam tak naprawdę w dniu, w którym pierwszy raz przekroczył próg ratusza, tuż po swoim powrocie do Vadeline. Och, trzeba było go wtedy widzieć – pełen werwy młody mężczyzna z rozwianymi włosami, dziarsko przemierzający korytarz. Chciał wybudować teatr – ten budynek, w którym właśnie się znajdujemy – i wydawało się niemożliwe, by cokolwiek mogło stanąć mu na przeszkodzie. Szczęściem, ówczesny mer, pan Quill, w niczym nie przypominał obecnego figuranta Enderby'ego i z entuzjazmem przystał na ten pomysł, udzielając Samuelowi wysokiej dotacji. Chcąc zadbać o to, by pieniądze zostały mądrze wydane, wyznaczył jednego ze swoich urzędników do nadzoru nad projektem. Urzędnik ów – nie przywołam dziś jego nazwiska, w pamięci utkwił mi tylko jego monokl i piskliwy głos – szybko zraził do siebie Samuela, który już po kilku dniach odprawił go, na pożegnanie częstując nieprzystojnymi słowami. Skorzystałam zatem z okazji i na ochotnika zgodziłam się współpracować z młodym przybyszem ze stolicy.

Widzę po minie, że już domyśla się panicz moich motywów. Tak, nie sposób zaprzeczyć, zakochałam się w Samuelu od pierwszego wrażenia, zakochałam się w nim tak, jak tylko może się zakochać młoda dziewczyna z głową pełną marzeń. Samuel reprezentował wszystko, czego skrycie pragnęłam – charyzmę, czar, światowość, kosmopolityczną witalność, tak różną od prowincjonalnej stagnacji, do jakiej przywykłam. Do tamtej pory byłam jak w półśnie, a Samuel Zimmerman był tym, który mnie obudził.

Wie panicz, że budynek teatru został wzniesiony rękami starego Manciniego? Ach tak, wspominał? No cóż, jego ojciec był strasznym pijaczną, ale na swoim fachu znał się jak mało kto. Jako iż Samuel zupełnie nie miał głowy do spraw organizacyjnych, obowiązki nadzorowania pracy, sporządzania kosztorysów i operowania funduszami spadły na mnie. Może to zabrzmieć nieskromnie, ale podoba mi się myśl, że teatr nie zostałby wybudowany, gdyby nie ja.

W owym czasie bardzo się zbliżyłam do Samuela. Kiedy zorientował się, że może mi zaufać w sprawach organizacyjnych i finansowych, zaczął zwracać na mnie uwagę. Byłam cierpliwa, bo do takich ludzi jak on należało mieć żelazną cierpliwość. Przyniosło to skutki – powoli i opornie, ale Samuel zaczął się przede mną otwierać i ufać mi. Znałam wyniosłą i charyzmatyczną maskę, jaką

przywdziewał na potrzeby kontaktów z innymi ludźmi – wyobrażenie Samuela Zimmermana o sobie samym. Bardzo długo dawałam się jej mamici, nie potrafiłam zająrzeć poza tę pozę. Pod pewnymi względami była doskonała. Granie roli życia przychodziło Samuelowi tak naturalnie, że do pewnego stopnia on sam w nią uwierzył. Maskę przyrosła do jego twarzy, wyobrażenie przeniknęło rzeczywistość.

Ale nie do końca. Czasami, gdy wydawało mu się, że nikt go nie widzi, Samuel zamierał. Osobliwie wieczorami i przed świtem – przesiadywał przy oknie, wpatrując się w horyzont z jakąś przedziwną tęsknotą malującą się w oczach. Nie zdarzało się to regularnie. To nie był rytuał ani przyzwyczajenie. Coś go gryzło, jakiś nieokreślony ból mroził mu serce. Nie umiem powiedzieć, jakie demony dręczyły serce Samuela Zimmermana, ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to lęk przed śmiercią. Nie przed własną śmiercią, tylko przed samym procesem odchodzenia, przemijania. Ta desperacja przejawiała się w jego twórczości, w szaleńczym pragnieniu stworzenia czegoś nieulotnego, czegoś, co przetrwa. Może mi panicz wierzyć, poświęcałam Samuelowi więcej myśli, niż ktokolwiek inny na tym świecie, zarówno przed jego śmiercią, jak i po niej.

Nie, proszę się nie przejmować. To... to nie łzy. To tylko wspomnienia. Tylko wspomnienia.

Czy Samuel od początku zdawał sobie sprawę z afektu, jaki do niego żywiłam? Myślę, że tak. A przynajmniej w to właśnie chcę wierzyć. On nie należał do ludzi, którzy zaprzatają sobie głowę uczuciami innych. W moim przypadku było inaczej. Na czym opieram swoje przekonanie? Dowie się panicz już niedługo, gdy moja opowieść dobiegnie końca. W każdym razie, w miarę jak wzrastał teatr, moja zażyłość z Samuelem zaczęła stawać się coraz mocniejsza. Punktem zwrotnym był incydent, jaki rozegrał się pod koniec budowy, gdy Samuel pokłócił się i wdał w bójkę z jednym z robotników. Wywiązała się szarpanina, której skutkiem był upadek z wysokości drugiego piętra budynku. Szczęśliwie skończyło się tylko na kilku niegroźnych złamaniach, ale i tak przez kilka tygodni Samuel był przykuty do łóżka. Choć nie wchodziło to w zakres moich obowiązków, zajęłam się pielęgnowaniem go w tym okresie. Rozpoczął się wtedy okres długich rozmów, mimowolnych wyznań i... powiem tylko tyle, że wciąż rumienię się, wspominając tamte czasy.

Nikt o tym nie wiedział. Choć Samuel nie przejmował się takimi sprawami, wtedy wciąż istniało coś takiego jak reputacja. Choć dziś nienawidzę tego słowa, to od samego urodzenia wzrastałam, słysząc je odmieniane przez wszelkie przypadki. Dziewczynce wolno tyle i tyle, ale nie więcej. Panience wolno jeszcze mniej, bo jest już duża, bo nie uchodzi. Młoda panna może mieć swoje humory, ale musi dbać o to, jak o niej mówiono, by nie ciągnął się za nią ogon pomówień i plotek, który mógłby zniechęcić potencjalnych kandydatów na męża. Moi rodzice byli bardzo stanowczy w tej kwestii. Szczególnie tato, stary żołnierz, który nie potrafił przyjąć od wiadomości, że świat wokół niego się zmienił. To on zaszczepił we mnie anachroniczny wstyd i skromność. I choć Samuel był dla mnie oknem, przez które oglądałam wolność, to ten wstyd, to wdrukowane poczucie przyzwoitości wciąż kazało mi utrzymywać nasz romans w ścisłej tajemnicy. A Samuel to uszanował, choć z reguły nie ustępował nikomu ani niczemu.

Jak już mówiłam, byłam wtedy młoda i naiwna. Widziałam nasz związek jak jeden z tych wspaniałych skrytych romansów opisywanych w starych legendach i wystawianych na teatralnej scenie sztukach. Ukryci przed światem kochankowie, których tylko śmierć jest w stanie rozdzielić. Przez kolejne lata moje życie wyglądało niczym piękny sen. Dnie spędzałam w pracy, wieczory i noce – z Samuelem. Co najdziwniejsze, nasz związek nigdy nie stał się obiektem plotek mieszkańców miasteczka. Może mieliśmy szczęście. Może ukrywaliśmy się tak dobrze, że

ani kropla prawdy nie wypłynęła na powierzchnię. Pragnęłam, by ten piękny sen trwał jak najdłużej. Dlatego odprawiałam kolejnych adoratorów – a nieskromnie przyznam, było ich niemało – czym wprawiałam w gniew rodziców. W końcu tylu pięknych i możliwych kawalerów starało się o moją rękę! Ale żaden z nich nie dorastał do pięt Samuelowi, a przecież zasługiwałam na wszystko, co najlepsze. Byłam próżna tą młodzieńczą butą, która nikomu się nie kłania i z niczym się nie liczy. Nie wypieram się tego. Zapłacałam za to.

Kiedy byłam już pewna mocy swoich uczuć, kiedy przemogłam strach przed konsekwencjami, kiedy zdecydowałam się pojąć Samuela za męża i spędzić przy jego boku resztę życia – on odmówił. Zrobił to po swojemu, kategorycznie i bezdyskusyjnie, nie podając powodów ani nie usprawiedliwiając się. Powiedział „nie” i to był koniec rozmowy. Kochał mnie, wiedziałam o tym. Byłam ważną częścią jego życia. Może nawet najważniejszą. Ale jego „nie” mnie złamało. Było dla mnie jak koniec świata. W gniewie wyrzuciłam z siebie całą gorycz, padły słowa, które paść nie powinny i których zwykle „przepraszam” nie mogło zmasać. Wysłałam ze łzami w oczach, trzaskając drzwiami. Do dziś nie wiem, czy Samuel zdawał sobie sprawę, jak wielką krzywdę mi wtedy wyrządził, jak bardzo mnie zranił. Zerwałam z nim wszelki kontakt. Niedługo później stworzył *Kto zabił Amandę P.?*, a tytuł tej pięknej sztuki brzmiał mi w uszach niczym niewypowiedziana drwina. Wiedziałam, że na swój sposób także cierpi z powodu tego, co między nami zaszło, i ten ból stara się zawrzeć w swojej twórczości. To był jego sposób na radzenie sobie z nieokiełznanymi uczuciami, których się bał i których nie rozumiał. W *Kto zabił Amandę P.?* Samuel uwięził cały swój ból i miłość, jakie czuł do mnie. Uleczył się z cierpienia. Ale w tamtym momencie poczułam się wykorzystana – bo to był także mój ból i moja miłość, które Samuel Zimmerman cynicznie użył jako paliwo zasilające jego talent. Tak na to wtedy patrzyłam. Jak na podwójną zdradę.

W końcu wyjechał, zostawiając teatr i swoich aktorów. Jego natura nie pozwoliła mu zapuścić korzeni nawet w ciepłej i żyznej glebie rodzinnej miejscowości. Może jego wyjazd miał coś wspólnego ze mną. Nie wiem. Chciałabym w to wierzyć. Wyrzuciłam Samuela z mojego serca i przyjął oświadczyzny Doriana Johansena, starszego, lecz cieszącego się dobrą sławą kupca. Był łagodnym i uroczym człowiekiem. Na swój sposób go pokochałam. W jakimś stopniu zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w moim sercu zionie otwarta rana, której on nie jest w stanie uleczyć. Ale przeżyliśmy dobre życie – pełne blasków i cieni, szczęśliwych i nieszczęśliwych chwil. Samuel stał się dla mnie wspomnieniem – silnym i cały czas odczuwalnym, ale jednak tylko wspomnieniem. Codzienne życie pochłonęło mnie bez reszty. Obudziłam się z pięknego snu, w którym byłam kochanką genialnego artysty. Zaczęłam być sobą samą. Uświadomiłam sobie, że to nie Samuel Zimmerman mnie wybrał – to ja wybrałam jego. A kiedy mnie odrzucił, wybrałam siebie. Poczulałam się dumna i spełniona. Wybaczyłam mu, choć wciąż go nie rozumiałam. Z roku na rok myślałam o nim coraz mniej.

Kiedy Dorian umarł, szczerze go opłakiwałam. Zostawił mi majątek, którym rozporządzałam do czasu, aż uznałam, że mam już dosyć pieniędzy, by dożyć spokojnej śmierci. Wcześniej jednak stało się coś niespodziewanego. Samuel powrócił do Vadeline. Nie przypominał już tego młodego, trawionego twórczą gorączką człowieka, dla którego straciłam serce i głowę. Nowy Samuel był cichy, skupiony i bardzo smutny. Kiedy stanął w moich drzwiach, nie poznałam go. Czas zmienił go w niewyobrażalnym stopniu. Nosił długą, gęstą brodę, a zmarszczki wokół jego oczu stanowiły świadectwo trudnego i burzliwego życia. Garbił się, choć niegdyś chodził wyprężony jak struna. Był szeroki w barach, ciało miał ciężkie i zwaliste jak u lodowego niedźwiedzia. Kiedy jednak zobaczyłam jego uśmiech, zrozumiałam, że to wciąż jest mężczyzna,



którego przed laty pokochałam. Tylko starszy, dojrzalszy. Mądrzejszy życiowym doświadczeniem.

Nie był już moim ukochanym. Zrozumiałam to w chwili, gdy zobaczyłam go na progu swojego domu. Dobrze pamiętam ten dzień – był wczesny poranek, zbliżało się lato i ciepłe powietrze budziło do życia roślinność. Ziemia wydawała plony tak szybko i intensywnie, jakby postawiła sobie za punkt honoru wykarmić jej mieszkańców przez resztę roku. Nazywamy nasz świat Zimą, ale przecież nie zawsze na ziemi leży śnieg. Zbyt często o tym zapominamy. Samuel przybył wraz z najsilniejszymi ociepleniami w roku, jakby był heroldem lata. I choć to wciąż był mój Samuel, nie czułam do niego tego, co przed laty wiązało moje serce. Teraz byliśmy... przyjaciółmi, tak to chyba należy określić. Lojalnymi, oddanymi sobie przyjaciółmi, którym przeszłość udzieliła solidnej nauki. Porozmawialiśmy – Samuel nalegał, by udać się do jaskini za miastem, gdzie kilka razy spotykaliśmy się w młodzieńczych latach. Wydrapał w niej nasze inicjały i datę spotkania – to był piękny i pretensjonalny gest, jakich Samuel wiele w swoim życiu wykonał. Już wtedy miałam przeczucie, że widzimy się po raz ostatni. Nasza rozmowa trwała bardzo długo. Rozliczyliśmy się z każdej decyzji i każdego słowa, jakie doprowadziło do naszego rozstania. Rozmawialiśmy o tych niemądrych młodych ludziach, którzy nie potrafili podejmować decyzji ani rozmawiać o ważnych sprawach, dzięki którym znaleźliśmy się w tamtym czasie i w tamtym miejscu. „Amando – powiedział, gdy wyjaśniliśmy sobie wszelkie zaszłości – cieszę się, że starczyło mi odwagi, by odwiedzić cię raz jeszcze, by wytłumaczyć się z moich poczynań, słów i zamierzeń. Nie zostałam z tobą w Vadeline, ponieważ miałem marzenie. Marzenie, które stało się obsesją, które spaliłoby cię do cna, gdybym pozwolił ci się do mnie zanadto zbliżyć. Uwierz mi, nie byłabyś ani pierwszą, ani ostatnią osobą, którą zniszczyły moje dążenia. Wiedziałem o tym i dlatego odszedłem. Może to był błąd. Nie byłby to pierwszy błąd w moim życiu, ale jeśli tak, to z pewnością jest największym, jaki dotychczas popełniłem”. Kiedy zapytałam, o czym mówi, on się tylko uśmiechnął i potrząsnął głową. Znałam doskonale ten gest: oznaczał, że nie ma sensu dążyć ani dopytywać. Że wyznał wszystko, co miało zostać powiedziane, a reszta należy już tylko do domysłów. „Mam do ciebie prośbę – powiedział. – Myślę, że znalazłem sposób na zmianę tego świata. To nie jest proste ani trywialne. To coś poważnego i być może są ludzie, którzy będą w stanie wcielić w życie mój zamysł. Może nie w tej chwili. Może nie za dziesięć lat, może nie za dwadzieścia. Ale pewnego dnia zjawi się tu ktoś, kto będzie poszukiwał rezultatów moich przemyśleń. Zawarłem je tutaj, w tych dramatach, które pisałem przez ostatnich kilka lat. Chcę, byś je dla mnie przechowała i kiedy nadejdzie właściwy moment, przekazała je temu – albo też tej, bo czemuż niby nie miałyby to być kobieta? – kto przybędzie do Vadeline w ich poszukiwaniu. Wiem bowiem, że do tego dojdzie. Choć dziś nikt mi nie wierzy, to jednak pewnego dnia ktoś zrozumie. I zacznie szukać. Co najważniejsze – jeżeli on lub ona przybędzie tylko w tym celu, to oznacza, że nie jemu lub też oczywiście jej pisane są te zapiski. Zwyczajnie ich nie pojmie. Nie, to musi być ktoś, kto zna i docenia moje dotychczasowe dokonania. Tylko taka osoba uświadomi sobie sens nowych sztuk, tylko ona dojrzy prawdę ukrytą między wersami a didaskaliami. Dopilnuj, by te manuskrypty trafiły we właściwe ręce. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli ty stwierdzisz, że ktoś jest godzien wejścia w ich posiadanie, to tak właśnie będzie”.

Nie płakałam, kiedy odszedł. Nie płakałam, usłyszawszy, że zginął w stolicy po nieudanym zamachu na Białą Królową. W jakiś sposób wiedziałam, że tak się stanie. Coś w głosie Samuela, w jego postawie i słowach powiedziało mi, że zmierza w objęcia śmierci i że doskonale zdaje sobie sprawę z tego faktu. Od tamtej pory czekałam. Cierpliwie, na uboczu. Obserwowałam

przyjezdnych. Nie był panicz pierwszy. Wcześniej przybyły dwie osoby, które jakimś sposobem dowiedziały się o istnieniu tych manuskryptów i zapragnęły je odnaleźć. Szukali ich, rozpytywali o nie, po czym wyjeżdżali z pustymi rękoma. Nie potrafiłam im zaufać. O Samuelu mówili jak o wariacie, który swoim wariactwem przez przypadek otworzył drzwi do tajemnic, oni zaś zapragnęli je posiąść. Nie było w nich zrozumienia dla Samuela ani jego sztuk.

Panicz natomiast... panicz był inny. Obserwowałam cię, Victorze Caillou, odkąd tylko przybyłeś do Vadeline. Odwiedzałeś rodziny dawnych aktorów, zaprzyjaźniłeś się z madame Greene, przywróciłeś blask teatrowi, który przed twym przybyciem zmierzał ku obróceniu się w ruinę. Każda z tych rzeczy coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że to właśnie panicz jest przepowiedzianym przez Samuela przybyszem. Tak jakby jego geniusz przekroczył czas i przestrzeń i odnalazł Victora Caillou, po czym namaścił go na swojego spadkobiercę. Uśmiecha się panicz, ale ja naprawdę w to wierzę. Gdyby poznał panicz Samuela Zimmermana osobiście, rozumiałby pan, że dla niego nie było rzeczy niemożliwych.

Mimo wszystko wciąż miałam wątpliwości. Może wynikały one z zazdrości o prace Samuela, których byłam jedyną właścicielką i czytelniczką. Może poprzednie rozczarowania nauczyły mnie przezorności. Tak czy inaczej, nie umiałam paniczowi zaufać, a nie mogłam przecież ryzykować. Wczoraj jednak wszystko stało się jasne – kiedy wyszedł panicz na scenę i zaczął mówić o duchu Samuela Zimmermana, rozumiałam, że to właśnie Victor Caillou i nikt inny może odnaleźć prawdę zawartą pomiędzy wierszami i didaskaliaми.

Przyniosłam je ze sobą. *Znalezisko, Ostateczne doświadczenie, Wojnę kwiatów* i pozostałe. A także jego notatki, szkice, zapiski, wiersze i skrawki prozatorskie. Te czytane przez nielicznych i te nieczytane przez nikogo poza mną. Każdy kawałek zapisanego papieru, który przejawiał dla Samuela jakąś wartość. Wszystko to przekazuję paniczowi. Wszystko, z wyjątkiem jednego listu, który przeznaczony był dla mnie i tylko dla mnie. Oto i one.

Amanda Peters położyła pakunek na biurku Victora. Teatrológ przyglądał się mu niczym zahipnotyzowany. Przełknął ślinę i popatrzył na Amandę, jakby nie był w stanie uwierzyć w jej istnienie. Kobieta uśmiechnęła się i pokiwała głową. Tak, to wszystko prawda, zdawały się mówić jej oczy.

Teatrológ drżącą ręką sięgnął po pakunek i powoli, z namaszczeniem począł go odwijać. Kiedy skończył, leżała przed nim kartonowa teczka, ciasno wypchana kartkami poźółkłego papieru. Victor rozsznurował zapięcie teczki i otworzył ją. Pierwsza strona była niemal pusta. Jedynie w jednej trzeciej jej wysokości widniał napis:

*Ostateczne doświadczenie*

pióra

Samuela Zimmermana

Victor rozpoznał charakter pisma Zimmermana – pospieszny, niestaranny, mało czytelny, jakby palce nie nadążały za umysłem. Przewrócił kolejną kartkę. I kolejną. Naraz zamknął teczkę, przekręcił ją na opak i otworzył tylną okładkę. Listy. Skrawki prozatorskie. Jeden wiersz, sądząc po układzie wersów.

– Pani Johansen – powiedział, ostrożnie zamykając teczkę, jakby z lękiem, że kruchy papier rozpadnie się w proch pod wpływem dotyku. – Pani Johansen, proszę mi rozkazywać.

– Słucham? – zdziwiła się kobieta.

– Rozkazywać. – Teatrológ podniósł się z krzesła. – Jestem na pani rozkazy. Wszelkie. Życzy pani sobie, bym wzdłuż i wszerz przebył Zimę na własnych nogach? Uczynię to. Mam wspiąć się na najwyższą górę i zeskoczyć ze szczytu? Już szykuję się do podróży. Oto bowiem złożyła pani

przede mną najcenniejszy skarb, jaki istnieje na tym świecie. Rzekłbym, iż jest to skarb bezcenny, ale w tym przypadku nawet sama koncepcja ceny wydaje się tu absurdalna i niewłaściwa. Dlatego tu i teraz składam swoje życie i swój los w pani ręce, bo tylko tak jestem w stanie wywdzięczyć się za ten dar od losu.

W dwóch krokach podszedł do Amandy Peters, przyklęknął i ucałował jej dłonie.

– Chce panicz rozkazów? – Uśmiechnęła się. – Mam tylko jeden. Proszę odnaleźć prawdę ukrytą w tych zapiskach. Tego życzyłby sobie Samuel.

– Dokonam tego lub umrę, próbując – oświadczył Victor. – Choć nie mam pojęcia, jak mógłbym to zrobić, skoro pani, osoba znająca Samuela Zimmermana najlepiej w świecie, nie była w stanie tego zrobić.

Amanda Peters także na tę chwilę czekała z niecierpliwością.

– Młody człowieku – powiedziała, gdy Victor powrócił za swoje biurko. – Skąd ci przyszło do głowy, że nie byłam w stanie?

Victor zatoczył się i ciężko klapnął na krzesło. Złapał się za serce.

– Pani mnie dręczy – jęknął. – Postawiła sobie pani za cel przyprawianie o ataki serca młodych ludzi. Krąży pani po mieście, napada na nas, niewinnych i niezdolnych do obrony, po czym szokuje aż do zgonu. Mylę się, pani Johansen?

– Amando – zaśmiała się cicho, co na moment zmieniło ją w piękną i młodą kobietę, jaką była przed laty. – I owszem, wiem, co tak naprawdę Samuel chciał przekazać w swoich zapiskach. Ale wiesz, co mi się wydaje, Victorze Caillou?

– Nie mam pojęcia – przyznał teatrolog. – Ale mówiąc to, proszę mieć na uwadze moje zdrowie. Obawiam się, że mogę nie przeżyć kolejnej rewelacji.

– Wydaje mi się, że nie poprosisz o to, bym ci zdradziła tę tajemnicę. Że będziesz wołał do niej samodzielnie. Mogłabym się o to założyć o dowolną sumę.

Victor zagryzł wargi. Czy to był kolejny test? Raczej nie – miał przed sobą sekretne zapiski Samuela Zimmermana, Amanda Peters zaś (zabawnie było myśleć o niej jak o realnej osobie) nie wydawała się planować zmiany zdania i zabrać mu je sprzed nosa. Więc co w takim razie? Co odpowiedzieć? Jaka jest właściwa odpowiedź?

No właśnie, jaka? Od kilku lat Victor desperacko chciał odnaleźć te zapiski, a sama myśl o tym, że leżą tuż przed nim, mąciła mu w głowie. Czy naprawdę chodziło mu tylko o odpowiedź, jaka jest w nich zawarta? A może – co niedawno zarzucił mu Neil – to właśnie pytanie, same dzieła, były dla niego niepomierne ważniejsze? Victor odetchnął głęboko.

– Przypuszczam – odparł powoli, ważąc każde jedno słowo – że gdybym usłyszał tę odpowiedź, najpewniej bym jej nie zrozumiał. Znając Samuela Zimmermana... o ile wolno mi w ogóle twierdzić, że znam go w najmniejszym choćby stopniu... pytanie jest równie ważne, co odpowiedź. Przypuszczam także, że gdybym zapytał o tę odpowiedź, nie udzieliłabyś mi jej.

Błysk w oku Amandy upewnił go, że trafił.

– Zgadza się. Sama nie ujęłabym tego lepiej. Gdybyś nie potrafił rozszyfrować tej łamigłówki, która na dobrą sprawę nie jest nawet łamigłówką, to by znaczyło, że mylę się wobec ciebie. A ja bardzo nie lubię się mylić, młody człowieku. Dopilnuj zatem, bym nie musiała przyznawać się do błędu.

– To się dzieje naprawdę? – zapytał Victor, wpatrując się w teczkę. – To nie sen ani halucynacja? Nie zerwę się za chwilę z łóżka, wzywając imienia Samuela Zimmermana nadaremno? Niemożliwe. Aż uszczypnę się w ramię, bo wciąż nie jestem w stanie w to uwierzyć... Ała! Ach, zdrowy ból, który w każdym innym wypadku przywróciłby mnie do

przytomności. Tymczasem sztuki wciąż tu są, Amanda P. nadal siedzi przede mną, rzeczywistość wokół mnie ani myśli rozwiewać się na podobieństwo dymu. Zaraz, może uszczypnąłem się za lekko?

Amanda zaśmiała się głośno, obserwując przekomiczną pantomimę Victora szarpiącego się za skórę na przedramieniu.

– Przypominam ci Samuela? – zapytał.

Natychmiast spowaźniała.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała surowo.

– Kilka znających go osób miewało już takie skojarzenia.

Pokręciła głową.

– Szczerze powiedziawszy, trudno mi wyobrazić sobie dwóch mniej podobnych do siebie mężczyzn. Możliwe, że w pewnym momencie życia byliście w tym samym miejscu, ale dochodziliście do niego zupełnie różnymi drogami. Nie, Victorze Caillou. Gdybyście jakimś cudem się spotkali, doszłoby albo do wielkiej awantury, albo do wielkiej przyjaźni. Nawet ja nie umiem jednoznacznie rozstrzygnąć. Ale patrzę na ciebie i nie widzę w tobie ani krzty Samuela. Widzę natomiast całego Victora Caillou. – Podniosła się z krzesła. – Zostawię cię teraz – powiedziała. – Z niecierpliwością oczekuję na kolejny spektakl.

– To będzie jedna z tych odnalezionych sztuk – oznajmił Victor, wczytując się w manuskrypt *Ostatecznego doświadczenia*. – Musi być. To da mi pretekst do pracy nad poszukiwaniem sekretnych treści zawartych w zapiskach. Odnajdę je, Amando. A kiedy już to zrobię, przyjdę do ciebie i ci o tym opowiem.

– Nie wątpię. Mieszkam nieopodal ratusza, w kamienicy krytej zieloną dachówką. Drugie piętro. Na pewno trafisz.

– Jeśli mogę się jakoś odwdzińczyć...

– Rozszyfruj to – przerwała Amanda. – To w zasadzie bardzo proste. Trudno to w ogóle nazwać szyfrem. Odpowiedź po prostu tam tkwi, a gdy w końcu ją zauważysz i zrozumiesz, nie będziesz mógł uwierzyć, że nie wpadłeś na to od razu.

– Żadnych wskazówek? – Victor użył swojego specjalnego uśmiechu na wyjątkowe okazje. Amanda odwzajemniła go, ale pokręciła głową.

– Już i tak zbyt wiele powiedziałam. Powodzenia.

Jeszcze jeden uśmiech i już jej nie było.

Victor zamknął oczy i palcem serdecznym postukał się w środek czoła. Kiedy rozchylił powieki, zapiski Zimmermana wciąż tkwiły na swoim miejscu.

\*\*\*

Oleg Kajzar wyznawał w życiu jedną zasadę – nie mieszać się w kłopoty. Życie myśliwego obfituje w wystarczającą dużo ryzykownych zdarzeń i głupotą byłoby powiększanie tej puli hazardowym zachowaniem. Dlatego pan Kajzar na ogół ustępował podchmielonym awanturnikom, puszczał mimo uszu zaczepki i odmawiał uczestniczenia w przedsięwzięciach o wątpliwej moralnie naturze, nawet jeśli mogłyby mu zapewnić całkiem godziwy zarobek. Oczywiście, czasami trudno było trzymać się tej zasady – bywają sytuacje, w których trzeba czasami zrobić coś mogącego spowodować kłopoty, żeby móc potem spojrzeć w lustro bez poczucia wstydu.

– Panie Kajzar? – Głos konstabla wyrwał starego myśliwego z niewesołych rozważań. – Proszę się nie obawiać, to tylko rutynowe przesłuchanie. Nie został pan tu sprowadzony, by odpowiadać

za jakiegokolwiek przestępstwo. Jedynie Rotbart, przywódca Białej Gwardii, chce raz jeszcze usłyszeć o pańskim spotkaniu ze sforą rewolucjonistów.

Nie ma się czego obawiać, co? – burknął w duchu Kajzar. To czemu sam niemal się trzęsiesz, panie komendancie? Prawda była taka, że Biała Gwardia cieszyła się ponurą sławą rzeźników znaczących miejsca swojego pobytu krwawymi strugami. Nieludzcy wojownicy na usługach Białej Królowej.

Kajzar uniósł wzrok i przyjrzał się Rotbartowi. Był wysoki, rzadko widziało się tak wysokich ludzi – głową sięgał powały. Mimo to miał kruchą, niemal wiotką budowę ciała, jak młodzieniec, którego nie zdążyła jeszcze porosnąć zdrowa warstwa chroniącego przed zimnem tłuszczu. A jednak z jego postawy, ze sposobu, w jaki się nosił, biła niezłomność i witalność, której można było się obawiać.

– Usłyszeliśmy strzały i przybyliśmy na miejsce – powiedział stary myśliwy. Nie należał do ludzi strachliwych, jednak obecność gwardzisty budziła w nim lęk. Chciał jak najszybciej skończyć to przesłuchanie i wrócić do domu. – Tam znaleźliśmy ciała zabitych żołnierzy i tego całego Victora Caillou, który jakimś cudem wykpił się jedynie raną na głowie.

– Victor Caillou – powtórzył gwardzista. Miał zaskakująco łagodny, miękki głos. – Opowiedz nam o nim coś więcej.

## Rozdział XII

### Poszukiwania

*Dama nie może czekać – Wyostrzony dowcip pani Greene – Powrót Neila – Jak działa umysł humanisty – Spotkanie z Królową – Pytania i odpowiedzi*

- Cały dzień?
- Dzień? A gdzieżby! Trzy dni nie ruszył się ze swojego pokoju. Zapomniałam już niemal, jak wygląda. Posiłki przynosi mu Julia, toalety dokonuje na osobności, późnym wieczorem. O ile w ogóle.
- To niedopuszczalne! Jak nie wyjeżdża, to zagrzebuje się gdzieś i odcina od świata. I znów wszystko spada na moją głowę. Rozumiem, że w końcu udało mu się zdobyć nieznaną sztukę Sama, ale to już przesada. Dostyc tego! Sally, poproszę o klucz.
- Panicz wyraźnie zakazał sobie przeszkadzać.
- Żaden młokos nie będzie traktował mnie w taki sposób.
- Ależ madame, to przecież pani mocodawca.
- To nie jest argument! Dalejże, daj mi ten klucz.
- Nie. To mój gość. I na dodatek jeden z najmniej kłopotliwych, wzięwszy pod uwagę to, co wyprawiają inni. Ma prawo do prywatności.
- Ja mu dam prywatność. Halo! Otwierać!
- Madame!
- Odsuń się, Sally.

Victor zamrugał i uniósł głowę. I syknął, bo coś strzyknęło mu w kręgosłupie, przyprawiając o mrowiący ból biegnący wzdłuż pleców. Wyprostował się z trudem i rozejrzał wokół siebie.

Pokój zasnuty był notatkami. Nie tymi Zimmermana – te Victor przezornie trzymał w swoim gabinecie w teatrze, sporządziwszy uprzednio dokładne odpisy każdego świstka – ale jego własnymi, spisanyymi w ciągu dwóch ostatnich dni. Pierwszy dzień Victor spędził, czytając. Samuel zostawił po sobie pięć sztuk, o których nikt wcześniej nie słyszał. Oprócz *Ostatecznego doświadczenia* i *Znaleziska*, które teatrologii znane były ze słyszenia, natrafił również na *Wojnę kwiatów*, *Drugą próbę* i *Zimę*. Ponadto fragment niedokończonej powieści o mężczyźnie podróżującym w głąb własnego jestestwa, kilkanaście listów do nieistniejących ludzi mieszkających w nieistniejących miejscach i kilka wierszy. Pierwszy dzień spędził zatem Victor bez reszty zanurzony w świecie imaginacji Samuela Zimmermana, kontakt ze światem rzeczywistym odzyskując tylko kilka razy. Po przeczytaniu wszystkiego zaczął od początku. I jeszcze raz. I jeszcze. I znowu. Równoległe notował, wypisywał, skreślał, zaznaczał, przepisywał, podkreślał. Kazał Patrickowi przynieść sobie dodatkowe narzędzie papieru, bo jego zapasy stopniały w okamgnieniu.

Nowe sztuki były wspaniałe. Autor odszedł w nich od swych zwyczajowych tematów w stronę fantasmagorycznej impresji. Bohaterowie mierzyli się w nich z bóstwami z innych sfer niebieskich, mieszkańcami kosmicznej pustki i niezmiernych głębin oceanów. Nie byli

typowymi herosami, jakich zwykło się osadzać w takich rolach, a zwykłymi ludźmi parającymi się zwyczajnymi zajęciami, których okrutny los rzucił w wir walki tytanów. Mimo rozmachu i ładunku emocjonalnego nie brakowało jednak lżejszych momentów o charakterze humorystycznym – dramaturg doskonale zdawał sobie sprawę, jak zbytnia pompatyczność może łatwo przerodzić się w śmieszność, i nie mieszkał stroić sobie żartów z konwencji.

Victor zamrugał i podrapał się po szczęce. Wstał (zdrętwiałe kolana zagrzecotały i zamrowiły w chwili podnoszenia się do pozycji wyprostowanej) i podszedł do drzwi.

Madame Greene, miast utopić w potoku słów, otaksowała młodzieńca surowym spojrzeniem. Jej wzrok prześlizgnął się po pomiętym ubraniu, minął nieporządkny zarost i ostatecznie zatrzymał na potarganej czuprynie.

– Higiena o panicza pytała – oświadczyła zimno.

– Jestem jej winien pieniądze. – Uśmiechnął się. – Proszę nie wspominać, że mnie pani widziała, przynajmniej dopóki nie uzbieram wymaganej sumy. Do tego czasu staram się jej unikać.

– Właśnie widzę – odparła kwaśno. Surowe spojrzenie ześliznęło się za plecy Victora i ogarnęło widoczny za drzwiami bałagan. – Zna panicz to przysłowie o uporządkowanym otoczeniu świadczącym o uporządkowanym umyśle?

– Znam i doceniam jego pierwotną mądrość. Co nie przeszkadza mi w radosnym jej ignorowaniu. Madame Greene, czy jest jakiś szczególny powód, dla którego zdecydowała się pani mnie odwiedzić?

– Ano jest. – Aktorka postąpiła dwa kroki do przodu, zmuszając Victora do cofnięcia się w głąb pomieszczenia. – Po pierwsze, chciałabym się dowiedzieć, skąd ma panicz zaginione zapiski Sama. Długie miesiące biega panicz po całym miasteczku, urządza eskapady, przetrząsa wszystkie zakamarki, wpada nawet do zasypanych śniegiem jam...

– Widzę, że wieści szybko się rozchodzą – wymamrotał Victor.

– ...i to wszystko nie przynosi absolutnie żadnego skutku. Aż tu nagle natrafia panicz na źródło swojej obsesji, nagle i bez żadnego ostrzeżenia. Należy mi się chyba jakieś wyjaśnienie?

– Nie. – Victor po krótkim namyśle pokręcił głową. – Nie wydaje mi się. Przykro mi, madame, ale osoba, dzięki której zdobyłem te zaginione sztuki, nie upoważniła mnie do zdradzania postronnym jej tożsamości. Postąpiłbym niegodnie, gdybym popełnił wobec niej niedyskrecję.

– Ha! – Madame Greene wyraźnie nie zadowolili ta wykrętna odpowiedź. – Skąd wie zatem panicz, że te zapiski nie są falsyfikatem?

– Droga pani Greene. Bez zbędnej skromności i kurtuazji mogę stwierdzić, że jestem największym na świecie specjalistą od spraw twórczości Samuela Zimmermana. Nie sądzi pani, że rozpoznałbym oszustwo? Ostatecznie dysponuję wielką wiedzą na ten temat.

– Większą niż pańskie mniemanie o sobie?

– Strasznie się pani dowcip wyostrzył, madame.

– Zbyt dużo czasu spędzam z paniczem, to zapewne dlatego.

Victor westchnął.

– Pani Greene, studia nad nowo odkrytymi dziełami Samuela Zimmermana pochłaniają mnie teraz całkowicie. Jestem pewien, że teatr jest w stanie funkcjonować przez kilka dni bez mojego nadzoru.

– Szykujemy kolejny spektakl – poinformowała pani Greene. – Wiele osób deklarowało, że obejrzałoby sztukę raz jeszcze.

– Dobrze. – Victor z roztargnieniem pokiwał głową, na nowo zagrzebując się w papierach. –

Całkowicie ufam pani w kwestiach organizacyjnych.

– Wpływy z premierowego spektaklu z naddatkiem wystarczą na pokrycie wszelkich kosztów i wcale nie takie skromne honoraria dla obsady.

– Znakomicie.

Madame Greene westchnęła.

– Poza tym w piwnicy teatru zagnieździł się smok. Wielki, skrzydlaty, buchający ogniem i parą z trzewi.

– Doskonale. Tak trzymać... – Victor zamrugął. Zmarszczył czoło i unióśł głowę znad biurka.

– Smok? – powtórzył.

– Paniczu Caillou, jedną z rzeczy, których nie jestem w stanie znieść, to ignorowanie mnie.

– Przepraszam, po prostu to wszystko... – Teatrológ ogarnął spojrzeniem dokumenty, które kilka dni temu otrzymał od Amandy Peters. – Tak długo czekałem, by dostać te manuskrypty w swoje ręce. To dla mnie ukoronowanie długich poszukiwań, zwieńczenie wieloletnich starań. Samuel Zimmerman przemawia do mnie zza grobu, pani Greene. Byłbym głupcem, gdybym nie zatrzymał się na moment, by go posłuchać. Obiecuję, że już niedługo powrócę do swoich obowiązków dyrektora teatru, teraz jednak nie widzę, po prostu nie widzę takiej możliwości.

– I co? – zapytała pani Cirque, gdy madame Greene opuściła pokój teatrologa.

– Zwariował – oznajmiła aktorka. – Jest przekonany, że słyszy głos Sama przemawiającego z zaświatów. Proszę zostawić go w spokoju. Jeśli w ciągu kilku kolejnych dni nie przejdzie mu ta szaleńcza gorączka, wezwiemy doktora.

\*\*\*

Podsumujmy, pomyślał Victor, gdy za madame Greene zamknęły się drzwi. Mam tu pięć tajemnych dramatów pióra mistrza. Bez wątplenia są one kluczowe, jeśli chodzi o zaszyfrowany przekaz. Ponadto, jest kilka wierszy, fragmenty powieści, która miała nosić tytuł *Wilk lodowy* i opowiadać o tajemniczym mężczyźnie, wzorowanym najpewniej na samym Zimmermanie. Poema i powieść mogły zawierać pewne wskazówki, ale sedno tkwiło w dramatach. We wszystkich pojawiały się te same motywy – walka z potężnym zagrożeniem, studium ludzkiego cierpienia i samotności, pokonywanie własnych słabości i gorzkie zwycięstwo pod koniec. Były też bardzo długie – spektakle na ich podstawie mogły trwać wiele godzin, a reżyserskie skrótly wydawały się nieuniknione.

Problem polegał na tym, że Victor nie miał najmniejszego pojęcia, od czego zacząć. Jaką metodę obrał Zimmerman, by zaszyfrować w swoich dziełach tajemny przekaz? Czy można było go odczytać metodą analizy literackiej? A może był to zwyczajowy kod, w którym pewne litery oznaczają inne, a do odcyfrowania wiadomości potrzebny był klucz? Czy też szyfr opierał się bardziej na skojarzeniach, przesłanie skryte było pod poszczególnymi słowami znaczącymi w istocie co innego? Teatrológ aż złapał się za głowę. Podświadomie liczył na to, że wystarczy mu pobieżny rzut oka, by z miejsca odkryć zawartą w tekstach Zimmermana tajemnicę. Tymczasem sprawa okazała się daleko bardziej skomplikowana, a znajomość twórczości autora – bynajmniej niewystarczająca. Amanda Peters wspominała, że odpowiedź znajduje się tuż przed oczyma, że to w gruncie rzeczy bardzo proste.

Oczywiście, jak to zwykle bywa w przypadku prostych i oczywistych rozwiązań, były one niemal niemożliwe do dostrzeżenia. Na tym polegał z nimi problem – znajdowały się tuż przed oczami. Trudno dojrzeć coś, co masz przed samym nosem, ponieważ nigdy tak naprawdę tego nie widzisz. Co najwyżej dostrzegasz rozmazane kształty.



Victor wpatrywał się w piętrzone na biurku notatki i odpisy, jakby wzywając je, by ujawniły mu swe ukryte znaczenie. Westchnął. Wtargnięcie madame Greene przerwało osobliwy trans, w jakim przebywał przez kilka ostatnich dni. Spojrzał tęsknie za okno, na którym mróz namalował fantazyjne kształty, konstelacje gwiazd i mgławic niczym z *Ostatecznego doświadczenia*. Zapragnął zażyć choćby krótkiego spaceru i odrobiny słonecznego światła. Ogarnął zatem panujący wokół nieporządek, umył się i ogolił. Zmienił ubranie, założył płaszcz i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

Kiedy uchylił drzwi, w twarz uderzyła go zima. Nie ta łagodna, otulająca krajobraz białym puchem, bardziej dokuczliwa niż problematyczna. Ta zima momentalnie wgrzyzała się w policzki, podstępnie wciskała się w każdą szczelinę, kaleczyła nieosłoniętą skórę lodowymi drobinkami tańczącymi w powietrzu. W ciągu tych czterech dni pogoda oszalała – z niezrozumiałą furią przypuściła szturm na Vadeline, za arsenał mając drobny, gęsto sypiący śnieg, porywisty wiatr i srogi, szczypiący mróz.

Już w połowie drogi pomiędzy zajazdem a teatrem Victor zaczął pomstować na swoją głupotę, przez którą nie założył grubszego płaszcza. Sunął więc powoli poboczem odśnieżonej uliczki, co chwilę poprawiając kołnierz i obciągając płaszcz, szczelniej nim się otulając. Kiedy dotarł w końcu do teatru, szcząkał zębami i drżał na całym ciele jak w gorączce.

– Victorze? – Usłyszał znajomy głos. Teatrológ drgnął i rozejrzał się. Z półmroku holu wynurzyła się wysoka sylwetka.

– Neil – powiedział Victor, zdziwiony. – To ty?

– Nikt inny. – Neil uśmiechnął się dziarsko, ale Victor znał go na tyle długo, by dostrzec wyczerpanie przyjaciela.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Neil pokręcił głową.

– Nic nie jest w porządku.

– Kiedy wróciłeś?

– Dopiero co. Zdałem raport w miejscowym garnizonie i chciałem znaleźć cię jak najszybciej. Zabrzmiało to poważnie.

– Mów – polecił Victor.

– Nie tutaj. Twoi aktorzy cały czas się tu kręcą.

– W takim razie chodźmy do mojego gabinetu.

Kiedy wspinali się po schodach prowadzących na piętro, Victor zauważył, że Neil garbi się nieco i utyka.

– Jesteś ranny? – domyślił się.

– Nic mi nie będzie.

Dotarli do gabinetu. Victor wpuścił przyjaciela do środka, wszedł za nim, po czym zamknął drzwi na klucz.

Neil usiadł na krześle.

– Musisz uciekać, Victorze – oznajmił. – Natychmiast.

Victor popatrzył na niego z ukosa.

– Teraz, zaraz?

– Biała Gwardia przybywa do Vadeline. Pojawią się tu najdalej za dwa dni.

Caillou machnął ręką z lekceważeniem.

– Mówiłem ci, że sobie poradzę. Poza tym odnalazłem właśnie zaginione sztuki Zimmermana. Nie mogę teraz odpuścić.

– Odnalazłeś je? – Neil spojrział na niego z zainteresowaniem.  
– Parę dni temu. Wciąż nie udało mi się ich rozszyfrować, ale...  
– W takim razie zabierz je ze sobą i uciekaj jak najdalej. Ludzie Gabrielle pomogą ci wydostać się z miasta.

Victor pokręcił głową.

– Już ci mówiłem, nigdzie się nie wybieram.  
– Posłuchaj mnie, ty bałwanie! – Mężczyzna stracił cierpliwość. Zerwał się z krzesła i stanął twarzą w twarz z Victorem. – Próbuję ocalić ci życie. Najdalej za dwa dni od teraz Vadeline spłynie krwią!

Teatrolog znieruchomiał.

– O czym ty mówisz?

Neil skrzywił się lekko. Chwycił się ręką za lewy bok.

– Usiądź.

– Najpierw...

– Victorze. – Neil nawet nie uniósł głosu.

Teatrolog zrozumiał, że nie ma sensu się sprzeczać. Westchnął i usiadł po drugiej stronie biurka. Neil wrócił na swoje krzesło. Pochylił się w stronę Victora, wspierając łokieć na krawędzi blatu.

– Rozmawiałem z Czerwoną Królową – zaczął, odkaszlnąwszy. – Zaraz po zmierzeniu jakości próbek kruszcu. Ta nowa kopalnia to prawdziwa żyła złota, Victorze, w jak najbardziej dosłownym sensie. Wracając jednak do rzeczy: po dokonaniu niezbędnych działań i formalności na miejscu oficjalnie wyruszyłem z powrotnym konwojem do Vadeline. Nieoficjalnie natomiast skontaktowałem się z ludźmi Rudej Gabrielle, którzy mają swój obóz w lesie, pół dnia drogi od kopalni.

– Czemu to zrobiłeś? – zapytał Victor. – To przecież ryzykowne.

– Musiałem ostrzec ją przed Białą Gwardią. Udało mi się bowiem dowiedzieć, kiedy królewscy dotrą do Vadeline. Bojąc się prowokacji czy też wpadki, postanowiłem zawiadomić ją osobiście. Okazało się, że dobrze zrobiłem, bo jeden z naszych okazał się zdrajcą.

– Twoja rana... – domyślił się teatrolog.

– Niewiele brakowało, a byś teraz ze mną nie rozmawiał. Szczęściem skończyło się tylko na paru sińcach i dość głębokiej, ale czystej ranie. Gabrielle ma dobrego medyka, pozszywał mnie dosyć szybko. Długa historia, ale to teraz nieważne.

– Nieważne? Niemal zginąłeś!

– Posłuchaj mnie, Victorze. Ruda Gabrielle zamierza zastawić pułapkę na Białą Gwardię. Tutaj, w Vadeline.

Teatrolog zaniemówił.

– To samobójstwo – oznajmił po chwili. – Wiesz przecież, jak trudno jest zabić kogoś z gwardzistów. Ostatnim razem udało nam się tylko dzięki głupiemu rządzeniu losu. Poza tym...

– Też jej to mówiłem – przerwał mu Neil. – Kiedy jednak dowiedziała się, kto jest dowódcą oddziału zmierzającego do Vadeline, nic nie było w stanie przemówić jej do rozsądku. Wszystko jest już ustalone i zaplanowane. Gabrielle już słuszny czas temu wysłała do Vadeline swojego sojusznika. Kogoś w rodzaju... uspiętego agenta, który zawczasu poinformowałby ją o wszystkich koniecznych kwestiach. Początkowo miał być tylko jej łącznikiem ze światem zewnętrznym, ale po usłyszeniu o przybyciu Rotbarta postanowiła skorzystać z jego znajomości miasteczka, by zaplanować pułapkę.

– Rotbart – szepnął Victor. Ten, który dowodził szturmem na główną kryjówkę ruchu oporu. Ten, który własnymi rękami zabił blisko pół setki rebeliantów. Ten, który osobiście pozbawił życia męża Aleksieja, męża Rudej Gabrielle. – Na Zimę... Ta wariatka zamierza narazić życie swoich ludzi, mieszkańców miasteczka oraz swoje własne dla bezrozumnej zemsty?

– Uwierz mi, próbowałem jej to wyperswadować, ale równie dobrze mógłbym próbować dogadać się z lodową wilczycą. Dlatego musisz uciekać.

Victor pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Odnalezione sztuki...

– Możesz rozszyfrować je gdziekolwiek indziej. Wróć do stolicy, zaszij się na uczelni. Albo zmykaj na Południe.

– To musi stać się tutaj – oznajmił zdecydowanie teatrolog. – Jeśli chcę odkryć tajemnice zawarte w pracach Zimmermana, muszę zacząć myśleć tak, jak on myślał, i działać tak, jak on działał. To miejsce, drogi Neilu, jest Samuelem Zimmermanem. Nie mówię tu tylko o budynku teatru. Mówię o całym mieście. Mieszkają tu ludzie, którzy go znali, są tu miejsca, które noszą piętno jego ducha, krążą legendy, których on był źródłem. Vadeline jest kluczem, którym otworzę te zapiski.

– Jesteś wariatem – oznajmił Neil. – Narażasz się na niewyobrażalne ryzyko. Co się stanie, jeśli zginięsz w trakcie zasadzki?

– Przede wszystkim nie dopuszczę do niej. Zrobię wszystko, by odwieść Rudą Gabrielle od tego zamysłu.

– Już próbowałem wszystkiego – odparł kwaśno Neil. – Bezskutecznie.

– Z całym szacunkiem, drogi przyjacielu, ale nie jesteś mną.

– I całe szczęście! Dzięki temu mam szansę żyć dłużej niż ty.

– Jeśli coś mi się stanie – Victor spojrzał przyjacielowi w oczy – zabierzesz manuskrypty i przekazesz ludziom, którzy będą w stanie je odszyfrować. Sporządziłem kopię każdego dokumentu, opracowałem także wstępne notatki. Może posłużą innym, jeśli nie mnie.

– Dajże spokój, Victorze. Obaj wiemy, że jesteś jedyną osobą, która jest w stanie tego dokonać. Twoja obsesja na punkcie Samuela Zimmermana nie ma sobie równych na całej Zimie. Ty przecież znasz na pamięć większość jego sztuk.

– To prawda. Ale istnieją ludzie mądrzejsi ode mnie, którzy być może też są w stanie tego dokonać. Niech przyjadą tu, gdy trochę się uspokoi. O ile Vadeline wciąż będzie jeszcze istniało.

– Muszę to sobie zapisać. – Neil demonstracyjnie poklepał się po kieszeniach, jakby w poszukiwaniu pióra i notatnika. – Victor Caillou ukazuje coś, co przy pewnej dozie dobrej woli można nazwać skromnością i pokorą. To dopiero dzień! Historyczny!

– Przestań drwić – poirytował się przyjaciel. – To poważna sprawa.

– Nie mnie trzeba to tłumaczyć.

Teatrolog zapatrzył się w okno, za którym szalała zamieć. Był zbyt blisko rozwiązania, by teraz się poddać. Neil miał rację – szanse na to, że ktokolwiek poza Victorem zdoła rozwikłać zagadkę zapisków Samuela Zimmermana, były bliskie zeru. Amandzie Peters udało się to dlatego, że znała dramaturga lepiej niż ktokolwiek inny w świecie. Victor mógł się do niej udać, wytłumaczyć, jak wielką wagę mają zaszyfrowane w dramatach informacje i błagać o ujawnienie sposobu na złamanie kodu. Jednak nie pozwalała mu na to duma, poza tym wątpił, by jego prośby by poskutkowały. Amanda Peters musiała zdawać sobie sprawę ze znaczenia odkryć Zimmermana. Skoro mimo to nie ujawniła ich teatrologowi, trudno się spodziewać, by uczyniła

to teraz. Jeśli Victor nie był w stanie samodzielnie dojść do ukrytej między wersami sztuk prawdy, nie był godzien jej poznać i najpewniej w ogóle by jej nie zrozumiał.

– Victorze? – Neil przerwał gonitwę myśli teatrologa. – Musisz odejść. Wrócisz do Vadeline, kiedy minie rok. Może wcześniej. Wtedy gdy będzie tu bezpiecznie. W międzyczasie możesz pracować nad sztukami, wyławiać wszelkie tropy i podejrzenia, opracowywać teorie, które weryfikować będziesz później.

– Nie rozumiesz, jak działa umysł humanisty, Neilu – odparł Victor. – Sztuka nie jest nauką ścisłą, sam proces interpretacji w znacznej mierze odbywa się na płaszczyźnie intuicyjnej. Tego nie da się załatwić eleganckimi wykresami, których konkluzje zamkniesz za kratami przejrzystych tabel.

– Patrząc po tobie, umysł humanisty nie działa prawidłowo. O ile w ogóle. Oszczędź mi tej pretensjonalnej gadaniny. Nie proszę cię o porzucenie prób odszyfrowania notatek Zimmermana, tylko o poczekanie z tym do czasu, gdy...

– Do czasu, gdy co? – przerwał mu ostro teatrolog. – Do czasu, gdy Ruda Gabrielle zrobi z tego miasta płonące pobojowisko? A może do czasu, gdy Biała Królowa zdusi Vadeline pod śniegową pierzyną?

– Nie myślisz racjonalnie – odparł Neil. – Co w twoim przypadku nie jest czymś niezwykłym, ale teraz możesz stracić przez to życie.

Victor przybrał minę, którą Neil znał aż nazbyt dobrze.

– Zorganizuj mi spotkanie z Rudą Gabrielle – oznajmił. – Chcę dowiedzieć się, co dokładnie zamierza. I odwieść ją od tego wariackiego zamysłu.

– Mówiłem ci, że to nic nie da.

– Zobaczymy. – Victor zerwał się z krzesła i przeszedł kilka kroków. – Jeśli mi się to uda, zdobędę trochę czasu na złamanie szyfru Zimmermana.

– O ile Rotbart wcześniej cię nie wytropi.

– Twój optymizm jest budujący.

– Realizm.

– Wszystko jedno.

Spojrzeni sobie w oczy. Neil westchnął.

– Spotkajmy się wieczorem na obrzeżach miasta. Stamtąd ruszymy do pobliskiego lasu, gdzie ma czekać na ciebie eskorta do obozowiska Gabrielle. Stamtąd miałeś bezzwłocznie wyruszyć do Bordii, gdzie przezimowałbyś i ruszył szlakiem do Zachodniej Marchii. Nie uśmiecha mi się oglądanie miny Czerwonej Królowej, gdy usłyszysz o twoich zamiarach.

– A zatem ustalone. O zmierzchu widzimy się przy miejskich rogatkach.

– Co, jeśli ktoś zauważy naszą dwójkę idącą w stronę lasu?

– Och, nie przejmuj się. – Victor lekceważąco machnął ręką. – Najprawdopodobniej uzna to za schadzkę.

Neil spojrział Victorowi w oczy, po czym obaj wybuchli zgodnym śmiechem, napięcie i niepokój o jutro przynajmniej na chwilę zniknęły.

\*\*\*

Tym razem Victor przezornie uzbroił się w gruby płaszcz i solidne, ciepłe buty, dzięki czemu mróz nie był już tak dokuczliwy. Pozostawała jednak kwestia gęstego śniegu, który ani na chwilę nie przestawał padać. Porywisty wiatr co i rusz usiłował skraść teatrologowi cylinder. Caillou nosił go z uporem godnym lepszej sprawy, choć w tym momencie znacznie rozsądniejszym

wyborem byłby obszerny kaptur płaszcz. Neil już dawno temu zauważył, że Victor traktuje swoje nakrycie głowy w podobny sposób, jak król swą koronę, a generał – paradną czapkę.

Przed północą dotarli na miejsce. Victor źle się czuł w skrytym w głębi lasu obozie Czerwonej Królowej. Nie z powodu przenikliwego zimna – przywykł doń podczas pospiesznej wędrówki, poza tym lodowaty wiatr nie doskwierał aż tak bardzo pomiędzy drzewami. Problemem była obecność ludzi z bronią. Victor źle na nich reagował – szczególnie na takich, którzy obrzucali go w najlepszym razie niechętnymi spojrzeniami.

Gabrielle miała przy sobie olbrzymią strzelbę. I bardzo nieprzyjemne spojrzenie.

– Poleciałam ci uciekać z miasta – powiedziała na widok teatrologa. – Twój przyjaciel ci nie powiedział?

– Mój przyjaciel przekazał mi twoje słowa, dziękuję uprzejmie. – Skłonił się, bardziej z przekory niż rzeczywistego szacunku, wiedział bowiem, że Gabrielle uzna ten gest za lekką drwinę. – Chciałem jednak zamienić z tobą kilka słów.

– Neil wspominał, że będziesz robił problemy, panie Caillou.

– Nie wolno ci narażać życia mieszkańców miasteczka – odparł ostro teatrolog. – Miałś wywabić Białą Gwardię ze stolicy. Dokonałś tego, wspaniale, choć niech Zima ma w opiece tych nieszczęśników, którzy porwali się na kolejny zamach na Białą Królową. Ale na tym poprzestań. Chcesz w imię osobistej zemsty narażać swoje życie – proszę bardzo. Życie ludzi, którzy zgodzą się pójść za tobą – ich wola, jako i twoja. Ale mieszkańcy Vadeline nie dołączyli do ruchu oporu. Żyją swoim wspaniałym, nudnym życiem pełnym trosk, zmartwień, małych i nieco większych radości oraz smutków. To dla nich właśnie walczymy, Gabrielle. Łatwo o tym zapomnieć, siedząc na odludziu pośród drzew, z kłami strachu wbitymi w kark. Łatwo się zatracić. Zbyt łatwo.

Czerwona Królowa wysłuchiwała przemowy z umiarkowanym zainteresowaniem. Kiedy skończył, długo milczała.

– Victorze Caillou – powiedziała w końcu, patrząc mu prosto w oczy. – Kiedy zginął Aleksiej, pomagaliśmy w ucieczce powstańcom, którzy zostali zdekonspirowani. Czasu było niewiele, Biała Gwardia już od wielu dni siedziała nam na ogonie. Ryzykowaliśmy okrutnie, ale musieliśmy przecież ratować naszych. Niektórzy byli ranni, niektórzy po prostu wystraszeni na śmierć. Znasz ten strach, Victorze – znasz go dobrze, widziałam go w twoich oczach w czasie napadu na konwój zmierzający ku Bordii. Działo się to w miasteczku podobnym do Vadeline – niewielkim, sennym, odseparowanym od wielkich i ważnych wydarzeń tego świata. Aleksiej został z tyłu, by pomóc rannemu kamratowi dopędzić pozostałych uciekających. Kamrat wykrwawił się od źle opatrzonych ran i wysiłku. Aleksiej został w miasteczku, nie miał szans wymknąć się niepostrzeżenie. Skrył się na strychu jednej z małych kamieniczek. Widziało go kilku lokatorów, ale nie pościg, ten był daleko, nie dotarł tam jeszcze przez wiele długich chwil. Kiedy Rotbart i jego poplecznicy dotarli pod kamieniczkę, jeden z jej mieszkańców – młody człowiek w twoim wieku, paniczku, nawet z twarzy nieco cię przypominał – podbiegł do niego i wydał Aleksieja. Kiedy wywlekali go z piwnicy, lokatorzy stali w oknach i przyglądali się. Gdy rzucono go na bruk, mieszkańcy obserwowali z dystansu. Gdy kapitan Białej Gwardii rozplatał jedyne go człowieka, którego kochałam, oni wciąż patrzyli. Bez słowa. Bez bodaj jednego gestu. Nie byli złymi ludźmi, Victorze Caillou. Żadne z nich nie skrzywdziłoby drugiego człowieka czymś więcej niżli przykrym słowem. Żyli swoim wspaniałym, nudnym życiem, mieli swoje troski, radości i smutki. Ale w chwili próby nie potrafili zdobyć się na wysiłek bycia ludźmi.

Strach czasem robi z ludzi bestie, ale częściej robi z nich puste kukły. Takie, które stoją i patrzą. W milczeniu. Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

– Rozumiem. – Victor skinął głową. – Tym bardziej że widzę, co strach zrobił z ciebie. Bynajmniej nie pustą kukłę.

– Wszystko jest lepsze od pustej kukły.

– Nie wszystko. Żegnaj, Czerwona Królowo.

– Żegnaj, Victorze Caillou.

\*\*\*

Victor położył się spać wczesnym rankiem – całonocna eskapada wyczerpała go do cna, sen jednak uparcie nie chciał nadejść. Kryjąc się przed promieniami wschodzącego słońca, Victor wiercił się w łóżku, myśląc o swoim położeniu. Zdecydował już, że nie odejdzie z Vadeline, choć pozostanie w miasteczku oznaczało bycie pomiędzy młotem a kowadłem. Gniew Rudej Gabrielle zdawał się nie do ugaszenia.

Kilka godzin później – niewyspany, ziewający i nieco otępiały – przywołał do siebie swoich aktorów.

– *Ostateczne doświadczenie* – powiedział, wbiegając po schodkach na scenę. – Jedna z zaginionych sztuk Samuela Zimmermana. Ta, którą pisał w gorączkowym zapamiętaniu. Ta, o której sądził, iż zostanie tą najważniejszą w jego dorobku. Ta, którą ostatecznie pochował w mrokach niepamięci, skąd cudem udało mi się ją wydobyć.

Sycąc się wzbudzonym zainteresowaniem, uniósł nad głowę kopie scenariusza, starannie przepisane na pożyczonej od bibliotekarza Emila Decroux maszynie do pisania.

– Nasza następna premiera – domyśliła się Julia.

– Otóż właśnie. – Victor troskliwie wyrównał niesforne kartki. – To będzie trudne przedsięwzięcie, bo *Ostateczne doświadczenie* wymaga radykalnie innego podejścia niż klasyczne spektakle. Wiele partii śpiewanych... nie krzyw się Alainie, wiem, że nie znosisz śpiewać, ale sztuka ma swoje prawa... nietypowe dekoracje i kostiumy, fantasmagoryczna tematyka. Nie ukrywam, że nawet zespół z wieloletnim doświadczeniem miałby niemałe problemy z ogarnięciem złożoności tego konceptu. Jeśli ktoś chce się wycofać, niech powie to teraz.

Odpowiedziało mu pełne determinacji milczenie.

– Dokonałem niezbędnych wyliczeń – mówił dalej dyrektor. – Nasz pierwszy spektakl zarobił dla nas dokładnie tyle pieniędzy, ile potrzebujemy na nowe kostiumy i dekoracje. Ewentualne braki funduszy postaram się uzupełnić we własnym zakresie.

Victor znów zamilkł, tym razem nie z potrzeby uczynienia swej przemowy bardziej dramatyczną. Pieniądze były realnym problemem, ponieważ topniały w zastraszającym tempie. Po odliczeniu opłat za wikt i opierunek w zajeździe pani Cirque (która z sympatii do Victora liczyła mu tylko połowę ceny), remont gmachu teatru, organizację premierowego spektaklu, nowe ubrania oraz niespodziewaną podróż do Bordii pozostałości po małej fortunie, jaką Victor przywiózł do Vadeline, wyglądały cokolwiek smętnie.

No cóż, pomyślał, o to będę się martwił później. Problemy dostatecznie długo odkładane na później mają tendencję do samoistnego rozwiązywania się – w ten fakt wierzył niezachwianie, nawet jeśli rzeczywistość od czasu do czasu go weryfikowała, niekiedy w bardzo bolesny sposób.

Po zakończeniu zebrania podeszła do niego madame Greene.

– Dlaczego panicz to robi? – zapytała. Nie zrozumiał. Aktorka westchnęła cicho i dodała: – Odnalazł już panicz zaginione sztuki Sama. Taki był cel pańskiego przybycia do Vadeline.

Zdążyłam już panicza trochę poznać i zdaję sobie sprawę, że prowadzenie teatru było tylko wiodącym do celu środkiem. Cel zaś został osiągnięty. Stąd moje pytanie – po co panicz to robi?

– Chcę odzyskać pieniądze włożone w odbudowę budynku. – Uśmiechnął się.

Madame Greene nie wyglądała jednak na przekonaną i nie miała zamiaru odejść, nie uzyskawszy pierwiej satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Ten teatr nie będzie przynosił zysków – odparła. – Jeśli będzie w stanie zarobić na swoje utrzymanie, będziemy mogli mówić o ogromnym szczęściu. Wiem o tym, panicz też o tym doskonale wie. Wiedział panicz jeszcze, zanim wydał swoje pieniądze na remont.

– Madame, chylę czoła przed przenikliwością i bystrością umysłu – i faktycznie, dyrektor skłonił się głęboko – nic się przed panią nie ukryje. – Wyprostował się i przeszedł się w poprzek sceny. Odgłosy jego kroków rozbrzmiewały w ciszy niczym seria wystrzałów. – Prawda jest taka – powiedział, wpatrując się w ostatnie rzędy siedzeń, niknące w półmroku i ledwie widoczne – że pokochałem to zajęcie. To miejsce. Tych ludzi. Całkiem poważnie myślę o przeprowadzeniu się tutaj na stałe, zamieszkaniu w Vadeline i spędzeniu całego życia jako dyrektor tego teatru. Czeka mnie wszak mnóstwo pracy – dokumentacja nowo odkrytych dzieł Samuela Zimmermana, analizowanie ich, interpretacja, przeniesienie na deski teatru wreszcie. To mi zajmie wiele lat.

– W stolicy miałby panicz większe możliwości rozwoju – zauważyła pani Greene.

– Nie potrzebuję niczego więcej – powiedział Victor. I – jak uświadomił sobie z zaskoczeniem – była to prawda. W stolicy do teatru uczęszczała wyrafinowana klientela, odporna na proste wzruszenia. Tu, w Vadeline, teatr przyciągnął ludzi. Nie krytyków, koneserów, znawców czy konfraternię. Zwykłych ludzi, zwabionych ciekawością, sentymentem albo chęcią zobaczenia czegoś niecodziennego. Victor obserwował ich podczas premierowego spektaklu. Była w nich pewna niewinność, czystość zachwyty, której próżno było szukać na twarzach widzów z większych miast.

Na moment nawiedziła go wizja tych ludzi schwytych w pułapkę nienawiści i fanatyzmu Czerwonej Królowej. Przerażonych, bezradnych, biegających po ulicach pośród ognia i krwi. Wzdrygnął się.

– Skupmy się na *Doświadczeniu* – powiedział, przepędzając czarne myśli. – Niech ten spektakl wart będzie uwagi.

## Rozdział XIII

### Zdarzenia

*Gwardia przybywa do miasteczka – Aresztowanie – Kocia muzyka – Rozmowy i rewelacje – Starcie z Białą Gwardią – Ostatni raz w gabinecie – Pojedynek – Eksplozja – Ucieczka – Osobliwa magia – Odejście*

Tupot końskich kopyt na odsnieżonym bruku. Taniec drobnych płatków śniegu w przedpołudniowym słońcu. Przechodnie oglądający się za jeźdźcami z mieszaniną strachu i zaciekawienia.

Biała Gwardia przybyła do Vadeline.

Rycerze Białej Królowej. Członkowie jej orszaku i najbardziej zaufani doradcy i powiernicy. Ci, którzy przed wiekami przybyli z nią na Zimę, dzielący z nią dar długowieczności, mlecznobiały kolor skóry i czarne źrenice wypełniające bez mała całą gałkę oka. I nadludzką witalność.

Było ich czterech – wysokich, szczupłych mężczyzn. Każdy z nich odziany w skórzaną zbroję z białą peleryną powiewającą w rytm podmuchów wiatru, każdy z przypasaną długą szablą i półhakiem o eleganckiej, misternie rzeźbionej kolbie.

Mer Enderby przełknął ślinę. Głośno. Choć już od długiego czasu oczekiwał przybycia królewskich, teraz, gdy już przybyli, oddałby wszystko, by opuścili miasto. Niepokoił go ich sposób bycia – suchy, obojętny. Wszyscy czterej, podobni do siebie niemal jak krople wody, zdawali się pozostawać w ciągłym skupieniu. W niczym nie przypominali ludzi nawykłych do noszenia broni – nonszalanckich, pewnych siebie. Niewiele mówili, z ich twarzy nie dało się wyczytać nic ponad nienaturalną obojętność. Ich oczy mówiły nieco więcej. Nie było w nich zainteresowania, zdziwienia, uwagi. Kiedy patrzyli na Enderby'ego, w ich spojrzeniach nie mógł znaleźć ani grama pogardy, protekcjonalizmu, czegokolwiek, do czego mer wcześniej przywykł i z czym umiał się uporać. Patrzyli poprzez niego, jakby był czymś tak nieważnym, że nie warto zaprzętać nim sobie uwagi, płatkami śniegu padającym na płaszcz w asyście podobnych mu, nic nieznaczających okruczeń zimy.

Biała Gwardia niepokoiła Enderby'ego, a wobec jej przywódcy, Rotbarta, żywił lęk.

– Zaczęło się przeszło miesiąc temu – oznajmił mer, szybko uciekając wzrokiem przed spojrzeniem wysokiego wojownika. – Sfora Rudej Gabrielle napadła na konwój podróżujący z Vadeline do Bordii. Mimo faktu iż ochraniający konwój wojskowi zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa – mieliśmy bowiem informacje o grasujących w pobliżu miasta bandytach – i przygotowani byli na możliwy atak, zostali wybici w pień. Ocalał tylko jeden pasażer...

– Victor Caillou – powiedział Rotbart.

– Tak. – Enderby pokiwał głową. – Właściciel tutejszego teatru, choć formalnie nie jest obywatelem Vadeline. Przybył do miasta kilka miesięcy temu, z listami uwierzytelniającymi od murgrabiego Południowej Marchii, ręczącego za panicza Caillou. Początkowo wzbudziło to moje podejrzenia. – Enderby przerwał, widząc, jak Rotbart sięga za pazuchę.

– Nie uwierzył mu pan – powiedział cicho. Dobył zza płaszcz złożony na czworo pergamin opatrzony pieczęcią Południowej Marchii. – Wysłał pan list z zapytaniem do kancelarii



murgrabiego. Wystosowano odpowiedź. Tak się składa, że jestem w stanie ją panu doręczyć.

– Co w niej jest? – zapytał zaintrygowany Enderby.

– Proszę przeczytać.

Mer przyjął podany przez Rotbarta dokument, rozłożył go, wyprostował i zaczął czytać.

– Tajemniczy człowiek przybywający do miasta w dziwnym, absurdalnym celu – mówił gwardzista swym dziwnym, łagodnym głosem, podczas gdy mer Enderby śledził wzrokiem kolejne linijki listu. – Poszukujący dokumentów znanego rewolucjonisty i wicherzyciela. Podróżujący w niewiadomym celu do sąsiednich miast, wychodzący cało z napaści znanej bandy morderców, szcycących się tym, iż nikt nie uchodzi żywy z ich najazdów. Powołujący się na ludzi znajdujących się na najwyższych szczeblach władzy, którzy nigdy o nim nie słyszeli i nie mają z nim nic wspólnego.

Enderby przełknął ślinę. To było zbyt wiele jak na niego. Rewolucje, morderstwa, tajemnice. Życie mera takiej miejscowości jak Vadeline było proste i pozbawione trosk większych niż zebranie rady miejskiej. Kochał to. A tymczasem ten egzaltowany paniczek, ten Victor Caillou, ośmielił się wtargnąć w ten doskonały porządek, dla jakiegoś niezrozumiałego kaprysu podeptać go i zniszczyć.

– Natychmiast wydam rozkaz aresztowania – oznajmił.

Rotbart pokiwał głową.

\*\*\*

Victor pochylił się nad notatkami. Szukanie ukrytego sensu w zapiskach Zimmermana przypominało szukanie jednego określonego płatka śniegu w całej zaspie. Nie, gorzej, poprawił się w myślach. W takim wypadku przynajmniej wiadomo, że to właśnie płatka śniegu należy szukać.

Próbował przystawić do poszczególnych sztuk kilka najpowszechniejszych metodologii analitycznych. Nie, żeby spodziewał się jakichś oszałamiających rezultatów – ale może coś takiego przynajmniej naprowadziłoby go na odpowiedni trop, dało najlichszą bodaj wskazówkę. Nic z tego – każdy scenariusz był znakomitym dziełem sztuki, przepełnionym kontekstami i misternymi splotami wątków oraz motywów. Każdy był wspaniałą podróżą w głąb imaginacji autora, każdy był potencjalną podstawą do wyśmienitego spektaklu. Każdy mógł być wszystkim, tylko niezaszyfrowaną wiadomością.

Może zatem metoda liczbowa? Czy pan Decroux, bibliotekarz i niedysiejszy przyjaciel Samuela Zimmermana, nie wspominał przypadkiem o jego absolutnym braku talentu do liczb? Trzeba będzie odszukać staruszka i go o to zapytać. Jakkolwiek by nie było – szyfr z całą pewnością nie mógł być żadną złożoną strukturą matematyczną, w notatkach Zimmermana bowiem nie znajdowało się nic, co mogłoby przypominać klucz. Coś prostego zatem. Litera zamiast cyfry? Litery zastępujące inne litery w określonym porządku? Victor szybko przekartkował scenariusze, raz jeszcze poszukując w nich wskazówek, ze złudną nadzieją, że może rzuci mu się w oczy coś, czego nie zauważył wcześniej.

Nie, nie i jeszcze raz nie. To musi być coś prostego, coś oczywistego. Tak twierdziła Amanda Peters.

Victor pracował w skupieniu przez wiele godzin, więc kiedy usłyszał łomotanie do drzwi, nie uniósł nawet głowy.

– Nie teraz, madame Greene! – krzyknął, niecierpliwie szukając zapodzianej gdzieś kartki z wypisanymi wszystkimi słowami na „s”, jakie odnalazł w *Ostatecznym doświadczeniu*. – Jestem

pewien, że jakakolwiek sprawa panią do mnie sprowadza, może ona poczekać!

Łomotanie powtórzyło się. Tym razem było znacznie silniejsze, jakby do drzwi dobijał się śnieżny niedźwiedź, a nie drobna staruszka.

– Na Zimę! – westchnął Victor. Wstał od stołu i podszedł do drzwi.

Kiedy je otworzył, jego oczom ukazał się potężnie zbudowany konstabl z imponującym wąsem. Za jego plecami stało dwóch innych konstabli.

– Czym mogę panom pomóc?

– Panicz Victor Caillou? – zapytał wąsaty mundurowy.

– We własnej osobie – powiedział zdziwiony Victor. – Nie rozumiem jednak powodu...

– Pójdzie panicz z nami – przerwał mu szorstko stróż prawa.

Victor westchnął.

– Chodzi o tę nieuiszczoną opłatę za zniszczoną kłódkę? – zapytał. – Doprawdy, nie widzę powodu, by z tego względu nasyłać na mnie legion uzbrojonych po zęby żołnierzy.

– Jest panicz aresztowany pod zarzutem fałszowania oficjalnych dokumentów państwowych oraz w związku z podejrzeniem o kolaboracji z rewolucjonistami i wiążącym się z tym działaniem na szkodę zarówno Białej Królowej, jak i całej Zimy. Mer miasta Vadeline, Vladimir Enderby, wydał oficjalny rozkaz doprowadzenia pana na komisariat. W przypadku odmowy wykonania polecenia mamy prawo do użycia siły. Proszę nie stawiać oporu.

Victor skamieniał, zdradliwy strach sparaliżował całe jego ciało. Złapali go. Uciekać. Rzucił okiem za siebie, w stronę półotwartego okna – nie umknęło to uwadze konstabla, który położył dłoń na długiej palce wetkniętej za pasek. Caillou zrozumiał, że nie miał szans na ucieczkę, która i tak pogorszyłaby tylko jego sytuację, ponieważ równoznaczna byłaby z przyznaniem się do winy. Był już w swoim życiu kilka razy aresztowany i za każdym razem wymykał się z opałów dzięki gładkiemu językowi i sprzyjającemu szczęściu. Odetchnął kilka razy i uśmiechnął się.

– Oczywiście, że bardzo chętnie spotkam się z merem – oznajmił, starając się utrzymać w ryzach drżący głos. – Choćby po to, by wyjaśnić to absurdalne nieporozumienie.

Schodząc w dół po schodach – konstable przezornie wzięli go między siebie, by udaremnić ewentualną próbę ucieczki – teatrolog rozmyślał gorączkowo. Neil przebywał obecnie w obozie Czerwonej Królowej, chwilowo był zatem poza zasięgiem i nie należało liczyć na jego pomoc. Miało to też swoje dobre strony – był stosunkowo bezpieczny. Konstabl mówił, że aresztowano go za fałszowanie dokumentów, wyszło zatem na jaw, iż nie miał on za sobą protekcji murgrabiego. Pozostałe zarzuty pozostawały wszakże w sferze podejrzeń, co znaczy, że brak było jednoznacznych dowodów przeciwko Victorowi. Oczywiście nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ powszechnie skazywano ludzi na podstawie znacznie wątlejszych oskarżeń, ale teatrolog liczył na to, że renoma i rozpoznawalność, jaką uzyskał w miasteczku uniemożliwi władzom potraktowanie go jak pierwszego lepszego zbrojnego. Nie była to wielka nadzieja, ale zawsze jakaś. Ostatecznie Victor mógł się wyłgać z całej tej sytuacji, udając romantycznego idiotę, który w imię sztuki jest w stanie posunąć się do oszustwa – wciąż miałby pewne problemy, ale w najgorszym wypadku ograniczyłyby się one do kary grzywny. Za powiązanie z ruchem oporu trafiłby na szafot.

Wychodząc, napotkał spojrzenie pani Cirque.

– Proszę się nie obawiać! – zawołał do niej dziarskim głosem. – To zwykle nieporozumienie. Ufam, że do wieczora uda mi się je wyjaśnić.

Zwabiony zamieszaniem, w drzwiach kuchennych stanął Ray. On przecież wie, przemknęło przez głowę Victorowi. Rozumie, co tak naprawdę mi grozi i jak bliskie jest zagrożenie. Jak

zareaguje? Doniesie? Powie rodzicom? Zachowa dla siebie? Znienawidzi za to, że naraziłem na niebezpieczeństwo jego rodzinę? Teatrológ zagryzł zęby. Wszystko to twoja głupota, odezwało się jego sumienie, przemawiające głosem Neila. Twoja buta, nieuważa i zbytńia pewność siebie. Bywało już, że inni cierpieli z tego powodu.

W przejściu wyminęli Morgana Becketta, który wracał do zajazdu z jakiegoś spotkania w interesach. Victor, widząc jego zaskoczony minę, odruchowo się uśmiechnął i uchylił cylindra. Nim doszli na komisariat, teatrológ zdołał już się nieco uspokoić. Stróże prawa traktowali go sucho i formalnie, ale bynajmniej nie brutalnie – zwyczajnie nie dawał im ku temu powodów. Kiedy krata celi zatrzasnęła się za nim, przeciągnął się demonstracyjnie i wyciągnął na zaskakująco miękkiej i wygodnej pryczy. Walące serce uspokajało się z wolna i teatrológ zaczął odzyskiwać rezon.

– Gdy myśliwy przez las biegał... – zaintonował pod nosem pierwszy wers popularnej myśliwskiej przyspiewki. Znał zwyczajowe praktyki przy zatrzymaniu osób podejrzanych o najcięższe przestępstwa, a do takich właśnie należała kolaboracja z rebeliantami. Nie zabiorą go od razu na przesłuchanie. Dadzą mu najpierw trochę czasu na, jak to barwnie określił niegdyś jeden znajomy Victora, skruszenie. Mijające chwile, wypełnione niewesołymi rozmyślaniami, miały go złamać nie gorzej niż najstraszliwsze tortury.

– ...i gonił go lis, i wilk, i jeź lodowy... – nucił coraz głośniej. Trochę, żeby dodać sobie otuchy, a trochę, by z czystej przekory, dokuczyć pilnującemu go konstablowi, który siedział po przeciwnej stronie komisariatu, spisując coś na kartce papieru.

– I niedźwiedz, i zbój do swar goOTOOWYYY! – zakończył zwrotkę, fałszując niemiłosiernie. Uniósł lekko głowę, ciekaw reakcji konstabla. Mundurowy, choć minę miał nachmurzoną i czoło zmarszczone, nie zareagował na jego występ. Zachęcony tym Victor podjął śpiew: – I jeszcze gwardzista, co czapki zapomniał, przez śniegi, przez góry, przez lasy bieży...

Strażnik wstał od ławy. Teatrológ natychmiast przerwał swoje zawrodenie, ale okazało się, że funkcjonariusz poszedł jedynie otworzyć komus drzwi w niewidocznym z celi korytarzu. Victora dobiegła przyciszona wymiana zdań – wydawało mu się, że rozpoznał głosy dyskutujących – po czym strażnik przyprowadził pod celę dwoje młodych ludzi.

– Patrick? Julia? – Teatrológ zdziwił się niepomierńie. – Co wy tutaj robicie?

– Pani Cirque powiedziała mi, że panicza zaaresztowano – odparła Julia, zbliżając się do krat. – Dyrektorze, w co się pan wpakował?

– Drobną pomyłką. – Victor machnął lekceważąco ręką, jakby zamknięcie go za kratami na komisariacie było zaledwie błańostką, którą nie warto zaprzętać sobie głowy. – Czekam, aż zjawi się tu ktoś, z kim będę mógł przedyskutować tę kwestię.

– To chyba będzie Biała Gwardia – mruknął Patrick. – Czterech konnych w bieli przybyło do Vadeline dzisiejszego ranka.

– Domyślałem się tego. – Victor pokiwał głową. – Stąd ta zabawa w „łapaj rebelianta”.

– Ale... nie planuje chyba panicz zamachu na Białą Królową? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Ależ oczywiście, że planuję! – zawołał dziarsko Victor. – Spójrz no na mnie, Julio. Wielki w barach, z nieuporządkowanymi kudłami i zarostem, majcher mi odebrali przy aresztowaniu, więc nie mogę na nim wskazać szczerb i krwawych zacieków. Istny wywrotowiec ze mnie.

Patrick uśmiechnął się lekko, ale Julia pozostała zaniepokojona.

– Moglibyśmy coś dla panicza zrobić?

– Tak – odparł natychmiast Victor. – Trzymajcie się od tej sprawy z daleka. Wprawdzie moja niewinność nie ulega żadnym kwestiom, jednak... Cóż, powiedzmy tylko tyle, że wymiar

sprawiedliwości czasami popełnia zaskakujące błędy. A nie chciałbym, aby ktorekolwiek z was ucierpiało z mojego powodu. Nic mi nie jest, naprawdę – dodał, widząc ich zaniepokojone miny.

– Kiedy wchodziliśmy, słyszeliśmy straszliwe zawodzenie – powiedział Patrick. – Myśleliśmy, że jest panicz poddawany jakimś torturom.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział Victor z kamienną twarzą, choć był nieco urażony.

Naraz przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Był desperacki, nieco wariacki i ryzykowany, nic zatem dziwnego, że zdecydował się z niego skorzystać.

– Powiadomcie o całej tej sytuacji lorda Rautenstraucha – poprosił osłupiałych Patricka i Julię.  
– Powiedzcie mu, że Victor Caillou prosi o jego porękę.

– Jego miłość? – zdziwiła się Julia. – Czy on... czy panicz nie miał z nim przypadkiem zadry, kiedy tylko przybył do Vadeline?

– Ufam, że jego stosunek do mnie zmienił się po tym, jak wraz z córką zjawiał się na premierowym spektaklu – powiedział teatrológ z pewnością, której w ogóle nie czuł. – Czy lady Nina nie zyskała wśród was przyjaciół?

– Igor zdaje się mrozić do niej cholewki – oznajmił chłodno Patrick. – Dziw, że go nie pogoniła. Mało tego, chodzą razem na spacer.

– Jeśli przemawia przez ciebie zazdrość, Patricku, to wiedz, że uważam, iż sam masz nie mniej szczęścia – odparł Victor niefrasobliwie.

Na te słowa Julia i Patrick odsunęli się od siebie, zawstydzeni, zaczerwienieni. Caillou westchnął.

– Dotrzyjcie do lorda Rautenstraucha – powtórzył. – Jeśli to możliwe, postarajcie się nie wykorzystywać do tego celu znajomości z Niną, mogłoby to być źle odebrane. Zwróćcie się do jego sługi nazwiskiem Łazariew, to dobry człowiek – zawahał się, po czym dodał: – Gdy już to uczynicie... wracajcie do domów. Nie wychodźcie po zmierzchu. Nie dzisiaj.

– Dlaczego? – zapytała Julia.

– Po prostu zróbcie to dla mnie – poprosił Victor. – Bywałem już w miastach nawiedzanych przez Białą Gwardię. Z doświadczenia wiem, że w takich sytuacjach nie trzeba długo czekać na to, by wydarzyło się coś bardzo niedobrego. Przekażcie to pozostałym.

– Coś panicz wie – uznał Patrick.

– Powiedzmy, że czegoś się domyślam. I uwierz mi, chciałbym się mylić. Idźcie już.

Pokiwali głową. Kiedy pożegnali się z więźniem, a Julia ruszyła w stronę wyjścia, Victor gestem przywołał do siebie Patricka.

– Mój drogi chłopcze, mógłbym prosić cię na chwilkę rozmowy w cztery oczy? – zapytał.

– Słucham, dyrektorze.

Victor zbliżył się ku kratom, by zapewnić sobie i młodzieńcowi możliwe jak największą dyskrecję pod okiem przysłuchującego się im strażnika. To, o czym miał zamiar porozmawiać z Patrickiem, było sprawą daleko ważniejszą niż wolność Victora.

– Czy afekt, jakim bez wątpienia darzysz pannę Julię, jest czymś poważnym?

Patrick drgnął z zaskoczeniem i odsunął się nieco.

– Paniczu!

– To poważna sprawa – syknął Victor. – Oboje jesteście moimi podopiecznymi i nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby to wyjątkowe uczucie, jakie połączyło was mimo przeciwności losu...

– Jest panicz uwięziony i oskarżony o współpracę z rebeliantami – przerwał mu szybko Patrick, by ukryć zawstydzenie i rumieniec ogarniający jego piegowatą twarz. – Czy to naprawdę

odpowiednia chwila na takie rzeczy?

– Ależ! – zaperzył się Victor. – Marny byłby ze mnie pracodawca i nadzorca świątyni sztuki, gdybym stawiał własne wygodę ponad młodzieńcze porywy serca moich podopiecznych. Wysłuchaj zatem, co mam ci do powiedzenia. Bez fałszywej skromności mogę ci zakomunikować, że mam niejaki doświadczenia w stosunkach z pćią niewieścją. Przede wszystkim...

Zaczerwieniony Patrick, nie widząc możliwości ucieczki, pokornie wysłuchał pospiesznego wykładu.

– Zapamiętasz? – zapytał Caillou po kilku obrotach klepsydry, kiedy twarz chłopca przybrała już barwę słońca chylącego się ku zachodowi. Patrick pokiwał głową, po czym oddalił się pospiesznie, lekko rozchwianym krokiem. Teatrológ ponownie wyciągnął się na pryczy z poczuciem dobrze spełnionego zadania.

Mijały kolejne godziny i Victor zorientował się, że praktyka przetrzymywania więźnia przed przesłuchaniem przynosi rezultaty, nawet jeśli uwięziony zdaje sobie z nich sprawę. Czarodziejska sztuczka działa nawet, gdy widz wie, gdzie ukryta jest fałszywa karta. Zdradliwe myśli i niewesołe przeczucia wkradały się do umysłu Victora, każąc mu krążyć po ciasnej celi z coraz bardziej nietęgą miną. Strażnik również się niecierpliwił – po wypełnieniu raportu wyraźnie nie wiedział, co ze sobą zrobić. Rozmów z aresztantem najwyraźniej mu zabroniono, bo mimo usilnych starań Victora nie dał się wciągnąć w pogawędkę.

Samo zniecierpliwienie strażnika było zresztą wymowne – oznaczało bowiem, że coś idzie nie tak i po więźnia już dawno miał się ktoś zgłosić. Kiedy pod celę przybył inny konstabl, doszło do pospiesznej wymiany zdań pomiędzy nim a strażnikiem. Choć teatrológ nadstawiał ucha jak tylko mógł, nie dobiegł do niego ani jeden zrozumiały strzęp rozmowy. Po odbytej dyspucie klawisz wrócił na swoje miejsce za biurkiem, a minę miał zaniepokojoną. Mimo nagabywania Victora nie puścił pary z ust i dalej siedział na trzeszczącym, chybotliwym krześle.

W końcu drzwi wejściowe skrzypnęły. Strażnik zerwał się na równe nogi i popędził na korytarz. Teatrológ oparł się o kraty, choć wiedział, że nie ma najmniejszych szans na podsłuchanie czegokolwiek. Po chwili usłyszał odgłos kroków. Głosy zbliżały się do celi.

– Oczywiście, wasza lordowska mość... – Dobiegło do Victora.

Teatrológ wyprostował się i odruchowo wygładził ubranie, wiedział bowiem, kto przybył mu na ratunek. W Vadeline była tylko jedna „lordowska mość”.

– Wasza miłość. – Więzień skłonił się, gdy tylko arystokrata stanął przed jego celą.

Lord Rautenstrauch zmierzył go uważnie od stóp do głów.

– Panicz Caillou. – Na jego usta wypłynął kpiący uśmiech. – W końcu się panicz doigrał, jak widzę. Wylądowałeś za kratami, Victorze, jak ci skrycie prorokowałem na samym początku naszej znajomości.

– A ty, panie, przybyłeś mi na ratunek, gdy tylko dobiegła cię ta wieść. Wdzięcznym niepomiernie.

– Przedwcześnie. – Arystokrata zmrużył powieki. – Jeszcze nie zdecydowałem, czy za ciebie poręczyć.

– A jednak tu jesteś, Andrieju.

– Zostaw nas samych – polecił konstablowi lord Rautenstrauch. Kiedy strażnik zsalutował i pospiesznie się oddalił, arystokrata zbliżył się do krat. – Rzecz ciekawa – zaczął nieco niefrasobliwym tonem. – Gdy tylko cię zaaresztowano, nieopodal Vadeline zaobserwowano kilkoro mężczyzn o podejrzanym fizjonomii, którzy, jak zeznali świadkowie, dziwnie się

zachowywali. Biała Gwardia, która sposobila się właśnie do przesłuchania cię, Victorze, postanowiła to sprawdzić. Z tego, co mi wiadomo, prowadzą właśnie pościg.

– I cóż w związku z tym? – zapytał teatrolog. Dla zasady, wiedział bowiem, do czego zmierza Rautenstrauch.

– Interesujący zbieg okoliczności. Można by pomyśleć, że komuś bardzo zależy na tym, by królewscy nie mieli okazji porozmawiać z Victorem Caillou.

– Zaiste. Można by.

– A tymczasem ja otrzymuję wiadomość od ciebie. Miałbym być zatem... czym? Wytrychem wiodącym ku wolności? Częścią planu awaryjnego?

– Z całym szacunkiem, Andrieju – Victor ostrożnie ważył słowa – ale byłby to najgłupszy plan awaryjny, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Polegać w podobnej sprawie na człowieku, który nosi na sobie piętno Jej Wysokości, a zatem jego lojalność wobec Białej Królowej jest niepodważalna... Gdybym był rewolucjonistą, byłaby to ostatnia rzecz, jaką bym uczynił.

– Albo pierwsza, ponieważ nikt, łącznie z poproszonym o pomoc arystokratą o niepodważalnej lojalności wobec korony, nie podejrzewałby cię o takie postępowanie.

– Obawiam się, że takie wyrachowanie przewyższa moje prostoduszne pojmowanie świata – oznajmił Victor.

– Prosisz mnie zatem o...?

– Zaufanie.

Andriej zrobił coś niespodziewanego. Uśmiechnął się.

– Nina bez przerwy pyta o kolejny spektakl. Niemal cały czas spędza z pańskimi aktorami. Kiedy jest w domu, poświęca się lekturze sztuk Zimmermana. Już zapominałem, że może być w niej tyle energii. Nie zachowywała się tak od czasu... od długiego czasu.

– Miło mi to słyszeć.

Lord stał przez chwilę z bezruchu, po czym wezwał strażnika i rozkazał mu wypuścić Victora.

– Ależ, jaśnie panie... – próbował protestować konstabl.

– Rozmawiałem już z twoim przełożonym. Niebawem wpłacę zwyczajową w takich wypadkach kaucję. Ręczę za tego tu dżentelmena swoim słowem.

– Biała Gwardia...

– ...będzie moim zmartwieniem – przerwał mu Andriej. – Nie musisz się tym kłopotać, dobry człowieku.

Mina stróża prawa wyrażała powątpiewanie, ale nie śmiał zaprotestować i niechętnie wypuścił Victora z celi. Teatrolog skinął mu uprzejmie głową, po czym porwał z biurka swój cylinder, obejrzał go troskliwie, po czym nasadził sobie na głowę i wyszedł, przepuszczając przodem Andrieja.

– Możliwe, że narażam cię na niebezpieczeństwo – powiedział Victor, gdy znaleźli się już na świeżym powietrzu. – Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś poniósł konsekwencje z mojego powodu.

– Moja pozycja na dworze Białej Królowej jest dość mocno ugruntowana – powiedział arystokrata. – Znam Rotbarta. Nigdy nie zrobiliby czegoś, co mogłoby się nie spodobać Jej Wysokości. Nie musisz się o mnie martwić. Możesz spokojnie poświęcić się swoim planom bez obaw, że ktoś będzie ci w nich przeszkadzać.

On wie, uświadomił sobie nagle Victor. Albo tylko podejrzewa i udaje, że wie, ale w tym wypadku to bez znaczenia, ponieważ jego podejrzenia są w stu procentach trafne.

– Miałeś rację, Victorze – powiedział, potwierdzając jego przypuszczenia. – Czasami strach robi z nami okropne rzeczy. Ale czasem można przekuć go w coś dobrego.

– Już się nie boisz? – zapytał teatrolog.

– Boję – odparł Andriej. – Po prostu teraz wiem, jak robić to w odpowiedni sposób. Tak, by nie ranić przy tym tych, którzy są najbliżej... i tych nieco dalej. Żegnam, paniczu Caillou.

– Miłego dnia, wasza miłość. – Teatrolog uchylił cylindra.

Lord Rautenstrauch wsiadł do dorożki. Siedzący na kozle Albrecht Łazariew uśmiechnął się lekko do Victora, przekazując tym delikatnym grymasem więcej, niż można było zawrzeć w słowach. Caillou odpowiedział dokładnie takim samym uśmiechem, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę zajazdu.

Zmierzchało już. Niebo przybrało barwę szarego granatu, oknach zapalały się pierwsze światła. Victor przyspieszył kroku, szczerze otulając się połamami płaszcza. Nie wiedział, kiedy rozpocznie się zasadzka ani jak niespodziewana eskapada Białej Gwardii w pościgu za rebeliantami ma się do planów Rudej Gabrielle.

Kiedy wrócił do zajazdu, napotkał w holu zafrasowanego Morgana Becketta. Przedsiębiorca bardzo się zdziwił na jego widok.

– No proszę – powiedział. – Już myślałem, że panicza zamknęli na dobre.

– Niewinnych nie zamykają – odparł Victor. – Panie Beckett, z chęcią porozmawiałbym o tym dłużej, najchętniej przy lampce wytrawnego wina albo przedniej nalewki, ale obawiam się...

– Pomieształ pan sporo szyków Gabrielle – powiedział Beckett.

Victor znieruchomiał.

– Obawiam się, że nie rozumiem – odparł.

Beckett westchnął. Rozejrzał się po pustym holu i gestem dał do zrozumienia teatrologowi, że chce porozmawiać na zewnątrz.

– Proszę się nie obawiać – powiedział, kiedy wyszli na mróz. Ciemność na dobre zapanowała już nad horyzontem, z nieba zaczął prószyć drobniutki śnieg. – Jesteśmy po tej samej stronie.

Victora olśniło.

– To pan jest tym uśpionym agentem, o którym wspominał mi Neil! Dlaczego nie powiedział mi pan...?

– Bo do niedawna nie wiedziałem, czy mogę paniczowi ufać – uciał Beckett. – Poza tym marny byłby ze mnie szpieg, gdybym każdemu na lewo i prawo zdradzał, czym się param, czyż nie?

– I kiedy zobaczył pan, że wyprowadza mnie straż miejska... – domyślił się teatrolog.

– Musiałem interweniować. Powiadomiłem Gabrielle o tym wydarzeniu. Czerwona Królowa najpierw obrzuciła panicza nieprzystojnymi słowami...

– Wyobrażam sobie – mruknął Victor.

– ...a potem uznała, że można zmodyfikować nieco plan zasadzki, by odciągnąć od panicza Białą Gwardię. Wysłała dwóch swoich ludzi, by wywabili Rotbarta i jego podwładnych z Vadeline. Kiedy tylko królewscy zaniechają pościgu i wrócą do miasteczka, zostaną zaatakowani przez sforę Czerwonej Królowej.

– A miasto spłynie krwią – podsumował ponuro Victor.

– Mnie także się to nie podoba – powiedział Beckett. – Szczególnie od kiedy dowiedziałem się, że miejscowa kopalnia jest zasobna w kruszec. Jak udało się paniczowi wydostać z aresztu?

– Mam swoje sposoby – odparł krótko.

– Rozsądniej było siedzieć pod kluczem – uznał Beckett. – Miałby panicz wyśmienite alibi na czas zasadzki.

Victor zagryzł wargi. W każdej chwili na Vadeline mogła spaść plaga ognia i krwi.

– Muszę udać się do mojego teatru – oświadczył. – Zostały tam oryginalne manuskrypty

Samuela Zimmermana, w których kryje się sekret pokonania Białej Królowej. Chcę je odzyskać, zanim rozpęta się tu piekło. Co prawda mam odpisy, ale... możliwe, że przeoczyłem coś drobnego. Może źródłem rozwiązania zagadki jest nie treść, a coś innego, zawartego choćby w fakturze papieru.

– Radzę się pospieszyć – powiedział przedsiębiorca. – Czas nagli.

– Jestem tego świadom. Powodzenia, panie Becket.

– Powodzenia, paniczu Caillou.

Victor szybkim krokiem ruszył w stronę teatru. Śnieg rozpadał się na dobre, uderzył go w twarz zimną pięścią wiatru. Osłonił głowę ramieniem i przyspieszył. Słyszając tętent kopyt, uskoczył pod ścianę.

To była Biała Gwardia. Wiatr i zimno zdawały się nie działać na białych jeźdźców, którzy mimo ciemności zauważyli Victora. Teatrológ wyprostował się. Znał Rotbarta, kilka razy widział go u boku Białej Królowej w czasach, gdy studiował jeszcze na Akademii Pięciu Sztuk. Dobrze zapamiętał jego wysoką sylwetkę, przystojną twarz i dziwne, nieludzkie spojrzenie. Mocniej ścisnął laskę, choć stanowiła ona lichą obronę przed szablami gwardzistów.

W tym samym momencie rozległ się świst i w ramieniu jednego z królewskich utkwilił bełt kuszy, nieomal zrzucając trafionego z kulbaki. Drugi bełt świsnął nad jego głową. Rozległ się głośny strzał, zaraz po nim drugi i trzeci. Rotbart krzyknął na swoich podwładnych, każąc im się rozproszyć.

Victor przymarzył do ściany budynku, pod którą kulił się ze strachu. Dzikie, paraliżujące przerażenie znowu nie pozwoliło mu działać. Zagryzł wargi i zerwał się do biegu. Usłyszał za sobą tętent kopyt, który szybko zniknął, zastąpiony dźwiękiem wierzchowca upadającego na bruk – kula lub bełt rebeliantów musiała powalić zwierzę, które parsknęło i zakwiczało z bólu. Teatrológ zaryzykował rzut oka za ramię. Z ciemności wynurzyły się sylwetki rebeliantów, którzy z okrzykiem na ustach rzucili się na gwardzistów.

Biel i czerwień. Biel śniegu, końskiej sierści i szat członków Białej Gwardii. Czerwień krwi, ognia i włosów Rudej Gabrielle, która wiodła swych towarzyszy do walki. Bez litości ciąła szeroką szablą po końskich nogach, by obalić zwierzęta na ziemię i zaatakować jeźdźców. Była jak obłąkana, choć ani na moment nie pozwoliła sobie na pogrążenie się w bezrozumnym szaleństwie. Przeciwnie – wykorzystywała to uczucie, ujarzmiła je i czyniła z niego oręż, nie mniej groźny niż jej szabla.

Szybkim skokiem dopadła do jednego z podnoszących się z ziemi gwardzistów i raniła go w ramię. W ostatniej chwili udało jej się odeprzeć cios innego białego rycerza, moment później jeden z jej towarzyszy własnym ciałem osłonił ją przed zdradliwym pchnięciem rannego.

Victor dopadł do drzwi teatru, otworzył je, przekroczył próg i zatrzasnął za sobą, zamykając od środka. Wziął kilka szybkich oddechów i ruszył schodami na górę, do gabinetu.

Zatrzymał się w drzwiach. Omiótł spojrzeniem gabinet, który zdołał już uczynić swoim własnym. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiał go opuścić. Podeszedł do obrazu Amandy Peters i pieczołtliwie dotknął jego ramy. Naraz refleks na szybko przesłaniającej dzieło sprawił, że Victor drgnął i spojrzął przez okno.

Vadeline płonęło. Dosłownie. Najwyraźniej sfera Gabrielle miała w zanadrzu silne ładunki zapalające, bo gęste płomienie ogarniały kolejne zabudowania mimo śnieżnej kurzawy. Oczywiście, wedle pogłosek Białą Gwardię można było pokonać tylko gorącem.

Teatrológ przełknął ślinę, obserwując, jak w oddali płonie miejska biblioteka. Pomyślał o starym bibliotekarzu, Emilu Decroux, któremu dane było dzielić dormitorium z Samuelem



Zimmermanem. Czy staruszek zdążył wrócić do domu? A może taki teraz w bibliotece, osaczony przez dwa żywoły nacierające z obu stron, bez możliwości ucieczki, bez nadziei na przetrwanie?

– I to ja jestem szalony, tak? – mruknął pod nosem Victor, bezradnie zaciskając dłonie na lasce.  
– Ja jestem wariatem?

Odwrócił się i wyciągnął z szuflady biurka rękopisy Zimmermana, starannie owinięte w szary papier. Schował je w szerokiej kieszeni wszytej w wewnętrzną część płaszcza, po czym ruszył w stronę drzwi. Zamierzał przeczekać całą sytuację w budynku, układanie zaś dalszych planów pozostawił sobie na później, kiedy już wyklaruje się sytuacja po bitwie.

Naraz usłyszał miauczenie – kot, na ogół cichy i nieuchwytny, zawodził głośno w holu. Victor ostrożnie zszedł po schodach na dół.

– Brian? – powiedział cicho. W odpowiedzi usłyszał żałosne miauknięcie i z mroku wynurzyła się drobna futrzana sylwetka. Zwierzę błyskawicznie znalazło się przy Victorze, ocierając się o jego kostki i skarżąc się na coś w płaczącym kocim języku.

– W porządku. – Victor pochylił się i pogłodził Briana po grzbiecie. – Nie ma się czego wstydzić. Ja też się boję.

Kot prychnął, jakby zapewniając, że wcale się nie boi, a dobiegające z zewnątrz hałasy są dla niego co najwyżej irytujące.

Naraz coś załomotało w drzwi wejściowe. Brian miauknął jazgotliwie i pognął w mrok. Victor instynktownie cofnął się o dwa kroki. Drzwi wypadły z framugi i głucho uderzyły o podłogę. Do teatru wszedł Rotbart.

Krwawił z kilku ran na ramieniu i jednej poważniejszej na wysokości klatki piersiowej. Krwawa pęga znaczyła jego koszulę. Płaszcz miał osmalony od ognia.

– Victor Caillou jak mniemam? – zapytał.

W tym samym momencie świat eksplodował.

Któryś z rebeliantów musiał dostrzec Rotbarta stojącego w drzwiach teatru i rzucił w niego ognistym pociskiem. Chybił, ponieważ ładunek przeleciał ponad ramieniem gwardzisty i uderzył w lico budynku, który momentalnie zajął się ogniem.

Victor i tym razem nie zapanował nad strachem. W panice rzucił się do na wpół otwartych drzwi piwnicznych, poślizgnął się i zsunął po schodach na sam dół, boleśnie się obijając.

Podnosił się z wysiłkiem, kiedy światło wpadające przez drzwi przysłoniła sylwetka gwardzisty. Ciemne oczy Rotbarta zaślniły w ciemności. Victor nie wyczytał z nich sadystycznej chęci mordowania ani nienawiści. Dojrzał w nich tylko zimne wyrachowanie. Teatrolog był problemem. Nie, czymś mniej niż problemem. Był kamykiem, który dostał się między zębatki misternego mechanizmu, zakłócając jego działanie. Usterką, którą usuwa się szybko, sprawnie, nie poświęcając tej czynności zbędnemu nadmiarowi uwagi.

Zerknął za siebie. Plecami opierał się o mechanizm regulujący system grzewczy.

– Victor Caillou – powtórzył gwardzista, zbliżając się niespiesznie. – Fascynująca z ciebie osoba, wiesz o tym?

Victor wiedział, ale nie podjął dialogu. Rotbart rzucał przed sobą rozedrgany cień, efekt płomieni tańczących nieopodal drzwi wiodących ku piwnicy.

– Zainteresowałem się tobą po tym, jak doszły mnie słuchy o twoim oszustwie związanym z listami uwierzytelniającymi od murgrabiego. Zacząłem drążyć – raczej z ciekawości niż realnych podejrzeń. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jesteś tylko zuchwałym kłamcą, bezczelnością zdobywającym niezасłużone profity. Nie byłbyś pierwszym oszustem o wygórowanych ambicjach, z którym się zetknąłem. Okazało się jednak – podjął po chwili milczenia, w czasie której

oczekiwał na repetę Victora – że jest z ciebie znacznie większy kasek, niż mógłbym podejrzewać. Nie lękaj się, dobrze zacierałeś za sobą ślady. Nic nie można ci udowodnić, niewiele podejrzeń można przykleić. Jednak za każdym razem gdy wrogowie Białej Królowej organizowali jakiś plugawy atak, Victor Caillou przebywał w pobliżu. Kiedy gdzieś padały trupy wiernych Koronie żołnierzy, Victor Caillou albo wcześniej tam przebywał, albo zjawiał się tam jakiś czas potem. Zbiegi okoliczności? Nie sądzę.

Już się nie boję, uświadomił sobie z niebotycznym zdziwieniem Victor. Patrzył śmierci w twarz, jego chwile były policzone – i nagle strach zniknął. Nie, nie zniknął. Wciąż gdzieś tam tkwił, ale nie siedział już u sterów. W umyśle Victora zapanowała cisza.

– Łaskawy panie – powiedział teatrolog, sięgając dłonią za siebie. – Jestem tylko zwykłym teatrologiem.

– Widziałem morderców będących lekarzami, niszczycieli parających się murarką i zdrajców bez drgnięcia powieki przysięgających wierność najbliższym przyjacielom – odparł spokojnie Rotbart. – Teatrologi, jak mi się zdaje, nie są grupą, której nie ma się dwulicowość.

– Nie zrozumiałeś mnie – odparł spokojnie Victor. – Jestem teatrologiem. Człowiekiem, który oddycha fikcją. Moją uwagę zajmują światy nieistniejące, ludzie wymyśleni, zdarzenia, których próżno szukać na kartach historii.

– I co z tego?

– To – Victor uśmiechnął się pod nosem – że nawet ja nie jestem tak skażony teatralną imaginacją, by wygłaszać przemowę przed zabiciem długo tropionego wroga. – Powiedziawszy to, z całej siły pociągnął za dźwignię, której bracia Alfieri z przerażeniem zabronili mu choćby dotykać.

\*\*\*

Warsztat braci Fabiana i Diego Alfierich szczęśliwie znajdował się w części miasta niedotkniętej ogniem, przemocą i szaleństwem. Na wieść o zawierusze bliźniacy zabarykadowali się w swoim miejscu pracy i tylko od czasu do czasu z niepokojem nasłuchiwali odgłosów walki. Na wypadek, gdyby jakiś żądny krwi zbój wpadł do ich warsztatu, zapobiegliwy Diego przygotował specjalne obejście ich własnego systemu grzewczego – nim rzeczony zbój zdołałby wyrządzić jakieś szkody, zostałby obalony na ziemię strugą wrzącej niemal wody pod ciśnieniem, którą wypułyby z siebie naprędce sklecony miotacz podłączony do rurociągu.

– Dobra – powiedział Fabian, dokręcając ostatni zawór. – Powinno działać.

– Nie celuj tym we mnie, z łaski swojej – burknął Diego, przechodząc pod ścianę. Zdjął z grzejnika blaszany czajnik i nalał wody do kubka. Odetchnął, wdychając zapach naparu.

W tym samym momencie zza ściany dobiegł potężny huk. Bracia spojrzeli po sobie. Znali ten dźwięk aż za dobrze i potrafili go rozpoznać nawet w gęstwinie krzyków, wystrzałów i uderzeń.

– Nie myślisz chyba...? – zaczął Diego po dłuższej chwili ciszy.

– Nie. Na pewno nie – odparł Fabian bez przekonania.

Milczeli przez chwilę. W końcu Fabian odezwał się raz jeszcze: – Tak po prawdzie to mogło mi umknąć jedno obejście i w razie jakby długo i bez przerwy palili w kotle... Niemożliwe. – Pokręcił głową. – Sprawdziłem wszystko trzy razy.

– Więc to nie był...

– W żadnym razie.

Stali przez chwilę, wpatrując się w siebie, po czym jak na komendę zerwali się z miejsca i wybiegli na zewnątrz. Kiedy znaleźli się na głównej ulicy, skąd mogli dostrzec teatr, zgodnie

jękęli.

– Zakład... – wyjąkał Fabian, zbyt osłupiały, by choćby zwrócić uwagę na fakt, iż wiatr porwał mu czapkę. – Nasze dwieście orenów...

– Co?

– Założyłem się z Mancinim, że tym razem nie wybuchnie... – wyjąkał, kuląc się pod wściekłym spojrzeniem Diega. – No-no-no i... Sam widzisz...

– Nasze oszczędności! – wysapał Diego z wściekłością. W tym momencie Fabian z pewnością wolałby stawić czoła wszystkim rebeliantom Rudej Gabrielle niżli swojemu bratu. – Wszystkie nasze oszczędności...

– Sam mówisz, że tym razem na pewno nic się nie stanie!

Raz jeszcze spojrzeli na teatr. Wschodnia część budynku osunęła się. Choć wiatr i śnieg częściowo zdusiły płomienie, był nie do odratowania.

– Mamy przemrożone – sapnął Fabian. Pociągnął nosem i odwrócił się w stronę warsztatu. – Mamy przemrożone po sam horyzont.

– O ile nie dalej – dodał ponuro Diego.

\*\*\*

W chwili, gdy Victor pociągnął za dźwignię, kocioł zadygotał. Kapitan Białej Gwardii zatrzymał się w pół kroku.

– Aha! – zakrzyknął teatrolog z satysfakcją. – Cóż zrobiłem, zastanawiasz się zapewne? Sądzisz, że nie zabezpieczyłem swego teatru na podobną okoliczność?

– Sądzę, że nie – odparł zniecierpliwiony Rotbart. – Sądzę, że to ostatni akt wariackiej, desperackiej odwagi, zwykły blef, który...

W tym samym jedna z rur nad głową Victora pękła, tryskając gorącą wodą pod ciśnieniem. Caillou instynktownie osłonił się płaszczem, ale i tak poparzył sobie część przedramienia. Główna fala poszła jednak na kapitana gwardii, który wrzasnął potępieńczo, gdy sycząca struga wrzącej wody trafiła go w ramię i rozlała się po twarzy oraz torsie. Kocioł trzeszczał i trząsł się niebezpiecznie. Teatrolog rzucił się przed siebie, przebiegając na oślep przez kłęby pary i pod ramieniem wrzeszczącego w niebogłosy Rotbarta.

Gwardzista miał rację – to był blef. Tylko dzięki głupiemu szczęściu udało się Victorowi wyrwać ze szponów śmierci. Teatrolog wybiegł po schodach w górę, słysząc jeszcze, jak kocioł zaczyna ryczeć niczym potężny gad z prehistorycznych otchłani. Wybiegł do płonącego holu. Osłaniając się płaszczem, dobiegł do drzwi wyjściowych. Przed sobą dostrzegł jeszcze ogon Briana, który z żalosnym miauczeniem opuszczał płonący teatr.

Wypadł na ulicę. Zataczając się i chwytając łapczywie kolejne wdechy mroźnego powietrza, przeszedł kilka kroków, po czym opadł na kolana. Serce waliło mu jak oszalałe, w skroniach pulsowała krew... a jednak w jakiś sposób, czuł się wspaniale. Zaśmiał się głośno, po czym jego śmiech przeistoczył się w głośny rechot wyrażający wariacką radość, której ani nie potrafił pojąć, ani powstrzymać. Miasto ogarnęło szaleństwo, sam gwardzista Białej Królowej nieomal zamordował Victora, teatr płonął niczym pochodnia – a jednak teatrolog wykpił się z tego pandemonium zaledwie kilkoma powierzchownymi oparzeniami. Fakt ten był tak niewyobrażalnie zabawny, iż niepodobna było się nie śmiać. W końcu zakrztusił się i rozkaszał. W tym samym momencie usłyszał głośny wybuch, którego pęd niemal poderwał go z ziemi.

Victor powoli podniósł się i odwrócił. Świadom był tego, co zobaczy, ale i tak serce mu zamarło, widząc, jak majestatyczna konstrukcja gmachu teatru chwieje się i osuwa pod swoim

ciężarem. Mężczyzna cofnął się kilka kroków, gdy fragment budynku oderwał się i z głośnym łoskotem spadł na ziemię.

A więc tak to się kończy, pomyślał. W ogniu. Ogień... Przez głowę przemknęło mu jakieś silne, ale niewyraźne wspomnienie. Ogień... wszystko skończyło się w ogniu... Świat spłonął. Teatr jest całym światem. I spłonął. Świat spłonął. Nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy. Musiał wcześniej widzieć coś podobnego.

Sięgnął za połę płaszcza i wyciągnął manuskrypty. Papier był wilgotny i nadpalony, część stron – kompletnie zniszczona. Victor zacisnął palce na smętnych pozostałościach po rękopisach. I choć opuściło go już szaleństwo, uśmiechnął się.

Usłyszał odgłos kroków. Odwrócił się, unosząc laskę, z którą w ferworze wydarzeń się nie rozstał. Nadbiegającym był Neil. Teatrológ opuścił laskę i natychmiast się na niej wsparł, poczuwszy nagły i gwałtowny odpływ sił.

Neil dzierżył w dłoni szeroką szablę. Za pas wetknięty miał pistolet, ramię przewiązane czerwoną chustą, a odzienie zbrukane posoką.

– Victorze! – krzyknął na jego widok.

Caillou uśmiechnął się i zakołysał na wiotkich nogach. Przyjaciel podbiegł doń i go podtrzymał.

– Jak zwykle! – krzyknął Neil. – Radziłem ci, prosiłem, błagałem nawet. Uciekaj! Ale nie, Victor Caillou jest mądrzejszy od całego świata i zawsze postawi na swoim. I jakie są tego skutki? Takie jak zwykle. Myślałby kto, że po tylu razach nabrałbyś już rozumu.

– Neilu... – Victor mocniej stanął na nogach – jesteś pewien, że to odpowiedni moment?

– Walki już niemal dobiegły końca – oznajmił zapytany. – Z tego, co mi wiadomo, sfora Gabrielle dorwała trzech gwardzistów. Jeden spłonął żywcem trafiony bombą zapalającą, przynajmniej tak mi powiedziano. Drugi... drugiego zasiekaliśmy, obalivszy pierwej z konia. Mówię ci, wciąż kopał i bronił się mimo ran, a tyle ran, co otrzymał przed śmiercią... równo obdzielone wykończyłyby szóstkę ludzi. Trzeciemu Gabrielle osobiście ścięła głowę i – powiadam ci – reszta ciała wciąż rzucała się jeszcze przez dobrą ćwiartkę obrotu klepsydry po oddzieleniu od ciała. Okoliczni wojskowi nas przetrzebili i Czerwona Królowa zarządziła odwrót, choć płonęła z wściekłości po tym, jak umknął jej Rotbart. Próbowałem go wytropić, ale zniknął jakiś czas temu.

– Przekaż jej, że może przestać płonąć – rzekł Victor, wskazując na teatr.

– Chcesz powiedzieć...?

– Rotbart nie żyje – powiedział znużonym tonem. – Próbował osaczyć mnie w teatrze. Z tego, co wiem, umarł w ogniu, przygnieciony szczątkami.

Wiatr ucichł z wolna. Z oddali dało się słyszeć odgłosy walk. Neil przeniósł wzrok na dogorywające zgliszcza teatru.

– Przykro mi – powiedział. – Wiem, ile pracy włożyłeś w jego odbudowę.

Victor pociągnął nosem i ramieniem otarł policzki – niesforny śnieg osiadł mu na twarzy i rozpuścił się.

– To już nie ma znaczenia – oznajmił. – Bo widzisz... w chwili gdy o mało co nie zginąłem z ręki Rotbarta, doznałem olśnienia. Odkryłem, co chciał nam przekazać Samuel Zimmerman.

– Odkryłeś...? – Neil zaniemówił. Po chwili rzucił okiem za ramię, w stronę zbliżających się światła. – Chodź, Victorze, musimy się ukryć!

Cisnął precz czerwoną chustę, którą zdjął z ramienia, i wraz z Victorem ruszył ciemnym zaułkiem. W tym momencie inicjatywę przejął teatrológ, który lepiej znał miasto i ciasnymi uliczkami wywiódł Neila w stronę lasu, gdzie dołączyli do uciekających rebeliantów.

Caillou obejrzał się przez ramię, by raz jeszcze spojrzeć na Vadeline. Tu i ówdzie tliły się jeszcze

światła pożarów, ale miasto nie było zagrożone żywiołem.

– Victorze...

– Zaraz. – Teatrolog oparł się ramieniem o drzewo. – Odpocznę chwilę i ruszamy.

– Naprawdę odnalazłeś formułę Zimmermana?

– O tak. – Uśmiechnął się. – W istocie, było to banalnie proste.

– I pomoże nam ona w obaleniu Białej Królowej?

– Z całą pewnością. Choć nie każdemu się to spodoba.

– Co masz na myśli?

Teatrolog już miał odpowiedzieć, gdy spomiędzy drzew wyłonił się jeden z rebeliantów. Zaraz po nim pojawił się, drugi i trzeci. Victor uśmiechnął się, naciągnął cylinder na czoło, ujął laskę i opuścił Vadeline.

## Epilog

### Rok później

Herbata pachniała wspaniale. Większość ostatnich miesięcy Victor spędził w podróży, nie zagrzewając nigdzie miejsca na dłużej, niż to było konieczne. Nie był ścigany przez prawo – znajomości i koneksje pozwoliły mu raz jeszcze, choć z niemałym trudem, wywinąć się z opałów – ale uznał, że mądrze będzie na pewien czas zniknąć ze sceny wydarzeń.

– Zanim zacznę – Victor pozwolił sobie jeszcze przez chwilkę delektować się zapachem naparu – mam jedno pytanie.

– Niech panicz pyta.

– Dawniej mówiła mi pani „Victorze” – zauważył młodzieniec.

– Dawniej mówił mi panicz „Amando” – odparła pani Johansen tym samym tonem.

Roześmiał się cicho.

– Przepraszam. Minęło sporo czasu. Moje pytanie... Idąc do ciebie, zauważyłem, że odbudowaliście teatr.

– I...? – Amanda uniosła brew.

– Dlaczego?

Amanda Peters, nim odpowiedziała, długo milczała, jakby szukając odpowiednich słów.

– Po tym jak Biała Gwardia starła się z rebeliantami na terenie miasteczka, zapanował strach. Tępe, gorące przerażenie – co teraz będzie? Co się stanie? Jak się potoczą losy miasteczka? Zginęło tu czterech gwardzistów i wielu żołnierzy, a to nie jest coś, nad czym można przejść do porządku dziennego. Czy Vadeline zostanie potraktowane tak, jak inne miejscowości podejrzane o ukrywanie rebeliantów? A może to właśnie sfera Czerwonej Królowej powróci, by dopełnić dzieła zniszczenia? Było wiele pytań i mało odpowiedzi. Wiele strachu i mało nadziei. Lord Rautenstrauch wyjechał w tej sprawie do stolicy, lecz nie znam szczegółów. Plotki mówią, że rozmawiał z samą Białą Królową i przekonał ją, by oszczędziła Vadeline. Ale to tylko plotki, a kto bym tam wierzył plotkom. Miasto miało szczęście w nieszczęściu – ciągnęła Amanda Peters.

– Atak nastąpił na początku roku. Mieliliśmy w perspektywie ocieplenie, wiosnę i lato, co dało nam czas na naprawę większości szkód.

– I tego właśnie nie rozumiem – powiedział Victor. – Poświęciliście czas i zasoby na odbudowę teatru, choć było znacznie więcej palących potrzeb.

– Och tak, nawet sobie panicz nie wyobraża. Co prawda ucierpiało niewiele budynków i tylko teatr spłonął doszczętnie, ale pracy było mnóstwo. Pan Mancini i pracownicy jego warsztatu dokonywali małych cudów. W tym dziwnym czasie, wypełnionym ciężką pracą i strachem, pańscy aktorzy wciąż dawali występy. Uzyskali od niektórych mieszkańców miasteczka pomoc przy uprzątnięciu gruzów i początkowo występowali właściwie na zgliszczach, na świeżym powietrzu. Każdy mógł przyjść i ich zobaczyć. Za każdym razem kiedy tylko aktorzy Cyntii Greene organizowali kolejny spektakl, zbierały się tłumy. Ludzie dawali pieniądze, choć nikt tego od nich nie wymagał. Przychodzili, wyczerpani pracą przy odbudowie, nękami niepokojem o własny los i na kilka chwil, w których trwał spektakl, odsuwali to od siebie. I nagle, zupełnie niespodziewanie, dla wszystkich bez mała mieszkańców Vadeline stało się bardzo ważne, by jak

najszybciej odbudować gmach teatru. Ponownie pomógł nam nasz lokalny możnowładca, przeznaczając na ten cel hojną darowiznę. Nowy mer...

– Nowy mer? – przerwał jej Victor. – Enderby zrezygnował?

– Enderby trzymał się swojego stanowiska z uporem godnym lepszej sprawy. Nie, to ludzie zdecydowali, że czas na zmianę. Teraz miastem zarządza Bowen Cirque. Jednym z pierwszych oficjalnych zarządzeń nowego mera było odbudowanie gmachu... Wszystko w porządku, Victorze?

– Tak – zapewnił pospiesznie, odchylając nieco głowę, by skryć twarz w półmroku. – W najzupełniejszym porządku.

– Bo wydawało mi się, że zmienił ci się wzrok.

– To prawdopodobnie tylko złudzenie będące rezultatem marnego światła – odparł Victor lekko zachrypniętym głosem.

– W każdym razie – Amanda taktownie odwróciła spojrzenie – teatr funkcjonuje. Z tego, co mi wiadomo, niedługo ponownie wystawiony będzie *Piaskowy Człowiek*. Gdybyś został kilka dni dłużej...

– Lepiej... lepiej nie. – Victor pokręcił głową. – Jeszcze dzisiaj opuszczam miasto. Mam przed sobą wiele pracy.

– Teraz twoja kolej. Czy rozwikłałeś zagadkę Samuela Zimmermana?

– Rozwikłałem. – Młodzieniec wyprostował się z dumą. – Dosłownie na chwilę przed opuszczeniem miasta.

– Powiedz.

– Zagadką było to, że nie było żadnej zagadki.

Amanda uśmiechnęła się.

– Dobrze. Mów dalej.

– Początkowo usiłowałem szukać jakiegoś kodu, szyfru. Wiadomości zawartej za pomocą układu liter lub znaczeń. To był błąd, ponieważ Samuel Zimmerman nie był matematykiem ani szyfrantem. Był artystą. Matematyk albo szyfrant niechybnie sporządziłby przemyślaną łamigłówkę logiczną. Ale artysta... artysta stworzyłby opowieść. Prawda jest też taka, że nie ma żadnej instrukcji, żadnej formuły ani czarodziejskiego zaklęcia, które wypędziłoby Białą Królową z Zimy i zapewniło wolność jej mieszkańcom. Czegoś takiego właśnie szukałem, nic zatem dziwnego, że odniosłem na tym polu porażkę. Moje badania opierały się na błędnym zrozumieniu. Wstydzę się tego, ponieważ długo mieniłem się największym znawcą Samuela Zimmermana na całym świecie. To była lekcja pokory: nieprzyjemna, ale potrzebna do osiągnięcia sukcesu. – Victor zapatrzył się w okno. Niebo wciąż było ciemne, ale była to ciemność niosąca sugestię poranka. – Samuel Zimmerman – podjął po chwili – dał nam przesłanie. Przesłanie, które zawarł w swoich pracach. Brzmi ono: nie poddawajcie się. Tacy są właśnie bohaterowie jego sztuk. Boją się, targają nimi sprzeczne emocje, odczuwają strach, nienawiść i żal – ale w końcu tryumfuje prawda i dobroć. Wystarczy tylko zwalczyć w sobie strach, nie pozwolić się stłamsić... a za którymś razem się uda. Miałas rację, Amando. Cały czas miałem to przed oczami, ale byłem ślepy. Samuel Zimmerman dał nam coś więcej niż rozwiązanie. Dał nam osobliwą magię. Magię, która jest tak stara, że nikt jej za magię nie uważa. To ta magia odbudowała teatr w Vadeline, to ta magia przywiodła mnie do tego miasteczka. To ta magia połączyła cię z Samuelem Zimmermanem, Amando.

Victor powstał. Chwycił cylinder, który zsunął mu się z kolan, zakręcił nim na palcu, po czym nasadził go sobie na głowę.

– Nie czujesz rozczarowania, gdy w końcu do tego doszedłeś? – zapytała Amanda

– Rozczarowania? – zdziwił się szczerze. – Tylko głupiec wierzący w łatwe rozwiązania i proste zakończenia byłby rozczarowany. Nie jestem głupcem i nie był głupcem autor *Ostatecznego doświadczenia*, choć nam obu to zarzucano. Muszę odejść, Amando. Przede mną wiele pracy. Będzie ciężko, będzie trudno. Ale się nie poddam. Nie po tym, co przekazał mi Samuel Zimmerman. – Victor opatulił się płaszczem. – Żegnaj, Amando Peters.

– Żegnaj, Victorze Caillou.

Victor strzelił obcasami jak wojskowy w chwili salutu, ujął laskę w dłoń i ruszył na spotkanie poranka.

KONIEC



Zima

Copyright © Michał Ochnik

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-128-4

epub ISBN 978-83-7995-129-1

mobi ISBN 978-83-7995-130-7

Redakcja: Małgorzata Maksymowicz

Korekta: Barbara Kaszubowska

Ilustracja i projekt okładki: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)























































































































































































































































































































































































































































































































































































































